MENSTRUACJA
Skąd się bierze nasze największe tabu

POLSKA POD PRĄD
Marnujemy energię walcząc z wiatrakami

BOSKI KORKOCIĄG
Dlaczego wróciła moda na roraty

PREZESKA YOU TUBE
Susan Wojcicki opowiada o dochodach w internecie

Kraków 16 grudnia 2018 nr 51 (3623) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Moja wyspa skarbów

Wojciech Mann

W NUMERZE:
MAGAZYN LITERACKI

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

„Tygodnik” + książka

UDANE POŁĄCZENIE!

Książka ks. Adama Bonieckiego „Połączenie odebrane”▪ W PREZENCIE – dla każdego, kto wykupi do 17 grudnia 2018 DOWOLNĄ▪▪ prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”!

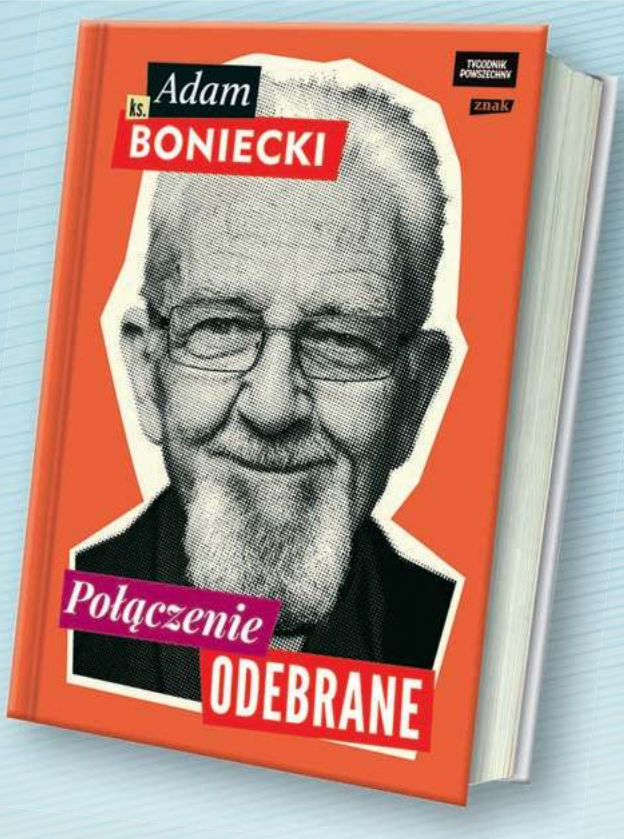

▪ „Połączenie odebrane”, rok wydania: 2018, cena katalogowa – 39,90 pln, stron 224. Wysyłka książki będzie realizowana w styczniu 2019 bez dodatkowych opłat.

▪▪ Aby skorzystać z oferty, należy do 17 grudnia 2018 opłacić (wykupić nową lub przedłużyć na kolejny okres) dowolną krajową prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”. Cennik i zasady zakupu prenumeraty opisane są poniżej.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia	300 zł	

NOWA OFERTA!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	429 zł
Pokolenia + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO marketing automation

znak

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Niezwykły mnich z opactwa Gethsemani*

Jego autobiografia »Siedmiopiętrowa góra« z 1972 roku sprzedała się w ponad milionie egzemplarzy i była przetłumaczona na przeszło trzydzieści języków, a przez »National Review« została wpisana na listę stu najlepszych książek non-fiction dwudziestego wieku. Napisał ponad sześćdziesiąt książek, a także kilkaset wierszy i artykułów o przeróżnej tematyce: od klasztornej duchowości po nuklearny wyścig zbrojeń". Tak prezentuje go polski wydawca. Thomas Merton – w zakonie ojciec Ludwik – urodził się 31 stycznia 1915 r. w Prades w Pirenejach Wschodnich. Zmarł 10 grudnia 1968 r. w Bangkoku, porażony prądem. Amerykański pisarz, poeta, ksiądz katolicki, trapista. Trzy jego najbardziej znane książki: „Siedmiopiętrowa góra", „Znak Jonasza" i „Nikt nie jest samotną wyspą" rozchodzą się do dziś w milionowych nakładach.

Mało jest takich ludzi Kościoła jak ten amerykański trapista z klasztoru Gethsemani. Owszem, są wielcy kaznodzieje i pisarze, którzy przez kilka sezonów porywają słuchaczy albo czytelników, lecz z czasem ich gwiazda blednie albo gaśnie. Tomasz Merton trwa i porywa chrześcijan, buddystów, wierzących i niewierzących. Obszerniej o nim piszemy w tym numerze, nie wchodząc więc w szczegóły jego biografii chcę się tu podzielić moim zadziwieniem fenomenem niezwykłej siły przyciągającej Mertona. I to niemal od samego początku jego drogi zakonnej we wspólnocie, w której jedną z podstawowych zasad jest milczenie. Kiedy się ukazało pierwsze wydanie autobiograficznej „Siedmiopiętrowej góry", klasztor Gethsemani przeżył inwazję kandydatów. Nigdy do tego czasu się nie zdarzyło, by kandydatów do nowicjatu było tylu, że zabrakło dla nich miejsca w klasztorze i trzeba było postawić rodzaj namiotów. W książce tej, a także w „Znaku Jonasza" – jest to rodzaj dziennika – opisuje swoje życie (szczęśliwego) trapisty. Uważa, że człowiek jest szczęśliwy wtedy, gdy jest w tym miejscu, w którym Bóg go chce mieć. Merton jest szczęśliwy. Tomasz Błachuciński w pracy doktorskiej o doświadczeniu Boga u Mertona (Wrocław 2011) przytacza określenia nadawane Mertonowi: „symbol duchowych możliwości naszego świata", „reformator Kościoła", „prorok naszych czasów", „samotny poszukiwacz prawdy", „współczesny mistyk i mędrzec" i trafnie konkluduje, że „ceni się go [Mertona] za odważne formułowanie sądów, demaskowanie fałszywych wartości, zaangażowanie w budowanie ruchu ekumenicznego na świecie, dystans wobec świata, zabarwiony często ironią i humorem". Być może siła oddziaływania Mertona wynika z doświadczenia konwertyty, którego nawet kiedy już zaczął się interesować chrześcijaństwem, na widok łacińskiej notki na książce „Duch filozofii średniowiecznej" Gilsona: „Imprimi potest" – czyli zgody kościelnego cenzora na publikację – ogarnęło, jak pisze: „uczucie obrzydzenia i zawodu (...) jak nóż wbity w sam środek serca". Gdyby wiedział, że jest to katolicka książka, nie kupiłby jej. „Teraz kusiło mnie, aby wyrzucić ją przez okno na domy w Woodside, pozbyć się jej czym prędzej jak czegoś nieczystego i niebezpiecznego".

Tak, w biografii Mertona znajdujemy wytłumaczenie, skąd się brało doskonałe wyczucie sposobu myślenia zanurzonego w świecie człowieka. Jego droga życiowa tłumaczy wielu konwertytów i trapistów, których oddziaływanie na świat nie wyszło poza tajemnicę skutecznej pokuty i modlitwy. Merton z całym bagażem życiowych i intelektualnych doświadczeń odważa się wejść w trudną do przekazania dziedzinę kontemplacji. Świadkowie zapewniają, że bardziej niż pisarzem czy myślicielem był człowiekiem modlitwy. Dzielił się tym, czym sam żył. Wielki talent i doświadczenie Boga... Daj nam, Boże, więcej takich trapistów. ©℗

TP

Moc czytania w świątecznym numerze „Tygodnika Powszechnego"!

Ks. Adam BONIECKI, Grzegorz BOGDAŁ, Marek BIEŃCZYK, Szymon HOŁOWNIA, Wojciech JAGIELSKI, Anna GOC, Maja KOMOROWSKA, Dorota KOZIŃSKA, Katarzyna MIRCZAK, Marcin NAPIÓRKOWSKI, Paweł SOŁTYS (Pablopavo), Adam ROBIŃSKI, o. Michał ZIOŁO

Opowieść wigilijna ▪ Aniołowie bywają pomocni ▪ Narodziny, wersja bez świadków ▪ Dzieciątko wśród swoich rzeczy ▪ Co znaczy pierworództwo ▪ Św. Mikołaj – apostoł kapitalizmu ▪ Złota rączka od metafizyki ▪ Kto zabił Króla Rogera ▪ Czy młodość przyniesie nam zmianę ▪ Koniec świata Angeli Merkel ▪ Strejlau albo Gmoch – musicie wybrać! ▪ Bóg ma słabość do chrząszczy ▪ Zakwas – tajemnice jego żywota

JUŻ WE WTOREK 18 GRUDNIA – powiększone, bogato ilustrowane, odświętne wydanie „Tygodnika Powszechnego" na Boże Narodzenie. Szukaj w kioskach i salonach prasowych. Cena wydania świątecznego – 12 zł. **Weź, czytaj!**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

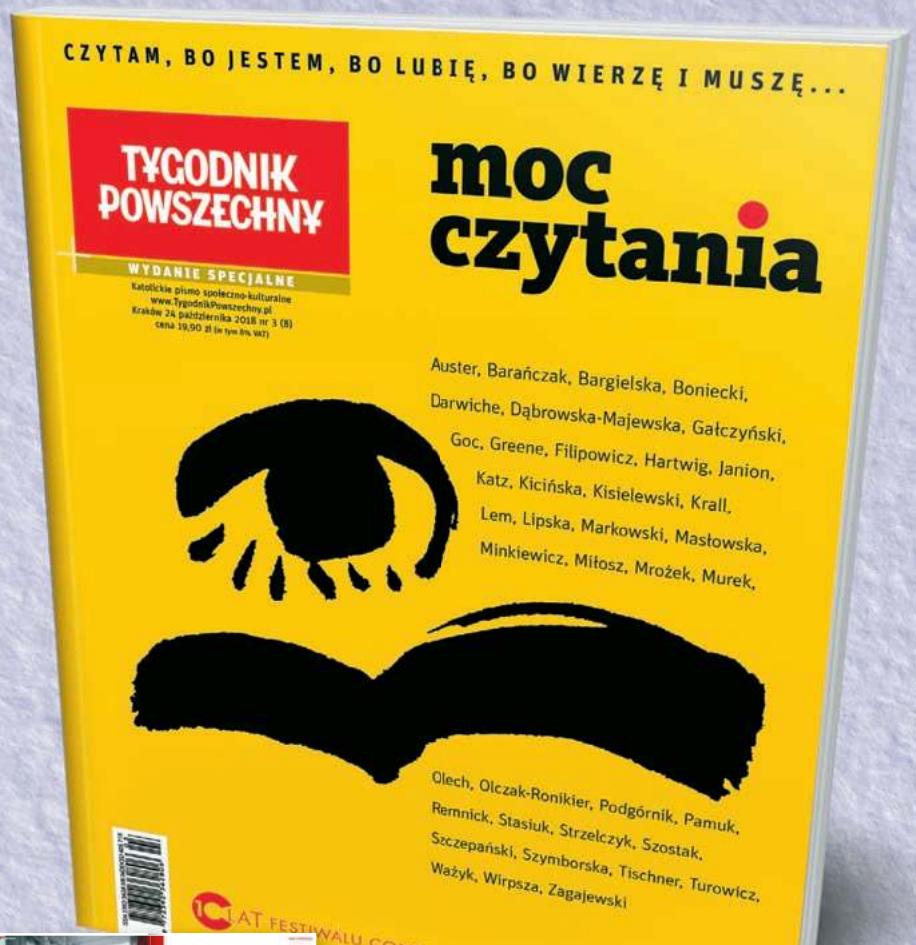

Najlepsze teksty o czytaniu i do czytania

Auster, Barańczak, Bargielska, Boniecki, Greene, Filipowicz, Janion, Kisielewski, Krall, Lem, Lipska, Markowski, Masłowska, Miłosz, Mrożek, Murek, Olczak-Ronikier, Olech, Pamuk, Stasiuk, Szczepański, Szostak, Szymborska, Tischner, Turowicz, Zagajewski i inni w towarzystwie grafik Czerniawskiego, Januszewskiego, Minkiewicza i Wasilewskiego

Potrzebujesz więcej powodów? Weź, czytaj!

„Moc czytania"
już w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą
oraz w e-wydaniu na powszech.net/mocczytania

10 LAT | TYGODNIK POWSZECHNY | zawsze razem | CONRAD FESTIVAL

REKLAMA

ROLEX

CELLINI MOONPHASE

W niepowtarzalny sposób pokazuje fazy księżyca.
Łączy ponadczasową elegancję ze współczesnymi akcentami.
Wskazuje czas. Wyznacza historię.

CELLINI MOONPHASE

W.KRUK
1840

Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Galeria Mokotów, ul. Wołoska 12, Warszawa, tel. 782-666-007
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Plac Trzech Krzyży 8, Warszawa, tel. 607-664-724
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Plac Konstytucji 6, Warszawa, tel. 661-980-576
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), CH Silesia, ul. Chorzowska 111, Katowice, tel. 783-782-720
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Galeria Bałtycka, Al. Grunwaldzka 141, Gdańsk, tel. 661-980-727
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), WOC Lotnisko Okęcie, ul. Żwirki i Wigury 1, Warszawa, tel. 661-980-575
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Galeria Krakowska, ul. Pawia 5, Kraków, tel. 691-360-541
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Posnania, ul. Pleszewska 1, Poznań, tel. 691-360-542

TEMAT TYGODNIKA

16 Mamy miesiączkę
EWELINA BURDA
Wstyd, ból i temat tabu. O doświadczeniu, które dotyczy ponad połowy populacji, publicznie prawie się nie mówi.

20 Żeby TO nie było tabu
ROZMOWA Z IWONĄ CHMIELEWSKĄ, ILUSTRATORKĄ I PISARKĄ:
Ludzie wciąż boją się kobiecej płodności jako nieokiełznanej, nieznanej siły. Przeraża ich biologiczna strona kobiety. Stąd chyba cały problem.

70 Partnerstwo i paragrafy
Z SUSAN WOJCICKI, PREZESKĄ YOUTUBE'A, ROZMAWIA MICHAŁ KUŹMIŃSKI:
W przeciwieństwie do telewizji, która nadaje w jedną stronę, YouTube to komunikacja dwukierunkowa: użytkownicy mogą odpowiadać, zadawać pytania, personalizować to medium zgodnie ze swoimi potrzebami.

38 Boski korkociąg
ROZMOWA Z OJCEM PAWŁEM KOZACKIM, PROWINCJAŁEM DOMINIKANÓW:
Co dla praktyki mojej codzienności znaczy, że Bóg staje się człowiekiem? Gdyby tak się nie stało, czy moje życie wyglądałoby tak samo? Dobrze, jeśli roraty do takich pytań inspirują.

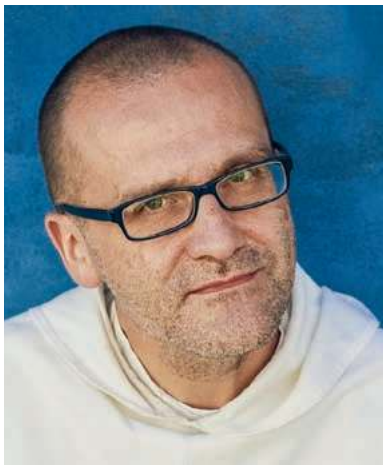

Tyran aleksandryn | magazyn literacki „Książki w Tygodniku"
FELIETON JACKA PODSIADŁY
Świat jest za duży, żeby dał się zamknąć w słowniku. Jakiś półświatek naukowy może tak, ale cały świat?

26 Elektrowstrząs
ROZMOWA Z JOANNĄ MAĆKOWIAK-PANDERĄ:
Nie jest dobrze. Nie tylko dlatego, że mamy przestarzałe elektrownie. Problemem jest też to, że debata o kierunkach rozwoju energetyki nawet nie zaczęła się toczyć wokół fundamentalnych kwestii.

JOANNA RUSINEK DLA „TP" // MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP" // SZYMON BLIK / REPORTER // PATRICK T. FALLON / GETTY IMAGES // PIOTR KAMIONKA / REPORTER

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

8 Najnowsza rewolucja francuska DARIUSZ ROSIAK

9-15 Wiadomości / Komentarze

24 Czytania / Widzenia ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

36 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

26 Elektrowstrząs ROZMOWA Z JOANNĄ MAĆKOWIAK-PANDERĄ

30 Zagłębie na jałowym biegu OLGA DRENDA: *Jak się żyje w regionie, który nikogo nie obchodzi?*

33 Zaklęte rewiry szpitali RAFAŁ WOŚ: *Outsourcing w placówkach publicznych*

■ ■ WIARA

38 Boski korkociąg ROZMOWA Z OJCEM PAWŁEM KOZACKIM

42 Znikam z pola widzenia SEBASTIAN DUDA: *Thomas Merton, słynny trapista, zmarł pół wieku temu*

45 Nie sądź z pozorów DOROTA BIDZIŃSKA: *Lekcje katechezy i bezdomność*

■ ■ ŚWIAT

48 Europejska rozgrywka Orbána ANDRZEJ SADECKI

51 Tatarzy jadą do Moskwy MONIKA ANDRUSZEWSKA: *Uprowadzenie ukraińskich marynarzy u brzegu Krymu zaktywizowało społeczność tatarską*

52 Gra w ciemno DARIUSZ KAŁAN: *W północno-zachodniej Bośni koczuje kilka tysięcy imigrantów, którym nie udało się dostać przed zimą do Unii*

MUZEUM POLIN

KSIĄŻKI W TYGODNIKU

Nie ma dzieci, są czytelnicy

JOANNA OLECH: Jest jakiś niezdrowy paradoks w tym, że Korczak-męczennik przykrył Korczaka-wychowawcę, niezwykłego doktora od dziecięcej duszy. Tak jakby wybór pozostania z dziećmi do końca nie był jedyną oczywistą konsekwencją całego jego życia.

69 DODATEK KULTURA ONLINE

■ FELIETONY ■

35 ANNA DZIEWIT-MELLER
47 SZYMON HOŁOWNIA
90 JAN KLATA **91** PAWEŁ BRAVO
96 STANISŁAW MANCEWICZ
96 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: WOJCIECH MANN
Fotografia: MARCIN MANN dla „TP"
Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

55 Ważni nieobecni MARCIN ŻYŁA: *Wątła nadzieja na koniec wojny w Jemenie*

56 Jestem Meksykanką. Żadnej pracy się nie boję MARTA ZDZIEBORSKA

■ ■ HISTORIA

60 Kryptonim „Interna" PIOTR LITKA: *Po wprowadzeniu stanu wojennego internowano też kilkudziesięciu prominentów związanych z ekipą Gierka*

■ ■ NAUKA

64 Zagadka ukrytej owulacji KASPER KALINOWSKI

■ ■ KULTURA

76 Moja wyspa skarbów ROZMOWA Z WOJCIECHEM MANNEM: *Ojciec miał wolność w sobie, więc o nic nie musiał walczyć*

81 Długie trwanie transformacji MONIKA OCHĘDOWSKA: *Czasy zmiany ustrojowej chcemy pamiętać przede wszystkim jako pełne uroku*

84 Komuna na sterydach MARCIN NAPIÓRKOWSKI *o polskim serialu „1983"*

86 Bratanki JAN BŁASZCZAK: *Na płycie „Kreatura" węgierski pianista Szábolcs Esztényi oraz perkusista Hubert Zemler rozumieją się bez słów, a nawet – bez nut*

88 Figura niemożliwa ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Zwierzęta" Grzegorza Zglińskiego*

89 Warto zobaczyć w TV

90 Jak mówić o przeszłości LEKTOR *o książce „Czas nieprzewidziany"*

■ ■ ZMYSŁY

92 Palcem po świecie ROZMOWA Z THOMASEM REINERTSENEM BERGIEM: *Mapa świata w skali jeden do jednego powstaje tu i teraz*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży

Do pracowniczej wiosny wciąż tak daleko, że aż strach – **RAFAŁ WOŚ** *o trwającym właśnie sporze pracowniczym w przedsiębiorstwie Państwowe Porty Lotnicze.* **tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy**

TVP i klimat

Z okazji szczytu COP24 w Katowicach do dyskusji o zmianie klimatu TVP zaprosiła siedmiu mężczyzn związanych z przemysłem węglowym. Trzech wystąpiło w górniczych mundurach – **KALINA BŁAŻEJOWSKA** *o polityce szkodliwej dla klimatu, czyli dla każdego człowieka* **powszech.net/tvp**

/TygodnikPowszechny ■ /Tygodnik ■ /Tygodnik ■ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

NAJNOWSZA REWOLUCJA FRANCUSKA

„Żółte kamizelki" to ludzie, którzy wściekłością i agresją reagują na to, co uznają za zdradę politycznego establishmentu. Można ich spotkać w całej Europie.

DARIUSZ ROSIAK

Ponad 1700 aresztowanych, prawie 120 rannych. To bilans sukcesu policji po czwartym z kolei weekendzie protestów i zamieszek we Francji. Sukcesu – bo gdyby nie zmieniono taktyki (wprowadzając na ulice wozy opancerzone i 90 tys. funkcjonariuszy), byłoby jeszcze gorzej. I tak znów płonęły samochody i plądrowano sklepy. Według ministra finansów drobni przedsiębiorcy, zwłaszcza restauratorzy, stracili w ostatnich tygodniach połowę obrotów. Francuzi coraz mniej wierzą w to, że prezydent Emmanuel Macron opanuje ten kryzys.

Mówi się, że w najnowszej rewolucji francuskiej, nazywanej „protestem żółtych kamizelek", chodzi o to samo, co we wszystkich protestach po 1968 r.: żeby więcej zarabiać i płacić mniej podatków, zyskując przy tym nowe przywileje socjalne. Ale złośliwości na bok. Protestują nie tylko ci, którzy nie wyrośli z przedszkolnego marzenia, by zostać listonoszem – bo wtedy można sobie paczki przynosić. I nie tylko uliczna bandyterka. „Żółte kamizelki" to znane w całej Europie zjawisko, w centrum którego stoją ludzie agresją reagujący na to, co uznają za zdradę politycznego establishmentu. Macron nadaje się do roli zdrajcy jak mało kto. Pewność siebie, dzięki której w 2017 r. zamieszkał w Pałacu Elizejskim, obiecując politykę nowego stylu i nowej treści, jest dziś

Protest „żółtych kamizelek" w Paryżu, 8 grudnia 2018 r.

IAN LANGSDON / EPA / PAP

jego największą słabością. „Prezydent bogatych” – mówią o nim „żółte kamizelki”. Sam jest sobie winien: popełniał gafy, otoczył się dworem wybrańców, odrzucał porady ekonomistów. I teraz jeszcze podatek ekologiczny od diesli (które rząd kilka lat temu wciskał Francuzom jako ultraekologiczne) plus reforma podatków, która zaczyna się od obniżenia ich bogatym. Macron długo nie doceniał, jak bardzo nienawiść do niego – tak, „nienawiść” to odpowiednie słowo – zaczęła kształtować postawy części Francuzów.

„Żółte kamizelki” to być może najbardziej radykalna forma tego, co liberalna prasa nazywa pogardliwie „populizmem”. To ludzie niepewni jutra, wściekli, pozbawieni złudzeń co do uczciwości i kompetencji polityków, głosujący za brexitem, Alternatywą dla Niemiec, włoską koalicją narodowo-oportunistyczną, Orbánem, Kaczyńskim, Babišem i Kurzem. Przy smartfonie czuwa nad nimi ich ojciec chrzestny Donald Trump; przy komputerach w Rosji i na całym świecie – trolle Putina, zawsze gotowego wesprzeć sprawiedliwy gniew ludu.

Populizm nie odejdzie. Jeśli ktoś wierzy, że unicestwią go zaklęcia Fransa Timmermansa, albo tytaniczna praca Donalda Tuska, powinien ochłonąć, najlepiej wybierając się w kolejny weekend na spacer na Pola Elizejskie. Populizm nie odejdzie, bo odwołuje się do poczucia krzywdy, którego w ciągu ostatnich trzech dekad doświadczyły miliony ludzi. To był okres niebywałego wzrostu gospodarczego, ale owoce tego sukcesu nie trafiły do wszystkich, którzy na nie pracowali. Nie należy także, np. w Polsce, lekceważyć roli kulturowego wyobcowania ludzi, których polityczny establishment przez lata próbował wychować na idealnych Europejczyków i liberałów. Nieskutecznie. Niby potrafimy tworzyć bogactwo, ale równocześnie coraz więcej w nas strachu, goryczy, cynizmu.

Tak zostanie. „Żółte kamizelki” świecą po oczach. Lepiej ich nie zamykać, tylko przyzwyczajać wzrok. ©

Kościół gdański obojętny wobec ofiar

Zasłonięty w proteście pomnik ks. Jankowskiego

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Kościół nie podejmie żadnych działań w sprawie ks. Jankowskiego. Taki wniosek można wysunąć z wypowiedzi delegata ds. ochrony dzieci i młodzieży archidiecezji gdańskiej ks. Krzysztofa Szerszenia. Ksiądz delegat w rozmowie z KAI zaznaczył, że – po pierwsze – „jak dotąd do archidiecezji nie zgłosiła się żadna osoba z oskarżeniem wobec ks. Jankowskiego”, a „zgodnie z Wytycznymi wstępnego dochodzenia kanonicznego, punktem wyjścia do podjęcia działań przez delegata ds. ochrony dzieci i młodzieży jest zgłoszenie się osoby z oskarżeniem”. Po drugie, jeśli by taka osoba się zgłosiła, będzie wysłuchana, ale jednak „w świetle prawa trudno jest wszcząć postępowanie wobec osoby zmarłej”. I po trzecie, „nie podejmuje się działań jedynie na podstawie artykułu prasowego, bez zgłoszenia ze strony świadków zdarzeń”.

Wszystkie te zastrzeżenia nie mają uzasadnienia w obowiązującym w Kościele prawie. Po pierwsze, zgodnie z kanonem 1717 Kodeksu Prawa Kanonicznego i artykułem 16 *motu proprio* Jana Pawła II z 2001 r. „Sacramentorum sanctitatis tutela”, ordynariusz wszczyna wstępne dochodzenie kanoniczne, gdy otrzyma prawdopodobną wiadomość o przestępstwie. Po drugie, artykuł 8 Wytycznych obowiązujących polski Kościół stwierdza, że w przypadku śmierci oskarżonego nie należy wszczynać dochodzenia kanonicznego, „chyba że zasadnym wydałoby się wyjaśnienie sprawy dla dobra Kościoła”. Wyjaśnienie sprawy ks. Jankowskiego jak najbardziej łączy się z dobrem Kościoła, gdyż dotyczy dobra ofiar. I po trzecie, artykuł prasowy zawierający wypowiedzi ofiary występującej pod swoim nazwiskiem jak najbardziej ma charakter „prawdopodobnej wiadomości o przestępstwie”. Zatem są wystarczające przesłanki, by wszcząć wstępne dochodzenie kanoniczne.

Ks. Szerszeń jako doktor prawa kanonicznego doskonale o tym wszystkim wie, dlaczego wobec tego mówi nieprawdę? Odpowiedzieć nie jest trudno. Wśród osób zaangażowanych w polskim Kościele w uwrażliwianie na problem pedofilii przełożony księdza Szerszenia – abp Sławoj Leszek Głódź – ma opinię biskupa nierozumiejącego tych starań i je bagatelizującego. ©℗ ARTUR SPORNIAK

Bardzo cienka czerwona linia

MAREK RABIJ

Zatrzymanie prezesa Komisji Nadzoru Finansowego Marka Chrzanowskiego, któremu właściciel grupy bankowej Getin Noble zarzucił próbę wymuszenia łapówki w zamian za pomoc w wyjściu z problemów biznesowych, każe przypuszczać, że i ten urząd nadzorczy, powołany do ochrony interesów klientów banków i innych instytucji finansowych, trzeba dodać do listy instytucji publicznych zamienionych w karykaturę.

Kolejnym pewniakiem wydaje się Ministerstwo Sprawiedliwości. Podlegli mu prokuratorzy od kilku lat prowadzą śledztwo w sprawie upadku SKOK Wołomin, ale na postawienie w tej sprawie zarzutów byłemu szefowi KNF (z nadania koalicji PO-PSL) i jego sześciu podwładnym zabrali się dopiero po aresztowaniu Chrzanowskiego, którego do KNF nominował PiS.

Zarzuty wobec siódemki urzędników były na tyle poważne, by musieli ich zatrzymać agenci CBA, ale nie dość mocne, by na ich podstawie wystąpić o areszt. Minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro wie, że wśród zatrzymanych był Wojciech Kwaśniak, były wiceszef KNF, którego w 2014 r. ciężko pobito. Wie też, że o zlecenie napaści prokuratura oskarża członka władz SKOK Wołomin – instytucji, w sprawie której KNF prowadził wówczas postępowanie – ale i tak pozwala sobie na sugestie, że urzędnika pobito dlatego, że Komisja „przez długi czas rozzuchwalała przestępców, pozwalając im w sposób bezkarny wyprowadzać miliardy złotych”.

Po lekturze tego KNF-owskiego pitawalu, ma się ochotę sięgnąć po klasyczny kryminał, w którym łajdakami są tylko przestępcy. ©℗

W SKRÓCIE

PRACOWITY JAK PREMIER. Zachwycające jest wyjaśnienie rzeczniczki rządu na temat opisanej przez „Newsweek" rozmowy Mateusza Morawieckiego i Zygmunta Solorza, kilka dni przed ujawnieniem afery KNF: oto premier dużego państwa i potężny biznesmen spotkali się z inicjatywy prezesa Centrum Opatrzności Bożej w związku z przygotowaniami do Święta Niepodległości, którego część obchodów odbyła się w Wilanowie i była relacjonowana przez media. Strach pomyśleć, ilu jeszcze rzeczy musi osobiście doglądać nasz premier.

FIGURA CZY FIGURANT. Prokuratura ma mnóstwo roboty nie tylko wokół afery KNF, której dogląda Zbigniew Ziobro (jego komentarz w sprawie pobicia Wojciecha Kwaśniaka, wspomniany w komentarzu na str. 9, przypomina usprawiedliwianie gwałciciela tym, że jego ofiara nosiła minispódniczkę): prezes Radia Rzeszów złożył zawiadomienie o możliwym znieważeniu prezydenta wobec dziennikarki tej rozgłośni, w której audycji jeden ze słuchaczy określił Andrzeja Dudę mianem figuranta. Tym razem śledczy odmówili wszczęcia postępowania.

DOWODY NA PRAWDĘ. Lech Wałęsa ma przeprosić Jarosława Kaczyńskiego za twierdzenie, że prezes PiS wydał bratu polecenie lądowania w Smoleńsku, nie musi natomiast przepraszać za słowa, że jego adwersarz „nie jest zdrowy, zrównoważony psychicznie". Były prezydent jest niezadowolony: „Wydawało mi się, że sąd dąży do ustalenia prawdy. W przypadku mojego konfliktu z Kaczyńskimi sąd nie chce ustalić prawdy, chce jednak dowodów na prawdę".

BEZ KOMENTARZY. Po śmierci posłanki Jolanty Szczypińskiej na antypisowskich portalach pojawiły się obraźliwe wpisy, a Onet poinformował, że zawiesza możliwość dyskutowania o informacjach pojawiających się w serwisach Wiadomości i Kultura. Są komentarze, których lepiej nie czytać.

Front Jedności Opozycji

PAWEŁ BRAVO

Nowoczesna utraciła klub sejmowy, czyli najważniejszą instytucję, jaka podtrzymywała partię przy życiu. Solidnych struktur w terenie brak, podobnie jak dotacji z budżetu państwa, a od kiedy odszedł Ryszard Petru, dziury w kasie nie kompensuje już jego fundraiserski talent. Przy okazji wyjścia byłego założyciela w maju pisaliśmy na tych łamach o wszystkich powodach, dla których projekt „nowej lepszej Platformy" po efektownym początku okazał się efemerydą obarczoną wszystkimi typowymi dla polskich partii wadami. Dlatego szkoda dziś czasu na dalsze komentowanie tonięcia Nowoczesnej, ostatnia jednak roszada jest ciekawa z dwóch innych powodów. Po pierwsze konsolidacja jeszcze szerszego spektrum opozycji w garści Grzegorza Schetyny (pod szyldem Koalicji Obywatelskiej) gwarantuje nam, że w przyszłych wyborach będzie chodzić wyłącznie o zero-jedynkowy plebiscyt za lub przeciw PiS. Po drugie ten sam głód nowości, który w 2015 i 2016 r. pompował strukturalnie słaby zbiór średnich osobowości na poziomy poparcia grubo powyżej 20 proc., będzie rzutował na kierunek prac programowych w hipotetycznym ugrupowaniu Roberta Biedronia, który nie dał jeszcze znaku, co oznacza dla niego często powtarzane słowo „lewicowość". Ewentualny pomysł zagospodarowania przezeń emocji wolnościowych i mocno prorynkowych (bo część takich wyborców jest jednak zbrzydzona Platformą i pozostanie do wzięcia) może oznaczać bardzo typowe u nas programowe łączenie ognia z wodą, tworzenie oferty tak szerokiej, że w końcu – dla nikogo. ©℗

500 plus do zmiany?

KOREKT we flagowym projekcie PiS nie wyklucza minister rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbieta Rafalska. Już w 2019 r. rząd ma rozważyć podniesienie progu dochodowego uprawniającego do świadczenia na pierwsze dziecko. Wszystko dlatego, że coraz więcej dzieci wypada z programu 500 plus na skutek wzrostu zarobków. „Jeżeli wynagrodzenie minimalne będzie rosło tak szybko, że będzie stanowiło barierę dostępu do tego świadczenia, to kryterium musi być podniesione" – powiedziała w zeszłym tygodniu Rafalska.

Opozycja idzie w odwrotnym kierunku. „Będziemy chcieli zająć się problemem pod tytułem »czy się stoi czy się leży, 500 plus się należy«" – taką wypowiedź posła PO Jana Grabca przytoczył „Super Express" (polityk oskarżył gazetę o manipulację). O manipulacji nie mogło być mowy w przypadku Ryszarda Petru. Uważa on, że świadczenie nie powinno przysługiwać osobom zamożnym, a także tym, którzy nie pracują.

Choć większość Polaków pozytywnie ocenia 500 plus, to najnowszy sondaż SW Research dla rp.pl pokazuje też poparcie dla zmian. Ponad 60 proc. pytanych uważa, że powinno się ograniczyć prawo do wypłat tym, którzy nie pracują, mimo że mają taką możliwość. ©℗ PW

Mamy najgorsze powietrze w Unii

W TRAKCIE SZCZYTU COP24 w Katowicach prezes NIK przedstawił informacje o kontrolach jakości powietrza przeprowadzanych w Polsce w latach 2014-17. Nie były zaskakujące: powietrze w naszym kraju jest najgorsze w UE. Do najbardziej zanieczyszczonych miast pyłami PM10 należą Wodzisław Śląski, Nowa Ruda, Kraków, Opoczno, Nakło nad Notecią, Starogard Gdański, a benzo(a)pirenem Nowa Ruda, Rybnik, Opoczno, Kościerzyna; w sumie na 50 europejskich miast z najgorszym powietrzem 36 to miasta polskie.

Realna poprawa – twierdzą kontrolerzy NIK – jest możliwa tylko dzięki ograniczeniu wykorzystywania paliw stałych. Niestety, walka ze smogiem nie jest priorytetem rządu (a Narodowemu Funduszowi Ochrony Środowiska powierza się inne zadania, np. związane z drogami lokalnymi), środki na nią przeznaczane są zaś zbyt małe. Wielkim problemem pozostaje ubóstwo energetyczne: „Dzisiaj rzeczywiście część osób nie wymienia pieca, kupuje odpady czy wręcz pali śmieci ze względów ekonomicznych" – mówił szef NIK.

PANSG / WIKIPEDIA.ORG

Według danych Światowej Organizacji Zdrowia z powodu smogu rocznie umiera 400 tys. Europejczyków, w tym 46 tys. Polaków. ©℗ MO

OLMO CALVO / AP / EAST NEWS

COPA LIBERTADORES – klubowe mistrzostwo Ameryki Południowej – wywalczyli piłkarze River Plate (na zdjęciu radość ich fanów), pokonując w decydującym starciu Boca Juniors 3:1. Oba kluby pochodzą z Buenos Aires, ale ze względów bezpieczeństwa grały w Madrycie. O tym, dlaczego przemoc naznaczyła święto latynoskiej piłki, więcej napiszemy za tydzień. ©℗ MO

CDU wybrała przyszłą kanclerz Niemiec

WOJCIECH PIĘCIAK

Zjazdy partyjne rzadko ekscytują. Dlatego to, co stało się 7 grudnia w Hamburgu, jest znakiem czasów – gdy polityka staje się coraz mniej przewidywalna i coraz bardziej nerwowa. Tysiąc delegatów miało zdecydować, kto obejmie przywództwo partii po tym, jak Angela Merkel ogłosiła „dymisję na raty", zapowiadając, że po 18 latach na czele CDU nie będzie ubiegać się już o tę funkcję (kanclerzem chce być do końca kadencji, do 2021 r.). Ale zamiast rytuału, w Hamburgu mieliśmy pojedynek do końca trzymający w napięciu – między dwoma równie silnymi partyjnymi obozami.

Reprezentantkę jednego, Annegret Kramp-Karrenbauer, namaściła Merkel (choć nie ostentacyjnie). Jej rywal Friedrich Merz był zaś nadzieją krytyków bilansu Merkel w partii i państwie. Znamienne, że najmocniejszym gestem, jakim w poprzedzającej zjazd kampanii Merz zdystansował się od Merkel, była sugestia, by usunąć z konstytucji prawo do azylu (krytykowany, wycofał się, ale słowa poszły w świat). Ostatecznie wygrała AKK (jak lubią określać ją media), ale ledwie kilkunastoma głosami. Pomylić mogą się więc ci, którzy sądzą, że następczyni Merkel będzie po prostu kontynuować jej linię – jeśli AKK chce zachować pozycję chadecji jako numeru jeden niemieckiej polityki, musi postawić raczej na kontynuację z modyfikacjami (pytanie, jak daleko idącymi).

Jeśli się jej to uda, wtedy okaże się, że zjazd CDU wybrał też właśnie przyszłą kanclerz. Chadecja jest dziś w Niemczech jedyną partią masową i utworzenie rządu w 2021 r. wbrew niej jest mało realne. ©℗

Koniec misji

107 TYS. MIGRANTÓW I UCHODŹCÓW dotarło do Europy przez Morze Śródziemne od początku roku. To o jedną trzecią mniej niż w 2017 r. Proporcjonalnie podobnie spadła statystyka śmierci – według ONZ, zginęło lub zaginęło 2160 osób. Szef MSW Włoch Matteo Salvini uważa, że to efekt zakazu działalności prywatnych statków ratowniczych (wody patrolują wciąż okręty marynarki wojennej oraz uczestniczące w misji UE). Zdaniem Lekarzy bez Granic – których właśnie zmuszono do zakończenia misji statku „Aquarius" – wraz ze zmianą sytuacji w północnej Afryce statystyki ponownie pójdą w górę, a polityka unijna sprawiła tylko, że w 2018 r. ponad 14 tys. ludzi zmuszono, wbrew prawu, do zawrócenia do Libii, gdzie są zagrożeni. ©℗ ŻYM

Czy prezydent to prezydent

WOJCIECH JAGIELSKI

Zapewniam was, że ja to naprawdę ja, nie żaden klon ani sobowtór. Wcale nie umarłem. Żyję i się ruszam". Tymi słowami przekonywał w minionym tygodniu w Krakowie prezydent Nigerii Muhammadu Buhari swoich rodaków z diaspory w Polsce. Na świecie słowa prezydenta odebrano jak anegdotę. Ale w Nigerii tę sprawę od dawna traktuje się ze śmiertelną powagą. 76-letni Buhari, wybrany na urząd w 2015 r., w lutym ubiegać się będzie o reelekcję w tym najludniejszym (182 mln mieszkańców) państwie Afryki. Już w drugim roku pierwszej kadencji prezydent zaczął latać do Londynu do lekarzy, a w ubiegłym roku spędził tam na leczeniu prawie sześć miesięcy. Rodacy Buhariego niepokoją się, czy nie jest zbyt chory, by nimi przewodzić przez następne lata. Starsi Nigeryjczycy pamiętają jeszcze rządy prezydenta Umaru Yar'Adua (2007-10). On też zapewniał, że czuje się świetnie, gdy w 2009 r. wyjeżdżał do Arabii Saudyjskiej na leczenie. Nie dożył końca pierwszej kadencji.

Na żadnym kontynencie śmierć nie zbiera tak obfitego żniwa wśród panujących szefów państw, co w Afryce. W Zambii umarło w ostatnich latach dwóch prezydentów: Levy Mwanawasa (rządził w latach 2002-08) doznał wylewu, a Michael Sata (2011-14) umarł po długiej chorobie. Dwóch prezydentów straciła też Gwinea Bissau – w latach 2009 i 2012. W 2012 r., poza przywódcą Gwinei Bissau, umarli także prezydenci Ghany i Malawi oraz premier Etiopii. Rok wcześniej, podczas wojny, zabity został libijski przywódca Muammar Kaddafi, a w dwóch poprzednich latach zmarli prezydenci Nigerii, Gwinei i Gabonu.

W czasach internetu i mediów społecznościowych kiepskie, za to utrzymywane w najściślejszej tajemnicy zdrowie afrykańskich przywódców stało się pożywką dla teorii spiskowych i politycznych intryg. Plotki, że prawdziwy Buhari już dawno umarł, a teraz zastępuje go sobowtór – znaleziony w Sudanie mężczyzna o imieniu Dżibril – rozpuszczają w Nigerii wrogowie prezydenta i jego konkurenci do władzy. ©℗

HALINA BORTNOWSKA:

Co to znaczy – „deklarować”

DANUTA WĘGIEL

MARCIN ŻYŁA: 70 lat temu, 10 grudnia 1948 r., uchwalono Powszechną Deklarację Praw Człowieka. Jak dziś rozumie Pani jej sens?

HALINA BORTNOWSKA: Jest dziś inny, ponieważ inny jest świat i kontekst, w których funkcjonujemy. Teraz mniej wierzymy w to, że same dokumenty coś zmienią, a częściej jednoczymy się w konkretnym celu. Kiedyś skupialiśmy się na przeciwdziałaniu wojnom. To wciąż priorytet. Ale troszcząc się o poprawę sytuacji na naszej planecie, o lepsze gospodarowanie żywnością, energią czy innymi zasobami – również walczymy o prawa człowieka.

Dodałaby Pani coś do Deklaracji?

Może to dobry pomysł? Ale skuteczniejsze od takiego dopisywania byłoby zgodne zorganizowanie się wokół wspólnych obowiązków, choćby obrony klimatu, dla dobra ludzi i całej przyrody. Musimy opanować chęć użytkowania wszystkiego intensywnie. Inaczej sami pozbawimy się warunków do życia.

Deklaracja pomagała Pani w domaganiu się wolności?

Oczywiście. Już po stanie wojennym przygotowaliśmy na jej podstawie „katechizm praw człowieka”. Takie streszczenie Deklaracji rozprowadzaliśmy m.in. w Nowej Hucie, aby przypominało o sensie tych praw, i o tym, o co w pierwszej kolejności powinniśmy się upominać od samych siebie.

Dziś – jest 10 grudnia, Dzień Praw Człowieka – cały dzień spędzam w towarzystwie Jacka Kuronia, czytając książkę o nim autorstwa Anny Bikont i Heleny Łuczywo. Pamiętam, jak do końca życia Kuroń zabiegał o to, abyśmy przestrzegali Deklaracji, odczytywali ją dosłownie.

Czy te 30 artykułów uchwalonych wtedy przez ONZ sprawiło, że jesteśmy nieco lepszym światem?

Deklaracja jest przyczynkiem do pamiętania o prawach człowieka oraz natchnieniem dla prawodawstwa, m.in. wielu dokumentów konstytucyjnych. Ale świat nie będzie trwale lepszy tylko dlatego, że wydaliśmy jakiś dokument. Zastanówmy się, co to znaczy – „deklarować”. Czy zobowiązywać się do czegoś, czy tylko chwalić się tym na pióropuszach? ©℗

HALINA BORTNOWSKA *jest filozofką, teolożką i publicystką. W latach 2007-12 była przewodniczącą rady Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.*

Filipiny: od słów do morderstw

MACIEJ MÜLLER

Pozabijajcie biskupów, oni nic nie robią, tylko krytykują” – powiedział 5 grudnia prezydent Filipin Rodrigo Duterte. Stwierdził, że większość księży to homoseksualiści, „więc nie mają prawa go pouczać”. Innym razem wezwał katolików (90 proc. ludności), by „przestali chodzić do kościoła i płacić na tych idiotów”. Boga nazywał głupcem, świętych – pijakami, papieża Franciszka – sukinsynem, bo jego pielgrzymka w 2015 r. spowodowała korki.

Konflikt prezydenta z Kościołem katolickim narasta od początku 2017 r., kiedy biskupi skrytykowali jego politykę antynarkotykową, nazywając ją „rządami terroru”. Polega ona na przyzwoleniu na samosądy osób podejrzewanych o handel narkotykami (w lutym 2018 r. Międzynarodowy Trybunał Karny rozpoczął wstępne dochodzenie ws. zarzutów o zbrodnie przeciwko ludzkości; prezydent zapowiedział, że jeśli na Filipiny przyjadą kontrolerzy ONZ, rzuci ich krokodylom). Od kiedy na celowniku prezydenta znalazł się Kościół, zaczęli ginąć księża – mordowani w niezwykle brutalny sposób; w czerwcu do ks. Richmonda Nilo skrytobójcy oddali 10 strzałów, w ciągu ostatniego roku zginęło trzech kapłanów. Swojego najgłośniejszego krytyka, bp. Pabla Virgilia Davida, Duterte oskarżył o defraudację kościelnych pieniędzy, a ostatnio dołożył do tego insynuację, że hierarcha jest uzależniony od narkotyków. W rzeczywistości filipińskiej oznacza to dla bp. Davida śmiertelne niebezpieczeństwo.

Dzień po przemówieniu rzecznik prezydenta uspokajał, że Duterte użył jedynie hiperboli, wyprowadzony z równowagi tym, iż Kościół nie docenia jego starań. Pytanie, jak szwadrony śmierci zrozumieją prezydenckie środki retorycznego wyrazu. ©℗

W SKRÓCIE

PIERWSZA WIZYTA. Papież pojedzie na Półwysep Arabski. Franciszek od następcy tronu emiratu Abu Zabi, szejka Muhammada ibn Zajida Al Nahajjana, przyjął zaproszenie do udziału w międzynarodowym spotkaniu międzyreligijnym dotyczącym braterstwa. Ma się ono odbyć 3-5 lutego 2019 r. w Abu Zabi w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Odpowiedzialny za miejscowy Kościół bp Paul Hinder poinformował, że 5 lutego Franciszek odprawi mszę w „publicznym miejscu” w Abu Zabi. W kraju tym mieszka kilkaset tysięcy katolików.

NOWA INSTYTUCJA. „Będzie mocno stąpać po ziemi, badając m.in. problem ubóstwa, duchowego i materialnego, współczesnych rodzin” – tak o zadaniach Międzynarodowego Obserwatorium poświęconego Rodzinie, nowej inicjatywie Papieskiego Instytutu Teologicznego Jana Pawła II, mówi jego kanclerz abp Vincenzo Paglia.

HISTORYCZNA DECYZJA. Najprawdopodobniej w przyszłym roku Kościół greckokatolicki w Polsce przejdzie z kalendarza juliańskiego na kalendarz gregoriański. To będzie historyczna decyzja – uważa abp Eugeniusz Popowicz, metropolita przemysko-warszawski obrządku bizantyjsko-ukraińskiego. Zwierzchnik polskich grekokatolików tłumaczy, że w używanym do tej pory kalendarzu juliańskim np. daty świąt Bożego Narodzenia nie pokrywają się z dniami wolnymi od pracy w Polsce. To uciążliwe dla wiernych, którzy muszą brać wtedy urlopy. Decyzja ma zapaść na przyszłorocznym soborze metropolitalnym.

NAJWYŻSZA CENA. Za 2,9 mln dolarów został sprzedany list Alberta Einsteina napisany w 1954 r. do niemieckiego filozofa Erica Gutkinda, a traktujący o Bogu. To najwyższa cena z dotychczas licytowanych rękopisów słynnego fizyka. „Słowo Bóg jest dla mnie niczym innym jak tylko słowem i wytworem ludzkich słabości, a Biblia zbiorem czcigodnych, ale dość dziecinnych legend” – pisze w nim Einstein. List został sprzedany za cenę dwukrotnie wyższą, niż przewidywano. „Myślę, że jest to wyraz przeprosin wobec Boga” – zażartował licytator.

PIERPAOLO SCAVUZZO / AGF / REX / SHUTTERSTOCK / EAST NEWS

700 TON PIASKU zużyto na wykonanie szopki, którą w ubiegły czwartek odsłonięto na watykańskim placu św. Piotra. Materiał przywieziono z Jesolo k. Wenecji, gdzie od 20 lat organizowane są międzynarodowe zawody w piaskowej rzeźbie. Nad szopką – o wysokości 5 m, długości 15 m i głębokości 6 m – przez dwa tygodnie pracowało czterech rzeźbiarzy: Richard Varano (USA), Ilija Filimoncew (Rosja), Susanne Ruseler (Holandia) i Radovan Živny (Czechy). Dzieła wykonane z mokrego piasku z minimalną domieszką mułu mogą przetrwać nawet kilka lat (dodatkowo zabezpiecza się je drobinami rozpylonego kleju). ©℗ EA

Włochy i Wielka Brytania: żeby święta były święte

NIE BĘDZIE BOŻEGO NARODZENIA w kościele San Torpete w Genui. Proboszcz Paolo Farinella ogłosił, że zamyka kościół z powodu „bankructwa świąt". W opublikowanym w internecie liście pisze o „cynicznym mieszaniu komercji z liturgicznymi rytuałami", które niewiele ma wspólnego z chrześcijańskim świętowaniem narodzin Boga. Zdaniem proboszcza sami katolicy doprowadzili do takiego upadku, bo „nie wierzą we Wcielenie, a zadowalają się bajką o szopce, która największą tajemnicę wiary sprowadza do zwierzątek, kukiełek i hydrotechnicznych sztuczek dla dzieci i zdziecinniałych dorosłych".

Jest też drugi powód odwołania Bożego Narodzenia w 2018 r. – wyjaśnia ks. Farinella. To antyimigracyjna polityka włoskiego rządu. „Gdyby dziś Jezus z Maryją i Józefem stanęli na naszej granicy, zostaliby zatrzymani i odesłani do Palestyny" – pisze, nawiązując do wprowadzonego niedawno tzw. dekretu bezpieczeństwa. I pyta, jak można świętować Narodzenie Jezusa, a jednocześnie zgadzać się, choćby milcząco, by Chrystus w drugim człowieku był torturowany, gwałcony i skazywany na śmierć tam, gdzie odsyła się „nielegalnych" imigrantów. ©℗ EA

TAKŻE W ANGLII dyskutuje się o niereligijnym Bożym Narodzeniu. Pretekst podobny: dyrekcja podstawówki w hrabstwie North Yorkshire uznała święta za zbyt komercyjne. Rodziców poproszono o przypomnienie dzieciom prawdziwego znaczenia *festive season* (tak tutaj określa się często Boże Narodzenie), a uczniom przeczytano list od św. Mikołaja, w którym poprosił je o wywarcie presji na lokalne władze oświatowe, aby w szkołach znów mówiono o Jezusie. Szkoła poszła za daleko (zakazała dekorowania choinki i świątecznych prezentów), więc w kraju raczej się z niej śmiano. W Londynie w miniony weekend bez przeszkód odbył się doroczny SantaCon – charytatywny przemarsz świeckich św. Mikołajów, którzy, często racząc się alkoholem, obsiedli na końcu lwy pod kolumną Nelsona na Trafalgar Square.

Problem zeświecczenia świąt zauważa jednak wielu – mówi o nim zarówno filozof Paigham Mustafa, który wezwał brytyjskich muzułmanów do wspólnego z chrześcijanami radowania się z powodu narodzin Chrystusa, jak i sama królowa Elżbieta II, która w swoich przemówieniach świątecznych nadawanych przez BBC – jedynych, których tekst nie powstaje w rządowych gabinetach – mówi coraz bardziej religijnym językiem. ©℗ ŻYM

Zasady prewencji

KOLEJNE DIECEZJE wprowadzają przepisy mające młodym zapewnić bezpieczeństwo. 5 grudnia weszły w życie „Zasady prewencji i postępowania w pracy duszpasterskiej z osobami małoletnimi w diecezji płockiej". Dokument m.in. stwierdza, że osoby niepełnoletnie nie powinny przebywać w mieszkaniach osób duchownych i zakonnych, zwłaszcza pojedynczo; duchownym zabrania się indywidualnych wyjazdów z osobą małoletnią, przewożenia małoletnich poniżej 15. roku życia bez opiekuna. Za niedozwolone uznano zachowania, które stanowią przekraczanie granic intymności osób małoletnich. Dokument przypomina też, że obowiązek zawiadomienia organów ścigania spoczywa na każdym, kto posiadł wiarygodną wiadomość „o karalnym przygotowaniu, usiłowaniu lub dokonaniu czynu zabronionego". Niedawno podobne regulacje zaczęły obowiązywać w diecezji włocławskiej. ©℗ ASK/KAI

Tweety w intencji Trumpa

„DROGI @POTUS, w tę drugą niedzielę adwentu modlę się, byś podążał za światłem współczucia" – tak brzmi sześćset sześćdziesiąta szósta modlitwa w intencji Donalda Trumpa, którą na Twitterze opublikowała siostra Susan Francois. Amerykańska zakonnica modlitwy publikuje codziennie (zaczynając każdą od „Dear POTUS"), podsuwając w nich prezydentowi USA również myśli papieża Franciszka. „To najtrudniejsza praktyka duchowa, na jaką kiedykolwiek się zdecydowałam" – mówi w wywiadzie na łamach „New York Timesa". ©℗ EB

Wiemy, czemu kopią

W OKRESIE PŁODOWYM dzieci wykonują spontaniczne ruchy wszystkimi kończynami (nie tylko nogami), wyraźnie odczuwane przez matki. Wszyscy o tym wiedzą, ale mało kto się zastanawia, czemu te ruchy służą. Kimberley Whitehead, neurobiolożka z University College London, wraz ze współpracownikami postanowiła odpowiedzieć właśnie na to pytanie.

W eksperymencie opisanym na łamach „Scientific Reports" wzięło udział 19 noworodków – część z nich była wcześniakami, urodzonymi do 10 tygodni przed terminem. Aktywność ich mózgów zmierzono za pomocą nieinwazyjnej metody EEG podczas snu, gdy dzieci wykonywały spontaniczne ruchy. U wcześniaków badacze zarejestrowali charakterystyczne fale mózgowe, które zanikały około 40. tygodnia życia – czyli wtedy, gdy planowo kończy się ciąża. Również u dzieci z donoszonej ciąży nie obserwowano już takich samych fal mózgowych.

Wyniki te sugerują, że ruchy w okresie płodowym służą zmapowaniu ciała i otoczenia w rozwijających się mózgach. Dzięki nim noworodki (urodzone w terminie) dysponują już podstawowymi reprezentacjami neuronalnymi w korze ruchowej i czuciowej – najprostszą wiedzą o sobie i świecie. Podobne wnioski płyną z badań wykonanych wcześniej na zwierzętach. ©℗ ŁK

Dżuma epoki kamienia

NAJWIĘKSZA EPIDEMIA dżumy przetoczyła się po Azji i Europie w połowie XIV w., a jej ofiarą mogło paść nawet 200 mln ludzi – być może nawet co drugi mieszkaniec Europy. 800 lat wcześniej, w czasach Justyniana, ta sama choroba uderzyła w Cesarstwo Bizantyjskie. Niewykluczone jednak, że nie była to pierwsza wielka epidemia dżumy – zasugerował na łamach „Cell" zespół Nicolása Rascovana z Uniwersytetu w Marsylii.

Badacze odnaleźli w skamieniałościach 20-letniej kobiety pochowanej na terenie dzisiejszej Szwecji ok. 4900 lat temu DNA pałeczki dżumy (bakterii wywołującej tę chorobę). Po prześledzeniu jej mutacji zasugerowali, że bakteria mogła rozprzestrzenić się z Europy Środkowo-Wschodniej, gdzie ok. 5400 lat temu, w późnym neolicie, na terenie Mołdawii, Rumunii i Ukrainy, gwałtownie upadły wielkie osady – być może z powodu epidemii. Stamtąd, szlakami handlowymi, odmiana pałeczki dżumy mogła zawędrować do Skandynawii. ©℗ ŁK

SHANE MYERS PHOTOGRAPHY / ADOBE STOCK

Biegiem po wodzie

GEKONY, maleńkie, zwinne jaszczurki, potrafią doskonale biegać po powierzchni wody, a naukowcy wreszcie rozumieją jak. Z pomocą przyszedł proszek do prania i kamera.

Chodzenie po wodzie nie jest aż tak biblijnie niespotykane, jak mogłoby się wydawać. Nieźle radzą sobie z tym owady takie jak narty, tak lekkie, że na powierzchni utrzymuje je napięcie powierzchniowe. Są też brutale jak perkozy czy bazyliszki, które depczą wodę tak mocno, że pod ich stopami tworzą się bąble powietrza. Gekony są za ciężkie na technikę pierwszą, a za słabe na drugą.

Badacze z Oxfordu sfilmowali więc biegające po wodzie jaszczurki. Zacznijmy od ogona. Jest zbyt ciężki, by unieść się nad wodę, więc zwierzę wykorzystuje go jak śrubę napędową: ruchy wypychają tułów nad powierzchnię jak wodolot. Jednocześnie łapki wykonują inżynierski taniec: zwierzę stale musi monitorować, gdzie i jak mocno uderzyć łapką, by nie wpaść pod powierzchnię, dbając o wytworzenie kieszeni powietrza. Dodając do wody detergent uczeni ustalili, że gdy zmniejsza się napięcie powierzchniowe, jaszczurki biegną o połowę wolniej. Czyli korzystają także z tych samych efektów, co owady.

Gekon na wodzie biegnie z prędkością 10,5 długości ciała na sekundę. Naukowcy liczą, że uda się im podkraść kilka pomysłów. Na szczęście przy całej swojej pomysłowości gekony nie wymyśliły patentów.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

MICHAIŁ METZEL / TASS / PAP

Pani Nadzieja

W MOSKWIE UMARŁA LUDMIŁA ALEKSIEJEWA, ikona walki o demokrację i prawa człowieka. Kto choć raz był na demonstracji w rosyjskiej stolicy, zapamiętał jej twarz: piękną, choć pociętą zmarszczkami; poruszała się z trudem, ale stała w pierwszych rzędach. Dowcipna – pewnej zimy przebrała się za śnieżynkę. Pani Ludzie obca była agresja, nie lubiła kłótni. Kiedy zaaresztował ją OMON, ze spokojem dała się wprowadzić do auta i odwieźć na posterunek.

Biografia Aleksiejewej była na wskroś „rosyjska": była Rosjanką, podkreślała jednak, że miała ukraińskich i żydowskich przodków. Jej rodzice należeli do „wierzących komunistów", ona sama, w młodości – do KPZR. Jednak całym sercem zaangażowała się w ruch dysydencki. Jej nazwisko pojawia się w kontekście najważniejszych wydarzeń związanych z prawami człowieka w ZSRR i Rosji: obrona Julija Daniela i Andrieja Siniawskiego, pisarzy publikujących na Zachodzie pod pseudonimami, redakcja „Kroniki Wydarzeń Bieżących", na której łamach skrupulatnie odnotowywano represje polityczne, działalność w Moskiewskiej Grupie Helsińskiej. W jej mieszkaniu przy Arbacie panował nieustanny ruch, ktoś wchodził, wychodził, dzwonił telefon, nie umiała być bezczynna. Wstydziła się rosyjskiego imperializmu i wierzyła, że w Rosji nastanie demokracja. Umarła w państwie reżimowym, przelewającym krew swoich obywateli i atakującym sąsiednią Ukrainę, ale przekazała pałeczkę: wychowała tych, którzy (choć jest ich garstka) o demokrację i prawa człowieka nadal walczą. © MN

NICK UT / AP / EAST NEWS

MUZEUM GETTY'EGO musi zwrócić Atletę z Fano – orzekł w minionym tygodniu włoski sąd. Liczące 2 tys. lat dzieło, przypisywane nadwornemu rzeźbiarzowi Aleksandra Wielkiego, jest wizytówką kalifornijskiego muzeum i jednym z nielicznych naturalnej wielkości greckich brązów, które przetrwały do naszych czasów. W 1964 r. z dna Adriatyku wydobyła go załoga włoskiego kutra. Zdając sobie sprawę z wartości odkrycia, rybacy nie zgłosili znaleziska władzom, lecz zakopali je na polu kapusty, sprzedając następnie miejscowemu kolekcjonerowi. Zanim rzeźba w 1977 r. trafiła do Los Angeles, wielokrotnie zmieniała właścicieli. Jej wartość szacowano wówczas na 4 mln dolarów. W sprawie Atlety zapadły jak dotąd dwa wyroki. ©℗ MOC

E-book to też książka

MINISTERSTWO FINANSÓW chce od nowego roku obniżyć (o dziwo) VAT na publikacje cyfrowe. W październiku ministrowie finansów krajów członkowskich UE porozumieli się co do umożliwienia objęcia elektronicznych wydań książek i gazet obniżoną stawką podatku VAT. Porozumienie otwiera państwom UE drogę do zastosowania obniżonych, a nawet zerowych stawek VAT na publikacje elektroniczne. Na razie są one opodatkowane stawką co najmniej 15 proc. – bo w świetle przepisów podatkowych są usługą elektroniczną.

„To pozytywnie wpłynie na rozwój rynku książki, publikacji, w tym badawczo-naukowych, zwiększy legalny zasób książek cyfrowych i będzie zapobiegało rozwojowi piractwa internetowego. Ministerstwo Finansów chce jak najszybciej przedstawić propozycję zmian, która będzie zakładać obniżenie stawek VAT na publikacje elektroniczne. Liczę, że to bardzo potrzebne i korzystne rozwiązanie wejdzie w życie jak najszybciej, już na początku 2019 roku" – mówiła minister finansów Teresa Czerwińska po październikowym spotkaniu. ©℗ MR

Ciszej w sylwestra

KTO MA W DOMU ZWIERZĘTA, ten wie: 31 grudnia to najgorszy dzień w roku, a trwająca długie godziny palba bywa źródłem wielkich cierpień i stresów. Decyzję prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego, że w trakcie miejskiej zabawy nie będzie pokazu sztucznych ogni (i deklarację Jerzego Owsiaka, że podobnie się stanie w trakcie najbliższego finału WOŚP), należy więc uznać za krok w dobrym kierunku; nasz Kraków zresztą nie strzela od lat, a są i takie miasta, które przestaną organizować strzelanie.

Oczywiście problem nie zniknie, bo nie zabraknie obywateli, którzy fajerwerki odpalać będą na własną rękę, ale może i oni z czasem zrozumieją, że cichy sylwester również potrafi być piękny, a już teraz nie będą się mogli zasłaniać argumentem, że przecież ich miasto też to robi. ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

W SKRÓCIE

ZA SMAK. „Właśnie takie projekty tworzą tożsamość miasta" – powiedział wiceprezydent Radomia Konrad Fryszak podczas uroczystego odsłonięcia pomnika serka homogenizowanego. Projekt został zrealizowany w ramach budżetu obywatelskiego „Piękniejsze Śródmieście". Tożsamość piękniejszego Radomia tworzą, wespół z serkiem, maska przeciwgazowa, pistolet Vis oraz buty z Radoskóru – wszystkie odlane z brązu.

ZA KARĘ. Warszawski Sąd Rejonowy w ramach kary zalecił skazanemu lekturę książki. W przeciągu pół roku od uprawomocnienia się wyroku skazany jest zobowiązany zdać relację z lektury kuratorowi sądowemu, który rozstrzygnie, czy rzecz została przeczytana ze zrozumieniem.

ZA PRACĘ. „Stulecie istnienia MKiDN jest okazją do tego, żeby podziękować wszystkim ludziom polskiej kultury i sztuki za ich pracę" – powiedział minister kultury Piotr Gliński. Tego samego dnia sejmowa Komisja Samorządu Terytorialnego i Polityki Regionalnej po 10-minutowej dyskusji odrzuciła propozycję wyrównania różnic w wynagrodzeniach pomiędzy pracownikami samorządowymi a pracownikami samorządowych instytucji kultury.

ZA STO LAT. Stulecie MKiDN świętowano nie tylko pogrzebaniem szans na podwyżki, ale i uroczystym zakopaniem kapsuły czasu. Ocalić od zapomnienia postanowiono m.in. zdjęcie pracowników resortu kultury oraz jeden z numerów „Super Expressu". Szczęśliwie zakopano także podsumowanie trzech lat działań ministerstwa.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MARTA ZDZIEBORSKA, nasza korespondentka z pogranicza amerykańsko-meksykańskiego, będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w środę 12 grudnia o godz. 16.00

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

TEMAT TYGODNIKA

MAMY MIESIĄCZKĘ

Wstyd, ból i temat tabu.
Czy o kobiecej fizjologii można otwarcie rozmawiać?

TEKST EWELINA BURDA
ILUSTRACJA JOANNA RUSINEK

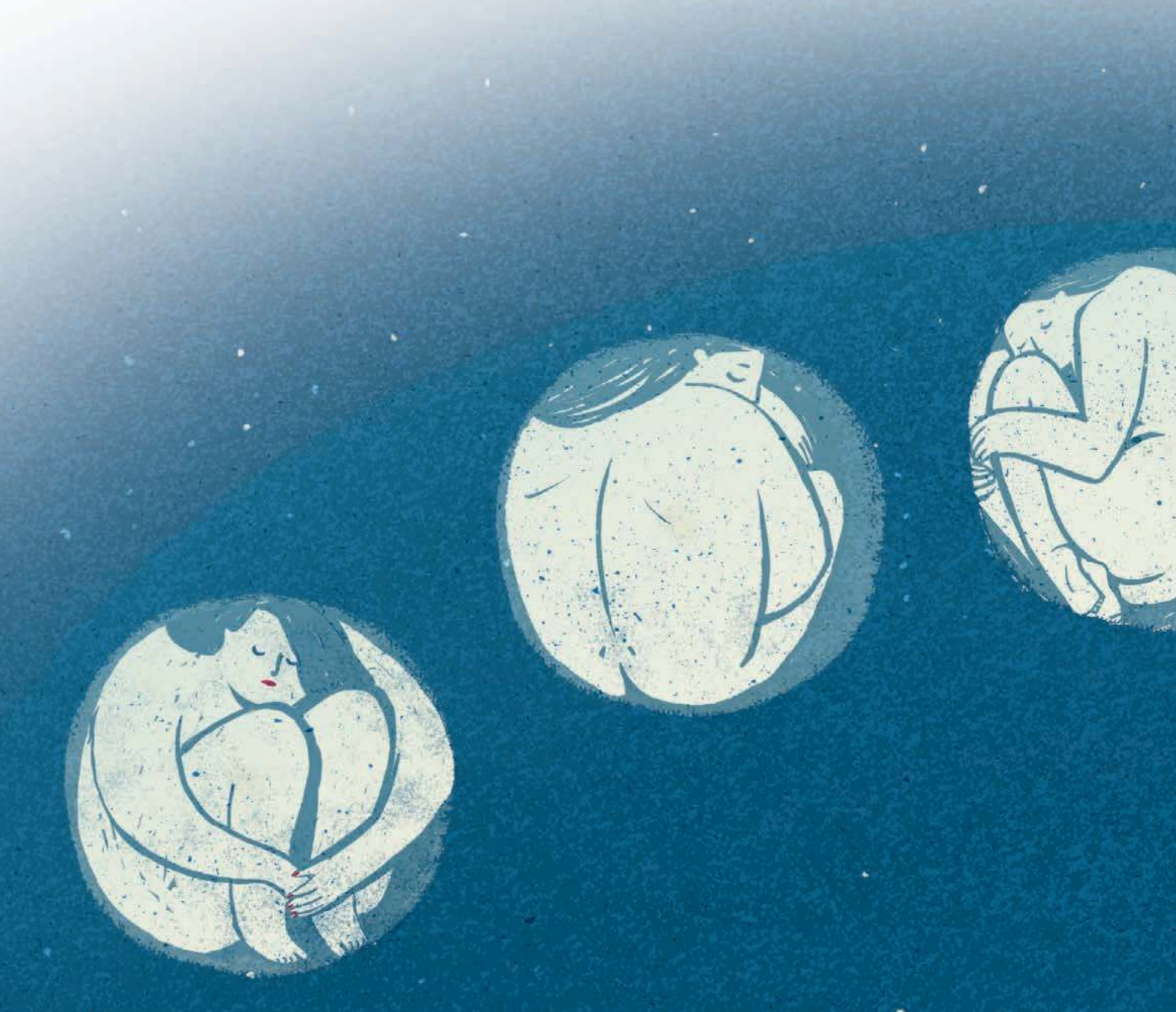

Pięć lat – tyle czasu zajmuje miesiączkowanie statystycznej kobiety. Od pierwszej menstruacji do menopauzy, odliczając ciąże, połogi i karmienie piersią. Kilka dni w każdym kolejnym miesiącu.

O doświadczeniu, które dotyczy ponad połowy populacji, publicznie prawie się nie mówi. Jeśli już temat się pojawi, traktowany jest technicznie lub protekcjonalnie. Czasem kobiecy cykl sprowadza się do farsy – powstają reklamy środków higienicznych z niebieskim płynem, który symbolizuje krew, albo skecze kabaretowe o napięciu przedmiesiączkowym. Słychać pytania typu: „Jesteś zła, masz okres?".

W kulturze masowej przywykliśmy do widoku krwi, która wiąże się z przemocą czy chorobą. Jedyna krew, która nadal budzi strach i obrzydzenie, to krew menstruacyjna.

Rewolucja seksualna przełomu lat 60. i 70. przyniosła swobodę w mówieniu o seksie, ale temat kobiecej fizjologii pozostawiła praktycznie nietkniętym. Gloria Steinem w 1978 r. opublikowała słynny już artykuł „Gdyby mężczyźni mogli menstruować". „Odpowiedź jest dosyć oczywista – menstruacja stałaby się powodem do dumy, godnym pozazdroszczenia, męskim wydarzeniem" – pisała. Po 40 latach nic się nie zmieniło.

HANNA to 30-latka z małej miejscowości, dziś mieszka w dużym mieście. Opowiada:

Jako młoda dziewczyna byłam uczona, że wszystkiego, co kryje się pod stanikiem i majtkami, trzeba się wstydzić. Zaczęłam miesiączkować, gdy miałam 17 lat – dawno po koleżankach z klasy. Dlaczego nie zostałam skonsultowana z ginekologiem? „Bo do takiego lekarza idzie się w ciąży albo z chorobą weneryczną" – słyszałam.

Wyłożyłam wtedy bieliznę papierem toaletowym. Dopiero wieczorem, gdy krwawienie nie przechodziło, założyłam podpaskę, wiedziałam, gdzie mama je trzyma. Powiedziałam jej dopiero po trzech dniach. Reakcją było krótkie „aha".

Gdy miałam 18 lat, mama wylądowała w szpitalu na oddziale ginekologicznym, miała zabieg. Do dzisiaj nie wiem, jaki, bo o „kobiecych sprawach" się nie rozmawia.

Niedawno urodziłam córkę. Ze strony mamy nie padło ani jedno pytanie na temat porodu. Nie wiem, czy genetycznie ja lub moja córka możemy być zagrożone tą „kobiecą chorobą". Tabu i wstyd są silniejsze niż troska o nasze zdrowie.

Mama pracuje w służbie zdrowia. Jest wykształcona. Urodziła pięcioro dzieci.

Co nam robi tabu

Natalia Miłuńska jest edukatorką i antropolożką współczesności. Od 18 lat prowadzi wykłady i warsztaty dla kobiet, które chcą otworzyć się na swoje ciało, nauczyć się korzystać z tego, że cykliczność kobiety daje jej wiele możliwości. – Często słyszę, że to intymny temat i nie można nim epatować, np. robiąc wielkie „halo" z okazji pierwszej miesiączki. W końcu znalazłam odpowiednie porównanie: jeśli moi znajomi biorą ślub, to powinni to zrobić w ukryciu – po co tym epatować, skoro potem będą uprawiać seks. To się dzieje, ale czy musimy wszyscy o tym ↦

↦ rozmawiać? – pyta. – Niektórych doprowadzam do szału, kiedy mówię, że lubię swoją miesiączkę. Bo w naszym społeczeństwie trzeba jej nie lubić, wstydzić się.

Według Miłuńskiej tabu, jakie istnieje wokół okresu, ma źródło w kilku rzeczach: – Im bardziej wojownicza jest kultura, w której żyjemy, tym bardziej ciało kobiece, menstruację i poród uważa się za nieczyste, zagrażające sile. To obserwacja antropolożki Ruth Benedict. Istotne jest również religijno-kulturowe tabu związane z mówieniem o ciele i seksualności w ogóle, uznawanie ciała za grzeszne – wylicza. – Boimy się miesiączki także dlatego, że brakuje nam wielu doświadczeń związanych z ciałem, nie widzimy porodów, wszystko wokół jest sterylne.

Aneta Cruz-Kąciak, opowiadaczka historii i współtwórczyni Czerwonej Wstążeczki (warsztatów dla mam i córek o pierwszej miesiączce), mówi, że milczymy na temat menstruacji, bo nie mamy odpowiedniego języka, by o niej rozmawiać: – Słownictwo jest medyczne lub dziecinne, wulgarne lub zupełnie nijakie. Uczestniczki warsztatów wspominają słowa, które usłyszały 20 czy 40 lat temu, kiedy zaczęły miesiączkować: „Biedactwo, już cię TO spotkało", „Teraz będziesz musiała z TYM jakoś żyć". Chcą te doświadczenia przepracować, żeby nie przekazywać schematów dalej: córkom, wnuczkom, siostrzenicom.

BOŻENA ma czterdzieści parę lat, pracuje w branży farmaceutycznej. Mówi:

Mama przygotowywała mnie do pierwszej miesiączki – wiedziałam, że ona miesiączkuje, co się wtedy dzieje. Gdy dostałam pierwszy okres, tata przyniósł mi bukiet kwiatów. Do dziś pamiętam, jak mi go wręczał.

Niedawno, po pięciu latach stosowania antykoncepcji hormonalnej, ponownie dostałam okres. To był wspaniały czas spokoju, kiedy nie miesiączkowałam. Mam trudność głównie ze względów higienicznych – toalety są niedopasowane do potrzeb kobiet, nie ma gdzie się umyć. Myślę, jak do tego przygotować córkę – czuję, że niewiele się zmieni, a ona też będzie musiała stosować chałupnicze metody, nieprzystające zupełnie do XXI wieku.

W cykliczności siła

– Menstruacja przez wiele kobiet traktowana jest jak coś zbędnego, co utrudnia życie. Nie rozumieją, że miesiączka również jest pewnego rodzaju darem – opowiada Preeti Agrawal, pochodząca z Indii ginekolożka, która od ponad 30 lat mieszka w Polsce. – Większość kobiet traktuje ją czysto technicznie, chce unormować zaburzenia lub myśli o niej w kontekście antykoncepcji. Podejście, że miesiączka może nam służyć, jest zaskoczeniem dla wielu kobiet w kulturze zachodniej.

– Wiele kobiet nie lubi miesiączki i nie chce dotykać tego tematu, dopóki nie znajdzie się w okresie przed menopauzą. Wtedy zaczyna czuć, że traci coś ważnego – mówi Miłuńska. – Mamy silną definicję społeczną, według której menopauza to koniec kobiecości. A to nie jest prawda.

ASIA, 25-latka po polonistyce. Oto jej opowieść:

Byliśmy z rodzicami na wakacjach nad morzem, w ciepły dzień siedzieliśmy na plaży. Zapytałam mamę, dlaczego nie wchodzi ze mną do wody – powiedziała, że ma „te dni". Miałam wtedy sześć lat i nic z tego nie zrozumiałam.

W IV klasie podstawówki przyszły panie, które miały nas uświadamiać, przyniosły podpaski, które nam później rozdały. Chłopców wygoniono z klasy, poszli grać w piłkę na boisko.

Pierwszą miesiączkę dostałam w III klasie gimnazjum. Zawsze miałam z nią problemy – przychodziła nieregularnie, była bardzo bolesna. W szkole zdarzało się, że wymiotowałam z bólu. Wiele osób tłumaczyło mi wtedy, że na pewno boli mnie tak, jak wszystkie kobiety, tylko widocznie jestem bardziej wrażliwa na ból.

Do ginekologa poszłam dopiero, jak miałam 20 lat, po antykoncepcję. Okazało się, że mam problemy hormonalne.

Mama zadzwoniła do mnie niedawno, tuż po tym, jak wyszła w pośpiechu do pracy. Poprosiła, żebym sprawdziła w łazience, czy wyrzuciła podpaskę i czy „czegoś" przypadkiem nie widać – żeby tata lub brat niczego nie zauważyli.

Czerwony Namiot

– Pamiętam koleżankę, która dostała pierwszą miesiączkę, gdy miała 12 lat: wstydziła się powiedzieć o tym mamie. Zamiast używać tamponów i podpasek, zakładała kilka par majtek. Dwa lata później zaszła w niechcianą ciążę. Choć to miało miejsce w latach 90., to z doświadczenia Grupy Edukatorów Seksualnych Ponton wynika, że dziś dziewczęta mają podobne przeżycia – opowiada Alina Synakiewicz, jedna z edukatorek Grupy. – Milczenie, mówienie o okresie jako o czymś obrzydliwym, robienie awantury córkom, które pierwszy raz krwawiły – tak temat menstruacji pojawia się w polskich domach.

– Zastanawiam się, jakie podejście do menstruacji miałyby polskie nastolatki, gdyby słyszały o obecnym w wielu kulturach „Czerwonym Namiocie": miejscu, do którego szły miesiączkujące kobiety, żeby odpocząć, spotkać się z koleżankami, zrobić sobie masaże, przyjemnie spędzić czas – mówi Synakiewicz. – Niestety, współczesne nastolatki dorastają w kulturze, w której ideałem jest kobieta sterylna, ukrywająca płyny wydostające się z ciała.

– Pierwsze doświadczenia miesiączkowania, nastawienie do ciała w trakcie menstruacji, przekładają się na podejście do własnej seksualności, cielesności i do porodów – opowiada Karolina Anweiler, pedagożka i doula. Żeby poznać swój cykl i – jak tłumaczy – zacząć traktować miesiączkę jako wskazówkę do działania, trafiła na warsztaty Natalii Miłuńskiej. Teraz wspólnie przygotowują Projekt Motylek dla dojrzewających dziewcząt.

– Gdy zaczynałam pracę jako doula, było bardzo mało dobrych historii związanych z porodem. Dobrych historii miesiączkowych też jest za mało. Widzę, że to podobnie się toczy – wierzę, że tematy miesiączkowe też przebiją tamę i popłyną, jak historie porodowe kilka lat temu.

DARIA, księgowa przed pięćdziesiątką, opowiada:

Pamiętam z dzieciństwa ludowy zwyczaj: pierwszą podpaskę od miesiączkującej dziewczynki należy zakopać, co ma sprawić, że nie będzie miała bóli miesiączkowych. Nie pamiętam, czy moja mama ją zakopywała, ale chyba wzięła ją wtedy ode mnie. Nawet jeśli to zrobiła, nie udało jej się zakląć rzeczywistości.

Kiedy córka zaczęła dojrzewać, kupiłam książkę dla dziewczynek i przerobiłyśmy razem temat. Pierwsza miesiączka przyszła dla niej dość łatwo, choć jeszcze nie była świadoma całego procesu, miała niewiele ponad 10 lat. Po prostu zawołała z łazienki: „Mamo, chyba dostałam właśnie tę miesiączkę". Cieszyłam się, że powiedzenie o tym przyszło jej tak swobodnie.

Nie być jak własna matka

– Matki dziewczynek, które zaczynają miesiączkować, chcą najczęściej potraktować temat inaczej niż ich własne matki

– mówi Małgorzata Sikora-Borecka, pedagożka i doula, współtwórczyni Czerwonej Wstążeczki. – Nie chcą powtarzać milczenia, które panowało w domu. Nie chcą też ograniczać swojej roli tylko do powiedzenia córce, gdzie znajdzie podpaski czy tampony i jak ma z nich korzystać. Coraz częściej chcą wspólnie uhonorować moment wejścia w kobiecość. Po to przychodzą z córkami na nasze warsztaty. Z perspektywy kilku ostatnich lat widać, że świadomość, jak ważna jest pierwsza miesiączka, wzrasta. Choć wiemy, że skala naszych warsztatów to nawet nie kropla w morzu potrzeb. Wiele kobiet wciąż ma problem, by otwarcie rozmawiać o miesiączce, często nie potrafi rozpoznawać swojego cyklu, musi pokonać własne tabu.

– Moment pojawienia się pierwszej miesiączki w wielu kulturach obchodzony jest uroczyście, tradycje przekazywane są od pokoleń. W Indiach odbywa się z tej okazji mała ceremonia: zbiera się najbliższa rodzina, dziewczyna występuje w uroczystym stroju, dekorowana jest kwiatami – opowiada dr Agrawal. – Wejście w kobiecość jest odbierane jako coś ważnego, dzięki temu młoda kobieta czuje się szanowana i dowartościowana.

ALEKSANDRA ma 32 lata, mieszka w Szkocji. Chce sie podzielić swoją historią:

Gdy dostałam pierwszą miesiączkę, nie wiedziałam nawet, że coś takiego istnieje. Miałam 10 lat. W łazience zobaczyłam, że krwawię, zaczęłam piszczeć z przerażenia. Przybiegła mama i zaczęła mnie uspokajać. Nie pamiętam, co wtedy mówiła.

Przez dwa lata byłam jedyną miesiączkującą dziewczynką w klasie. To było bardzo bolesne, nie mogłam się ruszać, na lekcje wf-u przynosiłam zwolnienia. Moja nauczycielka kiedyś głośno to skomentowała, wtedy dowiedziała się reszta klasy. Nazywali mnie „krwawiącą", dziewczyny mówiły, że jestem brudna i śmierdzę. Nauczycielka nie reagowała. Kobieta. Czułam, że coś jest z „tym" nie tak, skoro nawet dorosła osoba pozwala, by z tego powodu się ze mnie wyśmiewano.

Wiele razy lądowałam w szpitalu z powodu bóli menstruacyjnych, kilka razy z pracy zabrała mnie karetka. Traktowano mnie jak hipochondryczkę – przecież wszystkie kobiety mają okres i nie trzeba z tego powodu robić dramatu. W badaniach nie wychodziło nic złego. Zaczęto mi wmawiać, że ten ból mam w głowie, że go sobie wymyślam. Padały słowa, że to nerwica, że powinnam się leczyć, ale u psychologa. Zdiagnozowano mnie dopiero w Szkocji. Na początku się ucieszyłam: że wreszcie ktoś uwierzył, że ta choroba ma nazwę, że można ją leczyć. Później szybko otrzymałam kubeł zimnej wody, gdy dowiedziałam się, że endometriozy wyleczyć się nie da.

Przeznaczona do cierpienia

O miesiączce milczy się także w gabinetach lekarskich. – Kobiety nie mówią o tym nie dlatego, że jest to krępujące, bo u ginekologa pojawiają się tematy o wiele bardziej wstydliwe, ale dlatego, że słyszały już setki razy od otoczenia, łącznie z personelem medycznym, że miesiączka musi boleć – tłumaczy Tomasz Songin, ginekolog. – Dziewczyna, która zaczyna miesiączkować, dostaje silny przekaz, że takie jest przeznaczenie kobiety: cierpieć co miesiąc. Cierpiała i babcia, i matka, więc również ona musi to zaakceptować. I kobiety zaczynają myśleć: że skoro tak ma być, to po co poruszać ten temat. Niewiele decyduje się na rozmowę, czy miesiączka powinna tak boleć, czy wszystko jest w porządku.

Jak oswajać ciało i cieszyć się z własnej fizjologii, kiedy bóle menstruacyjne nie pozwalają funkcjonować? – Na ćwiczenia do mnie często sprowadzała kobiety bolesna miesiączka – opowiada Kamila Raczyńska-Chomyn, edukatorka seksualna, doula i trenerka mięśni dna miednicy. – Im częściej słyszałam od pacjentek, że miesiączka to przekleństwo, tym więcej rozmawiałyśmy o tym, jak ją przeżywały, gdy były dziewczynkami, jaki był u nich w domu klimat wokół kobiecej fizjologii. Najczęściej nie był przyjemny, a miesiączka od początku była traktowana jak klątwa. Żeby pomóc z bólem, starałam się pomóc pacjentkom w akceptowaniu swojej fizjologii. Wtedy zdałam sobie sprawę, że naprawdę jestem w mniejszości kobiet, które lubią swoją miesiączkę i świetnie się w jej trakcie czują – choć ja to też musiałam sobie wypracować.

– Chciałam odczarować ten temat, udowodnić, że to nie jest obrzydliwe i nie powinno się kojarzyć ze wstydem i milczeniem. Założyłam profil na Facebooku, Panią Miesiączkę, z historiami kobiet, które usłyszałam. Okazało się, że one chcą o niej opowiadać, tylko nie mają na to przestrzeni – opowiada Raczyńska-Chomyn.

IRENA jest wieloletnią nauczycielką:

Do menstruacji miałam zawsze neutralny stosunek. Zmienił się, kiedy dostałam od chłopaka swój pierwszy kubeczek menstruacyjny. To był przełom. Zobaczyłam, jak piękna jest krew menstruacyjna. Ta krew mnie nadal fascynuje, co miesiąc czuję się jak performerka, która produkuje czerwoną farbę. Miałam czas w życiu, że podlewałam krwią menstruacyjną kwiaty, że celebrowałam miesiączkę, zakładając na siebie coś czerwonego lub malując na czerwono paznokcie.

Okres, wersja eko

Statystycznie kobieta zużywa podczas całego życia około 10 tysięcy podpasek. O ekologicznym podejściu do miesiączki, o kubeczkach menstruacyjnych ↦

Prawo, nie luksus

- 1/3 dziewczynek w różnych krajach Azji opuszcza szkolne lekcje z powodu miesiączki. Nie mają dostępu do środków higieny i toalet, a świadomość na temat dojrzewania jest bardzo niska (UNICEF i WaterAid)
- Kłopoty z dostępem do podpasek ma średnio 500 mln kobiet na całym świecie. W Indiach z 355 milionów dziewcząt tylko 12 proc. stać na używanie środków higienicznych (UNICEF i WHO)
- Human Rights Watch ogłosiła w 2017 r., że swobodny dostęp do podpasek to kwestia praw człowieka. Organizacja wezwała państwa do zagwarantowania kobietom dostępu do środków higienicznych, toalet i edukacji.
- Najwięcej w temacie walki z period poverty, ubóstem związanym z okresem, dzieje się w Wielkiej Brytanii – we wrześniu 2018 r. Szkocja stała się pierwszym miejscem na świecie, które systemowo zapewnia darmowe podpaski i tampony we wszystkich placówkach edukacyjnych; organizacja Bloody Good Period zapewnia darmowe środki higieniczne uchodźcom i osobom starającym się o azyl; po ulicach Londynu od listopada jeździ Tampon Taxi, który dostarcza darmowe podpaski i tampony kobietom w kryzysie bezdomności; za darmo udostępniono je także w toaletach na stadionach klubów piłkarskich (m.in. Manchester City i Liverpool).

↦ czy wielorazowych podpaskach, również mówi się coraz głośniej – temat nabrał rozpędu dzięki modnym ruchom *zero waste*, rezygnowaniu z reklamówek, dyskusjom o odpowiedzialności za śmieci, które produkujemy.

„Koty na dzień", „Jesienne jeże", „Wędrówka żurawi" – to nazwy kolorowych ekologicznych podpasek wielorazowych, które produkuje Natalia Miłuńska w założonej przez siebie firmie Naya.

– Uważam, że każda kobieta powinna używać tego, co lubi i co jest dla niej wygodne. Nie mam misji zbawiania świata, bo nie lubię, kiedy mówi się ludziom, co powinni. Tu chodzi o alternatywę i świadomość. Podpaski i tampony są bielone chlorem, a ponieważ to tabu, nie ma regulacji, które wymagałyby, żeby na opakowaniach podawać skład chemiczny – tłumaczy Miłuńska. – Wiem, że kubeczek menstruacyjny jest zrobiony z medycznego silikonu, a podpaska wielorazowa to bawełna. Mamy więc alternatywę przyjazną dla ciała i ekologiczną, co uważam za bardzo ważne.

„Babskie" sprawy

W Polsce nie przeprowadza się żadnych badań związanych z menstruacją. Nie wiemy, jaka jest prawdziwa skala zainteresowania ekologicznymi środkami higienicznymi. Nie mamy żadnych danych dotyczących ubóstwa związanego z okresem.

– W zeszłym roku przed świętami zebrałyśmy górę podpasek dla domu samotnej matki. Większość ludzi wysyła im ciuchy i zabawki, a mało kto pamięta, że te wszystkie kobiety mają przecież miesiączkę – mówi Raczyńska-Chomyn.

– W mojej pracy zorganizowano punkt zbiórki materiałów higienicznych dla bezdomnych kobiet – opowiada Asia. – Przed przekazaniem rzeczy szef poprosił, żebyśmy posortowały podpaski i tampony, bo to przecież „babskie sprawy" i on nie będzie tego dotykał.

Natalia Miłuńska: – Potrzebna jest wiedza: o cyklu, o tym, że krew miesięczna nie jest brudna ani toksyczna, że w zależności od tego, jakich środków higienicznych się używa, ta krew może śmierdzieć lub nie. Narosłe wokół tematu mity potęgują w nas wstyd. A żeby miesiączka przestała być tabu, potrzebne są kobiety, które będą mówić o swoich doświadczeniach.

©℗ EWELINA BURDA

Imiona niektórych bohaterek zostały zmienione.

Żeby TO nie było tabu

IWONA CHMIELEWSKA, ILUSTRATORKA, PISARKA:

Ludzie wciąż boją się kobiecej płodności jako nieokiełznanej, nieznanej siły. Przeraża ich biologiczna strona kobiety. Stąd chyba cały problem.

ANNA DZIEWIT-MELLER: Szłam na tę rozmowę podekscytowana, ale myślałam też, że narazimy się na nieprzychylne reakcje. Mówienie o menstruacji bywa odbierane jako perwersyjne.

IWONA CHMIELEWSKA: Co ciekawe, bywa perwersyjne zwłaszcza dla kobiet. Wszelkie ataki na moją książkę „Królestwo dziewczynki" pochodziły od kobiet. Mężczyźni mnie nie atakowali.

Dla mnie samej miesiączka jest nadal tajemnicą. Nie jestem z tym aspektem mojego życia oswojona, nigdy nie byłam. Gdy poprosiłaś o wywiad, odpowiedziałam: „na szczęście mam TO już za sobą". Dojrzewałam w latach 70. W owym czasie pierwsza miesiączka była doświadczeniem przykrym i smutnym. Nikt się nie zastanawiał nad zmianami, które zachodzą w głowie i duszy dziewczynki. Zwłaszcza 10-letniej, bo ja miałam 10 lat, gdy miałam pierwszy okres.

Pamiętam czas czekania na pierwszą miesiączkę. Dziewczynki w szkole licytowały się, która już ma, która jeszcze nie, a ja byłam z tych raczej późniejszych, co odczytywano trochę jako porażkę.

Słyszałam, że teraz oczekujące dziewczynki uroczyście noszą w plecakach szkolnych te ślicznie opakowane i finezyjne podpaski, na wypadek gdyby...

Ja też nosiłam. W tajemnicy.

Ja za to byłam zupełnie zaskoczona i przerażona tym wydarzeniem, bo nikt wtedy mnie nie przygotowywał ani ze mną na to nie czekał. Myślałam, że mam jeszcze dużo czasu. Wiedziałam mgliście, że coś takiego przyjdzie.

A skąd?

Już nie pamiętam. Wiem, że w tym dniu odbyłam bardzo ogólną rozmowę z mamą, kiedy już wróciła z pracy. Ale mama nie była przygotowana do takich rozmów, ponieważ była sierotą wojenną, wychowywaną przez babcię, i z nią też raczej nie rozmawiano. To był smutny dzień, pamiętam – szary listopad i ja sama z tą watą, którą znalazłam w apteczce. Gdy ją rozwijałam, myślałam: „Ile mam tego wziąć, jak mam to złożyć?". Czułam się chora, zraniona.

Zapytałam kiedyś dziewczyn w mediach społecznościowych, z czym im się kojarzą miesiączki. Jedna napisała: „uważam, że to dowód, że Bóg nienawidzi kobiet".

Mogłabym się z tym zgodzić (*śmiech*). Ja w ogóle mam taki problem ze swoim ciałem, że się czuję głową na patyku, takim trochę bezcielesnym tworem. Może dlatego tak mi się spodobał wiersz Urszuli Zajączkowskiej o tym, że zbudził ją w nocy chrupnięciem jej własny kościotrup. Dzięki temu wierszowi zaczęłam rozpoznawać swojego kościotrupa, dotykać go, poczułam, że rzeczywiście on tam jest i ochrania te wszystkie miękkie tkanki typu macica, jajniki. Urodziłam czworo dzieci, ale nigdy nie zastanawiałam się nad swoją fizjologią. Te kanały, którymi coś przepływa, dostarczam sobie czegoś lub nie, cała ta ciężka praca, która w każdej sekundzie się we mnie odbywa, jest poza mną. Ale to chyba normalne, nie mamy z tym kontaktu.

A można by pomyśleć, że wręcz przeciwnie – fizjologia jest dla Ciebie ważna. W Twojej książce o miesiączce krew nie jest niebieska, jak w reklamach podpasek, tylko czerwona.

To chyba nie tyle fizjologia, ile myśli towarzyszące temu, co się dzieje wtedy z ciałem. Bo tak naprawdę przyznam się, że gdy czytam o tych pęcherzykach Graafa, o tych jajeczkach, to po prostu... Wczoraj pomyślałam, że przygotuję się

jakoś do naszego wywiadu, zaczęłam więc czytać i czułam, jak mi wosk ucho zarasta. Nie chcę tego słuchać i widzieć – to mnie tak nudzi, że w ogóle tego nie przyswajam.

To ciekawe, że aby porozmawiać o doświadczeniu, które przez tyle lat miałaś, musiałaś trochę poczytać.

No tak, żeby się dowiedzieć więcej o czymś, co miałam przez 40 lat co miesiąc, pomijając ciąże. Ale i tak się nie dowiedziałam. (*śmiech*)

To chyba wynik paradoksu, w którym kobiety tkwią od zawsze. Z jednej strony jesteśmy postrzegane głównie przez pryzmat swojej płodności, ale gdy wchodzi w grę prawda o ciele kobiety, to wszystko, co ważne, jest gdzieś ukryte, wycofane, wypchnięte. Dlaczego tak uciekamy od swoich ciał i ich naturalnych procesów?

Nie wiem. Jest trochę jak w moim „Królestwie" – bohaterka w gruncie rzeczy nie chce tego, co ma nadejść, ale wie, że nie ma wyjścia, jest na to skazana, TO jest rodzaj jakiejś niewoli cyklicznej.

Nigdy nie myślałam, że miesiączka jest darem, że należy to celebrować, czy że jestem w ten sposób jakoś wyróżniona. No nie. Te wszystkie upokarzające doświadczenia wuefowe! Doskonale pamiętam, że mama mi pisała zwolnienia: „W tym dniu córka jest niedysponowana". To było takie okropne słowo. „Jestem niedysponowana" – trzeba to było powiedzieć głośno wobec tego nauczyciela, który był młodym mężczyzną, i wobec chłopców z klasy, bo to był koedukacyjny wuef. I usiąść na ławeczce tych dziewczynek, które siedzą ze swoją niedyspozycją. Jak za karę. W dodatku miesiączka czasem po prostu strasznie boli. Łykałam pabialginę, która mnie otępiała. No i to niekomfortowe przeciekanie przez wszystko, bo jednak te skrawki waty nie dawały żadnej pewności, i ten wstyd, że mogę usiąść i okaże się, że tam jest plama po moim wstaniu.

Czytałam o badaniach, w których sprawdzano, jak ludzie postrzegają kobiety mające okres. Podczas rozmów z grupą fokusową kobieta prowadząca tę grupę wyciągała niby przypadkiem z torebki długopis lub tampon. Jedna grupa widziała, jak wyciąga długopis, druga, jak wyciąga tampon. Po zajęciach miano ocenić jej kompetencje. Nie zdziwię Cię, kiedy powiem, że jak wypadł jej tampon, to miała mniej punktów.

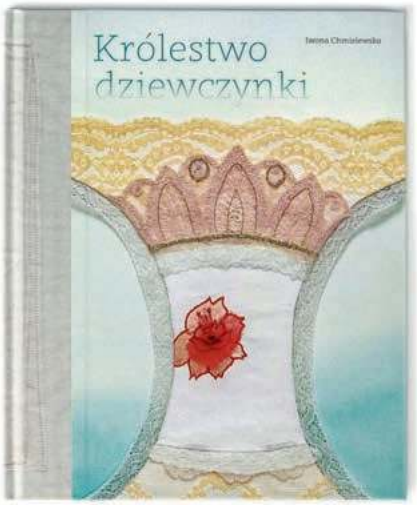

IWONA CHMIELEWSKA:

Wszelkie ataki na moją książkę „Królestwo dziewczynki" pochodziły od kobiet. Mężczyźni mnie nie atakowali.

No oczywiście, długopis należy do sfery głowy! Ale tampon to był przełom. Wyobrażałam sobie nieraz upokorzenia mojej babci, która mówiła: „My z siostrami miałyśmy takie bindki, czyli szmatki przyczepiane do majtek na guziki, prałyśmy je, suszyły się nad piecem i nasi bracia się z nas śmiali". Moja mama też używała jeszcze tych szmatek. Uważałam więc, że w porównaniu z nimi jestem jakąś królewną, która dostąpiła zaszczytu posiadania waty, której nie muszę prać, nie muszę rozwieszać i wstydzić się przed nikim.

Ale pamiętam, że na mojej pierwszej wystawie, kiedy pokazałam obrazki z poetyckimi komentarzami, które wydawały mi się raczej uduchowione, jedna z kobiet powiedziała, że to jest tak intymne, jakbym w galerii rozwiesiła swoje podpaski.

Wstydzimy się czegoś, co oznacza, że jesteśmy płodne, że wszystko jest w porządku, że możemy dać życie – czegoś, co powinno być powodem do radości i dumy. Czy wiesz, że po angielsku „blessing", czyli błogosławieństwo, pochodzi od staroangielskiego „bleeden", a dzisiaj „to bleed", czyli krwawić? Krwawisz, bo jesteś płodna, God bless the Queen!

Myślę, że gdyby mężczyźni mieli okres, to inaczej byśmy rozmawiali o menstruacji. Byłaby ceniona, może nawet świętowana jako dowód siły, płodności. Nie mają, a my jesteśmy krajem, gdzie kobieta jest albo niepokalana, albo grzeszna, a menstruacja to dowód na możliwość poczęcia. Ale i tak mamy nieźle: są kraje, w których „w tych dniach" nie wolno się udzielać publicznie albo np. podawać ręki mężczyźnie.

Mnie, przyznaję, dotknęły jakoś słowa papieża Franciszka, który powiedział, że Europa jest jak taka stara, niepłodna kobieta. Może z Europą jest faktycznie coś nie tak, ale dlaczego stara, niepłodna kobieta ma służyć jako ekwiwalent czegoś złego?

Byłam ostatnio u przyjaciół, których kilkunastoletnia, siwa, ledwo chodząca suczka miała cieczkę. Zwierzęta są płodne do końca, bo nie odpowiadają za swoje dzieci do ich osiemnastki. Za tą starą suczką wciąż się oglądają młode psy, wciąż jest dla nich atrakcyjna, a my... na szczęście kiedyś mamy to za sobą. Niech Franciszek więc mówi, co chce, ale to jest dobra konstrukcja – wizja możliwości rodzenia dzieci do osiemdziesiątki jest przerażająca.

Z czego zrodziło się „Królestwo dziewczynki"?

Powstało wtedy, kiedy już się żegnałam ze swoim osobistym królestwem. Wracałam z Bolonii z targów książki i – proszę wybaczyć, bo to może nie jest opowieść przyjemna, ale taka bywa rzeczywistość kobiet – miałam na tej końcówce płodności potworne krwotoki. Musiałam z tych targów co chwilę wychodzić, było to krępujące i wyczerpujące, i później – już w samolocie do domu – przyszła mi ta książka do głowy. Wracałam do Torunia wiedząc, że będzie trzeba jechać prosto do szpitala. I ten kontrast był uderzający – podczas gdy na targach byłam panią autorką książek, miałam spotkania z wydawcami z Korei, osobą z imienia i nazwiska, to w szpitalu od razu dostałam jakąś biedną koszulinę, a pani pielęgniarka, która mnie przyjmowała, mówiła do mnie wyłącznie w formie bezosobowej: „niech idzie", „niech się położy i czeka na lekarza". I poczułam się znów tak, jak się czułam zawsze przed porodem – nie tyle człowiekiem, co samicą. Podano mi narkozę, wokół łóżka ↦

↦ pojawiło się dużo studentów, kazano mi rozszerzyć nogi i to był swego rodzaju poród tej książki. Zrodzony z końca płodności.

Od czasu ukazania się książki zapewne wiele kobiet mówiło Ci, jak ją czytały i co z niej wyniosły?

Reagują różnie. Czasem wręcz agresywnie i bardzo oskarżycielsko. Ktoś mi podesłał na Facebooku wpis kobiety, która napisała, że na tej okładce jest „rozwalone krocze" i że ona tej książki, broń Boże, nie będzie pokazywać synom. A wiem skądinąd, że jest to osoba związana z książkami, która naprawdę wydawała mi się światła. Pisała, że symbole użyte przeze mnie są prymitywne, ten piórnik ze sterczącym ołówkiem, że to jest ordynarne. Inna pani napisała – i to było straszne – że ta książka może skłaniać ojców do pedofilii. Że przez tę książkę mogą patrzeć na córki jak na obiekt seksualny. Choć przyznała, że nie miała książki w ręce. Czułam, że jakiś stos się pode mną pali. To było bardzo przykre.

Oczywiście były komentarze, że perwersja jest w oku patrzącego, a każdy opisuje to, co sam widzi. To jednak pokazało, jak niebezpieczna może być zwykła książka dla dzieci, poruszająca temat tabu. Swoją drogą, zdaniem niektórych kobiet moja książka jest dekoracyjna i piękna, tymczasem dla mnie nie jest ani piękna, ani dekoracyjna, bo te materiały i koronki, których użyłam, są zbierane po nieznanych mi starych, dawno zmarłych kobietach. Część z nich dała mi ciocia, która opiekowała się w Niemczech panią chorą na Alzheimera. To po niej mam te zardzewiałe koronki, które celowo występują w tej książce.

I ktoś te rdzawe koronki uznał za zagrożenie dla swoich synów?

Widocznie tak. Ale różne bywają reakcje. W Korei np., gdzie książka została najpierw wydana, na spotkaniu ze mną wstał jakiś pan i bardzo mi podziękował mówiąc, że dzięki tej książce w końcu wie, jak czuła się jego mama i jego siostry, jak czuje się żona i jak będzie się czuła córeczka, dla której już tę książkę kupił.

A były jakieś krańcowo odmienne reakcje kobiet?

Tak, w większości to pełne euforii podziękowania i właśnie wdzięczność wielka za tę książkę. Ale wśród tego miodu łyżka dziegciu jest zawsze silna do zapamiętania. Wiem też, że niektórym feministkom książka się nie podoba. Doszłam do jakiejś rozmowy, gdzie pisały „co za królestwo?", „nie życzę sobie" itd. No ale dobra, jesteśmy wolne, nie musimy tego kupować, to tylko książka.

IWONA CHMIELEWSKA jest ilustratorką i pisarką. Tworzy autorskie picture booki, wydawane i wielokrotnie nagradzane na całym świecie (m.in. na międzynarodowych targach książek dla dzieci w Bolonii). Współautorka warstwy wizualnej wystawy „W Polsce króla Maciusia" w Muzeum POLIN, omawianej w towarzyszącym temu numerowi „TP" dodatku literackim „KwT". O „Królestwie dziewczynki" piszemy także w internecie: powszech.net/krolestwo

Dziewczyny, z którymi rozmawiałam, mówiły mi czasem, że gdy dostały pierwszy okres, to tata kupił im kwiaty, i że ten gest był właściwie najważniejszy ze wszystkiego, co je tego dnia spotkało. Marzę o tym, żeby można było zupełnie naturalnie, ale i z jakąś podniosłością rozmawiać o tej pierwszej, ale i o tych ostatnich miesiączkach – co, jak rozumiem, też może być okazją do świętowania.

Zawsze się wzruszam, jak słyszę, że tato kupuje dziewczynce kwiaty z tej okazji. Mój tato mi nie kupił, ale był bardzo ważnym dla mnie mężczyzną. Miał duży udział w moim wychowaniu, jednak te sfery go oczywiście krępowały. Skąd miał wiedzieć, jak się zachować? Pewnie mu mama ukradkiem powiedziała, bo w sylwestra, kiedy mówiliśmy sobie, co ważnego wydarzyło się w tym roku, on powiedział patrząc na mnie z uśmiechem: „I wydarzyło się jeszcze coś bardzo ważnego...". I tyle. Kwiaty od ojca zostałyby ze mną do końca życia.

A ze swoimi dziećmi rozmawiałaś o miesiączce?

Niestety mało. Najstarsza córka ma do tej pory żal, że zachowałam się jakoś niewłaściwie w tym dniu. Mieliśmy gości, a ona gdzieś zniknęła. Poszłam jej szukać, a ona leżała w ciemnym pokoju na łóżku, zwinięta, i wtedy mi powiedziała. Przejęłam się, ale musiałam wrócić do gości. Wśród nich była jej chrzestna, z którą po cichu podzieliłam się tą informacją, i córka do tej pory mi to wypomina.

Teraz bym już wiedziała, jak się zachować, ale wtedy to też był mój debiut, chciałam się wesprzeć na przyjaciółce. Zawsze jako matki będziemy popełniać błędy, to nieuniknione. Nasze intencje są dobre, a wychodzi jak zwykle. Przy młodszej córce byłam już trochę mądrzejsza. Zresztą uważam, że w tych sprawach każda z nas pozostaje samotna, bez względu na jakość wsparcia. Tak jak w mojej książce, inne kobiety mogą się tylko na chwilę wychylić ze swych portretów i spojrzeć.

Pamiętam z tego dnia moją babcię. Jesteśmy na spacerze, mama idzie z tyłu, z kimś rozmawia, a babcia opowiada o swojej pierwszej miesiączce i o tym, że zawsze wyglądała bardzo dziewczęco i jej pacjentki nie traktowały jej poważnie; że długo mówiły do niej nie „pani doktor", tylko „frelko", a frelka to po śląsku taki podlotek. Tą „frelką" i zupełnie normalną, zabawną rozmową złagodziła ostrość przeżycia i dała odczuć, że to całkowicie normalna sprawa. O której można pogadać jak o każdej innej.

Moja mama pracowała przez jakiś czas jako położna, dopóki mnie nie urodziła. Miała w domu podręcznik położnictwa. Jako dziecko często zostawałam sama i do-

bierałam się do biblioteczki. A to chyba była zakazana książka, bo nie miała napisu na grzbiecie i była obłożona w szary papier. Niedawno ją z ciekawości kupiłam w internecie i to jest wstrząsająca książka. Chyba zostałam bardzo przez nią skrzywdzona. Kiedy rodzice wychodzili, brałam ją i patrzyłam na fotografie porodów i tego otworu, z którego jakaś zniekształcona głowa wychodzi albo dwie... Tak, może to też mnie jakoś nacechowało na całe życie.

Może dlatego w mojej książce jest też trochę grozy. Od tej pory – od pierwszej miesiączki – coś mi grozi. Dziecko, jakim byłam, myślało: „Od teraz mogę urodzić dziecko, to, co mam między nogami, może być już czyjeś, tak mnie natura stworzyła, że od tej pory ktoś może mi te nogi rozsunąć i ja mogę przestać należeć wyłącznie do siebie".

Może zbyt mało dajemy sobie prawa do werbalizacji tych lęków?

Z koleżankami na temat okresu zawsze prowadziłam rozmowy negatywnie nacechowane. Nie umiem nikogo przekonać, że to jest przyjemne czy wzniosłe, bo sama nie jestem przekonana. W książce dziewczynka trochę oswoiła tego smoka, ale to dość chwiejna pewność siebie. Spotkałam się z poruszającymi dowodami wdzięczności, że jednak nareszcie ktoś się odważył podzielić przeżyciem, że czytelniczki czują wsparcie i pewną wspólnotowość. W książce występują kobiety z różnych epok. Barbara Radziwiłłówna i Maria Curie też miały okres. To wspólnie nas dotyczyło, dotyczy i będzie dotyczyło, więc może warto posłuchać, jak różne i indywidualne są to przeżycia, pozwolić sobie na nie? Żeby TO już nie było tabu.

Ale w młodszym pokoleniu TO już przestaje być tabu. Mamy córek, które właśnie wchodzą w okres dojrzewania, pisały mi, że one o tym mówią w dosyć otwarty sposób i dziwi je nasz skrępowany stosunek. Myślę też czasem o biegaczce Kiran Ghandi, która maraton w Londynie przebiegła, mając okres, i zrobiła to bez tamponu, wbiegła więc na metę zakrwawiona. Wzbudziła oczywiście kontrowersje, świat był wściekły, co to za obraźliwy feministyczny gest, a ona powiedziała, że pobiegła tak również dla tych dziewcząt w Azji czy w Afryce, które często nie mogą funkcjonować normalnie, kiedy mają okres, bo nie mają odpowiednich środków higienicznych, więc są wykluczone przez kilka dni z życia swojej społeczności. Ale spotkała się z wielką agresją.

Bo dla wielu ludzi widok krwi, która powinna być przecież w środku, jest nie do zniesienia i budzi jakieś szczególne napięcie. Zwłaszcza takiej „brudnej", będącej niechcianym skutkiem ubocznym.

Powinno być zamknięte, bo u mężczyzny jest zamknięte, bo mężczyzna krwawi tylko, kiedy naruszy się jego powłokę cielesną – na wojnie albo jak się wda w bójkę, albo jak jest chory. Krwawi – to znaczy, że mu coś dolega, i taką przyjęliśmy optykę jako uniwersalną. A my – druga połowa ludzkości – krwawimy również, gdy nam nic nie dolega, wręcz przeciwnie: to znak, że jesteśmy płodne i zdrowe.

Tak samo jest po porodzie – krwawienie jako element procesu całkowicie fizjologicznego. Matyldę rodziłam w stanie wojennym na korytarzu, bo tam co 20 minut odbywał się poród, i pamiętam takie kuse koszulinki na grzbietach kobiet i wielkie podpaski wystające im jak samoloty spomiędzy nóg.

Ale – przyznaj – w szpitalu położniczym jest ci wszystko jedno, co tam się dzieje. To taka zwierzęca, stadna fizjologia bez wstydu. Krew i pierwsze mleko, które nazywa się strasznie: „siara". I ten krzyk potworny, który się z ciebie wydobywa... Ja w ogóle siebie takiej nie znałam, nie wiedziałam, kim wtedy byłam, jakieś zwierzę we mnie wstąpiło. Wszystko to razem wydaje się być może jakoś groźne. Tak jak ta krew menstruacyjna.

Może dlatego kultura tak bardzo chce to ugładzić, uporządkować, odebrać trochę tej naturze.

Ludzie wciąż boją się kobiecej płodności jako nieokiełznanej, nieznanej siły. I przeraża ich ta biologiczna strona kobiety. Stąd chyba wszelkie tabu.

Przychodzące na świat dziecko wychodzi z nas pokrwawione. Ta pierwsza krew to jest właśnie ta krew z ciała kobiety – człowiek się rodzi ubrany w matczyną krew. Tę samą, która zakwitła różą na okładce mojej książki.

© Rozmawiała ANNA DZIEWIT-MELLER

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA GAZETA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Casting Estery

Znamy już początek opowieści o królu Xerxesie-Ahaswerusie oraz o jego cudownej urody żonie Waszti. Wiemy, że kiedy odebrano jej wszystkie tytuły, pałac, stroje, oleje, mirrę, władca zaczął poszukiwać godnej swego majestatu dziewicy. Ester nie ubiegała się o udział w narodowym konkursie piękności i castingu na królową. Została wzięta siłą. Była piękna.

Talmud uczy, że była jedną z czterech najpiękniejszych panien żydowskich znanych z Biblii. Trafiła pod opiekę królewskiego eunucha, zdobyła jego względy (uznała zapewne, że jak już musi brać udział w tym konkursie, lepiej wygrać, niż wracać do domu). W oczekiwaniu na prezentację i miłosne *tête-à-tête* z monarchą została pięknie przygotowana. Miała staranny makijaż, smarowano ją długo odpowiednimi olejkami, nosiła zwiewne stroje. Starannie ją karmiono. Chyba nie przeszkadzało jej to, że jedzenie nie było koszerne. Zamknięta w haremie czekała przez rok na swój los.

Czas więc, by wprowadzić kolejnego bohatera biblijnej legendy: Mordechaja z plemienia Beniamitów. Znamy imiona jego przodków. Ostatni z wymienionych nosił imię Kisz, a Kisz był też ojcem Saula. Wiele wskazuje na to, że miał znamienitego krewniaka, choć nie to jest najważniejsze. Mordechaj – jak czytamy – dostał się do niewoli Babilończyków i wtedy trafił do Sus, stolicy Persji. Opis ten jest zaskakujący, bo musiałby mieć dobrze ponad sto lat, gdy opisywane zdarzenia miały miejsce. Wiemy, że adoptował Ester, gdy zmarli jej matka i ojciec.

Wuj i opiekun Esterki dnie i noce czekał na wieści od dziewczyny. Denerwował się jak ojciec, który pozwolił córce pójść pierwszy raz na dyskotekę, a ta jakoś nie wracała na czas. Kazał Ester, by nie wspomniała o swojej narodowości i swojej religii. Czytelnik może podejrzewać, że nie tylko ukrywała swoją żydowskość, ale że sama na dworze króla nie przestrzegała praw Tory i zachowywała się jak zwykła dziewczyna z ówczesnej Persji. Podobnie zresztą zachowywał się Mordechaj. Przyjął zwyczaje i stroje otoczenia. Mówimy, że się zasymilowali. Nie chcieli żyć osobno, jak reszta Żydów perskich. Tym bardziej poruszające jest wyznanie królowi, że ona, Ester, jest Żydówką i że ma obowiązek bronić swojego narodu. Wbrew okolicznościom, wbrew asymilacji, wbrew pozycji, którą zdobyła, zachowała poczucie swoich korzeni i miała odwagę, by upomnieć się o swoich współbraci.

Izby dla kobiet były podzielone na trzy części: jedna dla dziewic, jedna dla konkubin i trzecia dla żon. Król miał bogaty wybór. Wiemy, że Ester została zaprowadzona do Xerxesa na jedną noc, a potem trafiła do pomieszczenia żon. Ester miała jedno tylko pragnienie: podobać się królowi, ale nie Bogu. We wszystkim słuchała się eunucha, nadzorcy haremu. I to była dla niej słuszna decyzja. Zdobyła w jedną noc najwyższe uznanie władcy i ten następnego dnia uczynił ją królową. Cenił ją bardziej niż wszystkie inne dziewice. Wyszła za mąż za nie-Żyda. Nie wiemy, czym i jak zjednała sobie takie uznanie króla. W każdym razie wygrała casting na nową żonę potężnego władcy. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Pobożna świeckość

Prorok Sofoniasz tak mówił do swoich współczesnych i tak też mówi do nas w trzecią niedzielę Adwentu – tzw. niedzielę radości (Gaudete):

W tym dniu powiedzą Jerozolimie:
„Nie bój się, Syjonie!
Nie drżyj ze strachu!”.
Pan, Twój Bóg jest pośród ciebie,
Mocarz – On wybawi!
Będzie się cieszył i weselił tobą,
odnowi cię swoją miłością.
Rozraduje się tobą niezmiernie,
jak w dzień święta.

Bóg cieszy się ludźmi. To stwierdzenie może się wydawać, powiedzmy, za daleko idące, zanadto antropomorfizujące Boga, który jest dlatego wieczny, bo niezmienny. Patrząc na działalność Jezusa i wierząc, że jest Bogiem, który stał się ciałem, zmaterializował się, po prostu Bóg stał się człowiekiem ze wszystkimi tego faktu skutkami, trzeba przyznać rację Johannesowi Schefflerowi, czyli Aniołowi Ślązakowi, który w aforyzmie pt. „Bóg staje się tym, czym nigdy nie był”, w przekładzie Andrzeja Lama, tak mówi:

Niegotowy Bóg się staje w doczesności,
Czym się nigdy nie stał w całej swej wieczności.

A zatem ta niegotowość, niekompletność Boskiej natury nie przynosi Bogu ujmy. Przeciwnie, to uzupełnienie wieczności czasowością, transcendencji immanencją, dopełnia Boga i przywraca stworzeniu godność i piękno dzieła Bożego. Ukazuje w bardziej jasnym świetle zarówno mękę i śmierć Syna Człowieczego, jak też Jego życie i zmartwychwstanie. Uwyraźnia też więź Boga z człowiekiem. W wierszu „Bóg czyni to dla pocałunku” Anioł Ślązak mówi tak:

Czego chce Syn Boży, że w taką nędzę wpada
I krzyż taki ciężki na ramiona wkłada?
I że aż do śmierci się trwoży bez ratunku?
On pragnie tego właśnie, twego pocałunku.

Przeżywając Adwent, kiedy dopiero przed nami wielkie dzieła Boże, z pewnością warto przychylniejszym okiem popatrzeć na życie codzienne Jezusa i Jego Rodziców. Przecież było to życie, wbrew apokryfom, całkiem świeckie i dlatego pobożne. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Okruch z Biblii Ekumenicznej

Kto nie wyrzeka się wszystkiego bez wyjątku w chwili, gdy myśli o Bogu, nadaje imię Boga jednemu ze swoich bożyszcz.

SIMONE WEIL

Jeśli poznałeś oświecenie, to go nie znasz.

SHIDO MUNAN

Wybrał PIOTR SIKORA

Piszę ten okruch z Betlejem. Z pielgrzymki ekumenicznej łódzkich Kościołów. Jest nas tu razem 307 osób: katolików, prawosławnych, luteran, kalwinów, baptystów; są jeszcze pojedyncze osoby z innych wspólnot chrześcijańskich. Pielgrzymka trwa tydzień. Byliśmy już razem w Nazarecie, na Taborze, w Cezarei Filipowej, na Jeziorze Galilejskim, w Kafarnaum i w miejscu chrztu Pana Jezusa w Jordanie. Jutro idziemy na Drogę Krzyżową ulicami starej Jerozolimy. Na koniec będziemy w Wieczerniku – by błagać o nową i nieustanną Pięćdziesiątnicę. Pielgrzymka ma oczywiście więcej punktów – ale te przeżywamy razem – zasadniczo na Liturgii Słowa (trwającej za każdym razem nieco ponad godzinę). Oczywiście jest też okazją do spotkań nieformalnych, choćby przy stole, przy zwykłej rozmowie.

Podczas wszystkich modlitw, tych przeżywanych wspólnie, jak i odrębnie w poszczególnych wspólnotach eklezjalnych (oraz na indywidualnej medytacji), posługujemy się Biblią Ekumeniczną – oddanym nam do ręki w tym roku polskim przekładem Pisma Świętego zaakceptowanym przez dziesięć Kościołów w Polsce.

Każdy przekład niesie ze sobą nowe odkrycia, ten również. Chcę się podzielić jednym. Podczas pielgrzymki mieliśmy – każdy z nas – godzinę czasu na osobistą lekturę Pisma na Górze Błogosławieństw. Mając tyle czasu, postanowiłem czytać Jezusowe Kazanie na Górze w wersji św. Mateusza (Mt 5-7). Miałem nadzieję doczytać do końca. Nie udało się. Już pierwszy rozdział tego tekstu okazał się tak absorbujący i bogaty, że nie było nawet co marzyć o przejściu do dwóch kolejnych.

Uderzył mnie już sam tekst otwierających Kazanie Ośmiu Błogosławieństw. Siódme z nich zostało w ekumenicznym przekładzie zapisane tak: „Błogosławieni, którzy krzewią pokój, bo oni będą nazwani synami Bożymi” (Mt 5, 9).

Co za piękny i znaczący zwrot – krzewić pokój. Przywołuje na wyobraźnię obraz sadzenia rośliny, zapuszczenia korzeni, głębokiego zakorzenienia. Kto krzewi pokój, chce z nim docierać do ludzkiego wnętrza, do serca osoby. Nie zadowala się żadną powierzchowną formą rozejmu czy chwilowego „braku wojny”. Niby rzeczy wydają się załatwione, ale wystarczy moment, byle pretekst, chwilowe wzburzenie, by wrócić w dawne koleiny wojny.

Biblia Ekumeniczna odsyła w tym miejscu do wersetu Listu do Hebrajczyków: „Szukajcie we wszystkim pokoju i uświęcenia, bez którego nikt nie będzie oglądał Pana” (Hbr 12, 14). To pozwala wrócić do tekstu Błogosławieństw, z których szóste brzmi: „Błogosławieni czystego serca, bo oni zobaczą Boga” (Mt 5, 8).

Oglądanie Boga jest więc obiecane tym, którzy dbają o czystość serca i którzy budują swoją świętość szukając pokoju. Pokój jest owocem czystego serca. Czynią pokój ci, którzy krzewią go w sercach. Nie sięgając serca, pokój nie jest jeszcze zakorzeniony.

Ci, którzy krzewią pokój, są dziećmi Bożymi. Ci, którzy tkwią w wojnie i nienawiści – nie mogą Go oglądać. Nienawiść i wojna w imię Boga są bluźnierstwem. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (16 – 23 XII)

3. niedziela Adwentu – Gaudete: So 3, 14-18; Iz 12, 2-6; Flp 4, 4-7; Łk 3, 10-18;
Poniedziałek: Rdz 49, 1a. 2. 8-10; Ps 72; Mt 1, 1-17;
Wtorek: Jr 23, 5-8; Ps 72; Mt 1, 18-24;
Środa: Sdz 13, 2-7. 24-25a; Ps 71; Łk 1, 5-25;
Czwartek: Iz 7, 10-14; Ps 24; Łk 1, 26-38;
Piątek: PnP 2, 8-14; Ps 33; Łk 1, 39-45;
Sobota: 1 Sm 1, 24-28; 1 Sm 2; Łk 1, 46-56;
4. niedziela Adwentu: Mi 5, 1-4a; Ps 80; Hbr 10, 5-10; Łk 1, 39-45.

ELEKTROWSTRZĄS

JOANNA MAĆKOWIAK-PANDERA:

Sprzedawcom prądu przez lata nie udało się stworzyć nawet wzoru rachunku, z którego klient potrafiłby wyczytać, co i ile go kosztuje.

MAREK RABIJ: Prąd podrożeje?

JOANNA MAĆKOWIAK-PANDERA: Zapewne tak. Nie jestem wróżką ani prezesem Urzędu Regulacji Energetyki, ale już nawet Ministerstwo Energii przekonuje, że nie da się tego uniknąć, i zapowiada dopłaty do rachunków, żeby się Polacy nie zdenerwowali.

Gdy politycy zapowiadają podwyżki w roku wyborczym, to znak, że musi być fatalnie, zwłaszcza że mowa o skoku cen nawet o 30 proc. Dlatego muszę zadać pytanie z tezą: jak bardzo źle ma się polska energetyka?

Nie będę pana ani czytelników zarzucać danymi o mocach produkcyjnych polskich elektrowni, zapotrzebowaniu na prąd i tak dalej. To wszystko można znaleźć w internecie.

A wracając do pytania – nie jest dobrze. Nie tylko dlatego, że mamy przestarzałe elektrownie, które nie potrafią już zaspokoić potrzeb energetycznych kraju. Problemem jest także to, że debata o kierunkach rozwoju energetyki nawet nie zaczęła się toczyć wokół fundamentalnych kwestii, czyli tego, jak produkować więcej prądu w sposób możliwie jak najmniej uciążliwy dla środowiska naturalnego, za rozsądne pieniądze i z zachowaniem czegoś, co nazywa się energetyczną niezależnością. To są dziś trzy filary bezpieczeństwa energetycznego każdego kraju.

Dyskusja o przyszłości energetyki bardzo się u nas zideologizowała.

Mamy rzeczywiście do czynienia z czymś na kształt kłótni ekstremistów, przestaliśmy się zastanawiać nad opcjami pośrednimi.

Po jednej stronie słychać radykalnych zwolenników odejścia od paliw kopalnych w ciągu kilku lat, po drugiej – równie ortodoksyjnych zwolenników utrzymania węgla przez następne 50 lat. Ci ostatni bronią tezy, że odejście od węgla skończy się dla Polski katastrofą, uzależnieniem od rosyjskiego gazu, niemieckich wiatraków i grozi nam wielka awaria systemu, bo nie zawsze wieje i nie zawsze słońce świeci. Ten spór utrudnia prawdziwą dyskusję o tym, jak modernizować polskie elektrownie, jak ograniczać ich oddziaływanie na środowisko, jak zapewnić stabilne dostawy prądu. Emocje paraliżują.

Są i tacy, którzy twierdzą, że energetyki ze źródeł odnawialnych w Polsce rozwijać się nie opłaca. Sorry, taki klimat, nie wieje i nie świeci na tyle porządnie, a i góry nie na tyle wysokie, żeby energetyka wodna miała rację bytu.

O tym właśnie mówię. Faktycznie, nie jesteśmy Hiszpanią i panele słoneczne produkują u nas o jakieś 25 proc. energii mniej niż na południu Europy.

Ale czy tylko z tego powodu mamy odpuścić pozostałe 75 proc.?

Nie zbudujemy również energetyki wodnej na skalę zbliżoną do norweskiej, ani farm wiatrowych o mocy porównywalnej z brytyjskimi. Ale to przecież nie pozbawia całkowicie sensu inwestycji w energię ze źródeł odnawialnych.

Powinniśmy szukać kompromisu między tym, co mamy obecnie, i tym, do czego zmierzamy?

Nie nazywałabym tego kompromisem, lecz ewolucją. W sposób możliwie najbardziej bezbolesny – i dla środowiska, i dla odbiorców, i dla gospodarki – powinniśmy odchodzić od prądu wytwarzanego z węgla. W tej chwili udział tego surowca w produkcji energii oscyluje na poziomie 78 proc. Jesteśmy tym samym trzecim na świecie krajem najbardziej uzależnionym od węgla. Już samo to stanowi potencjalne zagrożenie. O kosztach środowiskowych nie wspomnę.

Na szczycie klimatycznym w Katowicach prezydent Andrzej Duda uspokajał, że polskiego węgla wystarczy nam na 200 lat. Rząd go wprawdzie hamuje w tym kopalnianym optymizmie, ale szacuje możliwości eksploatacji złóż na ok. 50 lat – i to jest właśnie perspektywa, w której ma się dokonać w miarę bezboleśnie nasz energetyczny rozwód z paliwami kopalnymi.

No to przyjrzyjmy się bliżej słowu „bezboleśnie". Węgla mamy rzeczywiście dużo, ale tego, który można wydobyć po rozsądnych kosztach – znacznie mniej. Państwowy Instytut Geologiczny podaje, że najwyżej 15 proc. polskich złóż ma obecnie potencjał eksploatacyjny. Przy dzisiejszych technologiach górniczych i cenach surowca pułapem opłacalności eksploatacji złoża jest głębokość około 1000 metrów. Są kraje, gdzie węgiel kamienny znajduje się niemal przy powierzchni, lub z dala od gęsto zaludnionych terenów, gdzie nie istnieje ryzyko wystąpienia szkód górniczych.

Zresztą jak ten węgiel jest pod ziemią, to nikt go nam przecież nie zabierze. Zawsze można wrócić do jego eksploatacji, kiedy zmienią się uwarunkowania i pojawią technologie, które umożliwią produkcję czystej energii z tego surowca.

Podobna sytuacja kilka lat temu miała miejsce na rynku ropy naftowej. Cena baryłki wzrosła powyżej ↦

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

100 dolarów i nagle okazało się, że ropy, do której warto się dowiercić, jest na świecie znacznie więcej, niż się wydawało kilka lat wcześniej.

Na rewolucję na rynku ropy miały wpływ głównie Stany Zjednoczone, które rozwinęły innowacyjną technologię pozyskiwania ropy z łupków i w krótkim czasie stały się liderem tego rynku. Węgiel jest jednak innym produktem, bo nas ten surowiec interesuje tak długo, jak można go zdobyć w kraju. Paradoks polega na tym, że węgla w Polsce wydobywamy coraz mniej i jest droższy niż sprowadzany np. z Rosji. A przecież nasze koncerny energetyczne nie mogą kupować droższego węgla tylko dlatego, że jest polski, bo zarząd mógłby być posądzony o działanie na szkodę spółki. Dlatego największe firmy energetyczne zaczynają szukać alternatywnych, mniej ryzykownych finansowo sposobów wytwarzania energii.

Mogą być tańsze?

Tak. Dlatego szkoda, że polskie firmy energetyczne w tak niewielkim stopniu inwestują w energetykę solarną, skoro koszt jednej megawatogodziny prądu wytworzonego tą metodą spadł do ok. 280-300 zł, czyli do poziomu kosztów produkcji z paliw kopalnych. Za produkcję energii ze Słońca się nie płaci, tu istotne są tylko koszty inwestycji, nadal wysokie, ale w ostatnich latach i one spadły o 90 proc.Dla firmy to mniejsze ryzyko niż zmienne ceny gazu, węgla, CO_2. Do tego polski system energetyczny potrzebuje energetyki solarnej latem, gdy zużywamy dużo prądu, a elektrownie węglowe nie pracują, bo są remontowane lub mają problemy z chłodzeniem. Ważne są też koszty zewnętrzne – np. leczenia schorzeń związanych z zanieczyszczeniem powietrza. Częściowo są one zawarte w kosztach uprawnień do emisji CO_2, które wzrosły ostatnio o 300 proc. Utrzymanie dużego wykorzystania węgla i gazu w ciepłownictwie i energetyce może zatem prowadzić do wzrostu importu surowców np. z Rosji. Nie ma paliwa idealnego, ale trzeba przemyśleć inwestycje, abyśmy nie obudzili się nagle z energetyką opartą na węglu i gazie z zagranicy, wysokimi kosztami i kryzysem społecznym, bo odejście od tego modelu będzie oznaczało ponowne inwestycje i jeszcze wyższe koszty.

Do końca roku import rosyjskiego węgla do Polski może sięgnąć nawet 17 mln ton, czyli blisko 25 proc. krajowego wydobycia. Ale podwyżki cen, które zapowiada branża, mają przecież sfinansować także inwestycje w odnawialne źródła energii.

Te podwyżki nie mają związku z inwestycjami w źródła odnawialne – wprost przeciwnie. Przyczyną wzrostu cen są wysokie ceny węgla, uprawnień do emisji CO_2 oraz coraz mniejsza konkurencja na polskim rynku energii, z którego wiele firm się w ostatnim czasie wycofało.

Co roku mamy do czynienia z dwoma szczytami poboru energii, letnim oraz zimowym. Z tym ostatnim branża sobie radzi, ale letni – spowodowany zwiększonym zużyciem prądu przez urządzenia chłodnicze – jest dla tradycyjnej energetyki węglowej coraz trudniejszy do obsłużenia. Elektrownie węglowe muszą używać dużo wody do chłodzenia. Coraz bardziej upalne lata coraz częściej łączą się w Polsce z suszą, niskim poziomem wody, a wtedy ryzyko zawału sieci energetycznej znacząco wzrasta.

FORUM ENERGII

Szkoda, że polskie firmy **tak mało inwestują w energetykę słoneczną.** Koszt megawatogodziny prądu wytworzonego tą metodą spadł już do poziomu kosztów produkcji z paliw kopalnych.

DR JOANNA MAĆKOWIAK-PANDERA jest ekspertką do spraw energetyki i klimatu. W latach 2011-15 była wiceministrem środowiska. Obecnie kieruje ośrodkiem badawczo-doradczym Forum Energii.

Unika Pani terminu „blackout".

Zarządzanie przez strach nie jest metodą wspierającą racjonalne decyzje. Bo od lat straszy się blackoutem, żeby wymusić pewne inwestycje.

Poważne przeciążenie sieci energetycznej, które na dłużej odetnie od prądu całe obszary Polski, to chyba realne zagrożenie?

Nie twierdzę, że wymyślili je jacyś cynicy od komunikacji i marketingu. Operator systemu na pewno częściej, niż nam się zdaje, znajduje się w sytuacji, gdy musi podejmować gwałtowne działania i uruchamiać rezerwy. Ale tego straszaka się w Polsce nadużywa. Tzw. rynek mocy również wprowadzono z uzasadnieniem, że jeśli go nie będzie, grozi nam blackout. Słyszeliśmy, że bezpieczeństwo nie ma ceny, co właśnie teraz szybko się weryfikuje.

Wydaje mi się, że od sytuacji, w której naprawdę zajrzy nam w oczy widmo blackoutu, jeszcze trochę nas dzieli. Na razie doświadczyliśmy jedynie tzw. brownoutu, czyli konieczności wprowadzenia limitów konsumpcji energii dla odbiorców, głównie dużych zakładów przemysłowych. Stało się to latem 2015 r. Od tej pory nasza energetyka sobie radzi lepiej, wprowadzono mechanizm redukcji popytu, gdzie przemysł na wezwanie może ograniczyć konsumpcję energii. Pojawiają się inwestycje w źródła solarne, odblokowano również połączenia transgraniczne, np. z Niemcami, pojawiły się nowe moce węglowe. Tym samym ryzyko blackoutu nieco się oddaliło, ale system energetyczny jest nadal wrażliwy, energii nie da się na większą skalę magazynować, więc wystarczy awaria dużej jednostki i sytuacja może się gwałtownie pogorszyć. Zapotrzebowanie na prąd rośnie, bo gospodarka się rozwija, a ponieważ energia w ostatnich latach była relatywnie tania, nie inwestowaliśmy wiele w efektywność energetyczną, zwłaszcza w przemyśle, bo się nie opłacało.

Minister energii Krzysztof Tchórzewski zapewnia jednak, że do 2030 r. ograniczymy udział węgla w produkcji energii do 60 proc. Myśli Pani, że to niewykonalne?

Przeciwnie – uważam, że możemy przez tych 11 lat zrobić więcej, o ile przestaniemy myśleć, że się nie da, szczególnie w ciepłownictwie. W Polsce od lat obowiązuje w debacie na temat przyszłości energetyki „niedasizm". Potrzeba zmian, ale nas nie stać, bo wysokie bezrobocie na Śląsku, bo słaby wzrost gospodarczy, bo ktoś zaprotestuje... Polityka energetyczna od lat koncentruje się na tym, żeby nic się nie zmieniło. Efekt jest taki, że rosnące zapotrzebowanie na prąd pokrywamy trochę z importu energii, z wiatraków, z gazu, choć decydenci twierdzą, że absolutnie właśnie tego nie chcą.

Będą za to dopłaty do rachunków za prąd.

Analizowaliśmy ten pomysł w Forum Energii. Naszym zdaniem te 4-5 mld zł rocznie można by wydawać mądrzej. Część pieniędzy powinna pójść rzeczywiście na dopłaty do rachunków, ale tylko dla najuboższych. Czeka nas duża dyskusja, jak sprawiedliwie podzielić się kosztami transformacji energetycznej. Nie można w Warszawie wzruszać ramionami i twierdzić, że 400 zł podwyżki za prąd rocznie to nic takiego. Dla emerytów, samotnych matek z dziećmi to dużo pieniędzy. Nie można też upierać się, że nas nie stać na zmiany. Przecież polski system energetyczny powstawał w znacznie trudniejszych warunkach głębokiego powojennego kryzysu, a jakoś nikt nie zastanawiał się wtedy, czy nas stać na elektryfikację.

Pomysły rządu na modernizację przedstawione w Polityce Energetycznej są tylko pozornie zielone. Gdy się te założenia zestawi z konkretnymi decyzjami, całość niestety blednie. Mamy propozycję likwidacji energetyki wiatrowej – najtańszej obecnie formy wytwarzania energii na lądzie, ogłoszoną w dodatku w momencie, gdy ceny prądu z farm wiatrowych sięgnęły rekordowo niskich poziomów. Wraca też pomysł budowy elektrowni jądrowej, choć jest to obecnie najdroższa forma wytwarzania energii. Poza tym Europa ma w tej materii niedobre doświadczenia: jest mało firm, które mogłyby sprostać temu zadaniu, a wszystkie budowy trwają i kosztują więcej, niż zakładano.

„Financial Times" kilkanaście miesięcy temu analizował kontrakt Chińczyków na rozbudowę brytyjskiej elektrowni atomowej Hinkley Point. Strona chińska zastrzegła sobie cenę 92,50 funtów za megawatogodzinę, podczas gdy dwie inne firmy zaoferowały Londynowi budowę morskich farm wiatrowych z gwarantowaną ceną 57,50 funtów na lata 2022-23.

No i nie zapominajmy o nastrojach społecznych. Nieprzypadkowo żadnemu polskiemu rządowi nie udało się nawet wyznaczyć miejsca pod budowę elektrowni atomowej.

Energetyka ofiarą swoich klientów?

W Polsce liberalizacja rynku energii przebiega bardzo powoli. Po 1989 r. szybki kurs z gry podaży i popytu zafundowano nam w sklepach, na rynku pracy, nieoficjalnie nawet w ochronie zdrowia i edukacji. Tylko w energetyce i górnictwie nie działo się wiele. Nie było klienta, tylko bierny odbiorca, który miał wiele obowiązków i mało praw.

Nadal nie ma rzecznika praw konsumentów energii, więc w tworzeniu legislacji Kowalskiego nikt aktywnie nie reprezentuje. Firmy energetyczne natomiast świetnie sobie radzą, mają duże budżety na komunikację. Poza tym te skomplikowane kilowaty, sieci, algorytmy powodowały, że energetyką mało kto się interesował. Sprzedawcom prądu przez lata nie udało się nawet stworzyć wzoru rachunku za prąd, z którego klient potrafiłby wyczytać, co i ile go kosztuje i jak mógłby płacić mniej. Do tej pory mało interesowaliśmy się energetyką, bo jej nie rozumieliśmy. Ale presja społeczna pod wpływem smogu i kosztów będzie rosła.

Polski sektor energetyczny jest nie tylko niedoinwestowany. Jest mało transparentny i zbyt skoncentrowany. Dominuje narracja, że to, co jest w interesie spółek, jest dobrem nadrzędnym całego społeczeństwa.

Za wzrost cen energii odpowiada jednak duży skok kosztów zakupu certyfikatów emisji CO_2. Nikt się nie spodziewał, że w ciągu roku podrożeją o prawie 300 proc.

Jeżeli się nikt nie spodziewał, to niedobrze. To znaczy, że nie śledził dyskusji na temat reformy systemu handlu emisjami. Mechanizm certyfikatów skonstruowano przecież tak, aby nie opłacało się inwestować w źródła emitujące dużo CO_2 i innych zanieczyszczeń. Dla decydentów to był szok, ale także sygnał, że żarty się skończyły.

Jaki zatem, według Pani, jest przepis na idealny miks energetyczny dla Polski?

Powinniśmy za wszelką cenę unikać ekstremizmu. Naszym celem są stabilne dostawy prądu po umiarkowanej cenie. Prąd, który pozwoli się rozwijać krajowi, ale też czyste środowisko, powstrzymanie zmian klimatycznych oraz energetyczna niezależność. Żaden z tych celów nie powinien być traktowany jako nadrzędny, bo musimy realizować wszystkie jednocześnie. Energetyka na świecie szybko się zmienia i powinniśmy pozwalać na innowacje i kreatywną dyskusję, jak unowocześnić system energetyczny. Dlatego im szybciej zbudujemy system oparty na kilku źródłach, tym dla nas lepiej. Skoro, jak Ministerstwo Energii zapowiada, modernizacja będzie nas kosztowała 400 mld zł, zaplanujmy sensownie te inwestycje. Ważne, aby planując myśleć o przyszłych pokoleniach.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

POŻEGNANIE

Justynie Dąbrowskiej

składamy wyrazy współczucia z powodu śmierci mamy

Ireny Lewandowskiej

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"

Jesteśmy przy Tobie, Justyno!

Zagłębie na jałowym biegu

OLGA DRENDA

Jak się żyje w regionie, który nikogo nie obchodzi? Ruchu na ulicy nie przywróci tam nowa nawierzchnia czy efektowne oświetlenie.

„Co to w ogóle jest Zawiercie?" – usłyszałam przypadkiem w pociągu dalekobieżnym z Katowic, jadącym – jak wiele innych – przez tę stację. Podobną anegdotą dzieli się ze mną zagłębianka Anna Cieplak, która na wysokości stacji Będzin Miasto podsłuchała komentarz pasażera: „Będzin? A to w ogóle jest miasto?". Gdy chce się zirytować czeladzianina, należy mu powiedzieć: „Spotkajmy się na dworcu" (Czeladź ominęła kolej pasażerska). Sosnowiec przynajmniej ma to, co Anglosasi nazywają *self-deprecating humour*, rodzaj śmiechu przez łzy: sprzedaje hanysom, czyli Ślązakom (z którymi mieszkańców Zagłębia dzielą legendarne animozje) popularny gadżet, „majtki z Sosnowca". Gdy w Pałacu Schöna zorganizowano wystawę malarstwa o tytule zaczerpniętym z wiersza Marcina Barana, „Kobieta jest jak Sosnowiec", ktoś dopisał na reklamującym wydarzenie banerze: „chyba twoja".

Jak żyje się w regionie, który nikogo nie obchodzi? Aby się dowiedzieć, jadę do Magdaleny Okraski, redaktorki kwartalnika „Nowy Obywatel", autorki reportażu „Ziemia jałowa. Opowieść o Zagłębiu", osoby od dawna zaangażowanej w inicjatywy społeczne.

Za Brynicą, za granicą

Naturalną granicę między Śląskiem a Zagłębiem wyznaczają rzeki Brynica i Czarna Przemsza. To w Sosnowcu znajduje się Trójkąt Trzech Cesarzy, niegdyś punkt, w którym zbiegały się wszystkie zabory. Ale łatwo zauważyć różnicę z okna pociągu, gdy jedzie się z Katowic: zmienia się architektura, jakbyśmy wjechali do małej Łodzi. To kraina Staszica, kolei warszawsko-wiedeńskiej, Polski wielokulturowej, ale też prowizorycznie budowanych dzielnic dojmującej nędzy z czasów międzywojnia. Robi się „kongresowo", choć pozostajemy w jednym województwie i przemieszczamy się między przemysłowymi miastami. I, nawet na pierwszy rzut oka, jakby smutniej.

Z Magdaleną Okraską spotykam się w pizzerii przy wyremontowanym budynku dworca. Cała stacja i jej otoczenie robi dobre wrażenie: schludne, przyjazne miasteczko – choć niedaleko zaczyna się Marszałkowska, niegdysiejsza ulica handlowa, dziś pełna pustostanów i niedogrzanych mieszkań dla ledwie wiążących koniec z końcem lokatorów. Ale na razie jest wczesne popołudnie, lokal jest pełen nastolatków wcinających pizzę. Myślę sobie: „To dobrze świadczy o mieście, skoro jest kieszonkowe i jest gdzie je wydać". Ale większość młodych nie zostanie tu po maturze. Wciągną ich większe miasta – Katowice, Kraków, przy dobrych wiatrach Sosnowiec, gdzie są miejsca pracy i uczelnie.

„Ziemia jałowa" opowiada o przyczynach tego stanu rzeczy: o miastach, w których wszystko powstało dzięki przemysłowi i dla niego, i w których wyłączono napędzający rzeczywistość silnik. To osobiste rozliczenie z beztroską władzy po roku 1989. – Piszę o miejscu, w którym mieszkam, o rzeczywistości, którą znam. Ale Zawiercie, i Zagłębie w ogóle, jest też przykładem, modelową historią o tym, co się dzieje, gdy w mieście, w którym życie opiera się na przemyśle, tego przemysłu zabraknie. Można byłoby podstawić w jego miejsce na przykład Tarnobrzeg po zamknięciu kopalni siarki – mówi autorka.

Był to rejon przemysłu ciężkiego, hut, w mniejszym stopniu kopalń, ale też włókiennictwa. W Sosnowcu nowoczesne jak na swoje czasy zakłady Wanda upadły błyskawicznie z powodu wojny w Zatoce Perskiej, uniemożliwiającej fabryce realizację kontraktu z Kuwejtem, od którego zależało wszystko. W Zawierciu istniała przędzalnia pamiętająca jeszcze wiek XIX, ale też Przyjaźń, zupełnie nowa, zbudowana częściowo za środki z NRD. Dziś jedynie pomnik prządki upamiętnia pracę tysięcy robotnic. – Na potrzeby tego zakładu zbudowano całe osiedle Przyjaźń. Na jego przykładzie widać, jak w momencie zamknięcia miejsca pracy kończy się wszystko: usługi publiczne, możliwość socjalizacji, kultura, dostęp do opieki zdrowotnej. W takiej miejscowości podstawa to praca możliwie blisko domu, nie tylko praca w ogóle – wyjaśnia Magdalena Okraska.

W cieniu śląskiego brata

Zagłębie to miejsce, które jak sejsmograf reaguje na wahnięcia ekonomii. Było tak już przed II wojną światową: najbardziej wstrząsające reportaże literackie poświęcone ubóstwu robotników w czasach Wielkiego Kryzysu dotyczą właśnie Zawiercia. Podobnie po roku 1989 polityka prywatyzacyjna sprawiła, że w regionie wszystko rozsypało się jak domek z kart. Pierwszym ciosem dla regionu były szokowe reformy Balcerowicza, które wymusiły na nieprzygotowanych do tego polskich przedsiębiorstwach dołączenie do konkurencji rynkowej. – Dążono do tego, by jak najszybciej wyjść z zależności od RWPG, żeby złotówka była wymienialna, szybko otwarto się na eksport. Na skutek tego wyprzedawano przedsiębiorstwa dobrze prosperujące, czasami za 5 proc. ich wartości. Zakłady zamykano z powodu domniemanej nierentowności, która często była pretekstowa. Nie można mówić, że nic się nie działo, że ludzie stali, leżeli i dostawali za to pieniądze. Zakłady produkujące gwoździe na Borowym Polu, które teraz wyglądają jak czarnobylski szkielet, eksportowały na Bliski Wschód czy do Maroka. Nie brano pod uwagę w ogóle unowocześniania produkcji czy alternatywnych scenariuszy, bliższych modelu szwedzkiego czy fińskiego. Wybrano najgorszą możliwą opcję – mówi Okraska.

Kiedy zabrakło pracy, ludzie zaczęli się wyprowadzać. Ci, którzy przyjechali tu w latach 70., gdy o Zagłębie dbał sosnowiczanin Edward Gierek, przeprowadzili się gdzie indziej lub wrócili w dawne miejsca zamieszkania. Pozostali pracują często na Śląsku, w Katowicach i Gliwicach, do których lokalny pociąg kursuje najczęściej. – Życie w cieniu wielkiego brata ma swoje

wady. Śląsk poradził sobie lepiej, bo miał więcej górnictwa, przemysłu, w którym pracownicy są bardzo zorganizowani pod względem związkowym. Zagłębiacy również są zdeterminowani i nie poddają się łatwo, ale trudniej jest walczyć, gdy nikt nie chce słuchać – tłumaczy Okraska.

Miastu zaszkodziła też reforma administracyjna z roku 2000, choć stało się siedzibą powiatu. W raporcie Instytutu Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN z 2016 r. Zawiercie spełnia cztery z siedmiu kryteriów utraty ważnych funkcji przez miasta średniej wielkości. – Swojego położenia na mapie przecież nie zmieniło, ale województwo śląskie jest o wiele większe niż dawne katowickie, pieniądze są więc inaczej dzielone, a do podziału środków, zaszczytów i instytucji jest więcej chętnych. Powiat pozwala się niby rządzić lokalnie, ale biedny powiat oznacza małe środki, tym bardziej że nie ma przemysłu, więc i podatków. Uciekła stąd np. jedyna szkoła wyższa – wyjaśnia autorka „Ziemi jałowej". Spowodowało to drenaż mózgów, zwłaszcza młodzieży natychmiast po maturze, do większych miast. Zdarza się, że ludzie dojeżdżają z Zawiercia do Gliwic (75 km), bo nie ma ofert pracy nigdzie bliżej – mówi Magdalena Okraska. Faktycznie, gdy wracamy na stację, przyjeżdżają dwa popołudniowe pociągi z Gliwic. Rzeka pasażerów wydaje się nie mieć końca, i tylko część z nich wygląda na studentów.

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA GAZETA

Izba tradycji Przedsiębiorstwa Komunikacji Miejskiej Sosnowiec w Będzinie, marzec 2014 r.

Karnawał za odprawę

W drugim najbardziej dotkliwym dla regionu okresie, pod koniec lat 90., zamykano zagłębiowskie kopalnie: Sosnowiec (w której często górników wizytował Edward Gierek), Jowisz czy Niwka-Modrzejów. Rządy AWS-UW zapisały się ponurą kartą w pamięci mieszkańców. Huta Katowice w Dąbrowie Górniczej, symbol „drugiej Polski" lat 70., której monumentalną konstrukcję pamiętamy z „Człowieka z marmuru", niemal upadła na przełomie wieków; w końcu wykupuje ją potężny koncern ArcelorMittal. – Kiedy zlikwidowano przemysł ciężki, spadło zapotrzebowanie na energię, czym usprawiedliwiano zamykanie kopalni. Za tym poszły tragedie tysięcy ludzi i złe decyzje ekonomiczne – mówi Okraska.

Masowo redukowano zatrudnienie, namawiając do dobrowolnych odejść i na pociechę oferując zwolnionym chwilę karnawału dzięki odprawom. Pod centra handlowe, jak kolosalne czeladzkie M1, które otwierano wówczas z nadzieją na miejsca pracy, podjeżdżały lśniące nowością samochody popularnej wówczas marki Daewoo, remontowano mieszkania, kupowano telewizory. Świętowanie trwało krótko: gdy kończyły się pieniądze, szybko okazywało się, że dalej nie ma nic, nie ma alternatywy, nie ma żadnego miękkiego lądowania, nie ma dokąd iść. Miejscowości, w których usługi, handel, edukacja, kultura opierały się na współistnieniu z fabrykami, kopalniami, hutami – popadały w hibernację. Znikały nie tylko miejsca pracy, ale załamywał się cały rytm życia, rozluźniały się więzi międzyludzkie, topniało poczucie sensu.

W tym czasie, opisanym świetnie przez Annę Cieplak w „Latach powyżej zera" (z perspektywy „Będzina", mówiąc dokładniej), „brama na Jurę" była dla mnie częstym punktem przesiadkowym ↦

↦ podczas nastoletnich wycieczek na skały i szlak Orlich Gniazd. Zapamiętałam dworzec PKS, jakby zamrożony w czasie: przestronna hala, nad kasami wielkie socrealistyczne malowidło (obecnie znajduje się w muzeum w Kozłówce), w prowizorycznej toalecie – mycie rąk płatne dodatkowo. Ale to, co najważniejsze, czyli pekaesy, zwykle stare jelcze z czasów Gierka, jeździły dość regularnie, na tyle, by bezproblemowo zorganizować jednodniową wycieczkę.

Zresztą ciekawe jest samo Zawiercie, nie ma co prawda tyle do zaoferowania co Sosnowiec, ale mimo to ma swoje skarby: są tu stare osiedla patronackie, gdzie na podwórkach przy prażonkach, lokalnym daniu, latem kwitnie życie sąsiedzkie. Są źródła Warty w Kromołowie, trochę międzywojennego modernizmu, ciekawa bryła domu kultury, stara kawiarnia Bocianówka w jednym z wielu zadbanych parków w starym stylu. – Miasto leży u stóp Jury, ale tego nie ogrywa. Nie widzi się ludzi zwiedzających Zawiercie, choć można znaleźć tu ciekawe miejsca, stare osiedla fabrykanckie. Zamiast tego jadą prosto do agroturystyk – mówi ze smutkiem Magdalena Okraska.

Nie ma też pekaesów. Miasto jest w klinczu: za blisko większych ośrodków, by nie mówić ludziom „dlaczego nie znajdziecie sobie pracy w Katowicach?!", za daleko, by dojazdy nie były wykańczające i by funkcjonować jako wygodna sypialnia. Za małe na rozbudowaną komunikację miejską w miejscu, gdzie wszystko musi być rentowne, za duże, by przejść je szybko na piechotę. Dlatego usługi publiczne funkcjonują połowicznie, jak w wielu miastach podobnej wielkości.

Połóżmy im kostkę

– Decydenci zaczęli w końcu rozumieć niedawno, że trzeba się jakoś przemieszczać. Dlatego mamy więcej połączeń kolejowych. Tu, gdzie parkują teraz samochody, był plac dla autobusów. PKS Zawiercie za minimalne długi – 2 mln zł, tyle ile miasta wydają czasem na iluminację świąteczną – został zamknięty. Okoliczne miejscowości utraciły kontakt ze światem. Jeżdżą autobusy podmiejskie, ale dość rzadko, i busy prywatne, ale to wolna amerykanka: nie wiadomo, gdzie stają, czy będzie w nich miejsce. W małych i średnich miastach usługi publiczne przechodzą do sfery półumownej. Zakłada się, że wszystko musi zarobić na siebie, do tego wiele spraw ceduje się na mieszkańców, nazywając to ładnie „ekonomią współdzielenia". W ten sposób okazjonalna przysługa staje się usługą komercyjną. Niedawno otwarto tak zwane centrum przesiadkowe. Oczywiście, że to lepiej, niż żeby ludzie cisnęli się na dwóch przystankach bez rozkładu, są zadowoleni, ale to przykład bycia mądrym po szkodzie – wyjaśnia autorka.

Dziś w Sosnowcu uprawia się myślenie magiczne. Przykład: wiara w to, że ruch na Marszałkowskiej, jednej z głównych ulic miasta, przywróci nowa nawierzchnia.

Podobnie nowa kostka brukowa, asfalt, oświetlenie. Dziś miasta próbuje się odnawiać, jak pisał kiedyś Leopold Staff, „zaczynając od dymu z komina", według typowego scenariusza rewitalizacji: w reprezentacyjnych miejscach kładzie się nowy bruk, instaluje się efektowne oświetlenie. Widać to doskonale w Sosnowcu i Dąbrowie Górniczej, gdzie mimo upiększenia ulice handlowe przyciągały głównie banki, apteki i sklepy „wszystko za 4 zł", jedyne firmy, które było stać na czynsz.

Gdy w Zawierciu działały jeszcze przędzalnie, po zakończonej zmianie pracownice szły Marszałkowską, wstępując do licznych tu sklepów i zakładów rzemieślniczych. Dziś uprawia się rodzaj myślenia magicznego, wierząc, że ruch na ulicy przywróci nowa nawierzchnia. Oczywiście, każdy chce mieszkać w ładnym otoczeniu i te zabiegi są ważne, podobnie jak otwarcie małego centrum handlowego, które w większej miejscowości nie jest żadną sensacją, ale tu cieszy klientów zmęczonych dojazdami do Dąbrowy czy Sosnowca. – To świetnie, że się to wszystko robi. Ale dlaczego najpierw wszystko zniszczono, żeby teraz odtworzyć tylko w małym stopniu? Modernizuje się przystanki kolejowe, ale nie ma na nich budki, w której można sobie kupić bilet – rozkłada ręce Magdalena Okraska. – W tej chwili odtrąbia się triumfalnie drobne sprawy, które trzeba było załatwić już dawno. Ale przynajmniej gentryfikacja nam nie grozi – nie ma presji deweloperskiej, bo nikt nie chce tu mieszkać.

Kopalnio, wróć

Miasto, które powstało na rudach cynku i ołowiu, z powodu fabryk i hut, w którym infrastruktura istniała w symbiozie z zakładami pracy, leżące daleko od innych ośrodków, nie zmieni się nagle w krainę usług czy turystyki. W Sosnowcu króluje dziś logistyka; duży magazyn zbudowano dziś w miejscu, w którym symbolicznie po raz pierwszy zburzono centrum handlowe z początku XXI w. Czy ktoś myślał zatem o reindustrializacji? – Mamy specjalną strefę ekonomiczną, która nie produkuje nic specjalnego. Ale od dawna mówi się o tym, że jest kanadyjski inwestor, który chce eksploatować złoża rud. Dałoby to szansę na zatrudnienie na jakieś 15 lat, potencjalnie może tam znaleźć pracę kilka tysięcy osób, ale ludzie boją się, że miasto się zapadnie lub zabraknie wody pitnej – wyjaśnia Okraska. – W Olkuszu opadły wody gruntowe, a zawierciańska huta żelaza, która wciąż działa i której dźwięków lubię słuchać, potrzebuje tej wody. Ludzie wyobrażają sobie wydobycie na wzór węgla kamiennego, z tąpnięciami, zapadnięciami. Uważam, że jeśli założenia się spełnią, to będzie to szansa dla miasta i powiatu, za kopalnią idą różne usługi. Tyle że brakuje nam wykwalifikowanej kadry. Zamykano szkoły przyzakładowe, technika, fachowcy znaleźli lepszą pracę za granicą i okazuje się, że powstała wyrwa pokoleniowa. Kształcenie nie powróci na taką skalę, bo ludzie są zatrudnieni na krótki czas albo od niedawna szkoleni przez konkretne przedsiębiorstwo – tłumaczy reporterka.

W Łazach jest szkoła, która kształci kolejarzy, w Zawierciu jest klasa hutnicza. Bohaterowie reportażu Okraski, uczniowie technikum nie widzą jednak swojej przyszłości w miejscowej hucie. Interesuje ich mechatronika, maszyny precyzyjne. A z takich codziennych, przyziemnych marzeń? Chcieliby mieć McDonaldsa. Najbliższy jest w Dąbrowie, Zawiercie czeka bez skutku na własny od prawie 30 lat.

© OLGA DRENDA

Autorka jest dziennikarką, etnolożką i tłumaczką. Autorka książek: „Duchologia polska. Rzeczy i ludzie w latach transformacji" oraz wydanej jesienią tego roku – „Wyroby. Pomysłowość wokół nas".

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Zaklęte rewiry szpitali

RAFAŁ WOŚ

Outsourcing w placówkach publicznych pozwala na oszczędności, które szybko okazują się złudne, gdy je zestawić z jakością usług – nawet niemedycznych, jak sprzątanie czy gotowanie.

Jeśli jest coś, czego nie potrafimy robić wydajniej, lepiej i taniej od konkurentów, to nie ma sensu, byśmy to robili" – to ponoć cytat z Henry'ego Forda.

Ale niezależnie od tego, kto outsourcing (dosłownie: zlecanie na zewnątrz) faktycznie wymyślił, jedno nie ulega wątpliwości: na obecnym etapie rozwoju gospodarek jest on jednym z najchętniej stosowanych narzędzi. Bańka rośnie mniej więcej od lat 70. XX w. Ostatnio – chwalą się outsourcingowi lobbyści – nawet w tempie 10 proc. rocznie. Jest w takim samochwalstwie branży pewien konkretny cel. Chodzi o przekonanie nas, że w przypadku outsourcingu mamy do czynienia z czymś na kształt wielkiej fali. Nie ma sensu przed nią uciekać ani tym bardziej się jej przeciwstawiać. Jedyne i rozsądne rozwiązanie to wskoczyć na nią i popłynąć.

Zdecydowanie rzadziej nadarza się jednak okazja, by na sprawę popatrzeć od strony osób, które outsourcing spotykają na każdym kroku, czyli większości z nas.

Presja na oszczędności

„Lekarze jeszcze przed operacją czekają, bo nie ma dla nich ubrań. To jest nienormalne, żeby się przed operacją denerwować" – mówi salowa z Krosna. A jej koleżanka z Wrocławia dodaje: „Kiedyś posiłki robiliśmy na miejscu. Jak nam czegoś zabrakło, to podchodziliśmy i nam kuchnia dawała. »Swoje« jedzenie się nie spóźniało. A teraz? Obiad powinien być po 12. A były przypadki, że był po 14. Śniadanie powinno być przed 8. Ale nierzadko jest po 9. A w szpitalu to nie jest tak, że się da poczekać, jak w restauracji. Pielęgniarki muszą podawać leki czy antybiotyki do obiadu i jedzenie musi być punktualnie. To kwestia zdrowia".

Obie wypowiedzi pochodzą z raportu przygotowanego przez Katarzynę Dudę. Ta ekspertka związana z wrocławskim Ośrodkiem Myśli Społecznej im. Ferdynanda Lassalle'a od kilku lat bada zjawisko outsourcingu w Polsce. Tym razem jej raport koncentruje się na służbie zdrowia, ale tylko z pozoru jest pracą czysto ekspercką – bez trudu można by go przerobić na coś w stylu „Zaklętych rewirów" Henryka Worcella. Tamta powieść, wydana w 1936 r. (a sfilmowana w 1975 r. przez Janusza Majewskiego), była sensacją swoich czasów. Pokazała bowiem statecznym krakowskim mieszczanom, że gdy przychodzą do eleganckiej restauracji, to widzą tylko efektowną dekorację, za którą kryje się prawdziwe życie. Podszewka międzywojennej gastronomii pełna ekonomicznych paradoksów i sprzeczności. Dzięki raportowi Katarzyny Dudy możemy dziś doświadczyć czegoś bardzo podobnego.

Pierwsza fala outsourcingu w polskich szpitalach zaczęła się dokładnie dwie dekady temu. Przez całą pierwszą dziesięciolatkę III RP jakoś się one logice rynkowej opierały. Potem jednak rząd Jerzego Buzka dokończył polski skok w kapitalizm. W wyniku reformy, która weszła w życie w 1999 r., szpitale przestały być w prosty sposób dotowane przez państwo. Stały się za to placówkami medycznymi, które powinny nieustannie szukać źródeł dochodów i trzymać w ryzach koszty funkcjonowania. Następne rządy kilkakrotnie zmieniały sposób organizacji polskich szpitali. Ale nie logikę ich działania.

Oczywiście w pierwszej fazie dominowała dość naiwna wiara w słuszność tych ↦

↦ posunięć. Rynek miał przynieść polskiej opiece medycznej wymierne korzyści: wymusić konkurencyjność, zlikwidować przerosty zatrudnienia, poprawić zadowolenie pacjentów, coraz częściej zwanych „klientami". Nie brano pod uwagę, że drugą stroną tego samego medalu będzie ostra presja właścicieli szpitali, czyli samorządu, na oszczędności.

Wtedy do gry wszedł outsourcing. „Podstawą sukcesu firm outsourcingowych nie było to, czym się chwalą – wysoka jakość. Albo jakaś niedostępna dla nas tajemna wiedza. Chodziło o to, żeby wykazać się redukcją zatrudnienia i w większości szpitali to była jedyna przesłanka, na podstawie której firmy outsourcingowe wchodziły" – mówi jeden z rozmówców Dudy, który należał do kadry kierowniczej szpitala wojewódzkiego w Elblągu. W ten sposób polskie szpitale zaczęły się szybko zmieniać. Z punktu widzenia pacjenta wszystko z pozoru pozostawało niezmienione. A tu i ówdzie (remont, nowy sprzęt) może się nawet polepszyło. Ale patrząc od podszewki, zmiany miały charakter fundamentalny.

Niewidzialna ręka sprząta

Outsourcing mógł być niewidzialny, bo dotyczył głównie usług niemedycznych. Chodziło m.in. o sprzątanie, żywienie i szeroko rozumianą logistykę (np. pranie szpitalnej bielizny). Pod koniec lat 90. zatrudnienie stanowiło tu dobrych kilkanaście procent szpitalnego personelu. Dziś spadło do kilku. Dlaczego nie do zera? Tu dochodzimy do ciekawego paradoksu. Pośród przebadanych przez Katarzynę Dudę szpitali jedna trzecia stosuje model mieszany. Oznacza to tyle, że placówki są sprzątane zarówno przez „własne etatowe służby", jak i „firmy zewnętrzne". W większości przypadków zasada jest taka, że „zewnętrzni" sprzątają całość. Natomiast „swoi" tylko miejsca wymagające wyjątkowej higieny. To znaczy sale operacyjne i apteki (co jeszcze da się zrozumieć), lecz także pomieszczenia dyrekcji i administracji szpitala (sic!).

A co ze szpitalami, które drogą outsourcingu nie poszły? Nie ma ich wiele. W badanej przez Dudę próbce wprawdzie mniej niż jedna trzecia nie zleca usług utrzymania czystości na zewnątrz. Jednak ponad połowa z nich robiła to w przeszłości. Co oznacza, że konsekwentnie outsourcingowej fali oparło się ledwie 10 proc. placówek. Jednak i tu nie zawsze jest różowo. Często bywa tak: zadania, które 15 lat temu wykonywały nawet cztery osoby, po redukcjach zatrudnienia muszą wykonywać dwie. Na dodatek często wiele pań sprzątających posiada orzeczenie o niepełnosprawności (można wtedy liczyć na dofinansowanie z PFRON-u).

Outsourcing przyczynia się do zaostrzenia zjawiska, którego okazjonalny pacjent na pierwszy rzut oka dostrzec nie jest w stanie. To upadek statusu i pauperyzacja szpitalnych służb pomocniczych. „Lekarz, pielęgniarka i salowa: to były w dawnych czasach trzy najważniejsze osoby na oddziałach" – mówi jedna z cytowanych w badaniu kobiet. Dziś zamiast części salowych są „sprzątaczki", „pracownicy serwisowi", „pomoce szpitalne" i „robotnicy gospodarczy". Nastąpiło też zerwanie więzi służbowej pomiędzy dawnymi salowymi i pielęgniarkami. Przed 1999 r. na porządku dziennym było wspólne ustalanie grafiku dyżurów oraz zakresu obowiązków. Dziś to dwa osobne światy. „Pielęgniarka powiedziała kiedyś, że jesteśmy odpadami medycznymi" – żali się salowa z Lublina. „Usłyszałyśmy od przewodniczącej związku zawodowego pielęgniarek, że nasza praca jest nieskomplikowana, że wystarczy dać małpie banana i też posprząta" – mówi z kolei salowa z Gorzowa Wielkopolskiego. Albo „kierownictwo nam powiedziało, że nie pracujemy w systemie, więc nie należą się nam takie same prawa".

Wraz z outsourcingiem znacząco pogorszyła się też sytuacja płacowa szpitalnych służb niemedycznych. Osoby zatrudnione przez firmy zewnętrzne otrzymują pensje równe płacy minimalnej. Z własnych kieszeni ponoszą one koszty dojazdów do pracy, które zwykle nie przekraczają 100 zł. Oznacza to, że w rzeczywistości za 160 godzin ciężkiej i odpowiedzialnej pracy fizycznej zostaje im na życie zaledwie 1400 zł. Niski standard płacowy, wyznaczony przez outsourcing, oddziałuje również na pozostałą część rynku. Pracownice zatrudnione bezpośrednio przez szpitale także zarabiają więc najniższą krajową. Ich sytuacja ulegnie w najbliższych latach pewnej poprawie. Choć i to długo nie było takie oczywiste. Gdy w 2017 r. protest rezydentów zmusił rząd do podwyżek w służbie zdrowia, personel niemedyczny został pominięty. Dopisano go do listy dopiero po interwencji prezydenta Dudy i Solidarności.

Od 1999 r. outsourcing usług niemedycznych w polskich szpitalach dwa razy był przedmiotem kontroli NIK. Obie pokazały, że jest to rozwiązanie fatalne. Kontrola z lat 2004-08 łajała za niespójne procedury, brak odpowiedniego sprzętu, niewystarczające przeszkolenie personelu, niewłaściwy skład zespołów kontroli zakażeń. Nawet za zaniżone zużycie środków myjących i dezynfekcyjnych czy zły dobór środków myjących. Druga kontrola (2012-14) zaowocowała nie mniej druzgocącą opinią. Pozostał po niej dokument pouczający szpitale, że outsourcing wpływa na obniżenie poziomu opieki sprawowanej nad pacjentem, wydłuża proces rekonwalescencji, a w skrajnych przypadkach zagraża życiu.

Ukryte koszty

I co? I nic. Albo bardzo niewiele. Podobne wnioski płyną zresztą z poprzedniej publikacji Katarzyny Dudy z roku 2015, w której na zamówienie Ośrodka Lassalle'a badała skalę i skutki, jakie oszczędzanie poprzez outsourcing przynosi w polskich sądach i urzędach wojewódzkich. Wnioski były równie przygnębiające, co w przypadku szpitali.

Honoru outsourcingu nie ratują również odwołania do badań prowadzone przez ekonomiczne autorytety. Takie jak amerykański noblista Oliver Williamson, który Nobla (w 2009 r.) dostał właśnie za badanie faktycznych kosztów związanych z outsourcingiem. Ekonomista pisał, że firmy i instytucje stawiające na outsourcing zazwyczaj zaniżają koszty takiego rozwiązania. Tak bardzo wierzą, że się im to będzie opłacać, że nie widzą takich kosztów jak: poszukiwanie (tego, któremu zlecimy usługę, trzeba znaleźć), selekcja (trzeba porównać z innymi dostępnymi), negocjacje (trzeba z nim dobić targu), pilnowanie (czy outsourcowana usługa ciągle się opłaca) i wreszcie koordynacja tego wszystkiego z istniejącą strukturą urzędu albo firmy.

Jeśli do tych wszystkich kosztów ekonomicznych dodamy społeczne negatywy (jak te opisane przez Dudę na przykładzie szpitali), wychodzi nam dość ponura wizja współczesnego outsourcingu. Zwłaszcza gdy dotyczy usług publicznych. Najbardziej przerażające jest tutaj to, że wszystko niby działa zupełnie racjonalnie i w zgodzie z wolnorynkowymi regułami gry. Ale w efekcie rodzi potwora, do którego nikt się nie chce przyznać. A jednocześnie nikt nie jest na tyle silny, by wystąpić przeciw regułom, które tchnęły w tego Frankensteina życie.

© RAFAŁ WOŚ

ANNA

Dziewit-Meller: *Matka Boska Szopienicka*

Ponieważ niemal cały zgromadzony na COP24 świat chwycił się za głowę słysząc słowa pana prezydenta Andrzeja Dudy, który oznajmił, że mając zapasy węgla na 200 lat, nie możemy niestety przestać z niego korzystać (zresztą po co przestawać, skoro – zdaniem głowy państwa – energetyka oparta na węglu nie stoi w sprzeczności z ochroną klimatu), na pewno w wielu miejscach przeczytacie komentarze do tych wydarzeń. Też je sobie czytałam, stojąc w maseczce antysmogowej na przystanku w centrum Warszawy, myśląc, gdzie też może się znajdować granica zdrowego rozsądku u człowieka wykształconego wszak gruntownie?

Możliwe co prawda, że niepotrzebnie się tak irytuję, bo dla mnie nie ma już wielkiego znaczenia, czy noszę tę maseczkę, czy nie, oraz czy pan prezydent naprawdę głęboko – jak to on – wierzy w ekologiczną moc paliw kopalnych.

Gdy przyszłam na świat w 1981 r., mój dom rodzinny znajdował się w strefie opadu pyłów z najróżniejszych zakładów przemysłowych – od Huty Kościuszko po Zakłady Azotowe w Chorzowie. Nie mam pewności, czy chmury ołowiu z położonej jakieś 10 km od nas Huty Metali Nieżelaznych w Szopienicach też u nas opadały, ale zakładam, że czemu nie, w końcu mama zabraniała nam jeść marchewki z ogródka babci, mówiąc: „sam ołów". Śliwki na drzewach w tym ogrodzie zawsze pokryte były warstwą czarnej mazi, a z piętra domu dobrze widać było żółty dym idący z grubego komina „Azotów" na pola między Chorzowem a Siemianowicami. Z których to pól kapusta i buraki na pewno nie raz lądowały na naszych stołach, więc cóż mi dziś po maseczce.

To, że wiele z nas – śląskich dzieci komuny – nie ma dziś (jeszcze?) bardzo poważnych kłopotów ze zdrowiem, to w wielu przypadkach zasługa mądrych lekarzy pediatrów, którzy wysyłali nas do sanatoriów i uczulali naszych rodziców na możliwe problemy wynikające z adresu zameldowania. Piszę zaś o tym, bo przeczytałam z wielką radością w „Gazecie Katowickiej" o muralu, który właśnie powstał na jednej ze ścian domów w katowickiej dzielnicy Załęże. Przejeżdżający tramwajem z Katowic do Chorzowa zobaczą uśmiechniętą twarz pani doktor Jolanty Wadowskiej-Król – pediatry, która w latach 70., kosztem własnej kariery zawodowej, zajęła się leczeniem szopienickich dzieci, ciężko zatrutych ołowiem.

Nikt wtedy przecież nie mówił głośno o zagrożeniu, więc dzieci mieszkające niedaleko huty bawiły się swobodnie na podwórkach familoków, każdego dnia wchłaniając potężne dawki ołowiu. Gdy do pani doktor trafił mały chłopiec z objawami nawracającej ciężkiej anemii, ta odesłała go w końcu na badania specjalistyczne do Zabrza, do profesor Hager-Małeckiej. Profesor znająca miejscowe realia, zdiagnozowała u dziecka ołowicę, a następnie zleciła doktor Król badania dzieci szopienickich. Skala, na jaką lekarka przeprowadziła te badania, przekroczyła jednak wszelkie oczekiwania. Zwłaszcza że komunistyczne władze nie widziały potrzeby sprawdzania czegokolwiek, w socjalistycznej ojczyźnie nie było miejsca na takie fanaberie. Poczta odmówiła lekarce rozesłania wezwań do dzieci, doktor Król razem ze wspierającą ją pielęgniarką Wiesławą Wilczek chodziły więc osobiście od domu do domu, zachęcając do badań.

Okazało się, że chorych było kilka tysięcy dzieci, prawie 90 proc. z przebadanych 5 tysięcy. Ołowica to choroba potencjalnie śmiertelna, powodująca nie tylko zmiany fizyczne, ale również poważnie opóźniająca rozwój najmłodszych. To, że udało się wysłać ponad 2 tys. z nich do sanatoriów na odtrucie, graniczyło z cudem, zwłaszcza że na działania lekarek władze patrzyły nieprzychylnie. Nigdy na przykład nie umożliwiono doktor Król publikacji doktoratu, poświęconego – a jakże – ołowicy w Szopienicach. Jej starania ostatecznie przyniosły jednak zaskakujące rezultaty – wyniki badań najwyraźniej wstrząsnęły dyrektorem do spraw pracowniczych huty, który zdecydował o przesiedleniu rodzin z chorymi dziećmi do nowych bloków z daleka od huty. Najbardziej zatrute ołowiem domy zostały decyzją huty wyburzone. Starania doktor Król doprowadziły także do założenia nowych filtrów na kominy zakładu (które jednak nocami wyłączano).

Cieszę się więc bardzo, że doktor Wadowska-Król po wielu latach swojej pracy na rzecz pacjentów, schorowanych z powodu ekologicznej katastrofy, w jakiej przyszło im się rodzić i żyć, została teraz wyróżniona. Nie wiem, czy prezydent Duda przejeżdżał koło muralu w drodze na szczyt, ale może mógłby. Wyparcie problemu go nie likwiduje. ©

TP

Kluby „TP" zapraszają

GRUDZIĄDZ
- **poniedziałek, 17 grudnia, godz. 17.00**

Spotkanie „Człowiek jako ostatni destruktor na Ziemi". Gościem będzie dr hab. Ewa Bińczyk. Miejsce: Aula Niepublicznej SP nr 1 (ul. Chełmińska 121).

KRAKÓW
- **czwartek, 13 grudnia, godz. 19.00**

Debata historyków „Trzy światy, jedna Polska. Kraków, Poznań i Warszawa u progu Niepodległej". Gośćmi będą prof. Andrzej Chwalba i prof. Waldemar Łazuga. Miejsce: De Revolutionibus Books & Café (ul. Bracka 14).

RZESZÓW
- **wtorek, 18 grudnia, godz. 19.00**

Spotkanie „Komu potrzebne są mury? O przeszłości i teraźniejszości". Gościem będzie Andrzej Stasiuk. Miejsce: klasztor oo. Dominikanów (ul. Dominikańska 15).

ZIELONA GÓRA,
- **piątek, 21 grudnia, godz. 18.00**

Wieczór wigilijny. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

#przemocwpracy

Mam tu dziesięciu na twoje miejsce.
Zwiń sobie ten raport w rulon i wsadź w d...
Niczego nie potrafisz zrobić dobrze. Jesteś zerem.

TO NIE SĄ „NORMALNE" ODZYWKI SZEFA.
To przemoc w pracy. To mobbing. To łamanie polskiego prawa.

A JEDNAK W NASZYM KRAJU TO WCIĄŻ CODZIENNOŚĆ.
Dlatego chcemy rozpocząć rozmowę na ten temat. Będzie trudna, ale jest konieczna.

BYLIŚCIE PONIŻENI, ZASTRASZENI, WZGARDZENI PRZEZ PRACODAWCĘ?
Opiszcie to z hashtagiem **#przemocwpracy** lub wyślijcie na **przemocwpracy@tygodnik.com.pl**, opublikujemy Wasze świadectwa anonimowo. Napiszcie też, co wtedy czuliście.

POKAŻMY OFIAROM, ŻE NIE SĄ SAME.
A sprawcom, że kończy się ich bezkarność, że zachowania, które uchodziły za dopuszczalne, według pracownic i pracowników są już nie do przyjęcia.

Poniżej kolejne głosy, które otrzymaliśmy od Państwa. Czytaj też raport „Tygodnika" o mobbingu na powszech.net/przemocwpracy

Szef „świetny w dociskaniu"

Po studiach dostałam pracę w jednej z najszybciej rozwijających się spółek lokalnego rynku. Już na początku towarzyszyło mi poczucie rozczarowania: przerzucali mnie pomiędzy działami – tam, gdzie akurat był większy problem. A był wszędzie. Nie oponowałam, i to był początek problemu, bo dostałam szefa, który wcześniej miał pod sobą większy zespół i uchodził za świetnego w „dociskaniu ludzi".

Przez pierwszy tydzień było super. Był miły, dowcipny, ale nie podobało mi się, że przesunął granicę w kierunku „zostańmy kumplami". A potem zaczęły się większe problemy. Nie tak zrobione, nie na czas, do poprawy, a kiedy przychodzisz, a kiedy wychodzisz, a jak długo można robić kawę czy jeść obiad. Ani razu nie było rekompensaty za nadgodziny, a wszystkie uwagi były na granicy przyzwoitości.

Próbowałam się korygować, ale czułam, że uderzam głową w ścianę. Im więcej robiłam, tym bardziej byłam nieodpowiednia. Do tego doszła kwestia urlopu: nigdy nie można go było wziąć. Kuriozalne było to, że z decyzją o wakacjach szef czekał raz do godziny 17 w piątek, a następnie obwinił mnie za to, że nie przypomniałam mu się wcześniej, po czym dodał, że „jak muszę", to mogę na ten urlop iść... Poszłam do jego szefa, chciałam się przenieść. Ale i on nie widział problemu. Inni pracownicy zaczęli mnie unikać. Zwolniłam się. Miałam poczucie beznadziei.

W kolejnym miejscu myślałam, że będzie lepiej. Po raz pierwszy szefowa krzyknęła na mnie po dwóch tygodniach. Znowu poczułam znany ból brzucha, ale postanowiłam tym razem sobie poradzić. Zaczęłam zbierać dowody. Wszyscy mi współczuli, bo znali moją szefową: mobbowała już dziewczyny przede mną, nie było z nią życia. Miałam dość potakiwania, poszłam do działającego w tej firmie związku zawodowego. Następnego dnia zostałam wezwana przez kadrową. Dowiedziałam się, że ze mną nie można współpracować, i co prawda oni wiedzą o ciężkim charakterze szefowej, ale „trzeba się dostosować".

O mobbingu w mojej firmie wiedział każdy: od portiera do prezesa. Ale jedynym pomysłem na przetrwanie przemocowej sytuacji było właśnie dostosowanie się.

ADRIANA (imię zmienione)

„Sam sobie winny"

Moja opowieść o pracy w jednym z dyskontów to historia z małym happy endem: da się wywalczyć swoje.

Problem zaczął się po zmianie kierownika sklepu, który postanowił wprowadzić swoje zasady – niezgodne nawet z wewnętrznym regulaminem firmy. Pewnego popołudnia nie zostałem wypuszczony na przerwę, w dodatku usłyszałem, że sam sobie jestem winny, „bo jakbyś rozładował kolejkę w sklepie, to byś miał czas na przerwę". Nie wytrzymałem: złożyłem skargę na kierownika. I się zaczęło dokręcanie śruby.

Najpierw były ciągłe zmiany w grafiku, potem odmowa udzielenia urlopu, „bo nie ma komu pracować". Postanowiłem zawalczyć o przeniesienie do innego sklepu. Bez skutku: mimo kilkunastu interwencji kierownika wyższego szczebla, mój przełożony mi nie odpuszczał. Zaczęło się wyznaczanie nierealnego limitu czasu na wykonanie poszczególnych zadań, wpisywanie nagan za rzekomo niewykonane czynności. Jak na te praktyki reagowały zastępczynie kierownika? Jedna miała to w d..., druga uważała, że przesadzam, i że „on taki jest, jak się zdenerwuje", trzecia niby coś widziała, ale nie potrafiła zareagować konkretnie.

Doszło do tego, że zrobiono mi awanturę za pójście do toalety (godz. 7.30 rano, sklep otwarty od 9). Po tym incydencie złożyłem wypowiedzenie, i paradoksalnie zaczęło się dopiero coś dziać w kwestii poprawy warunków pracy. Zostałem przeniesiony do innego sklepu i od niedawna cieszę się normalną pracą i atmosferą. Choć w „starym" sklepie mi nie odpuszczono,

Administratorem Pani/Pana danych osobowych jest Tygodnik Powszechny sp. z o.o., z siedzibą w Krakowie, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków.
Podany adres e-mail przetwarzamy wyłącznie w celu pozyskania informacji o przypadkach mobbingu, które do celów akcji mogą zostać wykorzystane w sposób całkowicie anonimowy. Podstawą przetwarzania jest art. 6 ust. 1 lit a RODO, czyli Pani/Pana zgoda, która jest wyrażona poprzez przesłanie maila na podany adres.
Pani/Pana adres e-mail będzie przetwarzany nie dłużej, niż jest to konieczne do odebrania zawartych w nim informacji.
Przesyłanie wiadomości e-mail na adres przemocwpracy@tygodnik.com.pl jest dobrowolne.

twierdząc, że byłem „najbardziej bezwartościowym pracownikiem”, i że jeśli myślę, iż w innym miejscu będzie inaczej, to się mylę.

MAREK (imię zmienione)

Toksyczny związek

Moją pierwszą poważną pracą była asystentura w biurze pewnej posłanki. Wszyscy byliśmy nowi, wszystko (przynajmniej z początku) płynne i ciężko było wyznaczyć granicę między tym, co powinno być wymagane i akceptowane w pracy, a co nie. Szefowa (posłanka na Sejm) łączyła w sobie chwiejny, wybuchowy charakter i kompletny brak przygotowania do pracy.

Większość decyzji wymuszana była krzykiem oraz atakami personalnymi. Jak coś nie wyszło (bez względu na to, kto był winny i czy realnie coś było problemem), było to moją winą, bo „nie dopilnowałem”. Nie można było powiedzieć słowa, bo to sprawiało, że wybuch był jeszcze większy. Trzeba było w ciszy to przeczekać i robić swoje, bo bez tego biuro nie mogło funkcjonować. Wiele decyzji wymuszano płaczem i obrażaniem się. Po wybuchach, które – oprócz obrażenia ludzi – nie przynosiły żadnego efektu, nadchodziły okresy spokoju i miłej atmosfery, które mogły się w każdej chwili skończyć. Także na publicznych spotkaniach byłem oskarżany o błędy i obrażany. Dodatkowo musiałem upominać się o własną pensję, bo szefowa wychodziła z założenia, że pracuje się tutaj dla doświadczenia życiowego, co sprawiało, że przez cały okres swojej pracy szukałem darmowej siły roboczej: studentów, wolontariuszy, praktykantów – wykonujących normalne zajęcia, ale za darmo.

Wymagano ode mnie pełnej wiedzy z księgowości, organizacji biura, zarządzania mediami społecznościowymi, pisania przemówień, kontroli kalendarza, kontaktów z Sejmem i strukturami – za pensję dużo poniżej choćby połowy tej rynkowej. Moim zadaniem było robić wszystko, co potrzebne. Dosłownie. A jak to zrobię, to już szefowej nie obchodziło. Jedyną nadzieją na uratowanie się i niedopuszczenie do spodziewanych katastrof (które mogłyby zatopić całą działalność biura), było urabianie szefowej. To było upokarzające: jakbym był w patologicznym małżeństwie i miał poczucie, że nie mogę uciec. Momentami łapałem się na tym, że dla dobra biura, dla dobra „Sprawy” muszę udawać, że ona nie jest tak niekompetentna, jak się wydaje, tylko że to we mnie i innych tkwi problem.

Nie miałem też świadomości istnienia prawa pracy (albo raczej tego, co to naprawdę znaczy). Byłem pod telefonem, w pełni dyspozycyjny, a każdą przerwę traktowałem prawie jak ucieczkę z pracy. Musiałem wymykać się, żeby coś zjeść albo chwilę odpocząć. Dopiero w kolejnej, normalnej pracy dowiedziałem się, że przysługuje mi 30 minut przerwy obiadowej i 5 minut po każdej godzinie pracy przy komputerze. Nie istniało coś takiego jak rozdział między życiem prywatnym i zawodowym. Pomagałem w prywatnych sprawach w czasie pracy (ogólnie wychodziło, że byłem bardziej jej osobistym/ /życiowym asystentem).

Gdy wreszcie odszedłem z pracy, przez kolejny tydzień czułem, jak stres i napięcie powoli ze mnie spływa. Wtedy naprawdę zdałem sobie sprawę, w jakim strasznym stanie byłem przez poprzednie dwa lata.

AS

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania”

MOCZARSKI W BRZESKU

W poniedziałek 10 grudnia uczniowie ZSP nr 1 w Brzesku gościli KATARZYNĘ KUBISIOWSKĄ. Dyskusja dotyczyła „Rozmów z katem” Kazimierza Moczarskiego.

ALICJA W WARSZAWIE

AGNIESZKA TABORSKA przeczyta z uczniami fragmenty „Alicji w Krainie Czarów” Lewisa Carrolla. Spotkanie odbędzie się w czwartek 13 grudnia w warszawskiej SP nr 389 i LO.

ZAPOLICE I SZADEK O STASIUKU

MICHAŁ LACHMAN odwiedzi uczniów w Zapolicach i Szadku. Oba spotkania odbędą się w piątek 14 grudnia, a ich tematem będą opowiadania Andrzeja Stasiuka.

O ORWELLU W ŁOCHOWIE

BOGNA ŚWIĄTKOWSKA w ZSP w Łochowie porozmawia z młodzieżą o „Roku 1984” George’a Orwella.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na / LekcjeCzytania

Uniwersytet ŁÓDZKI

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego po raz kolejny odmówiło nam finansowego wsparcia „Lekcji czytania”. Osoby, które chciałyby wesprzeć naszą akcję społeczną, zapraszamy do kontaktu z Fundacją: fundacja@tygodnik.com.pl

WIARA

BOSKI KORKOCIĄG

O. PAWEŁ KOZACKI, PROWINCJAŁ DOMINIKANÓW:

Jeżeli człowiek funkcjonuje przez cały rok w kieracie codzienności, roraty dają mu nadzieję na odskocznię w nową przestrzeń – przeczucie innego świata.

ARTUR SPORNIAK: Czy jako dziecko Ojciec chodził na roraty?

O. PAWEŁ KOZACKI: Przypominam sobie, że jakieś obrazki się dostawało do kolorowania. Niewiele ich zebrałem, więc nie było to dla mnie silne przeżycie w dzieciństwie. Roraty odkryłem jako licealista dzięki ojcu Janowi Górze. On tę praktykę reaktywował w Poznaniu pod koniec lat 70., i w tej jego formule skierowanej do młodzieży msza roratnia przyjęła się w różnych dominikańskich kościołach w Polsce.

Początkowo na roraty odprawiane o godzinie 6.00 chodziła mała grupka ludzi. Masowego charakteru nabrały one chyba w czasach Solidarności i stanu wojennego. Wtedy zaczęli przychodzić wszyscy, nie tylko licealiści z prowadzonego przez ojca Górę duszpasterstwa szkół średnich.

Nabrały charakteru politycznego?

Masowe uczestnictwo wynikało raczej z potrzeby nadziei, modlitwy, szukania wspólnoty. Dla nas młodych dużą rolę odgrywały też śniadania po roratach i klimat, jaki na nich panował. Na roraty przyciągała mnie przede wszystkim osobowość Góry. Nie wiem, czy przychodziłbym na nie, gdyby nie on – jego dynamiczny styl odprawiania liturgii, mówienia homilii, śpiew, dowcip. On wprowadzał swoje charakterystyczne innowacje, np. po przeistoczeniu śpiewało się kanon „Crucem tuam", na „Ojcze nasz" podnosiło się ręce. On nie bał się wprowadzić na msze dla młodzieży śpiewów gregoriańskich. Podczas rorat oprócz homilii słuchaliśmy drugiego czytania z Godziny Czytań. Dziś już nie pamiętam, czy od początku przynosiliśmy świece. W każdym razie często roraty przeciągały się poza godzinę siódmą i ojciec Angelik – szacowna postać naszego poznańskiego klasztoru – często musiał czekać ze swoją mszą, lekko poirytowany.

W Poznaniu był nowicjat. Pamiętam z mojego pobytu w nowicjacie, że chodziliśmy do naszego magistra prosić, by pozwalał nam uczestniczyć w roratach. Kolejne roczniki nasiąkały atmosferą rorat Jana Góry. I potem, gdy bracia byli wyświęcani, wprowadzali podobne praktyki w swoich klasztorach. Gdy zostałem duszpasterzem w Szczecinie, oczywiście zorganizowałem tam roraty.

W Krakowie pierwsze roraty dla licealistów wprowadził na początku lat 90. duszpasterz „Przystani" o. Andrzej Konopka. Odbywały się one w romańskiej krypcie pod zakonnym refektarzem. Z czasem studenci z „Beczki" zaczęli organizować swoje roraty w kapitularzu. Na początku lat dwutysięcznych ówcześni duszpasterze „Przystani" o. Tomasz Zamorski i „Beczki" o. Jacek Krzysztofowicz postanowili przenieść roraty do kościoła i zorganizować je wspólnie. Po roku cała dominikańska świątynia w Krakowie zapełniała się ludźmi mimo wczesnej pory. I tak jest do dziś. Przeważają młodzi. Jak ten fenomen wytłumaczyć?

Myślę, że dużą rolę odgrywa pewna ekstremalność tej formy modlitwy. Także jej klimatyczność – msza zaczyna się tylko przy zapalonych świecach, a na dworze jest jeszcze ciemno. Dodatkowo dobra oprawa muzyczna i, gdy się bracia postarają, sensowna homilia – robią swoje.

W Kalwarii Zebrzydowskiej roraty rozpoczynają się o 5.55; u krakowskich dominikanów o 6.30; w kościele św. Krzyża o 7.15. Jednak w większości polskich kościołów na roraty idzie się wieczorem. Dlaczego?

Chodziło o to, żeby ludziom ułatwić uczestniczenie. Tymczasem do ważnej symboliki rorat należy czekanie na wschód słońca. Takie oczekiwanie światła wieczorem traci sens. Ludzie to chyba dobrze rozumieją, ponieważ okazało się, że wieczorne roraty nie cieszą się aż takim powodzeniem. Księża zaczęli przenosić tę mszę na rano i ona odżyła.

Roraty zaczynają się w całkowitej ciemności. Wchodzi procesja ze świecami. Diakoni zapalają świece na ołtarzu i od nich podają ogień zgromadzonym ludziom. Kościół rozświetlają tylko płomienie świec. W trakcie mszy robi się na zewnątrz jasno – wstaje dzień.

↦

Procesja roratnia w katedrze w Salisbury, 1 grudnia 2018 r.

MATT CARDY / GETTY IMAGES

↦ Tak wygląda liturgia rorat w krakowskim klasztorze. W różnych miastach wygląda to różnie. Ale rzeczywiście, symbolika światła działa. Do tego dochodzi kadzidło, śpiew pięknej antyfony „Rorate caeli desuper et nubes pluant justum" – „Niebiosa spuście rosę, a obłoki niech wyleją Sprawiedliwego", słowo z Pisma Świętego, modlitwa... Wieloma zmysłami uczestniczymy w misterium oczekiwania przyjścia Boga. Wielu mówi, że ta specyficzna oprawa wyzwala w nich modlitwę, wydobywa z nich coś duchowego. To nie jest tylko przeżycie estetyczne.

Wspomniana antyfona jest wersetem z Księgi Izajasza (45, 8). Fragment ten jest w istocie modlitwą o wybawcę, który ma się zrodzić tu, na ziemi: „Niech się otworzy ziemia i zrodzi zbawiciela".

Cała adwentowa liturgia nasycona jest Izajaszem, który nazywany jest Ewangelistą Starego Testamentu. W jego księdze odnajdziemy wiele fragmentów, które zapowiadają przyjście Mesjasza. Uwzględniając historyczny kontekst, mówi on o udręczeniu narodu wybranego, który kroczy w ciemnościach i jęczy pod jarzmem nieprzyjaciół, i zapowiada polityczne wyzwolenie Izraela. Od wieków jednak księga ta jest odczytywana w sensie duchowym jako opis kondycji człowieka grzesznego, który nosi w sobie tęsknotę za zbawieniem. Symbolika przejścia z ciemności do światła tę tęsknotę najpełniej wyraża. Tęsknimy za czymś „więcej". Modlitwa rorat jest wołaniem, by Chrystus przyszedł do nas, gdyż za słabi jesteśmy, abyśmy sobie sami z wszystkim poradzili. To, co nas zniewala, jest większe od nas. W związku z tym potrzebujemy Zbawiciela.

Adwent jest okresem przygotowania na Boże Narodzenie, ale też całe życie chrześcijańskie jest oczekiwaniem na ostateczne przyjście Chrystusa.

Adwent wciąż kojarzy się nam – błędnie – z pokutą...

Gdy zaczynałem chodzić na roraty, to Adwent był tzw. okresem zakazanym. Jedno z przykazań kościelnych brzmiało wówczas: „W okresach zakazanych zabaw hucznych nie urządzać" (dziś brzmi ono: „Zachowywać nakazane posty i wstrzemięźliwość od pokarmów mięsnych, a w okresach pokuty powstrzymywać się od udziału w zabawach"). W związku z tym – w czasach mego dzieciństwa – i w Wielkim Poście, i w Adwencie nie jadło się cukierków. Z taką świadomością wchodziłem w roraty. Nie pomnę, w którym momencie zacząłem świadomie odróżniać Adwent od Wielkiego Postu. Choć są to dwa okresy przygotowania na fundamentalne tajemnice naszej wiary, Adwent ma jednak inny wymiar. Może być (i powinien) okresem nawrócenia, ale akcent nie jest położony na pokutowanie. Jest okresem radosnego oczekiwania, otwarcia się, przygotowania na przyjście Boga.

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

O. PAWEŁ KOZACKI:

Gdyby Bóg nie stał się człowiekiem, jak wyglądałoby moje życie?

Niepokutny charakter Adwentu potwierdza przywilej, jaki otrzymał dla Polski kard. Stefan Wyszyński, śpiewania podczas mszy roratniej bardzo uroczystego hymnu „Chwała na wysokości Bogu". Hymn ten śpiewany jest tylko w niedziele i święta, a w dni powszednie właśnie na roratach. Chciałbym jeszcze dopytać o wysiłek wczesnorannego wstawania. To on jest w roratach tak pociągający?

Czasem chcemy coś dla Pana Boga zrobić, coś, co będzie od nas wymagać wysiłku. Wstanie o wiele wcześniej niż zwykle jest czymś konkretnym. W takim wewnętrznym dialogu z Bogiem może to oznaczać: zależy mi na Tobie! Motywem może być ofiarowywanie siebie, dawanie siebie. Także – przekraczanie siebie, swojej codzienności. Powiedziałbym nawet, że zaparcie się siebie. Pan Jezus mówi: „Kto chce iść za mną, niech się zaprze samego siebie". W przypadku rorat nie chodzi oczywiście o męczeństwo, ale o jakiś zewnętrzny znak.

Wartościowe jest chyba także takie wybicie z codziennej rutyny – roraty inaczej porządkują dzień...

Wielokrotnie słyszałem od ludzi, że roraty organizują im dzień. Idzie się do pracy czy do szkoły jak co dzień, a już się ma za sobą ważne wydarzenie. Od strony psychologicznej – dzień zaczyna się od dobrej dawki energii. Natomiast co do inności tego czasu, Adwent utkany jest z tęsknoty. Jeżeli człowiek żyje przez cały rok w kieracie codzienności, roraty dają mu nadzieję na odskocznię w inną przestrzeń – przeczucie innego świata.

Pokazują, że w życiu coś innego jest ważne?

Ktoś inny wyznacza rytm mojego życia. Roraty przypominają o duchowym powołaniu człowieka, zaproszeniu do wspólnoty z Bogiem. Znam takich, którzy na roraty czekają cały rok. Jest to dla nich okres, który w największym stopniu przypomina im, że należą do Pana Boga.

Jezus narodził się dwa tysiące lat temu, a my to wydarzenie przeżywamy co roku na nowo. Co nam daje taka cykliczność?

Kiedyś ktoś zwrócił uwagę, że niedobrze się dzieje, gdy ta cykliczność polega na tym, iż kręcimy się po kole – mamy koło roku liturgicznego i w zależności od tego, kto ile lat żyje, tyle razy to kółko okręca. Przeżywanie roku liturgicznego ma sens, jeżeli jest spiralą, która wchodzi w głąb albo wznosi się w górę. Każdy kolejny rok powinien być pogłębieniem wiary oraz bliskości z Bogiem. Kręcenie się w kółko z czasem zaczyna nudzić. Jeżeli co roku staram się moją odpowiedź czy moje uczestnictwo pogłębiać, wznoszę się bliżej nieba. Cykliczność daje nam szansę wzrastania. Pozwala nam coraz bardziej „wpuszczać" tajemnicę w siebie.

W ciągu roku liturgicznego obchodzimy wielkie tajemnice naszej wiary, które – nie oszukujmy się – nas przekraczają. Mówienie w Boże Narodzenie, że Bóg staje się człowiekiem, albo w czasie Wielkanocy, że Bóg umiera po to, żeby zmartwychwstać, nie zaskakuje nas, bo słyszeliśmy to już wiele razy. Ale gdy zechcemy wniknąć głębiej w te tajemnice, to możemy je kontemplo-

wać właściwie całe życie. Rok liturgiczny ze swoimi nawrotami na to pozwala. Pozwala coraz głębiej tajemnice wiary poznawać, przeżywać je, żyć nimi.

Ponieważ one przekraczają nas, doświadczamy też, że to nie my jesteśmy pępkiem świata. To nie roraty mają nam służyć, nie mamy jedynie czerpać z tej tajemnicy, którą zapowiadają. Mamy się w nią zanurzyć. Nie chodzi o ciepełko świąt, tylko o budowanie więzi z Tym, którego tajemnica dotyczy.

Jak to robić? Wystarczy przyjść na roraty?

Niektórym to wystarcza – karmią się już samymi czytaniami mszalnymi i Słowo ich pogłębia. Istotna jest pewna uważność na tajemnicę. Istnieje niebezpieczeństwo, że poprzestaniemy na poziomie zewnętrznym, zmysłowym. Roraty mogą być przeżywane jak teatr. Mogą być jednak szukaniem treści – warto coś sobie doczytać, ale przede wszystkim być uważnym na Słowo. Na innym poziomie możemy wchodzić w modlitwę, w kontemplację. Nie chodzi wtedy o „główkowanie" – intelektualne poznawanie, poszerzanie wiedzy, ale o trwanie w obliczu tajemnicy, która rozgrywa się ponad słowami, a która pociąga. Jeśli mam świadomość, że Słowo jest żywe i skuteczne, to działa ono nie tylko przez to, że staram się je zrozumieć, ale że z nim jestem, że Słowo smakuję – „przeżuwam".

Spójrzmy wreszcie na swoją codzienność i życie w świetle tych tajemnic. Jak to się przekłada na praktykę mojego życia? Co dla praktyki mojej codzienności znaczy, że Bóg staje się człowiekiem? Gdyby Bóg nie stał się człowiekiem, czy moje życie wyglądałoby tak samo, czy inaczej?

Dobrze, jeśli roraty do takich pytań inspirują.

A jak Ojciec odpowiada sobie na to ostatnie pytanie – czy życie Ojca zmieniłoby się?

Myślę, że byłbym zupełnie innym człowiekiem, gdybym nie spotkał Pana Jezusa. Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie życia bez Niego, bez Jego tajemnicy. Być może za długo z nią obcuję, by móc sobie wyobrazić jej nieobecność. Fakt, że On stał się człowiekiem, jest dla mnie znakiem, że Bóg szanuje, a nawet kocha moje człowieczeństwo we wszystkich jego wymiarach: duchowym, psychicznym, materialnym, że to człowieczeństwo jest dobre. Również moje działanie jako człowieka, to, co ludzkie, jest dobre. Z drugiej strony rzutuje na to, jak ja myślę o Bogu i jak buduję z Nim relację. Inaczej się modlę do Boga Ojca, inaczej do Jezusa Chrystusa, który jest Bogiem człowiekiem, jeszcze inaczej do Ducha Świętego. Te modlitwy mają inną melodię, inny koloryt. Patrząc na Chrystusa ze scen z Ewangelii, odkrywam moment braterstwa. Gdy uświadamiam sobie, że Bóg tak bardzo zatęsknił za mną, że ze swojej nieskończoności i niewyobrażalności stał się kimś podobnym do mnie, to jest zawsze coś, co mnie porusza. A jak to się przekłada na codzienność? Jeśli codziennie czytam Dobrą Nowinę o Jezusie Chrystusie czy jej słucham, to mam nadzieję, że to kształtuje moje człowieczeństwo, moją tożsamość. Wiedząc, że Bóg stał się podobny do mnie, wierzę, że ja jestem powołany, by stawać się podobny do Boga.

Jezus jest bliższy, jest Bratem, a Bóg Ojciec daleki – jako mysterium tremendum et fascinosum?

Nie do końca. Dzięki objawieniu Chrystusa mogę w Bogu zobaczyć miłosiernego Ojca. Nie tylko zresztą dzięki Chrystusowi. Ozeasz przyrównuje Boga do ojca, przytulającego do policzka niemowlę (Oz 11, 4). Dla mnie Bóg Ojciec jest miłością. A inny koloryt modlitwy wynika z tego, że Chrystusa widzę jako człowieka, Bóg Ojciec jest ponad wyobrażeniem. Łatwiej jest mi sobie unaocznić np. obecność Jezusa przy mnie. Do Boga Ojca mówię Abba – tato – ale jest on Bogiem w swoim majestacie. W swojej nieskończoności, niewyrażalności... Nawet nie próbuję sobie Go wyobrażać.

Czego uczy ów Brat Jezus jako niemowlę leżące w żłobie?

Ten moment życia historycznego Jezusa, w którym był zależny od swojej matki Maryi i Józefa jako opiekuna, pokazuje dobrowolną słabość Boga – Jego uniżenie. Dzieciątko Jezus bardzo wyraźnie uświadamia mi, że są takie momenty, gdy Jezus powierza się w moje ręce. Gdy staje wobec mnie zupełnie bezbronny. Wówczas ode mnie tylko zależy, czy się Nim zainteresuję, czy się Nim zaopiekuję, czy też pójdę do swoich spraw. To moment pokory Boga. Właściwie coś niesamowitego! A jednocześnie jest to wyraz miłości. Może być miłość Boga Ojca – nieskończona, potężna i nie do ogarnięcia. I może być bezbronna miłość dziecka – delikatna i czuła. Zobaczmy, jak dziecko działa na rodziców, jak przemienia ich życie. Kiedy dziecko pojawia się w rodzinie, robi rewolucję samą swoją obecnością. Nic nie robi, tylko jest. Gdy człowiek zaopiekuje się Jezusem, to On przemieni jego życie. Gdy w Jezusie widzimy od razu dorosłego człowieka nauczającego z mocą, coś się traci, czegoś się nie zauważa.

Bóg podchodzi do nas z dwóch stron: jako ten, który zbawia, ratuje, wyciąga z kłopotów, i jako ten, który się powierza, prowokuje działanie.

Taki obraz nie tylko mamy w Ewangelii dzieciństwa, ale także w Apokalipsie. „Oto stoję u drzwi i kołaczę. Jeśli kto posłyszy mój głos i drzwi otworzy, wejdę do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze mną" (Ap 3, 20). Chrystus prosi o miłość, żebrze. Nie przychodzi tylko, żeby wybawiać, ratować, uzdrawiać, ale także po to, by prosić człowieka jak Samarytankę: „Daj mi pić", ugaś moje pragnienie. W ten sposób Bóg pokazuje, że szanuje ludzką wolność, że człowiek ma prawo do wyboru, że nie jest zdeterminowany wolą Bożą. Bóg nie zmusza do działania z wysokiego tronu, ale podchodzi blisko i proponuje, pociąga siłą swej miłości.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

POŻEGNANIE

Msza święta w intencji

Ś.† P.

Profesora Stanisława Pigonia

w pięćdziesiątą rocznicę śmierci zostanie odprawiona
w bazylice św. Floriana w Krakowie 18 grudnia 2018 r. o godz. 17.00.

Znikam z pola widzenia

SEBASTIAN DUDA

W swoim duchowym rozwoju Thomas Merton dostrzegł, że jedną z groźnych chorób trawiących Kościół jest klerykalizm. Słynny trapista zmarł pół wieku temu.

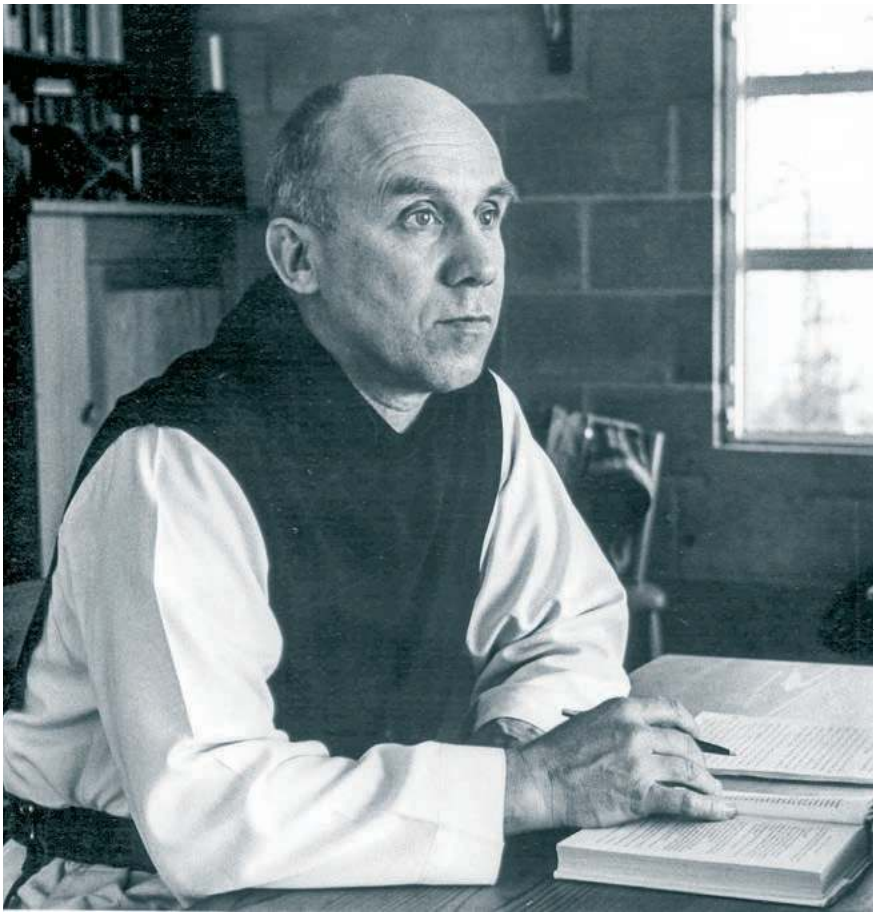

THE THOMAS MERTON CENTER AT BELLARMINE UNIVERSITY

Thomas Merton

Rankiem 10 grudnia 1968 r. w centrum rekolekcyjnym Czerwonego Krzyża w nieodległym od Bangkoku miasteczku Samutprakan Thomas Merton wygłosił swój ostatni w życiu wykład. Na zachowanym filmie widać, że publiczność składała się głównie z zakonnic i zakonników, którzy skrzętnie zapisywali myśli trapisty na temat wczesnego Marksa, alienacji oraz tego, że komunistyczny ideał – „każdy według swych zdolności, każdemu według jego potrzeb" – jest nie do zrealizowania w komunizmie, lecz wyłącznie we wspólnotach monastycznych.

Ojciec Ludwik (takie nosił imię zakonne) mówił jeszcze o konieczności – szczególnie wedle niego ważnej dla osób konsekrowanych – „stania na własnych nogach" oraz występowania przeciw sztywnym, zarówno politycznym, jak i niepolitycznym strukturom. I o tym, że otwieranie się chrześcijan na buddyzm, hinduizm oraz inne wielkie tradycje może przyczynić się do pogłębienia wiary samych chrześcijan, bo w poznaniu porządku natury tradycje te zaszły daleko głębiej niż chrześcijaństwo. Na tym zakończył – na ewentualne pytania miał odpowiedzieć po panelu wieczornym. Odchodząc od stołu powiedział: „A zatem znikam z pola widzenia. Wszyscy możemy napić się teraz coca-coli albo czegoś innego".

Jednak na wieczornym panelu ojciec Ludwik się nie pojawił. Kiedy wrócił do hotelowego pokoju, chciał wziąć prysznic. Gdy wchodził do kabiny, najpewniej pośliznął się na mokrej posadzce, machinalnie chwycił za elektryczny wiatrak i został śmiertelnie porażony prądem. Ciało odnaleziono po kilku godzinach. Nie przeprowadzono sekcji zwłok, co zrodziło plotki o rzekomym zabójstwie czy samobójstwie. Trumnę dostarczono na pokład samolotu, który przewoził do USA również poległych w Wietnamie żołnierzy. Wielu dostrzegło w tym ironię losu – Merton wielokrotnie wypowiadał się przeciw amerykańskiemu udziałowi w tej wojnie. Pochowano go na cmentarzu przy jego macierzystym opactwie Matki Bożej z Getsemani w Bardstown w stanie Kentucky.

Hulanki i swawole

W przemówieniu w Kongresie USA 24 września 2015 r. Franciszek powiedział, że Thomas Merton jest „nadal dla wielu ludzi źródłem inspiracji duchowej i przewodnikiem". Papież przywołał też zdania z wydanej po raz pierwszy w 1948 r. bestsellerowej autobiografii trapisty „Siedmiopiętrowa góra": „Przyszedłem na świat (...) z natury wolny, stworzony na obraz Boga, byłem jednak więźniem własnej gwałtowności i własnego egoizmu, na podobieństwo świata, w którym się urodziłem".

Merton istotnie urodził się w czasie pełnym gwałtu i przemocy. Przyszedł na świat 31 stycznia 1915 r. w Prades na południu Francji. Matka była Amerykanką, ojciec Nowozelandczykiem. Oboje mieli artystyczne inklinacje i nie bardzo chcieli się przejmować szalejącą w Europie Wielką Wojną. Po kilku miesiącach od narodzin Thomasa uznali jednak, że bezpieczniej będzie przeczekać wojenną zawieruchę w USA. Przybyli w okolice Nowego Jorku. Tam po trzech latach przyszedł na świat John Paul, młodszy brat późniejszego „najsławniejszego mnicha Ameryki". Sielanka rodzinna nie trwała długo. Thomas miał sześć lat, gdy na raka żołądka zmarła jego matka. Nie skończył jeszcze szesnastu, gdy po straszliwych cierpieniach spowodowanych glejakiem odszedł ojciec. Mimo to chłopiec otrzymał solidne wykształcenie w szkołach we Francji i Anglii. Bez trudu dostał się do uniwersyteckiego kolegium św. Klary w Cambridge.

Wkrótce jednak z powodu złych ocen, pijaństwa i hulaszczego życia stracił przyznane mu stypendium. Jedna z dziew-

cząt, z którymi miał wówczas (jako dziewiętnastolatek) intymne relacje, zaszła w ciążę. Ojciec chrzestny Mertona czym prędzej wymógł na nim przenosiny na Uniwersytet Columbia do Nowego Jorku. Thomas nigdy więcej nie zobaczył ani swego dziecka, ani jego matki (oboje podobno zginęli podczas nalotów na Londyn w 1940 r.). Już jako trapista postanowił pozostawić im obojgu („o ile uda się skontaktować") połowę majątku. O faktach tych woleli milczeć niektórzy autorzy jego biografii.

Po przyjeździe do Nowego Jorku w 1935 r. Thomas przez czas jakiś dalej wiódł żywot wesołego birbanta. Obok nocnych klubów, kina i kobiet interesować zaczęła go także literatura. I niespodziewanie odkrył w sobie wiarę, która dotąd wydawała mu się zabobonnym przeżytkiem. Był co prawda ochrzczony jako dziecko w Kościele anglikańskim, ale przez całe lata uznawał się za ateistę. Jednak pewnego dnia, czytając o XIX-wiecznym jezuickim poecie Gerardzie Manleyu Hopkinsie, postanowił nagle, ku zdumieniu przyjaciół, przyjąć katolicki chrzest. Ceremonia odbyła się 16 listopada 1938 r. w kościele pod wezwaniem Bożego Ciała na Manhattanie.

Po ukończeniu studiów z literatury angielskiej niemal natychmiast zaczął myśleć o zostaniu księdzem. Zgłosił się do franciszkanów, ale ci go nie przyjęli (najpewniej ze względu na nieślubne potomstwo). Został nauczycielem w podnowojorskiej szkole. Namówiony przez jednego z wykładowców Columbii pojechał wiosną 1941 r. na rekolekcje do opactwa Matki Bożej z Getsemani w Kentucky. W następnych miesiącach zyskał pewność, że powinien wstąpić do trapistów – czyli Zakonu Cystersów Ściślejszej Obserwancji, którego regułę uznaje się za najsurowszą w Kościele katolickim. Jak później tłumaczył, chciał się całkowicie pozbyć swych egotycznych skłonności. Władze zakonne przychyliły się do jego prośby i 10 grudnia 1941 r. – dokładnie 27 lat przed swą śmiercią – Merton przekroczył ponownie bramy opactwa w Kentucky.

Żyjąc powietrzem i chlebem

Z początku niezwykle spodobała mu się klasztorna codzienność. W kwietniu 1942 r. pisał (mógł wysyłać listy tylko cztery razy w roku) do przyjaciela: „Co za życie. Niesamowite. Nie z powodu jakichś czynności, które wykonujemy, pokuty, jakichś poszczególnych cech liturgii czy pieśni, nie dlatego, że śpimy na deskach i słomianych materacach, że pościmy, pracujemy, że leje się z nas pot, że śpiewamy i zachowujemy milczenie. To wszystko to zupełnie proste czynności, które nie mają znaczenia, bez względu na to, co w nich jest. Niesamowita jest natomiast cała jedność życia. Życie jest prawdziwą jednością. Fundamentem tej jedności jest jedność Boga, Jego prostota jest naszym życiem".

Był przekonany o wyjątkowości trapistowskiego powołania, widział w nim uprzywilejowaną drogę do świętości. W innym liście, napisanym prawie rok od chwili wstąpienia do zakonu, zwierzał się: „Ludzie, którzy tu przybywają, są pierwotnie tacy sami jak ci z kolejki podziemnej. Różnica w tym, że tutaj zapominają, że są cwaniakami. Wielu z moich braci to naprawdę święci. A tym, co ma sens największy, jest bycie w obecności Boga i zgodne z Jego wolą życie, takie, jakie my tu prowadzimy, żyjąc powietrzem i chlebem".

Nie było mu jednak dane żyć wyłącznie „powietrzem i chlebem". Myślał, że w klasztorze będzie przede wszystkim się modlił (wspólne oficjum z mnichami zajmowało co najmniej osiem godzin każdego dnia) i ciężko pracował fizycznie. Zaczął jednak w wolnych chwilach pisać wiersze, co zresztą nie spodobało się jego spowiednikowi. Uzyskał jednak zgodę opata. W 1944 r. ukazał się tomik z trzydziestoma utworami Mertona – była to jego pierwsza publikacja. Opat zachęcił go wkrótce do pracy nad autobiografią. Tak powstała „Siedmiopiętrowa góra", która jej autorowi przyniosła niemały rozgłos. Brat Ludwik stał się ku swemu zdumieniu „słynnym Thomasem Mertonem".

Sukces autobiograficznej publikacji sprawił, że pisał i wydawał następne książki. W 1949 r. przyjął święcenia kapłańskie, traktując je jako dopełnienie swego powołania. Przekonanie o własnym szczególnym wybraniu w kapłaństwie pośród innych wierzących w Chrystusa miało jednak po kilku latach ulec kompletnej przemianie. A jej powodem było doświadczenie mistyczne.

Przebudzenie ze snu

We wtorek 18 marca 1958 r. Merton wyjechał z opactwa do dentysty w Louisville. To, co się wtedy stało, przedstawił w „Zapiskach współwinnego widza": „na rogu ulic Fourth i Walnut, w centrum dzielnicy sklepowej, nagle uderzyło mi do głowy nieodparte przekonanie, że oni [tzn. przechodzący obok ludzie – SD] są moi, a ja jestem ich, że nawet gdybyśmy byli kompletnie nieznajomi, to nie ma prawa istnieć obcość między nami. To było coś w rodzaju przebudzenia ze snu o odrębności, fałszywej autoizolacji w specyficznym świecie, w świecie wyrzeczenia się i rzekomej świętości. Ta cała ułuda odrębnej egzystencji w świętości jest sennym marzeniem. Nie żebym kwestionował realność mojego powołania czy mojego monastycznego trybu życia: ale koncepcja »separacji od świata«, jaka obowiązuje w klasztorze, bardzo łatwo da się przedstawić jako zupełna ułuda: ułuda, że złożywszy śluby stajemy się innym rodzajem istot, pseudoaniołami, »ludźmi ducha«, ludźmi życia wewnętrznego, czy jak tam. Z całą pewnością te tradycyjne wartości są dalej wielce rzeczywiste, ale ich rzeczywistość nie bierze się spoza tego świata ani też nie upoważnia nikogo do okazywania pogardy wobec tego, co jest świeckie. Chociaż »nie z tego świata«, jesteśmy wciąż w tym samym świecie jak i wszyscy inni, w świecie bomby, w świecie nienawiści rasowych, w świecie technologii, rewolucji i wszystkich innych rzeczy".

Merton w jednej chwili pojął, że świętość rozumiana jako doświadczanie Boga jest bez wyjątku i w równej mierze dostępna dla wszystkich. Z tego powodu należy przeciwstawiać się klerykalizmowi. Poczucie szczególnego wybrania – tak charakterystyczne dla wielu księży i osób konsekrowanych – opiera się na fałszywej wizji „wyższego statusu ontycznego" w porównaniu ze „zwyczajnymi" członkami Ludu Bożego. Dziś wiemy, że ta teologiczna perwersja (nie powinniśmy się bać tego określenia) przyczyniła się do kryzysu Kościoła, którego najdramatyczniejszą odsłoną są w ostatnich dekadach seksualne skandale z udziałem duchownych.

Swoje przekonanie o powszechnym dostępie do świętości Merton świadomie wzmacniał w latach, które nastąpiły po owym pamiętnym dla niego marcowym wtorku. Z radością przyjął reformy Soboru Watykańskiego II. Coraz częściej publikował też teksty na temat bieżących wypadków politycznych i przemian społeczno-kulturowych. Ostro wystąpił przeciw wyścigowi zbrojeń oraz wojnie w Wietnamie, co wywołało gniew wielu ↦

↦ konserwatywnych katolików w Ameryce (w Louisville urządzono nawet publiczne palenie książek Mertona). Jednocześnie coraz częściej doświadczał kłopotów ze strony przełożonych. W pewnym momencie generał trapistów zakazał mu posyłania do druku tekstów pacyfistycznych. Zakazu nie cofnięto nawet po publikacji przez Jana XXIII encykliki „Pacem in terris".

Merton miał coraz większe poczucie osaczenia przez klerykalne struktury. W jednym z listów do Czesława Miłosza (korespondowali przez dziesięć lat, aż do śmierci trapisty) przyznał się do związanego z tą sytuacją wewnętrznego wzburzenia: „To, co mnie szokuje, to ścisła analogia z funkcjonowaniem linii partyjnej [w komunizmie – SD]. Ci, którzy »wiedzą«, w rzeczywistości mają w sobie największą i niedbającą o nic giętkość, a posiadają ją dlatego, że całkowicie oddali się sprawie. Mógłbym i ja posiadać tę giętkość, gdybym tylko uległ i obrał pewien kierunek w sposób ostateczny: ale uległ czemu? Poddał się czemu?".

Kilka lat przed śmiercią Merton wyprowadził się z głównego budynku opactwa do nieodległej pustelni. Było to nie tylko spełnienie jego długoletniego pragnienia, lecz także sprzeciw wobec kościelnej władzy.

Czysta chwała Boża

Franciszek powiedział o Mertonie, że był on „przede wszystkim człowiekiem modlitwy, myślicielem, który zakwestionował pewniki swoich czasów i otworzył nowe horyzonty dla dusz i dla Kościoła". Istotnie, poszukiwania duchowe autora „Siedmiopiętrowej góry" mogły zdawać się wielu katolikom przed półwieczem mocno nieoczywiste. Szukał potwierdzenia swego powołania do życia w mniszej samotności w klasycznych dziełach teologii ascetycznej. Tak trafił na Mistrza Eckharta. Jego pisma pozwoliły Mertonowi nie tylko opisać własne mistyczne doświadczenie, ale i otworzyć się na dialog z pozachrześcijańskimi tradycjami religijnymi.

Otwartość ta opierała się na przekonaniu, że, jak pisał Merton: „W samym centrum naszego bytu mieści się punkt nicości, niepokalany grzech i ułuda, ostrze czystej prawdy, punkt albo iskra, która należy bez reszty do Boga, która nigdy nie jest do naszej dyspozycji, skąd Bóg dysponuje życiem naszym, ośrodek, który jest poza zasięgiem fantazji naszego umysłu i brutalnych poczynań naszej woli. To małe ostrze nicości i absolutnego ubóstwa stanowi czystą chwałę Bożą w nas. To jest, że tak powiem, Jego imię zapisane w nas jako nasze ubóstwo, nasz niedostatek, nasza zależność i synostwo nasze. To jest jak przeczysty diament, jarzący się ogniem niewidzialnych świateł niebieskich. On się znajduje w każdym z nas i gdybyśmy byli w stanie dojrzeć, zobaczylibyśmy, jak te biliony punktów świetlnych zbiegają się, tworząc słoneczny okrąg i taki blask, że wystarczy go, aby wszystkie mroczne zakamarki i okrucieństwa życia zniknęły bez śladu".

Merton głęboko wierzył, że odkrycie „czystej chwały Bożej" może łączyć ludzi ponad konfesyjnymi granicami. Nie musi być też ono koniecznie wyrażane w języku chrześcijańskiej teologii. Dostrzegł, że podobne do chrześcijańskich prawd życia duchowego zasady można znaleźć np. w buddyzmie zen (uważnie czytał pisma D.T. Suzukiego). Zgłębiał też inne (przede wszystkim azjatyckie) tradycje religijne. Wielu chrześcijan (a także niechrześcijan) widzi do dziś w Mertonie mistrza międzyreligijnego dialogu.

Ten dialog nie miał polegać na doktrynalnych konwersacjach elit, lecz na autentycznym spotkaniu. To właśnie dzięki pismom i działaniom Mertona stały się możliwe np. rekolekcje międzyreligijne. Był on bowiem w Kościele prekursorem postawy, którą na polskim gruncie świetnie streścił w powiedzeniu „nie przyszedłem pana nawracać" ks. Jan Twardowski. Autor „Siedmiopiętrowej góry" był głęboko przekonany, że historyczne objawienie Boga urzeczywistniło się najpełniej w chrześcijaństwie, ale objawienie mistyczne dostępne jest bez wyjątku wszystkim. „Modlitwa serca" i medytacja mogą być podjęte przez każdego człowieka, chociaż by tak się stało, trzeba pokornie uznać, że nie mamy dostępu do całej duchowej wiedzy. Kto wierzy, że jest już na „szczycie góry", bardzo się myli. Z takim twierdzeniem mogliby się zgodzić pewnie nawet konserwatywni chrześcijanie.

Jednak dla konserwatywnych teologów Merton pozostaje mimo wszystko autorem niewygodnym. Zarzucają mu często zarówno brak teologicznej precyzji (choć jednocześnie przyklaskują jego przywiązaniu do tradycyjnej łacińskiej liturgii), jak i występki przeciw zakonnym cnotom czystości i posłuszeństwa.

Prawdą jest, że trapista niedługo po przeprowadzce do pustelni wszedł w intymną relację z dużo młodszą od niego pielęgniarką, która opiekowała się nim podczas pobytu w szpitalu w Louisville. Kobieta ostatecznie wyszła za mąż za innego mężczyznę, co Mertonowi sprawiło wielki ból. Otwarcie pisał o tym w tekstach znalezionych po jego śmierci. Przyznawał się w nich też do starań, by ocalić zakonne powołanie. Samotność była dla niego wartością, bez której nie wyobrażał sobie własnego duchowego rozwoju. Odwiedzało go mnóstwo ludzi, których fascynowały jego wybory i dzieła (wśród nich byli nie tylko przyjaciele, ale i postacie sławne, jak np. piosenkarka Joan Baez), ale codzienne trwanie w ciszy uznawał za największy skarb. Dlatego próbował poprawić relacje z zakonnymi przełożonymi. Można domniemywać, że się to udało. Nowy opat zgodził się na podróż Mertona do Azji. Podróż, z której już nie wrócił.

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się dalsze losy o. Ludwika, gdyby nie jego nagła śmierć. Jaki miałby np. stosunek do pontyfikatu Jana Pawła II? Zapewne doceniłby jego gesty kierowane do przedstawicieli religii niechrześcijańskich, nie bardzo chyba jednak podobałby mu się konserwatyzm doktrynalny obecny w wielu papieskich pismach.

Merton może być uważany za prekursora pewnych tendencji we współczesnym Kościele, przynależał jednak do świata, którego już nie ma. Cezurą wielkich przemian kulturowych okazał się bowiem, jak już wiemy, rok 1968, pod koniec którego umarł. Z tego powodu symboliczna wydaje się opowieść o. Paula Quenona z opactwa Getsemani, który przez lata odpowiadał za spuściznę po Mertonie. Mówił on, że gdy dotarła do niego taśma z nagraniem ostatniego wystąpienia o. Ludwika, natychmiast odsłuchał ją do końca. Po słowach „a zatem znikam z pola widzenia" nastąpił nagły trzask. Taśma kręciła się jeszcze przez kilka minut, ale nic już nie można było usłyszeć.

© SEBASTIAN DUDA

Autor jest filozofem, teologiem, publicystą, redaktorem kwartalnika „Więź" oraz członkiem Zespołu Laboratorium „Więzi". Niebawem w Bibliotece „Więzi" ukaże się jego zbiór esejów „Przesilona wątpliwość".

JACEK BEDNARCZYK / PAP

Happening z okazji Ogólnopolskiego Dnia Ludzi Bezdomnych na krakowskim Rynku, 14 kwietnia 2018 r.

Nie sądź z pozorów

DOROTA BIDZIŃSKA

Gdyby nie ta lekcja katechezy, Ola, Karolina, Kuba i Marcin nigdy nie poznaliby Kingi, Ani, Stanisława i Roberta. Myśleliby o nich po prostu: „ci bezdomni".

W PUSTYM KOŚCIELE MŁODY KAPUCYN modli się przed figurą ukrzyżowanego Chrystusa. Jest piątek, 20 września 1918 r., dziewiąta rano. To, czego za chwilę doświadczy, będzie opisywał dwa dni później w liście do swojego kierownika duchowego o. Benedykta z San Marco in Lamis z mieszaniną zakłopotania i determinacji, by ujawnić całą prawdę. „Zostałem zaskoczony przez stan odpoczynku, podobny do słodkiego snu – pisze o. Pio Forgione. – Gdy to się działo, zobaczyłem przed sobą tajemniczą osobę podobną do tej, którą widziałem wieczorem 5 sierpnia. Jedyną różnicą było to, że z jej dłoni, nóg i boku kapała krew. (...) Wizja zniknęła i zdałem sobie sprawę z tego, że moje ręce, nogi i bok ociekały krwią".

Moment otrzymania stygmatów naznaczy całe jego życie, następne 50 lat. Będzie wzbudzał emocje, prowokował dyskusje przez kolejne lata, także po jego śmierci.

Kinga

Szła ulicą i zobaczyła kartkę z informacją o łaźni i pralni dla bezdomnych. To wtedy pomyślała: „Choć nie wyglądam, to jedną nogą już jestem na ulicy". Nie umie powiedzieć, kiedy dokładnie otrzymała swój stygmat. Czy wtedy, kiedy zaczęła mieszkać w wynajmowanej razem z kolegą pracowni? On tam malował, ona – nocowała.

– Nie było łazienki ani wody. Mój dzień to było nieustanne kombinowanie, gdzie i jak się umyć – opowiada. – Zapadłam na zdrowiu psychicznym, wstydziłam się zadzwonić do pracodawcy, bo wstydziłam się siebie.

A może już wtedy, kiedy jako świeżo upieczona absolwentka ASP, oszukana przez właścicielkę galerii, w której pracowała, została bez środków do życia? Pomieszkiwała u znajomych, rzeczy trzymała w depozycie. Na święta jeździła do rodziców i udawała, że wszystko jest OK.

Katecheza o stereotypach

Stanisław wychowywał się w kochającej rodzinie. Dominika pracowała na wysokich stanowiskach. Krzysztof skończył dwa kierunki studiów, zawsze stronił od alkoholu i innych używek. Historie życia tych osób łączy tylko jedno: każdy z nich znalazł się na ulicy.

– Zaskoczyło mnie to, że osobą bezdomną może zostać ktoś, kto skończył dobrą szkołę, ma wyższe wykształcenie – mówi Jarek, uczeń XIII LO w Krakowie.

– Czasem myślimy, że bezdomny to ktoś, kto sobie na takie życie zasłużył. A przecież to są ludzie, którzy niczym się od nas nie różnią. Po prostu w którymś momencie znaleźli się w trudnej sytuacji, w której sobie nie poradzili i ten jeden moment zadecydował o ich życiu – dopowiada Karolina.

Historie Stanisława, Dominiki, Krzysztofa uczniowie poznali na jednej z katechez, którą poprowadzili dla nich pracownicy Dzieła Pomocy św. Ojca Pio, krakowskiej organizacji działającej na rzecz osób doświadczających bezdomności lub nią zagrożonych. Lekcje zostały przygotowane na ubiegłoroczne obchody Światowego Dnia Ubogich w Krakowie, a później stały się częścią większej kampanii „Niestygmatycy". Jej trzon stanowią spisane świadectwa podopiecznych Dzieła, którzy opowiadają o sobie, o tym, jak stracili dom i jak dziś krok po kroku wychodzą z bezdomności.

– Każda z tych historii podpisana była imieniem, a po przecinku dopisane było „bez domu" – opowiada jedna z uczennic, Gabrysia. – To mi pokazało, że nie można wszystkich włożyć do jednego worka z napisem „bezdomność". Że każdą z tych osób trzeba lepiej poznać, zbliżyć się do niej, żeby w ogóle móc coś na jej temat powiedzieć.

↦

↦ Zderzając się z indywidualnymi historiami osób doświadczających bezdomności, uczniowie uświadamiają sobie, ile krzywdzących stereotypów na ten temat krąży w społeczeństwie i jak bardzo odciskają one piętno na tych, do których się odnoszą.

– Czy lekcja o stereotypach pasuje na zajęcia z religii? Nawet przez chwilę się nad tym nie zastanawiałam – mówi s. Halina Mol, katechetka w XIII LO. – Sama byłam bardzo ciekawa, czego w ramach tych zajęć dowiem się o osobach, które na co dzień mijam na ulicach Krakowa. Przecież to jest ważny fragment naszej rzeczywistości. A wiara to nie jakieś oderwane tematy, tylko doświadczenie, które przenika całe nasze życie.

Anna

Mówi, że w byciu bezdomnym najtrudniejsze jest bycie kobietą. – Przyjęło się, że mężczyzna może sobie pozwolić na taki stan. Kobieta bez domu to jednak zjawisko.

Anna nie miała szczęścia do mężczyzn. Jej partner wplątał ją w nielegalne interesy, bił ją, kiedy mu się sprzeciwiała, w końcu razem trafili do więzienia. Po wyroku nie miała dokąd pójść, trafiła na krakowski dworzec. Na ulicy poznała Zbyszka.

– Wyciągnął do mnie pomocną dłoń, powiedział, że nie zasługuję na takie życie. Dzięki niemu od miesięcy nie sięgam po alkohol. Nareszcie czuję się czysta, zadbana, codziennie robię sobie makijaż.

– Wiem, że oni wszyscy zasługują na taką przemianę – dodaje. – Moim marzeniem jest, żeby każda osoba bezdomna odbiła się od dna i rozpoczęła nowe życie. Wiele z nich tego chce, ale się boi, że „po drugiej stronie" nie czeka na nich nic dobrego.

Ten doktor uścisnął mi rękę

– Pierwszym impulsem dla naszej akcji „Niestygmatycy" było rozpoczęcie Roku Jubileuszowego św. Ojca Pio. Wspominamy 50-lecie jego śmierci i 100-lecie otrzymania stygmatów. To nie tylko oficjalny patron naszej inicjatywy, ale dla wielu osób, które pracują w Dziele Pomocy, osobisty przewodnik i bardzo ważna postać. Chcieliśmy jakoś włączyć się w świętowanie tego jubileuszu – opowiada Małgorzata Kokot. – Wspomnienie stygmatyka naszych czasów zainspirowało nas, by przyjrzeć się problemowi stygmatyzacji społecznej, z którym często zderzamy się w naszej pracy.

Doradcy zawodowi z Dzieła Pomocy św. Ojca Pio zauważają, że gdy razem z podopiecznymi przygotowują CV do przyszłej pracy, wiele osób ma opory przed podaniem adresu zamieszkania. Ulice Skawińska lub Makuszyńskiego w Krakowie od razu kojarzone są z mieszczącymi się przy nich schroniskami dla bezdomnych. Starający się o zatrudnienie wiedzą, że taka informacja drastycznie obniża ich szansę na pozytywną odpowiedź pracodawcy.

– Pamiętam, jak jeden z panów, który korzysta z naszej pomocy, poszedł do lekarza z poważnymi objawami. Niepokoiliśmy się o niego, więc jak tylko do nas przyszedł, zapytaliśmy go o przebieg wizyty – opowiada br. Tomasz Duszyc, pracownik Dzieła. – Zaczął więc opowiadać, jak lekarz na powitanie podał mu rękę, jak posadził go naprzeciwko siebie, rozmawiał z nim patrząc mu prosto w oczy. Był zachwycony, jakby trochę niedowierzał, że to naprawdę miało miejsce. – No dobrze, ale jaka diagnoza? – niecierpliwiliśmy się. Machnął ręką i rzucił od niechcenia: – No, mam raka.

Robert

– Jestem ponad 50-letnim mężczyzną, który w życiu wiele przeszedł – mówi o sobie. – Trudno powiedzieć, które z moich przeżyć było najgorsze. Śmierć 18-letniego syna, który miał raka, wypadek samochodowy, który spowodował trwały uszczerbek na moim zdrowiu i wyglądzie, śmierć mamy czy rozwód z żoną po kilkunastu latach małżeństwa. Może to za dużo jak na jednego człowieka? Chyba po trochu wszystko to złożyło się na moją bezdomność.

O tym, co przeżył, może już opowiadać w czasie przeszłym. Dziś ma pracę na umowę i ciepłe mieszkanie.

– Gdy teraz wspominam czasy schroniska, myślę nieco z ironią, że to jedno doświadczenie więcej, ale... dlaczego aż tak długo trwało? Najgorsza była beznadzieja, poczucie, że to się nigdy nie skończy. Uciekałem w książki i wycieczki po krakowskich fortach, poznawałem ich historie, do dziś jest to mój konik.

To mogłam być ja

Kampania „Niestygmatycy" to strona internetowa, na której można przeczytać świadectwa 12 różnych osób, to zorganizowana niedawno konferencja naukowa, wystawa „Zobacz we mnie kogoś więcej niż tylko bezdomnego" na krakowskich Plantach, gdzie stereotypowe wizerunki osób bezdomnych: śpiących na ławkach, żebrzących na ulicach, poruszających się o kulach lub na wózkach inwalidzkich zostały zestawione z barwnymi urywkami zdjęć pokazującymi życie rodzinne, domowe ciepło, pracę zawodową i życiowe pasje.

To także lekcje takie jak ta, w której wzięli udział uczniowie siostry Haliny. Autorzy kampanii chcą ze swoim przekazem dotrzeć przede wszystkim do młodzieży.

Badania opinii pokazują, że młodzi ludzie podzielają wyobrażenie o osobach bezdomnych, które pokutuje wśród ogółu społeczeństwa. O charakterystykę osób w kryzysie bezdomności poproszono studentów z Pomorza, w ramach badań zrealizowanych przez Uniwersytet Gdański. W opinii respondentów osoba bezdomna to przede wszystkim ktoś, kto nie dba o swój wygląd, z nałogami, niezaradny życiowo, niezbyt ambitny i raczej leniwy.

– Żul, lump, menel – często słyszę w moim otoczeniu takie określenia – mówi Jarek, uczeń z XIII LO. – Myślę, że bierze się to stąd, że ludzie oceniają wszystkich bezdomnych przez pryzmat osób, które najbardziej rzucają się w oczy, na przykład zaczepiają na ulicach i proszą o kasę na alkohol. Nie dostrzegają, że wiele jest takich, którzy nawet wstydzą się poprosić o pomoc. Pomagam podczas wigilii dla ubogich na Rynku, mam też do czynienia z osobami bezdomnymi w ramach Maltańskiej Służby Medycznej. Często jestem zaskoczony uprzejmością i życzliwością tych osób. I ich wdzięcznością. Potrafią cieszyć się tym, co mają, choć przecież mają tak niewiele.

– A mnie się wydaje, że my po prostu boimy się utożsamić z osobą bezdomną – dodaje z namysłem Karolina. – Nie chcemy myśleć o tym, że gdyby tylko nasze życie potoczyło się trochę inaczej, to sami moglibyśmy być na jej miejscu.

© DOROTA BIDZIŃSKA

W tekście wykorzystałam fragmenty świadectw osób doświadczających bezdomności opublikowane na stronie www.niestygmatycy.pl; korzystałam też z książki o. Pio „Moje stygmaty. Listy świętego z Pietrelciny".

SZYMON

Hołownia:
Testament mój

Jedna z największych organizacji działających w Polsce na rzecz dzieci (za bardzo ich lubię i szanuję, by przeszło mi przez gardło wprost, o kogo chodzi) parę miesięcy temu wypuściła do mediów spot zachęcający do spisywania testamentów, by po eschatologicznej ewakuacji z Łez Padołu zostawało po nas nie tylko coś dla stryjecznej wnuczki, ale i dla organizacji, którą postanowiliśmy w jej pracy wspierać. Idea przeszczytna: ileż to się już nasłuchałem historii, w których rodzina zmarłego przez lata potrafi tkwić zaklinowana w kłótniach o majątek (częściej: mająteczek), leżący odłogiem, nikomu niesłużący i generujący zło. To naprawdę nie jest głupi pomysł: uposażyć za życia, kogo się tam chce, ale wyraźnie też zaznaczyć: a to i to idzie dla ludzi biednych. Osobiście znam trzy organizacje, które miały szczęście zostać uwzględnione w czyichś testamentach. W jednym przypadku rodzina zbiesiła się, wynajęła adwokatów i próbuje organizację ze spadku wydziedziczyć, w dwóch pozostałych zapisane fundacjom przez testatorów (samotnych ludzi, których majątek przypadłby Skarbowi Państwa) mieszkania zostały spieniężone, a środki pozwoliły na zrobienie zupełnie wspaniałych rzeczy.

Moje fundacje nie miały jeszcze tego szczęścia, by ktoś zechciał je w ten sposób wyróżnić. Szczerze życzę tego honoru organizacji wspomnianej na wstępie, choć jej spot wywołał we mnie raczej złość zmieszaną z politowaniem. Występują w nim wielcy aktorzy. Jeden z nich jest rozstrzeliwanym przez pluton egzekucyjny hrabią, który – jak wyjaśnia narrator – nie spisał testamentu, ostatniego życzenia też nie był uprzejmy wyrazić, w związku z czym wszystko, co miał, idzie na zmarnowanie, choć nie musiałoby. Spot kończy się hukiem wystrzału, a więc śmiercią hrabiego, co nakłada się na planszę z logo prodziecięcej organizacji. Ktoś miał naprawdę słabszy dzień, jeśli podpisał się pod kreacją promującą ratowanie ludzkiego życia (co – powtarzam – ta organizacja robi skutecznie i na wielką skalę) poprzez nawiązania do egzekucji. Zbyt wielu ludzi, w tym dzieci (parę tygodni temu pisałem tu o historii z Kamerunu), codziennie w ten sposób żegna się ze światem, by na miejscu było pokazywanie w walce o życie zabijania ludzi na niby.

Spot jest nieszczęsny, ale naprawdę warto pokręcić się jeszcze chwilę przy idei. Jakoś ostatnio dotarło do mnie, że przecież wiele rzeczy, które każdy z nas robi, próbując zmienić jakiś fragment świata na lepsze, będzie działać również po naszej śmierci. My już będziemy się witać z eschatologiczną gąską, a studnia, której budowę wsparliśmy, nadal będzie dostarczać ludziom wodę, w szkole będą zajęcia, dziecko, do którego przeżycia się dołożyliśmy, będzie obdarzało miłością swoje dzieci. Wielokrotnie prezentowałem już teorię, w myśl której mój czyściec nie będzie wcale (jak się powszechnie wyobraża) termiczny: z wyposażonym w termostat i minutnik kotłem, i okresami chwilowej ulgi, gdy ktoś zechce wykupić za mnie wypominki, a wtedy niebiański nadzór wyśle anioła, żeby polewał mnie zimną wodą. Mój czyściec będzie polegał wyłącznie na uświadamianiu sobie niewykorzystanych szans na to, by kochać tak, jak mówił i kochał Jezus. Będzie siedzeniem z obiema rękami w eschatologicznym nocniku. W moim własnym zakichanym interesie jest więc zostawić, póki mogę, na świecie tyle dobrych wehikułów, by gdy ja już nie będę w stanie, one robiły robotę za mnie i chłodziły moje bolesne autorozpamiętywanie.

Właśnie w związku z tym zacząłem się ostatnio zastanawiać, jak powinna wyrażać się w praktyce moja wiara w ten fragment tajemnicy świętych obcowania, który nakazuje troskę o moich bliskich zmarłych. Jasne, modlitwa – zamawiane msze, wypominki, to wielka i ważna pomoc. Ale czy nie byłoby im miło, gdybym w ich imieniu, na ich konto, jako ich wnuk, kuzyn, przyjaciel, zrobił jeszcze na tej ziemi jakąś dobrą robotę? Niech oni zaangażują się w to tak, jak mogą i chcą, niech się modlą za mnie, wspierają, a ja zrobię za nich to, co będąc jeszcze tu, na ziemi, mogę. Do jednego zlecenia stałego, jakie co tydzień puszczam na moją fundację, dołożyłem drugie – od nich, od tych, o których wiem, że też by je założyli, ale zwyczajnie stracili już zasięg (to we współczesnych czasach najbardziej przejmująca znana mi metafora, ale też przecież i definicja śmierci).

Trafiły ostatnio w moje ręce złote krzyże, które rodzina zmarłego włoskiego biskupa postanowiła przekazać papieżowi, bo on z pewnością będzie wiedział, jak zrobić z nich dobry użytek. To dar z gatunku tych, które palą ręce: jakbyś czuł stale na sobie spojrzenie kogoś, kto po 10 razy dziennie dopytuje: czy już? Czy one już karmią głodnych, uwalniają przybitych, dają spokojną noc? Czy zdobny krzyż, który nosiłem na piersi jako symbol życia, dotknął wreszcie ziemi, zmieszał się z nią, i stał się samym życiem? Ile rzeczy, ile pobożnych artefaktów, będzie wołać tak po mojej śmierci? I co mi tak naprawdę przeszkadza jeszcze dziś być mądrym przed szkodą? ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

EUROPEJSKA ROZGRYWKA ORBÁNA

Premier Węgier stał się idolem prawicowo-populistycznego – i prorosyjskiego – ruchu, który chciałby objąć władzę w Unii Europejskiej. Co wyniknie z tego flirtu?

ANDRZEJ SADECKI Z PRAGI

Marine Le Pen nazywa rzecz wprost: „Europę czeka wybór między Merkel a Orbánem". Liderka francuskiej skrajnej prawicy nie pozostawia wątpliwości, że jej formacja – kiedyś Front Narodowy, a dziś Zjednoczenie Narodowe – opowiada się za premierem Węgier. „Jestem pewien, że za kilka miesięcy to my z Viktorem Orbánem będziemy rządzić Europą" – mówi z kolei wicepremier Włoch Matteo Salvini, lider Ligi Północnej i wschodząca gwiazda włoskiej polityki. Z podobnym entuzjazmem na temat premiera Węgier mówią przedstawiciele Alternatywy dla Niemiec, Wolnościowej Partii Austrii czy holenderskiej Partii Wolności.

Na pół roku przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, Orbán awansuje do roli nieformalnego lidera populistycznego „frontu", który chce odsunąć dotychczasowe elity od władzy. Co sprawiło, że premier niewielkich Węgier, wcześniej kojarzony na Zachodzie co najwyżej z antyliberalnych eksperymentów, stał się jednym z głównych punktów odniesienia dla europejskich polityków?

Potencjał w kryzysie

Jako jeden z pierwszych polityków w Europie, Viktor Orbán dostrzegł polityczny potencjał kryzysu migracyjnego. Już w styczniu 2015 r., po zamachu na redakcję „Charlie Hebdo", pojechał do Paryża i wystąpił z ostrą krytyką imigracji i społeczeństw wielokulturowych. Ogłosił zarazem, że nie dopuści do osiedlania się imigrantów na Węgrzech. Wydawało się to zaskakujące, gdyż Węgry nie są państwem docelowym migracji. Jednak władze węgierskie widziały, że coraz więcej osób nielegalnie przekracza granicę węgiersko-serbską.

Szlak wiodący przez dziurawą granicę węgierską – będącą zewnętrzną granicą Unii – przecierali najpierw imigranci z państw bałkańskich. W kolejnych miesiącach 2015 r. stał się główną trasą napływu imigrantów z Bliskiego Wschodu do Europy. Choć Węgry były dla nich jedynie przystankiem w drodze do zamożniejszych państw Unii, Orbán postanowił ich zatrzymać i zbudował płot na południowych granicach kraju.

Od tego czasu retoryka antyimigracyjna stała się w zasadzie jedynym przekazem rządzącej Węgrami partii Fidesz. Orbán zaprzągł cały aparat państwowy i medialny do budowania poczucia zagrożenia ze strony imigrantów i wzmacniania swojego wizerunku jako obrońcy Węgier przed napływem „obcych". Wrogiem publicznym uczynił też miliardera i liberalnego filantropa George'a Sorosa,

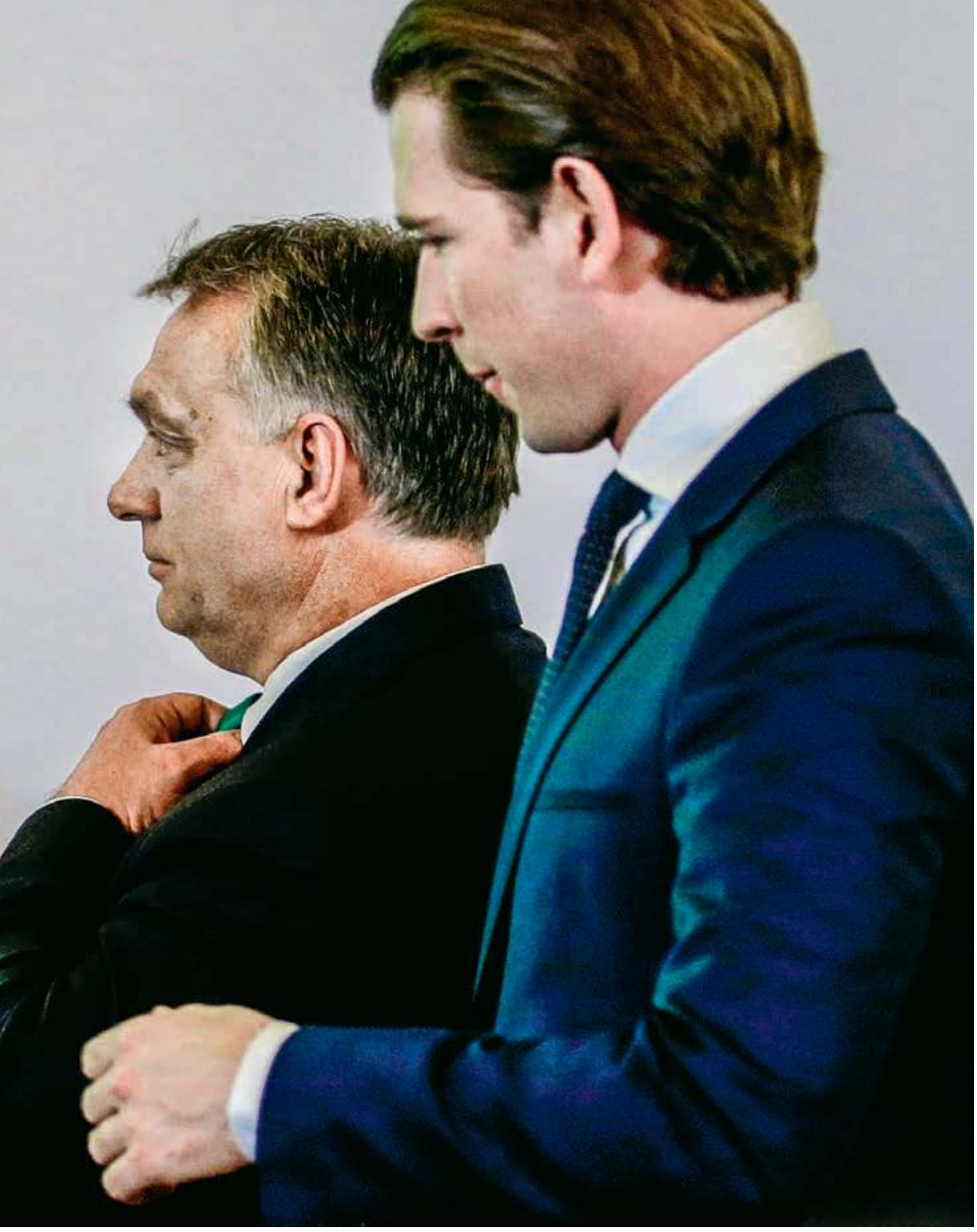

HEINZ-PETER BADER / REUTERS / FORUM

Premier Węgier Viktor Orbán (z lewej) i kanclerz Austrii Sebastian Kurz z partii konserwatywnej ÖVP. Wiedeń, styczeń 2018 r.

któremu przypisał rolę sprawczą w wywołaniu kryzysu migracyjnego. Taki przekaz utrwalały media, należące dziś w większości do zaprzyjaźnionych z rządem oligarchów, a także finansowane z budżetu państwa masowe kampanie billboardowe.

Choć od jesieni 2015 r. szlak migracyjny nie biegnie już przez Węgry, to forsowany przez Komisję Europejską pomysł osiedlania uchodźców w państwach członkowskich pozwalał Orbánowi pokazywać, że zagrożenie jest aktualne. Strategia ta okazała się niezwykle skuteczna. Partii Orbána udało się przezwyciężyć kryzys poparcia, zepchnąć na dalszy plan skandale korupcyjne i wytrącić argumenty skrajnie prawicowemu Jobbikowi. A nade wszystko wygrać wiosną 2018 r. wybory, uzyskując trzeci raz z rzędu większość dwóch trzecich w parlamencie.

Ambicje poza Węgrami

Viktor Orbán zaczął dostrzegać w kryzysie migracyjnym również potencjał zagraniczny i szansę na wyjście z izolacji w polityce europejskiej. Na forum Unii nie musiał się już tylko tłumaczyć z kontrowersyjnych reform w swoim państwie. Gdy kryzys migracyjny stał się dominującym tematem europejskiej polityki, to premier Węgier znalazł się w ofensywie, tworząc wokół siebie regionalną koalicję państw przeciwnych relokacji migrantów – i stając się idolem partii antyimigracyjnych w całej Europie.

Spełniał tym samym osobiste ambicje polityczne. Jest on bowiem politykiem, który łącznie 13 lat sprawuje funkcję premiera (w latach 1998–2002 i od 2010 r.) i w polityce krajowej osiągnął już wszystko. Jak zdradzają prasie bezpośredni współpracownicy Orbána, węgierska polityka coraz mniej go ekscytuje. Jest natomiast przywódcą zbyt małego państwa, żeby odgrywać znaczącą rolę na arenie międzynarodowej – i politykiem zbyt kontrowersyjnym, aby zająć eksponowaną funkcję w instytucjach międzynarodowych.

Orbán dostrzegł jednak swą szansę – właśnie w walce o rząd dusz w rozpalającym Europę sporze o imigrację. Świadomie buduje wizerunek nieprzejednanego przeciwnika imigracji, jak też krytyka zachodniego establishmentu. Spotyka się z liderami partii populistycznych lub skrajnie prawicowych z Austrii, Holandii czy Włoch. Zaprosił do Budapesztu Steve'a Bannona, zwolennika radykalnego ograniczenia imigracji i twórcę zwycięskiej kampanii Donalda Trumpa. Po konflikcie z prezydentem i utracie funkcji doradcy w Białym Domu, Bannon angażuje się teraz we wspieranie idei współpracy partii populistycznych w Europie.

Kampania z rozmachem

Orbán bezpardonowo atakuje swoich przeciwników, ale też bez wahania podnosi rzuconą rękawicę. Gdy Guy Verhofstadt, lider liberalnego ALDE w Parlamencie Europejskim (to trzecia największa frakcja po chadekach i socjalistach), zaczął w listopadzie swoją kampanię przed wyborami europejskimi od zaprezentowania plakatu z Orbánem i podpisem „Najpierw wziął nasze pieniądze, teraz chce zniszczyć Europę", na węgierską reakcję nie trzeba było długo czekać. Rzecznik węgierskiego rządu wystąpił na tle plakatu ze zdjęciem belgijskiego polityka i podpisem: „Setki ludzi zginęło w Europie w atakach terrorystycznych od 2015 r., ale Verhofstadt twierdzi, że nie mamy kryzysu migracyjnego. To chore!".

Premier Węgier dba o międzynarodowy zasięg swojej kampanii antyimigracyjnej. Jego przemówienia są publikowane w kilku językach, a nagrania na popularnym profilu facebookowym tłumaczone na angielski. Aby lepiej dopasować przekaz Orbána do nastrojów, think tanki związane z Fideszem zamawiają badania opinii publicznej w całej Europie.

Formułowana przez Orbána krytyka imigracji czy wielokulturowości nie jest oczywiście niczym nowym – premier ↦

↦ Węgier przejął tu hasła od lat funkcjonujące w europejskiej debacie publicznej. Ale radykalizm jego przekazu, argumenty o konieczności zachowania homogeniczności etnicznej czy zrównywanie imigrantów z terrorystami – wszystko to było dotąd zarezerwowane dla partii skrajnie prawicowych, do niedawna bez szans na rządzenie.

Tymczasem Orbán głosi je z pozycji przywódcy państwa – i członka frakcji chadeckiej (Europejskiej Partii Ludowej), największej grupy politycznej w Parlamencie Europejskim.

W chadeckiej „rodzinie"

Czy Orbán stanie zatem – mniej lub bardziej formalnie – na czele antyimigranckiego ruchu, który odmieni oblicze Parlamentu Europejskiego po wyborach w maju 2019 r.?

Mimo wszystko to mało prawdopodobne – z kilku powodów. Przede wszystkim, Fidesz należy do Europejskiej Partii Ludowej (EPP) i chce w niej pozostać. Orbánowi to się opłaca: daje mu przynależność nie tylko do najliczniejszej frakcji w Parlamencie Europejskim, ale i najbardziej wpływowej „rodziny" politycznej w Europie, która nieraz rozciągała parasol ochronny nad Fideszem.

Nie oznacza to, że w EPP nie narasta krytyka wobec Fideszu. We wrześniu dwie trzecie posłów EPP w Parlamencie Europejskim (114 na 171) poparło przyjęcie raportu niezwykle krytycznego dla rządów Orbána. Powołując się na „poważne zagrożenie naruszenia wartości UE" przez Węgry, zarekomendowano uruchomienie procedury na podstawie art. 7 traktatu o Unii Europejskiej, która w końcowym etapie – do czego zapewne nie dojdzie – przewiduje zawieszenie prawa głosu państwa członkowskiego. Europejska Partia Ludowa zagroziła też, że wyrzucenie Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego z Budapesztu (to element walki Orbána z Sorosem, fundatorem tej uczelni) będzie przez nią odebrane jako przekroczenie „czerwonej linii". Holenderskie i szwedzkie partie centroprawicowe wprost domagają się wykluczenia węgierskiego premiera z EPP.

Ale Orbán może wciąż liczyć na sojuszników z austriackiej czy niemieckiej chadecji, zwłaszcza bawarskiej CSU. Na listopadowym kongresie EPP bawarski polityk Manfred Weber został – z poparciem Fideszu – kandydatem europejskich ludowców na przewodniczącego Komisji Europejskiej. Mimo rosnącego zniecierpliwienia wobec Orbána, władze EPP kierują się twardą arytmetyką, a kilkanaście mandatów Fideszu może być języczkiem u wagi w nowym rozdaniu po maju 2019 r. Obawiają się też, że wyrzucenie Fideszu przed wyborami europejskimi byłoby tylko wiatrem w żagle populistów. Wygląda na to, że EPP przełknie nawet wymuszone przez rząd Węgier przenosiny Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego do Wiednia (co ogłoszono na początku grudnia).

Wątpliwe też, by Orbán sam opuścił Europejską Partię Ludową. Można to sobie wyobrazić tylko w przypadku drastycznego spadku poparcia dla chadeków. Poza tym, alternatywa jest niepewna. Sojusze partii skrajnie prawicowych, eurosceptycznych czy antyestablishmentowych w Europie okazywały się dotąd nietrwałe. A fala zwycięstw populistów okazała się mniejsza, niż Orbán przewidywał na początku 2017 r., gdy po wygranej Trumpa wieszczył rok politycznych rewolucji w Europie.

Sceptycyzm, ale inny

Wprawdzie skrajna prawica współtworzy od niedawna koalicje rządowe w Austrii i Włoszech, ale we Francji, Niemczech czy Holandii nie zdołała dojść do władzy. Z kolei powtórzenie przez Bannona sukcesu z kampanii Trumpa w realiach europejskich nie jest wcale pewne – nie budzi on entuzjazmu skrajnej prawicy, tradycyjnie sceptycznej wobec USA.

Premiera Orbána z potencjalnymi sojusznikami w przebudowie europejskiej sceny politycznej łączy – prócz haseł antyimigracyjnych – radykalna krytyka obecnego establishmentu europejskiego i liberalnej demokracji. A także sympatie prorosyjskie.

Jednak równie dużo – jeśli nie więcej – dzieli. Współtworzony przez skrajną prawicę rząd włoski chce relokować migrantów ze swojego terytorium do innych państw (w tym na Węgry). Austria, współrządzona przez skrajną prawicę, najgłośniej domaga się obcięcia funduszy dla słabiej rozwiniętych państw Unii (w tym Węgier) – tymczasem w 2019 r. w Unii zacznie się decydująca faza negocjacji nad jej nowym budżetem. Z kolei rząd Orbána, który wprawdzie w przeszłości chętnie demonizował Międzynarodowy Fundusz Walutowy, nie podziela jednak ostrej krytyki globalizacji, z którą występuje większość partii radykalnych. Węgry są bowiem beneficjentem wolnego handlu, a eksport stał się kołem zamachowym ich gospodarki.

W końcu, eurosceptycyzm Orbána ma inny odcień niż u większości zachodnioeuropejskich partii skrajnie prawicowych. Owszem, Orbán występuje w roli trybuna ostro krytykującego Komisję Europejską i kreuje się na obrońcę Węgrów przed zakusami brukselskich biurokratów. Wiosną 2017 r. z wszechobecnych billboardów krzyczało hasło „Stop Brukseli", przez które rząd chciał zademonstrować swój opór wobec migracyjnej polityki Unii.

Jednak nikt we władzach Węgier nie rozważa na poważnie wyjścia z Unii. Społeczeństwo jest nastawione proeuropejsko, a gospodarka ściśle zintegrowana z niemiecką. Węgry są też jednym z największych odbiorców środków unijnych. Co więcej, oligarchowie Fideszu swój model biznesowy opierają na pozyskiwaniu zamówień publicznych, finansowanych w znacznej mierze z funduszy europejskich.

Scenariusz partykularny

Co może więc wyniknąć z flirtu Orbána z partiami populistycznymi czy skrajnie prawicowymi? Najbardziej prawdopodobny jest taki scenariusz, że ów flirt będzie dalej służył przede wszystkim realizacji różnych partykularnych celów Budapesztu. Ma on Fideszowi poszerzyć pole manewru i być przestrogą dla EPP, że węgierski premier ma alternatywę na wypadek, gdyby krytyka jego poczynań stała się nieznośnie silna.

Co jeszcze? Wyborcy będą nadal widzieć w Orbánie przywódcę na skalę europejską, który wypełnia dziejową misję obrony kontynentu przed obcą cywilizacją. A w tym czasie Fidesz będzie nadal korzystał z przywilejów członkostwa w największej europejskiej „rodzinie" politycznej.

Także konferencje prasowe Orbána z liderami ugrupowań skrajnie prawicowych z różnych państw europejskich będą dalej elektryzować media i przykuwać uwagę opinii publicznej – nawet jeśli, koniec końców, nie doprowadzą do powstania wielkiej międzynarodówki populistów.

© ANDRZEJ SADECKI

Autor jest politologiem, przez 7 lat pracował jako analityk ds. węgierskich w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia. Obecnie uczestniczy w projekcie badawczym na Uniwersytecie Karola w Pradze i University College London.

ARCHIWUM WSPÓLNOTY TATARÓW KRYMSKICH

Riza (w żółtym swetrze), Nariman (po jego prawej) i pozostali uczestnicy wyprawy po powrocie z Moskwy na Krym, grudzień 2018 r.

Tatarzy jadą do Moskwy

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

Uprowadzenie ukraińskich marynarzy u brzegu Krymu zaktywizowało społeczność tatarską na okupowanym półwyspie. Gdy Rosjanie wywieźli jeńców do stołecznego aresztu, tatarscy emisariusze ruszyli w ślad za nimi z zebraną pomocą.

Na chwilę świat przypomniał sobie o niewypowiedzianej wojnie między Rosją a Ukrainą, trwającej od prawie pięciu lat. 25 listopada rosyjska flota otwarcie zaatakowała trzy ukraińskie okręty płynące przez Cieśninę Kerczeńską, łączącą morza Czarne i Azowskie, a ich załogi wzięła do niewoli. Choć atak miał miejsce w basenie Morza Czarnego, Rosja oskarża Ukraińców o przekroczenie granicy Federacji Rosyjskiej, za co marynarzom grozi do sześciu lat więzienia.

Początkowo 24 marynarzy – traktowanych nie jak jeńcy, lecz przestępcy – przewieziono do miasta Kercz na okupowanym od 2014 r. Krymie.

Społeczeństwo ukraińskie było w szoku. „Kim są marynarze? Którzy są ranni? Kto im pomoże, skoro są na półwyspie okupowanym przez Rosję?" – pisali Ukraińcy na portalach społecznościowych.

„Ich rodziny są daleko. Wsparcie ich to nasz obowiązek i dług. Ogłaszam zbiórkę pomocy dla ukraińskich marynarzy" – mówił już 27 listopada w udostępnionym na Facebooku wideo starszy szpakowaty mężczyzna w okularach.

To Nariman Dżelał, zastępca głowy Medżlisu – samorządu Tatarów Krymskich, zdelegalizowanego przez rosyjskie władze.

Doświadczenie w pomaganiu

– Mamy doświadczenie w organizowaniu pomocy dla więźniów politycznych, bo Rosja nęka naszą społeczność ciągłymi aresztowaniami. Wiele osób pisze, że tym chłopcom trzeba pomóc, ale jakoś nikt nie zabierał się do konkretnych działań. Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli zrobimy to my, Tatarzy, skoro jesteśmy najbliżej – wyjaśniał później Dżelał w telefonicznej rozmowie z „Tygodnikiem".

Reakcja na jego apel była szybka. W kilka godzin zebrano 150 tys. rubli, w ciągu kolejnych kilku dni – ponad 400 tys. (równowartość 22 tys. zł).

Dżelał podał rozmiary ubrań marynarzy. Choć najstarszy z nich jest po trzydziestce, mówi o nich czule: „chłopcy". Mieszkańcy Krymu, który według Kremla chciał należeć do Rosji, znoszą dla ukraińskich chłopców nowe buty i ubrania, artykuły higieniczne i jedzenie. – Do akcji przyłączyli się nawet Rosjanie. Niektórych nigdy nie posądzałbym o proukraińskie poglądy. Na Krymie obudziło się społeczeństwo obywatelskie, tłumione przez pięć lat rosyjskiej okupacji – mówi mi Nariman.

– Pomagamy, niewiele mamy już do stracenia. W mojej organizacji wszyscy mężczyźni poza mną zostali aresztowani przez władze okupacyjne. Wiem, że i na mnie przyjdzie kolej – mówi „Tygodnikowi" Riza Asanow, szef organizacji Aq-Qaya (Biała Skała).

Może dlatego Tatarzy chętnie rozmawiają z dziennikarzami. Odpisują im na Facebooku, udzielają komentarzy dla rozgłośni radiowych. Możliwe, że w warunkach stałego zagrożenia taki kontakt ze światem daje iluzję bezpieczeństwa.

1800 km w jedną stronę

Wsparcie Tatarów Krymskich dla ukraińskich marynarzy nabiera rozgłosu poza Krymem. O paczkach zbieranych na Półwyspie piszą ukraińskie i europejskie media. W rosyjskim sądzie, przed którym stają po kolei marynarze, reprezentuje ich aż siedmiu prawników-Tatarów, mających już spore doświadczenie. Tatarzy przychodzą też pod budynek sądu ↦

↦ w Symferopolu, gdzie odbywają się rozprawy marynarzy.

Obrońcy praw człowieka alarmują, że zaangażowanie Tatarów może skończyć się nowymi represjami. Ale zanim do tego dojdzie, Rosjanie decydują się „rozwiązać" problem rozbudzonych sympatii proukraińskich – i po prostu wywożą marynarzy do aresztu śledczego w Moskwie.

„Zabrali ich z Krymu, żeby odciąć ich od nas. Ale skoro zabrali ich do Moskwy, to teraz Krym pojedzie do nich!" – postanawiają Tatarzy.

Na początku robią naradę. Analizują za i przeciw. Każdy, kto pojedzie, ryzykuje wolność, może życie (w ostatnich 5 latach kilkunastu działaczy tatarskich zginęło, a kilkunastu zaginęło bez wieści). Pewnie nikt nie zostanie aresztowany za to, że pomaga marynarzom. Ale zaczną się zmyślone zarzuty – nie po raz pierwszy.

Jednak prawie tona pomocy już jest zebrana. Nie można zawieść zaufania darczyńców. Niektóre produkty niedługo się zepsują. Nie można czekać.

W końcu wybierają pięciu śmiałków, którzy decydują się pojechać do Moskwy. Wsiadają w dwa auta terenowe i ruszają w trasę, liczącą 1800 km w jedną stronę.

Trzy paczki dla każdego

Tatarscy emisariusze docierają pod moskiewskie więzienie Lefortowo w poniedziałek 3 grudnia rano (to ten sam areszt, który w czasach sowieckich służył jako stołeczne więzienie KGB). Zaczynają segregowanie przywiezionej pomocy.

Dla każdego marynarza przygotowują po trzy paczki. Te pierwsze, z jedzeniem (takim jak ser, mleko czy ciasteczka), które może szybko się zepsuć, przekazują osobiście w areszcie. Pozostałe – z żywnością, która ma długi termin przydatności oraz z ubraniami – nadają w urzędzie pocztowym, który znajduje się obok. W ten sposób obchodzą przepis, że w areszcie można przekazać uwięzionemu jednorazowo nie więcej niż 30 kilogramów (w przypadku przesyłek pocztowych nie ma limitu).

– Nie chcemy, żeby nasi marynarze chodzili w rosyjskich strojach więziennych. Niech dzięki tym paczkom wiedzą, że jesteśmy z nimi – wzdycha Riza Asanow.

W tradycyjnych futrzanych czapkach-kołpakach Tatarzy budzą zainteresowanie. Przed aresztem zjawiają się rosyjscy aktywiści, zatrzymują się przechodnie.

– Niektórzy od razu wiedzieli, że przyjechaliśmy do ukraińskich marynarzy. Żony rosyjskich aresztantów, czekające w Lefortowie, ustąpiły nam swoje miejsca w kolejce, pomogły wypełnić dokumenty. To samo było na poczcie. Nawet nie wiedziałem, że Rosjanie mogą tacy być. Jakaś kobieta podeszła do mnie na poczcie i powiedziała: „Jesteśmy godni waszej nienawiści. Wybaczcie nam" – mówi Asanow. – Dzięki niej zrozumiałem, że Rosja to nie tylko Putin. Ci ludzie też chcą wolności.

Obrońca naszego narodu

– Rosjanie będą szukać na nas haków – uprzedza Nariman po powrocie. – Jeśli policja kogoś teraz zatrzyma za przekroczenie prędkości czy złamanie jakiegoś innego przepisu, skończy się to więzieniem.

Starają się nie podróżować pojedynczo. Ważne, by zawsze mieć świadków, którzy mogliby zeznawać w sądzie.

Ale rosyjskiej władzy nie trzeba nowych wykroczeń. W czwartek rano funkcjonariusze tzw. Wydziału E (Przeciwdziałania Ekstremizmowi) zatrzymują Emila Kurbedinowa, tatarskiego prawnika, który reprezentował jednego z marynarzy.

Kurbedinow jest znany z tego, że broni aktywistów społecznych prześladowanych na Krymie. Teraz formalnym powodem zatrzymania ma być jego wpis na jednym z serwisów społecznościowych jeszcze z 2013 r. Będzie sądzony z artykułu kodeksu karnego mówiącego o „propagowaniu lub publicznym demonstrowaniu symboliki organizacji ekstremistycznych". Takie same zarzuty stawiano mu, gdy był zatrzymany rok temu. Prawnik tłumaczył wtedy, że wpis dotyczył organizacji Hizb ut-Tahrir, Partii Islamskiego Odrodzenia, która przed 2014 r. działała legalnie na Krymie i nie była zakazana przez ukraińskie prawo. Natomiast władze rosyjskie uznały ją za organizację terrorystyczną.

– Dla wszystkich jest oczywiste, że go aresztowano, bo jest niewygodny dla rosyjskiej władzy – mówi Nariman pod budynkiem, gdzie do godzin nocnych trwa postępowanie w sprawie prawnika. Setki Tatarów przybyły, by wesprzeć Emila. Trzymają kartki: „Emil to obrońca naszego narodu".

– Czasem czuję się jak członek ruchu oporu podczas II wojny światowej. I naszym przeciwnikiem jest ten sam reżim totalitarny. Nasza wojna trwa od aneksji Krymu. I nie skończy się, dopóki Rosja nie zacznie przestrzegać praw człowieka. Ludzie pamiętają o rosyjskich zbrodniach. Krym pamięta – dodaje Riza Asanow.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA

Gra w ciemno

TEKST I ZDJĘCIA: DARIUSZ KAŁAN
Z BIHACIA I SARAJEWA (BOŚNIA I HERCEGOWINA)

W północno-zachodniej Bośni koczuje kilka tysięcy imigrantów, którym nie udało się dostać przed zimą do Unii. „Mróz w górach jest taki, że lód wchodzi w ciebie" – mówi Zohaib z Pakistanu.

Zohaib Ali podchodził do „gry" szesnaście razy. Bez skutku. To nie znaczy, że Zohaibowi brakuje talentu, albo że jest to zadanie niemożliwe do wykonania. W końcu zna wielu takich, którym się udało. Teraz są we Włoszech albo Francji.

– Ja próbowałem, oni próbowali. Pech – mówi mi Zohaib, 22-letni student matematyki i ekonomii z Pakistanu.

Ale na pecha można zwalić tylko część winy.

Po lewej: obóz w Bira na terenie dawnej fabryki lodówek. Powyżej: obóz Borici w dawnym akademiku. Bihać, grudzień 2018 r.

Dla Zohaiba i tysięcy innych imigrantów „wygrać grę" oznacza prześlizgnąć się niezauważonym przez górzystą granicę między Bośnią i Hercegowiną a Chorwacją – zewnętrzną granicą Unii Europejskiej – i następnie dotrzeć do któregoś z krajów Europy Zachodniej, do ziemi obiecanej.

Odyseja Zohaiba

Żeby się powiodło, tak jak w sporcie, potrzeba grającego uczciwie przeciwnika. Gdybyż tylko przyjechał wcześniej, a nie pod koniec sierpnia, spekuluje teraz Zohaib.

Wiosną tego roku granice nie były jeszcze tak strzeżone, a chorwacka policja tak brutalna. – Zniszczyli mój telefon i ukradli plecak z ubraniami – mówi, dołączając do dziesiątek innych, którzy oskarżają chorwacką policję o nieuzasadnioną przemoc.

A żeby tego było mało, Zohaiba oszukał szmugler: w zamian za 16 tys. euro obiecał mu transport do Włoch, ale w Bośni zabrał mu paszport pod pretekstem wklejenia wizy i tyle Zohaib go widział. – To żaden problem – śmieje się, kiedy pytam, jak to jest być nielegalnym imigrantem. – Za dużo tu nas. Nikt nie zauważy.

Zohaib spędził kilka miesięcy w drodze: z Pakistanu przez Iran, Turcję, Grecję, Macedonię i Serbię. Ale teraz jego podróż się kończy. Przynajmniej na jakiś czas. Nie zobaczy brata w Niemczech ani tym bardziej siostry w Kanadzie. Przy odrobinie szczęście skontaktuje się z kuzynami w Serbii.

Zohaib Ali jest jednym z czterech tysięcy, którym nie udało się wygrać „gry" – i muszą przeczekać zimę w zachodnio-północnej Bośni. – Mróz w górach jest taki, że lód wchodzi w ciebie, czujesz go we krwi – opowiada.

Od razu dodaje, że kolejną próbę przekroczenia granicy podejmie wraz z roztopami.

Trzy obozy i lasek

Dla takich jak Zohaib wybór jest ograniczony. Mogą zostać w jednym z czterech tymczasowych obozów przy granicy Bośni z Chorwacją: trzy znajdują się w Bihaciu, a jeden w oddalonej o godzinę jazdy Velikej Kladušy. Albo, jeśli stać ich na płacenie ok. sto euro miesięcznie za osobę, mogą zatrzymać się w kwaterach prywatnych.

Tak jak Zohaib, który wraz z czterema innymi Pakistańczykami wynajął w południowym Bihaciu mieszkanie na parterze willi. W pięciu mają do dyspozycji jedną sypialnię, kuchnię i łazienkę.

I tak jest to lepsze od obozu Borici – dawnego akademika, położonego na wzgórzu naprzeciwko stadionu piłkarskiego – gdzie żył przez ostatnie miesiące. Ten porzucony, trzypiętrowy budynek z gołymi ścianami, zimną betonową podłogą, na której imigranci rozkładają koce, śpiwory albo namioty, przypomina mroczne gotyckie straszydła z powieści Emily Brontë. Ci, dla których nie starczyło miejsca, lokują się w okolicznym lasku.

Dwa pozostałe obozy w Bihaciu są w nieco lepszym stanie: położona na obrzeżach Bira to dawna fabryka lodówek, a przeznaczona dla rodzin z dziećmi Sedra to hotel.

W dolinach pogoda nadal jest jesienna. Ale pierwszy śnieg, który w Bośni spadł w ostatnią środę listopada, zwiastuje nadejście srogiej zimy.

– Sytuacja nie jest tragiczna. Tylko wraz z nastaniem mrozów trochę się skomplikuje – mówi mi Dražan Rozić, koordynator projektów w Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji (IOM). To pod jego opieką znajdują się wszystkie tutejsze obozy.

Rozmawiamy w dniu, w którym mieszkańcy zaniedbanego Borici są przewożeni do Biry, bo dawny akademik ma przejść gruntowny remont.

Naturalne miejsce na okazanie współczucia

Tak jak wielu Bośniaków, którzy przeżyli wojnę w byłej Jugosławii z lat 1992-95, Rozić sam jest byłym uchodźcą. Urodził się na południu kraju, w Mostarze, o który bili się Serbowie, Chorwaci i Boszniacy. W gruzach legło stare miasto, w tym XVII-wieczny Stary Most, kiedyś symbol ↦

↦ pojednania: chrześcijaństwa z islamem, katolików z prawosławiem, wschodu z zachodem (dziś most jest już odbudowany).

Rodzina Rozicia musiała szukać schronienia w Chorwacji. – Była w tej samej sytuacji, co ci chłopcy – mówi Dražan, wskazując na grupę imigrantów czekających w kolejce przed wejściem do Biry.

Podobnie jak Mostar, a zwłaszcza Sarajewo, podczas tamtej wojny również Bihać przez ponad trzy lata znajdował się pod permanentnym ostrzałem. Wspomnienia o blisko 5 tysiącach ofiar (śmiertelnych lub zaginionych) są wciąż żywe, tak jak dziury po kulach na budynkach.

Gdy zaczął się kryzys migracyjny, to 56-tysięczne miasteczko od początku wydawało się naturalnym miejscem na okazanie współczucia i solidarności. I rzeczywiście: słyszałem dziesiątki historii o rozdawaniu ubrań i koców, dzieleniu się jedzeniem albo – jak w przypadku właściciela fabryki zamienionej w obóz Bira – o wynajmowaniu nieruchomości po preferencyjnej stawce.

Zmęczenie, frustracja, protest

W wielokulturowej Bośni, gdzie połowa obywateli to muzułmanie, narracja obecna w tak wielu krajach Unii Europejskiej o migracji jako głównym zagrożeniu dla bezpieczeństwa, dla kultury narodowej i tożsamości, nie jest silna – przyznaje to Hajrudin Solak z organizacji dobroczynnej Pomozi.ba.

– Byliśmy zaskoczeni spontaniczną i pozytywną reakcją i to bez względu na przynależność etniczną. Pomagali muzułmańscy Boszniacy, Chorwaci i Serbowie – opowiada Hajrudin.

Ale ten początkowy entuzjazm powoli zmienia się w zmęczenie i frustrację. W mieście organizowane są demonstracje pod hasłem „Obywatele dla bezpiecznego Bihacia".

– Nie jesteśmy przeciwko tym ludziom – mówi mi Senad Zanačić, były lotnik, obecnie na emeryturze, jeden z inicjatorów protestów. Senad narzeka, że mieszkańcy położonego kilka minut od centrum miasta obozu Borici wałęsają się po ulicach bez celu, często bez dokumentów. – Za tę sytuację winimy nie ich, ale władze, które nie potrafią im zapewnić normalnych warunków do życia – stwierdza.

Kryzys długo omijał Bośnię. Dopiero dwa lata po zamknięciu korytarza bałkańskiego, czyli uszczelnieniu granic przez Słowenię, Chorwację i Macedonię oraz po wejściu w życie umowy między Unią a Turcją o zatrzymaniu fali migracyjnej, ten mały i podzielony etnicznie kraj stał się nową trasą przerzutową.

DRAŽAN ROZIĆ:

Sytuacja nie jest tragiczna. Tylko wraz z nastaniem mrozów trochę się skomplikuje.

Obóz Bira, grudzień 2018 r.

Od stycznia 2018 r. w Bośni – gdzie bezrobocie sięga 20 proc. – pojawiło się ponad 23 tys. imigrantów, czyli prawie trzydziestokrotnie więcej niż w 2017 r. To najwyraźniej zaskoczyło rządzących. Międzynarodowe instytucje, w tym Komisarz Praw Człowieka Rady Europy, krytykowały ich za opieszałą i chaotyczną reakcję.

Pożytek z kryzysu

Źródłem problemu – tak jak wielu innych w Bośni – jest skomplikowana i przesadnie zdecentralizowana struktura władzy. W podejmowaniu decyzji uczestniczą: słaby rząd centralny w Sarajewie; entitety, czyli dwie części składowe państwa (Republika Serbska oraz zdominowana przez ludność muzułmańską i chorwacką Federacja BiH; a jest jeszcze zarządzany wspólnie Dystrykt Brczko); kantony federacji z dużym zakresem autonomii i na koniec gminy.

W sprawie imigrantów nikt nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności. Ośrodki centralne oskarżały lokalne o bezczynność – i odwrotnie.

Dodatkowo kryzys przydarzył się w okresie agresywnej kampanii przed październikowymi wyborami powszechnymi. Dla nacjonalistów w rodzaju Milorada Dodika – długoletniego prezydenta i premiera Republiki Serbskiej – stał się on pretekstem do rozbudzania waśni etnicznych. Zdaniem Dodika przybycie imigrantów było z góry ukartowane. „To realizacja sekretnego planu Sarajewa, a cel jest taki, żeby zwiększyć liczbę muzułmanów" – przekonywał.

Peter Van der Auweraert, szef misji IOM na Bałkany Zachodnie, twierdzi, że te obawy są nieuzasadnione. – Imigranci nie chcą zostać w Bośni. Traktują ją jak państwo tranzytowe – słyszę od niego w siedzibie IOM w Sarajewie. – Nie ma też żadnego powodu, aby politycy z innych części kraju wypowiadali się na ten temat, bo kryzys dzieje się daleko od nich.

W przeciwieństwie do Serbii czy Macedonii Bośnia nie doświadczyła wędrówki ludów przez swoje terytorium. Z jednym wyjątkiem Sarajewa, gdzie latem imigranci rozbili namioty w miejskim parku, przebywali oni wyłącznie w zachodnio-północnym kantonie uńsko-sańskim.

Van der Auweraert uważa, że z tego kryzysu można wyciągnąć przynajmniej jeden pozytywny wniosek: Bośnia potrzebuje Unii Europejskiej. Z całego regionu tylko ona i Kosowo nie uzyskały jeszcze statusu państwa kandydującego do Wspólnoty.

Mieszkańcy Bośni i Hercegowiny akcesję popierają – i to bez względu na podziały etniczne, bo nawet najbardziej sceptyczni Serbowie w większości są „za" (57 proc.). Przodują muzułmańscy Boszniacy (88 proc.), niewiele ustępują im Chorwaci (76 proc.). Od czasu, kiedy w kraju pojawili się imigranci, Unia przekazała łącznie 2 mln euro w ramach pomocy humanitarnej. Wyręczyła niesprawne struktury państwa.

Byle do wiosny

Ale w Bihaciu nikt z tego powodu nie świętuje. Frustracja rośnie – i to z obu stron.

Na tych, którzy opuścili domy w poszukiwaniu bezpieczeństwa albo stabilności ekonomicznej, z wieloma niełatwymi, czasem tragicznymi doświadczeniami za sobą, czeka niełatwa zima. W trudnych warunkach, często w towarzystwie członków wrogich grup etnicznych.

Dražan Rozić, koordynator projektów w IOM, wyznał mi, że w barwnej mozaice Pakistańczyków, Syryjczyków, Afgańczyków, Irańczyków i Irakijczyków – to pięć głównych narodowości wśród przebywających tutaj imigrantów – spory wewnętrzne zdarzają się prawie codziennie, i że nierzadko trzeba prosić ochronę o interwencję.

Niektórzy wyładowują gniew poza obozami. Od stycznia do października imigranci popełnili 103 przestępstwa i wykroczenia w kantonie uńsko-sańskim – tak wynika z informacji, jakie dostałem emailem od Snežany Galić, rzeczniczki policji w Bihaciu. To 10 proc. wszystkich przestępstw i wykroczeń z tego okresu w tym kantonie. Do najczęstszych należą: kradzieże, wtargnięcia do cudzego mienia, niszczenie mienia, ataki na urzędników zajmujących się bezpieczeństwem i próby gwałtu.

Właśnie takie jednostki, uważa Zohaib, najbardziej szkodzą migrantom.

– Wolę nie wychodzić z domu po godzinie siedemnastej – przyznaje. – Nie chcę żadnych kłopotów.

Byle dotrwać do wiosny.

© DARIUSZ KAŁAN

Reportaż powstał w ramach grantu Pulitzer Center on Crisis Reporting.

Ważni nieobecni

MARCIN ŻYŁA

Jest pierwsza od lat, choć wciąż wątła, nadzieja na koniec wojny w Jemenie.

„Chcieliśmy po prostu, żeby spojrzeli sobie w oczy, jak ludzie". Tak o pierwszych rozmowach bałkańskich polityków, które w 1995 r. ostatecznie doprowadziły do pokoju w Bośni, mówiła jedna z zachodnich negocjatorek. Pewnie o to samo chodziło Martinowi Griffithsowi, wysłannikowi ONZ ds. Jemenu, gdy 6 grudnia sprowadził do zamku Johannesberg pod Sztokholmem przedstawicieli jemeńskiego rządu i ruchu Hutich, czyli stron wojny, która wywołała największy obecnie kryzys humanitarny świata.

Griffiths mówił o rozmowach ostrożnie: „konsultacje". Towarzyszył też delegacji Hutich w jej drodze do Szwecji – tak silna jest nieufność Jemeńczyków do instytucji międzynarodowych i samego Zachodu, uwikłanego zresztą w tę wojnę.

Cel minimum negocjacji to zapobieżenie bitwie o Al-Hudajdę – port, przez który do Jemenu trafia pomoc. W mieście, otoczonym przez armię rządową, przebywa ok. 150 tys. cywilów. Od czerwca ceny żywności wzrosły tu dwukrotnie. Port działa na pół gwizdka – tu w każdej chwili może spaść pocisk, więc mało kto przychodzi do pracy.

Do rozmów doszło m.in. dlatego, że skończyła się już dobra *publicité* następcy tronu Arabii Saudyjskiej, księcia Mohammeda bin Salmana (uznawanego przez zachodnie wywiady za zleceniodawcę morderstwa dziennikarza Jamala Khashoggiego w Stambule). To właśnie Saudowie stoją na czele koalicji dziewięciu, w większości arabskich państw walczących z ruchem Hutich – i to ich naloty w dużej mierze odpowiadają za cierpienie Jemeńczyków. Nawet w amerykańskim Kongresie mówi się już o możliwym wycofaniu się Stanów Zjednoczonych z logistycznego wsparcia Rijadu. Na zamku Johannesberg można by więc doprowadzić do zgody na rozmowy pokojowe. Ale w praktyce o losie Jemenu wciąż decydują Arabia Saudyjska i Iran (sojusznik Hutich) – ważni nieobecni tych negocjacji.

Podczas gdy Jemeńczycy czekają na wiadomości ze Szwecji, ONZ wciąż dostarcza tu pomoc dla ok. 8 mln ludzi – ofiar walk i epidemii cholery. Organizacja Save the Children podała właśnie nowe liczby: od początku wojny ok. 85 tys. dzieci poniżej 5. roku życia umarło w Jemenie z głodu.

©℗

Abdelrahman Manhash – na zdjęciu w objęciach matki, Nadii Nahari – ma pięć lat i cierpi na niedożywienie, które zagraża jego życiu. Szpital w prowincji Al-Hudajda, zachodni Jemen, 22 listopada 2018 r.

AFP / EAST NEWS

Jestem Meksykanką. Żadnej pracy się nie boję

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (USA)

Sprzątają domy, opiekują się cudzymi dziećmi, dorabiają w fastfoodach. Robią to, czym Amerykanie nie chcą się zajmować.

Araceli mówi, że nigdy nie polubiła Stanów. 71-letnia kobieta mieszka w meksykańskiej Tijuanie, tuż przy granicy z USA, ale pracuje już po drugiej stronie. – Ludzie są tu zimni, robią wszystko na pokaz – uzasadnia swoją niechęć.

Ma ośmioro rodzeństwa, ale tylko ona mieszka jeszcze w Meksyku.

Opowiada: – Tylko ja z nich mówię wciąż słabo po angielsku. Na co dzień nie potrzebuję zbyt wielu słów. Od 20 lat zarabiam w Stanach jako opiekunka do dzieci. Kiedyś pracowałam sześć dni w tygodniu. Na emeryturze dorabiam tylko w środy. Przez te wszystkie lata z cudzymi dziećmi spędziłam więcej czasu niż z najmłodszym synem. Do dziś pamiętam, gdy po powrocie do domu przysypiałam czasami zmęczona w fotelu. Syn przykrywał mnie wtedy kocem, zdejmował okulary i gładził po policzku.

Krótki sen na parkingu

Gdy spotykam się z nią po raz pierwszy, jest mi trochę niezręcznie. Mam na sobie dżinsy i zwykły t-shirt. Idąc na wywiad, zwykle nie chcę się wyróżniać. Araceli wręcz odwrotnie: założyła świeżo wyprasowane białe spodnie i granatową bluzkę w białe kropki. W powietrzu unosi się woń perfum.

Aby dotrzeć na nasze spotkanie w Chula Vista – miejscowości oddalonej o 12 kilometrów od granicy z Meksykiem – każda z nas straciła ponad dwie godziny na dojazd. Ja tłukłam się autobusami z odległej o 40 kilometrów La Jolli. Ona stała w korku na przejściu granicznym z USA.

Mówi, że tym razem i tak poszło jej szybko. Zanim w 2014 r. zakończono prace nad rozszerzeniem przejścia o dodatkowe pasy dla samochodów, na granicy mogła utknąć na wiele godzin. Wspomina, że życie upływało jej wtedy tylko na pracy i dojazdach. W bogatych amerykańskich domach w Coronado (miasto w hrabstwie San Diego) pracowała od godziny 7 do 19, z powrotem w Tijuanie była ok. 23. Starczało jej tylko czasu na to, żeby coś zjeść, przygotować obiad dla syna, umyć się i zmienić ubranie.

Zdarzało się, że wyjeżdżała do pracy o pierwszej w nocy. Wszystko po to, by uniknąć gigantycznych korków na granicy. Gdy nad ranem była już po amerykańskiej stronie, parkowała samochód przy McDonaldzie lub Jack In The Box. To był jedyny czas, gdy mogła się zdrzemnąć. Żeby o świcie nie raziło ją słońce, wykładała szyby przeciwsłoneczną folią. Najgorzej było zimą, w Kalifornii temperatura spada wtedy do kilku stopni powyżej zera.

Na sen miała 2-3 godziny. Po przebudzeniu szła umyć się w restauracyjnej łazience. Przy lustrze tłoczyły się inne Meksykanki. Wśród nich były też kobiety, które przed pracą musiały jeszcze zawieźć dzieci do szkoły. Araceli po latach dojazdów kojarzyła już je wszystkie.

Pomoc do wszystkiego

– Nie było mi łatwo, ale wolałam spać w samochodzie, niż mieszkać w domu pracodawcy – mówi Meksykanka. – Wtedy mogłabym zapomnieć o odpoczynku. Jeśli Amerykanie chcą spotkać się wieczorem ze znajomymi, to ty zostajesz z ich dzieckiem. Musisz je wykąpać i położyć spać. Jeśli obudzi się w nocy, trzeba się nim zająć. Jego matka idzie przecież następnego dnia do pracy. Jeśli dziecko zsika się w nocy, to musisz od razu wszystko wyprać. A ja miałam już dość harówki w ciągu dnia.

– Oprócz opieki na dzieckiem musiałam wysprzątać cały dom, zrobić pranie i wyprasować ubrania – wspomina. – Żeby było mi łatwiej pracować, sadzałam dziecko w nosidełku na plecach. Wielu Amerykanów robiło mi wtedy zdjęcie.

Araceli wspomina kobietę, swoją pracodawczynię, która pracowała zdalnie z domu: – Do skupienia potrzebowała absolutnej ciszy. Z jej synem wychodziłam na zewnątrz na osiem godzin. Szłam z nim do parku, na basen, chodziliśmy trochę po wybrzeżu. Po kilku godzinach chłopiec bardzo się nudził. Coronado to niewielkie miasto. Wystarczy pół godziny, by objechać cały półwysep.

– Ale i tak nie powinnam narzekać – dodaje. – Moje dzieci urodziły się w Stanach i dzięki temu mogłam wystąpić o nadanie im amerykańskiego obywatelstwa. Najgorzej mają Meksykanki, które pracują nielegalnie. Niektóre zajmują się dwójką dzieci, do tego jeszcze sprzątają i gotują. Za tydzień pracy dostają średnio 200 dolarów.

Życie po pięćdziesiątce

Za cztery dni opieki nad siedmioletnim chłopcem Araceli zarabia dziś 640 dolarów miesięcznie. Do tego dostaje jeszcze 460 dolarów amerykańskiej emerytury.

Meksykanka nawet nie chce myśleć, jak przeżyłaby na starość, gdyby nie pracowała w USA. Gdy miała 22 lata, wyszła za mąż za chłopaka z Guanajuato, miejscowości w środkowym Meksyku. Przez większość dorosłego życia zajmowała się domem i wychowywała czwórkę dzieci. Choć mąż latami ją zdradzał, bała się odejść ze względu na dzieci. Na rozwód zdecydowała się dopiero, gdy miała 51 lat, a jej najmłodszy syn szykował się do liceum.

– Nie wiedziałam wtedy, jak sobie poradzę – wspomina Araceli. – Przeprowadziłam się do Tijuany, gdzie pomieszkiwałam u moich starszych dzieci. Córka namówiła mnie, żebym znalazła coś w Stanach. Najpierw zatrudniłam się w fabryce przy pakowaniu słodyczy. Aby dojechać tam autobusem z granicy, musiałam przesiadać się aż trzy razy. Bałam się spóźnić, bo wtedy dniówka przeszłaby mi obok nosa.

Potem dzięki koleżance udało jej się zahaczyć jako sprzątaczka w jednym z domów na Coronado: – Tam dowiedziałam się, że wiele osób szuka opiekunki do dzieci. Po kilku miesiącach zatrudniła mnie amerykańska rodzina. Z czasem zaczęłam lepiej zarabiać i było mnie stać na wynajem mieszkania w Tijuanie. Po latach oszczędzania kupiłam samochód.

Araceli jest z siebie dumna: – Dzięki pracy w Stanach mogłam opłacić szkołę

GUILLERMO ARIAS / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Przejście graniczne między USA a Meksykiem w San Ysidro, czerwiec 2016 r.

i studia najmłodszego syna. José ma 33 lata i jest architektem. Cała nasza rodzina mieszka w Tijuanie. Do Stanów jeździmy tylko pracować.

Najbardziej ruchliwe na zachodniej półkuli

Araceli jest jedną z milionów pracujących w USA Meksykanek. Statystyki waszyngtońskiego Instytutu Polityki Migracyjnej wskazują, że w 2017 r. obywatele Meksyku stanowili aż 25 proc. spośród 44,5 mln imigrantów mieszkających w Stanach. Większość z nich w latach 2012-16 żyła w Kalifornii (37 proc.), Teksasie (22 proc.) i stanie Illinois (6 proc.). Miasta z największą liczbą meksykańskich mieszkańców to Los Angeles, Chicago i Houston.

Niektórzy Meksykanie posiadający amerykańskie obywatelstwo decydują się na życie po meksykańskiej stronie granicy dla obniżenia kosztów. Widać to na przykładzie przejścia granicznego między teksańskim El Paso a Ciudad Juárez oraz kalifornijskim San Ysidro i Tijuaną.

To drugie przejście uznawane jest za najbardziej ruchliwe na zachodniej półkuli. Jak wskazują statystyki amerykańskiej Administracji Usług Ogólnych (General Services Administration), codziennie granicę pokonuje tu pieszo 20 tys. osób, a samochodem – 70 tys. Łącznie w 2017 r. przejście w San Ysidro przekroczono ponad 32 mln razy.

Wśród kursujących codziennie przez granicę nie brakuje też Meksykanów mających status stałego rezydenta w USA (tzw. zielona karta) lub posiadających pozwolenie uprawniające do krótkich wizyt w celach turystycznych lub biznesowych (tzw. *border crossing card*).

Wydawana na 10 lat karta w przypadku Kalifornii i Teksasu umożliwia obywatelom Meksyku podróżowanie po obszarze oddalonym maksymalnie 40 km od granicy USA. Niektórzy łamią jednak przepisy i jeżdżą do Stanów w celach zarobkowych.

Z kolei z danych Korporacji Rozwoju Gospodarczego w Tijuanie wynika, że w meksykańskiej fabryce można zarobić od 2,85 do 4,60 dolarów za godzinę. Tymczasem stawka minimalna w San Diego wynosi 11,5 dolarów. Dla wielu Meksykanów praca w Stanach i tak jest więc opłacalna – nawet jeśli na czarno zarobią nieco mniej.

Bo choć wśród meksykańskich migrantów rośnie grupa wysoko wykwalifikowanych pracowników, to wciąż większość z nich wykonuje nisko płatne zajęcia. Meksykanki najczęściej sprzątają w amerykańskich domach lub hotelach, pracują jako opiekunki do dzieci albo w fastfoodach. Mężczyźni – na budowach i w rolnictwie; wykonują też prace ogrodnicze lub hydrauliczne. I jednych, i drugich widać najczęściej wcześnie rano, gdy zatłoczonymi autobusami dojeżdżają do pracy w San Diego lub bogatych enklawach, takich jak nadmorska La Jolla czy Coronado.

Codziennie największy ścisk panuje jednak w niebieskiej linii kolejki miejskiej, której trasa wiedzie od granicy w San Ysidro do centrum San Diego.

Matka na odległość

Emma, 62-latka mieszkająca w National City, nie wyobraża sobie codziennego kursowania przez granicę. Od wielu znajomych słyszy, że mieszkając w Meksyku mogłaby więcej odłożyć z amerykańskiej pensji. Ona powtarza jednak, że najbardziej ceni sobie spokój.

Bo w życiu miała już wiele zawirowań. Najpierw jako 16-latka poznała nieodpowiedniego chłopaka i urodziła mu dwójkę dzieci. Potem jako samotna matka nie mogła znaleźć pracy w rodzinnym Tecate. Gdy znajomy powiedział jej, że w San Diego szukają kucharki, nie wahała się długo. Myślała, że popracuje na czarno przez rok i odłoży pieniądze na otwarcie niewielkiej cukierni w Meksyku. Jej dwójką synów – jeden miał rok, a drugi dwa lata – opiekowała się jej matka.

– Na początku miałam szczęście, bo mogłam co tydzień odwiedzać rodzinę – mówi Emma. – Mój szef też miał bliskich w Tecate i co piątek wracałam z nim do Meksyku na weekend. Problemy zaczęły się, gdy znalazłam pracę jako sprzątaczka w jednym z domów w San Diego. Miałam trzy dni wolnego co trzy tygodnie. Chciało mi się płakać, gdy matka mówiła mi przez telefon, że jeden z synów zachorował, a ja nie mogłam przy nim być. Gdy chłopcy chodzili już do szkoły, nie byłam na żadnej uroczystości zakończenia roku. Starszy syn długo nie mógł mi wybaczyć tego, że zostawiłam go z babcią.

– A przecież gdybym nie pracowała w Stanach, to nie miałabym za co go utrzymać – usprawiedliwia się Emma. ↦

– On zawsze miał też do mnie żal, że w USA wyszłam ponownie za mąż i urodziłam dwie córki. Powtarzał, że to je bardziej kocham.

Obaj synowie dołączyli do niej dopiero po kilkunastu latach: – Chciałam, żeby przyjechali zaraz po tym, jak zalegalizowałam pobyt w USA. Ale moja matka powtarzała, że chłopcy powinni najpierw skończyć szkołę w Meksyku – opowiada.

Udało jej się zalegalizować pobyt dzięki wprowadzonej w 1986 r. amnestii. Dzięki niej szansę na uregulowanie statusu dostali imigranci, którzy przyjechali do Stanów przed rokiem 1982.

Wprowadzona przez prezydenta Ronalda Reagana amnestia szła jednocześnie w parze z zaostrzeniem kontroli na granicy z Meksykiem i nałożeniem wyższych kar na pracodawców, którzy zatrudniali nielegalnych imigrantów.

Można posprzątać

– Z pracy w Stanach najgorzej wspominam okres, gdy mieszkałam u swoich pracodawców – opowiada Emma. – Każdy dzień zaczynałam o świcie. Jeśli Amerykanie mieli zwierzęta, to musiałam je najpierw nakarmić. Potem był czas na sprzątanie patio, kuchni i pokoi, do tego zawsze pranie i prasowanie. Często miałam dodatkowe zadania: a to polerowanie szafek, a to czyszczenie drzwi czy odsuwanie mebli i sprzątanie wszystkich zakamarków.

Każdy dzień kończyła około dwudziestej: – Moi pracodawcy jedli wtedy kolację. Gdy już skończyli, przychodzili do mnie i mówili, że mogę posprzątać. Rozmawialiśmy niewiele – dodaje Meksykanka, która choć od ponad 40 lat mieszka w USA, prawie nie zna angielskiego.

Ale przecież w pracy nie ma zbyt dużo szans na rozmowę. Zwykle sprząta dom pod nieobecność właścicieli. Zostawiają jej na stole listę z zadaniami. Jeśli akurat są w domu, rzadko wychodzą ze swoich pokoi.

MARTA ZDZIEBORSKA

62-letnia Emma na stałe mieszka w USA, swój pobyt zalegalizowała jeszcze w 1986 r. dzięki amnestii. Dwie pozostałe bohaterki tekstu nie zgodziły się na publikację ich zdjęć.

Jednak Emma podkreśla, że z większością pracodawców nie miała większych problemów. Wyjątkiem był Filipińczyk, który samotnie wychowywał szóstkę dzieci. Po niecałym miesiącu pracy w jego domu, zakradł się do jej pokoju i chciał ją zgwałcić. Uciekła, jak stała. Zanim znalazła nową pracę, przez kilka tygodni pomieszkiwała u koleżanki.

– Teraz sprzątam tylko u sprawdzonych ludzi – mówi Emma. – W ciągu tygodnia mam pięć-sześć zleceń. Za każde dostaję 70-90 dolarów. Mój mąż nie pracuje, więc nie jest nam z tego łatwo wyżyć. Nie stać mnie na częste wizyty w Meksyku. Czuję, że jestem coraz mniej związana ze swoim krajem.

Intuicja na granicy

Diana, 23-letnia Meksykanka, musi mieć na co dzień stalowe nerwy.

Odkąd dojeżdża z Tijuany do Chula Vista, każdorazowe przekroczenie granicy wiąże się ze stresem. Powód: ma zieloną kartę, a według amerykańskich przepisów osoba posiadająca status stałego rezydenta powinna mieszkać w Stanach. Nadużywanie tej zasady może prowadzić do odebrania zielonej karty.

– Jeżdżę już tak od roku – przyznaje Diana. – Do tej pory nie miałam problemów. Przy kontroli paszportowej zawsze podchodzę do strażnika granicznego, który wygląda przyjaźnie. Raz tylko trafił mi się służbista. Wypytywał, czemu nie mieszkam na stałe w Stanach. Powiedziałam, że nie stać mnie na wynajem mieszkania i tymczasowo żyję w Meksyku. Pracuję przecież w McDonaldzie i zarabiam 11 dolarów na godzinę. W grafiku wpisują mi nie więcej niż sześć godzin dziennie. No, chyba że trafi się akurat zastępstwo.

– Zanim mój tata stracił pracę w amerykańskiej firmie budowlanej, stać było nas na wynajem w Stanach jednorodzinnego domku, w Chula Vista. Za miesiąc płaciliśmy 750 dolarów. Gdy właściciel podniósł cenę do 900 dolarów, musieliśmy się wyprowadzić – wspomina Diana. – Próbowaliśmy coś znaleźć, ale nie było tanich ofert.

Ojciec podjął wtedy decyzję, że wracają do Tijuany.

Diana: – To był trudny krok, bo chcieliśmy starać się o obywatelstwo USA. Mam trzyletniego synka i zrobię wszystko, żeby wrócić na stałe do Stanów. W Tijuanie można zapomnieć o godnych zarobkach. Wciąż słyszy się o porachunkach karteli narkotykowych, zdarzają się porwania kobiet i dzieci.

– Odkąd jako 16-latka przyjechałam z rodzicami do Stanów, wiem, że tylko tu mam szansę na lepsze życie – dodaje.

© MARTA ZDZIEBORSKA

TP

Spotkanie z ks. Adamem Bonieckim i Anną Goc w Krakowie!

Jaka jest historia ks. Adama Bonieckiego? Co ukształtowało księdza, którego słowa są dziś ważne dla tak wielu ludzi? Dlaczego nie przywiązuje wagi do rzeczy i miejsc? Kim są jego mistrzowie? Czego żałuje, co zrobiłby inaczej?

Zapraszamy na spotkanie z autorką wywiadu rzeki „Boniecki. Rozmowy o życiu" Anną Goc i jej bohaterem; po spotkaniu autorzy będą podpisywać książki, które w promocyjnej cenie będą sprzedawane w trakcie wieczoru.

Prowadzenie: Michał Olszewski. Wtorek, 18 grudnia, godz. 18.30, Małopolski Ogród Sztuki (ul. Rajska 12).

Organizatorzy: „Tygodnik Powszechny", Wydawnictwo ZNAK, Małopolski Ogród Sztuki.

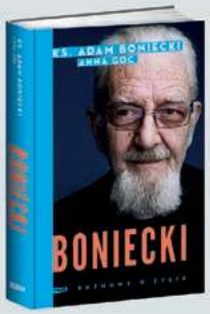

TYGODNIK POWSZECHNY znak Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie mos scena

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

DZIEŁO STANISŁAWA MONIUSZKI JAKO WYZWANIE KULTUROWE

OGÓLNOPOLSKA KONFERENCJA PANELOWA

TEATR WIELKI IM. STANISŁAWA MONIUSZKI W POZNANIU

14-15 GRUDNIA 2018

ORGANIZATORZY

Teatr Wielki Opera Narodowa · UAM Instytut Muzykologii · Teatr Wielki im. Stanisława Moniuszko w Poznaniu · Moniuszko 2019 The Year of 200th Stanisław Moniuszko

KONFERENCJA BĘDZIE TRANSMITOWANA NA:
WWW.VOD.TEATRWIELKI.PL

PATRONI MEDIALNI

TVP Kultura · Chopin · Radio Poznań · wyborcza.pl Poznań · Presto · e-teatr.pl

MECENAS TEATRU WIELKIEGO W POZNANIU

Enea

REKLAMA

Dziękujemy, że byliście z nami na I Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Europy Środkowo–Wschodniej EUFONIE!

Zapraszamy za rok!

eufonie

eufonie.pl

Arvo Pärt odznaczony Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”

ORGANIZATOR

Narodowe Centrum Kultury · Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego · więcej niż

MECENAS

ORLEN

KRYPTONIM „INTERNA”

Po wprowadzeniu stanu wojennego internowano nie tylko ponad 10 tys. opozycjonistów. Komunistyczne władze postanowiły aresztować też kilkudziesięciu kolegów: prominentów związanych z ekipą Edwarda Gierka.

PIOTR LITKA

13 grudnia 1981 r., o godzinie szóstej rano, państwowa telewizja nadała przemówienie generała Wojciecha Jaruzelskiego. Pierwszy sekretarz rządzącej PZPR oraz premier PRL w jednej osobie tłumaczył obywatelom przyczyny wprowadzenia stanu wojennego. Tego dnia wystąpienie Jaruzelskiego było wielokrotnie powtarzane przez radio i telewizję.

„W imię interesu narodowego – mówił Jaruzelski w swoim przemówieniu – dokonano zapobiegawczo internowania grupy osób zagrażających bezpieczeństwu państwa. W grupie tej znajdują się ekstremalni działacze »Solidarności« oraz nielegalnych organizacji antypaństwowych”.

Zaraz po tym padły słowa: „Na polecenie Rady Wojskowej [właściwie: Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, organu powołanego pozaprawnie przez Jaruzelskiego i *de facto* rządzącego krajem aż do zawieszenia stanu wojennego w lipcu 1983 r. – PL] internowano również kilkadziesiąt osób, na których ciąży osobista odpowiedzialność za doprowadzenie w latach 70. do głębokiego kryzysu państwa przez nadużywanie stanowisk dla osobistych korzyści. Wśród osób tych znajdują się m.in.: Edward Gierek, Piotr Jaroszewicz, Zdzisław Grudzień, Jerzy Łukaszewicz, Jan Szydlak, Tadeusz Wrzaszczyk i inni. Pełna lista zostanie opublikowana”.

Koncepcja Jaruzelskiego

Mieczysław F. Rakowski – wówczas redaktor naczelny prorządowego tygodnika „Polityka” i równocześnie poseł na Sejm PRL, a w stanie wojennym wicepremier i zarazem obserwator wydarzeń, patrzący na nie od wewnątrz obozu władzy – wspominał po latach w swoich „Dziennikach politycznych”, że internowanie nie tylko opozycjonistów, ale także ostentacyjne zatrzymanie ludzi z ekipy, która jeszcze niedawno rządziła krajem (i w dość powszechnym odczuciu była winna kryzysu gospodarczego), było koncepcją wymyśloną osobiście przez Jaruzelskiego. W poufnych rozmowach miał on kilkakrotnie twierdzić, że „trzeba także internować naszych byłych przywódców. Chodziło po prostu o to, by sprawiedliwość była rozłożona równomiernie”.

Używając tu pojęcia „sprawiedliwość”, pierwszy sekretarz i premier miał raczej na myśli efekt propagandowo-polityczny, polegający także na odcięciu się od poprzedników.

Czy został on osiągnięty, trudno ocenić (nie prowadzono wtedy żadnych takich badań). W każdym razie jeszcze pod koniec 1981 r. zaplanowano powołanie Trybunału Stanu, który pod wodzą „wojskowych” miał osądzić Gierka i jego współpracowników. Przestrzegał przed tym ówczesny rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban, przytomnie argumentując, że „znaczny odłam opinii [publicznej] uzna, że władza stanu wojennego sądzi władzę, która była znośną, za której czasów dało się żyć i w sensie materialnym, i każdym innym”.

„Halinko, jadę do Juraty”

Zatrzymania prominentów z ekipy Edwarda Gierka – pierwszego sekretarza PZPR i *de facto* przywódcy państwa w latach 1970-80 – nie przypominały scen z aresztowań opozycjonistów.

Milicja i Służba Bezpieczeństwa nie wyłamywały drzwi, nie dochodziło do użycia przemocy. Często funkcjonariusze cierpliwie czekali, nawet przez dłuższy czas, aż gospodarze otworzą i spokojnie się spakują.

Tak było również w przypadku samego Gierka. Co prawda w jego katowickim domu tuż po godzinie czwartej rano nikt nie otworzył bramy, ale funkcjonariusze przeskoczyli ogrodzenie i zadzwonili do drzwi, które otworzyła żona byłego pierwszego sekretarza.

Początkowo Gierek nie mógł uwierzyć w sam fakt internowania. Zadzwonił w tej sprawie nawet do płk. Jerzego Gruby, ówczesnego komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej w Katowicach (najwyraźniej telefon jeszcze działał). Gdy uzyskał potwierdzenie, zaczął się pakować. Podobnie moment zatrzymania wyglądał, gdy funkcjonariusze usiłowali wejść na posesję byłego premiera Piotra Jaroszewicza w Aninie. Chwilę trwały targi. Jaroszewicz zadzwonił do szefa Biura Ochrony Rządu, po czym pozwolił się zatrzymać. Około godziny 5.30 rano był już w rządowym ośrodku Promnik pod Warszawą.

Dłużej kazał czekać na siebie Jan Szotek: ten były wiceminister przemysłu maszy-

LESZEK ŁOŻYŃSKI / REPORTER

Jeszcze u władzy: pierwszy sekretarz KC PZPR i przywódca PRL Edward Gierek na zjeździe partii w Sali Kongresowej. Warszawa, luty 1980 r.

nowego wpuścił BOR-owców (bo to oni mieli go zatrzymać) dopiero punkt szósta rano, gdyż, jak stwierdził, „między 22 a 6 nikomu nie otwiera".

Jednak najczęściej operacja zatrzymania byłych prominentów miała o wiele spokojniejszy przebieg. „Znacznie przed świtem – wspominał Wiesław Kiczan, jeden z internowanych, za rządów Gierka wiceminister – rozległ się ledwie słyszalny dźwięk dzwonka. Tak jakby ktoś nieśmiały, zakłopotany nieodpowiednią porą tylko musnął przycisk przy furtce".

Kiczan wspomina dalej: „Podszedłem do okna. Przy krawężniku, na wprost domu, w świetle pobliskiej latarni, stał polonez. Obok samochodu dreptało w miejscu trzech mężczyzn. Dwaj cywile i jeden w mundurze. Otworzyłem drzwi. Weszli do środka milcząco i skłonili się. Wyglądali na speszonych. (...). [Tych] w cywilu widziałem na pewno kiedyś przy okazji wizyty na Śląsku ważnego zagranicznego gościa. Byli funkcjonariuszami Biura Ochrony Rządu, pospolicie nazywanymi przez zorientowanych »Borowikami«. Ten w mundurze milicyjnym pełnił zapewne rolę przewodnika warszawskich kolegów. Starszy cywil wydobył z bocznej kieszeni marynarki pismo i mi je wręczył. Rozłożyłem kartkę i zacząłem czytać. (...). Miejsce odosobnienia przekreślono i naniesiono odręcznie: »w Juracie«. Pod ↦

↦ tekstem widniała pieczęć stołecznej Komendy Milicji i podpis jej komendanta. Sprawa przedstawiała się dramatycznie, ale i groteskowo zarazem. (...).

– Wyjeżdżam do Juraty! – poinformowałem żonę.

– Na długo?

– Nie wiem, Halinko".

„Te złodzieje są tu"

Kilkunastu internowanych wysokich urzędników z ekipy Edwarda Gierka przewieziono początkowo do rządowego ośrodka wypoczynkowego Promnik. Znajdował się ok. 65 km od Warszawy, w niewielkiej Rudzie Tarnowskiej. Natomiast niżsi rangą urzędnicy i prominenci partyjni trafili na północ: do ośrodka w Juracie. Według listy, która zachowała się w dokumentach „sprawy obiektowej kryptonim INTERNA" (i dziś znajduje się w Archiwum IPN), było ich w grudniu 1981 r. dwudziestu trzech.

Po kilku dniach nastąpiła zmiana miejsca pobytu dotychczasowych mieszkańców Promnika oraz ośrodka w Juracie: wszyscy trafili w miejsce położone bardziej na uboczu – do miejscowości Głębokie, niedaleko wielkiego poligonu wojskowego w Drawsku Pomorskim.

Z relacji wiadomo, że po dojechaniu na miejsce konwojujący internowanych milicjanci odmówili wszelkiej pomocy przy przenoszeniu ich bagaży. Mieli oświadczyć: „ażeby sobie sami nosili". Po wejściu do budynku któryś z milicjantów miał skwitować przybycie internowanych słowami: „O, już te złodzieje są tu".

Początkowo odmówiono też wydania przybyłym jakiegokolwiek posiłku. Jeden z oficerów Ludowego Wojska Polskiego miał nawet oświadczyć, że „on by im zrobił spanie, ale w namiotach, a jeść dał dopiero jutro". Funkcjonariusze BOR skutecznie zaprotestowali. Wówczas gospodarze obiektu wydali przybyłym „po kubku gorącej herbaty, a niektórzy [dostali] po kromce chleba z masłem".

Późnym wieczorem internowani byli dygnitarze zajęli wyznaczone im pokoje, w których były nieszczelne okna, zimne grzejniki, a temperatura wewnątrz nie przekraczała 9 stopni powyżej zera.

Kilka dni później jeden z funkcjonariuszy BOR – bo to oni mieli „opiekować" się bezpośrednio internowanymi prominentami – zauważył w notatce służbowej „nadmierną ciekawość pracowników obiektu". Zanotował też, że obsługa budynku, gdzie osadzono internowanych, wyraża podczas rozmów satysfakcję, że „nareszcie zgarnęli złodziei", i że „nie warto dawać im jeść ani martwić się, że mają zimno". Ogólnie funkcjonariusz odnotował „nieprzychylny stosunek do podopiecznych".

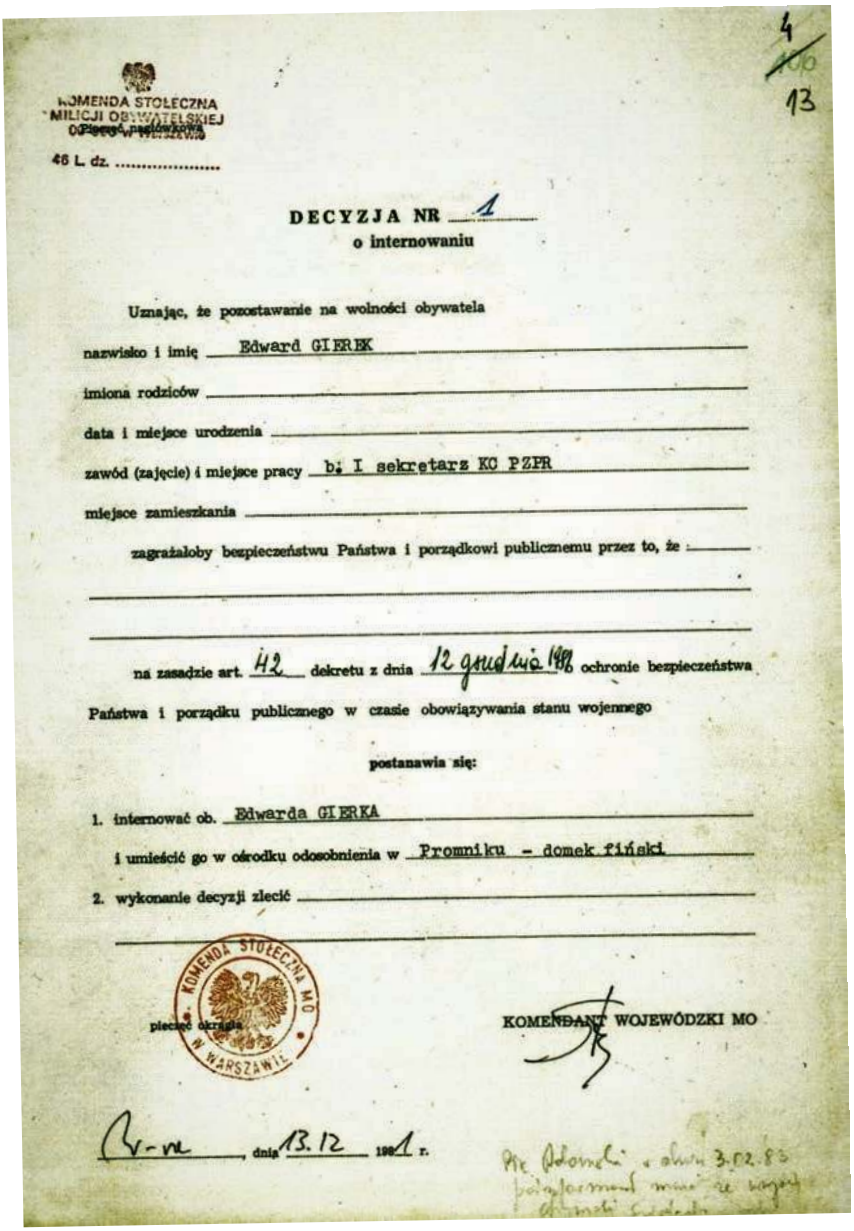

KOMENDA STOŁECZNA MILICJI OBYWATELSKIEJ
Pieczęć nagłówkowa
46 L. dz. .....

4
~~100~~
13

DECYZJA NR 1
o internowaniu

Uznając, że pozostawanie na wolności obywatela

nazwisko i imię Edward GIEREK

imiona rodziców

data i miejsce urodzenia

zawód (zajęcie) i miejsce pracy b. I sekretarz KC PZPR

miejsce zamieszkania

zagrażałoby bezpieczeństwu Państwa i porządkowi publicznemu przez to, że

na zasadzie art. 42 dekretu z dnia 12 grudnia 1981 ochronie bezpieczeństwa Państwa i porządku publicznego w czasie obowiązywania stanu wojennego

postanawia się:

1. internować ob. Edwarda GIERKA
i umieścić go w ośrodku odosobnienia w Promniku - domek fiński
2. wykonanie decyzji zlecić

pieczęć okrągła

KOMENDA STOŁECZNA MO W WARSZAWIE

KOMENDANT WOJEWÓDZKI MO

Bv-ne, dnia 13.12 1981 r.

ARCHIWUM IPN

Decyzja o internowaniu Edwarda Gierka z 13 grudnia 1981 r.

Niespodziewana śmierć

Według zachowanych w Archiwum IPN notatek funkcjonariuszy BOR-u internowani prominenci z ekipy Gierka byli całą sytuacją zaskoczeni.

Warunki, w jakich się znaleźli, trudno porównywać z aresztami i zakładami karnymi, do których trafiali opozycjoniści. Przypominały bardziej areszt domowy. Internowani w Głębokiem mogli przecież pisać i otrzymywać listy (które były, co prawda, cenzurowane), dostawali również od najbliższych pieniądze i przybory toaletowe. W miarę swobodnie mogli poruszać się też po obiekcie, wychodzili każdego dnia na spacery.

Wydawało się, że codzienna rutyna – zarówno pilnujących, jak i pilnowanych – doprowadziła do względnej stabilizacji życia w odosobnieniu. Internowanych zaczęli odwiedzać bliscy. Do Głębokiego docierały paczki. Szefostwo zamówiło nawet jabłka, bo – jak twierdzili wcześniej internowani w rozmowach z załogą ośrodka – „przydałoby się więcej witamin".

Jednak ponad półtora miesiąca od ogłoszenia stanu wojennego w Głębokiem doszło do niespodziewanych wydarzeń, których skutków nie przewidzieli w swoich notatkach ani BOR-owcy, ani nadzorujący ich działania ludzie z MSW.

W piątkowy wieczór, 30 stycznia 1982 r., jeden z internowanych – 56-letni Zdzisław Grudzień, były pierwszy sekretarz komitetu wojewódzkiego PZPR w Katowicach i przez wiele lat jeden z najbliższych zaufanych Gierka, a w Głębokiem lokator pokoju nr 223 – niespodziewanie zasłabł.

Wezwano karetkę pogotowia, Grudzień został przewieziony do szpitala w Drawsku Pomorskim. Kilka minut po godzinie dwudziestej do ośrodka internowania w Głębokiem dotarła wiadomość o jego zgonie.

„Niespodziewany upadek z najwyższych pięter władzy na zamarzniętą ziemię – notował w swoich zapiskach Wiesław Kiczan – musiał wywołać wstrząs o krańcowych następstwach. Wieloletnie powodzenie wydatnie pomniejszyło odporność Grudnia na porażki, nie mówiąc o przegranych i klęskach. Irracjonalnie wierzył w szczęśliwą gwiazdę i zawiódł się srodze".

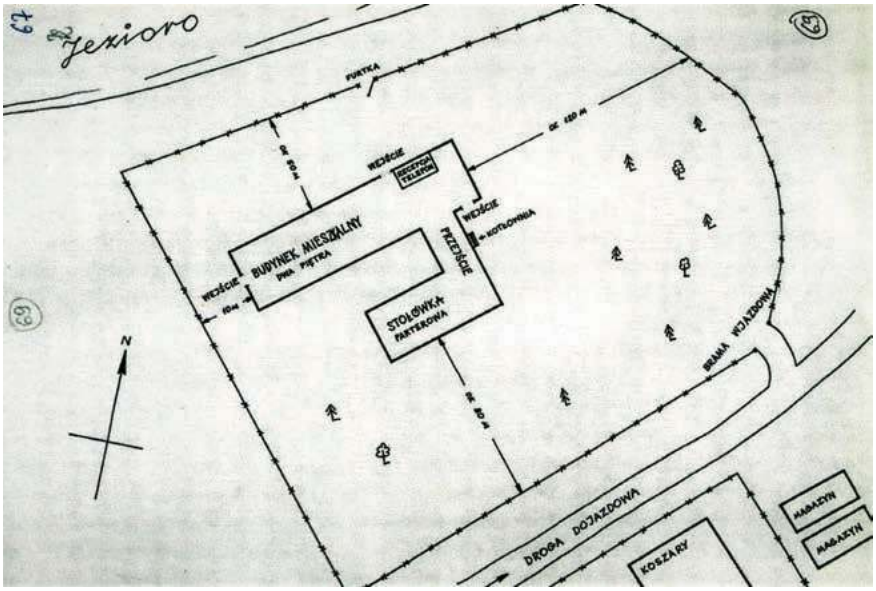

ARCHIWUM IPN

Plan sytuacyjny ośrodka internowania byłych prominentów w Głębokiem, 1982 r.

Rygor poluzowany

Rzeczywiście, dla Zdzisława Grudnia pozbawienie wolności – nawet w tak znośnych warunkach – mogło być psychicznym wstrząsem. W końcu przez niemal dekadę, w latach 1971-80, był „panem życia i śmierci" na Śląsku, gdzie najwyższą lokalną władzę odziedziczył po Gierku – swoim o 11 lat starszym koledze jeszcze z czasów, gdy obaj pracowali w górnictwie w Belgii i Francji. Obaj działali tam w partii komunistycznej i obaj wrócili do pojałtańskiej Polski w 1948 r., aby piąć się po szczeblach partyjnej kariery, w Katowicach (gdzie na koniec rządzili udzielnie, traktując Górny Śląsk jak swoje księstwo), jak też w Warszawie.

Śmierć najważniejszego do niedawna człowieka władzy na Śląsku wywołała wstrząs wśród internowanych w Głębokiem. Jak notował jeden z funkcjonariuszy, „byli bardzo przygnębieni. Komentarze były następującej treści: stwierdzali, że większość internowanych są to ludzie po zawałach". Jan Szydlak, przez blisko dekadę członek Biura Politycznego KC PZPR, po otrzymaniu informacji o śmierci Grudnia miał powiedzieć, że „ludzi po dwóch zawałach nie powinno się więzić".

Nagły zgon byłego pierwszego sekretarza z Katowic spowodował przeniesienie najważniejszych internowanych z Głębokiego do ośrodka Promnik.

Poluzowano też rygor samego pozbawienia wolności. Tak było w przypadku Piotra Jaroszewicza. Były premier w ogóle opuścił ośrodek i został przewieziony do Anina, do Kliniki Wad Serca – Instytutu Kardiologii. Tam przebywał przez dużą część marca 1982 r., a resztę okresu dalszego „internowania" spędził już we własnym domu.

Podobnie było z Edwardem Gierkiem, który jako osoba o kryptonimie „Felczer" trafił od końca czerwca 1982 r. na leczenie do warszawskiej kliniki MSW, aby w sierpniu powrócić do ośrodka.

Pozostawieni w Głębokiem internowani sukcesywnie odzyskiwali wolność między lutym a grudniem 1982 r. Reszta zatrzymanych prominentów opuściła Promnik do końca tego samego roku.

Z dobrodziejstwa amnestii

Ostatecznie przed Trybunałem Stanu miało stanąć zaledwie kilku z byłych wysokich urzędników ekipy Gierka. Szykowano też procesy przed sądami powszechnymi.

Jednak amnestia – uchwalona przez Sejm PRL 21 lipca 1984 r., na dzień przed 40. rocznicą tzw. manifestu lipcowego PKWN (która to data stała się potem głównym świętem „narodzin" PRL) – sprawiła, że umorzeniem zakończyły się również wszelkie niewygodne dla poprzedniej ekipy sprawy sprzed lat (z wyłączeniem zdrady stanu i szpiegostwa, ale akurat o to nikt z nich nie był podejrzewany). Zresztą także wcześniejsza o rok amnestia przyczyniła się już do tego, że wielu działaczy partyjnych, podejrzewanych lub oskarżanych o popełnienie przestępstw (głównie natury gospodarczej), mogło uniknąć postępowania i procesu.

W efekcie poza Franciszkiem Kaimem – byłym wicepremierem i ministrem górnictwa w ekipie Gierka i premiera Jaroszewicza, skazanym na rok pozbawienia wolności – nikt z zajmujących wysokie stanowiska państwowe urzędników czy działaczy PZPR nie został dotkliwie ukarany. Jeśli dochodziło już do procesu i sprawy nie umorzono, zapadały wyroki w zawieszeniu.

Jak zauważał po latach historyk Jakub Szumski, ludzie rządzący w latach 70. w PRL wpływali na legislację i umiejętnie korzystali ze zmian w prawie stanowionym przez samych siebie. Umacniali w ten sposób nomenklaturę i „grupy trzymające władzę" w małych i dużych ośrodkach, które posiadały wiele wspólnych interesów i osiągały liczne „korzyści z tytułu wysokiej pozycji społecznej". I pewnie także z tych powodów ukaranie korupcji czy nadużywania stanowisk przez ludzi ówczesnej władzy okazało się tak trudne.

O ile ktokolwiek w ekipie Jaruzelskiego był tym na serio zainteresowany.

© PIOTR LITKA

Korzystałem z materiałów znajdujących się w Archiwum IPN (sygnatura AIPN 2321/1-2) oraz z książek: Wiesław Kiczan „Gierek, Jaroszewicz, Wojtyła... Sekrety spisane podczas internowania", Mieczysław F. Rakowski „Dzienniki polityczne (1981–1983)" tom 8 oraz Jakub Szumski „Rozliczenia z ekipą Gierka (1980–1984)".

ZAGADKA UKRYTEJ OWULACJI

Trwa spór o to, czy u kobiet można zaobserwować płodną fazę cyklu menstruacyjnego poprzez widzialne wskazówki. Na pewno nie są one jednak tak wyraźne jak u innych gatunków.

KASPER KALINOWSKI

„Ci obrzydliwi ludzie uprawiają seks zupełnie bez sensu!". Według antropologa Jareda Diamonda to zdanie wypowiedziałby, gdyby tylko mógł, jego pies.

Nasze zachowania seksualne odbiegają od tego, co można zaobserwować u milionów innych gatunków. Tylko ludzie uznają seks za intymny i wolą unikać podczas niego spojrzeń innych osobników. Jako jedni z nielicznych gatunków uprawiamy seks twarzą w twarz z partnerem. Zaś kobiety robią to także po okresie menopauzy oraz w niepłodne dni cyklu menstruacyjnego, czyli nawet wtedy, gdy nie mogą zajść w ciążę.

Inne gatunki wydają się być bardziej racjonalne – poza krótkim okresem rui, kiedy to samice są płodne, powstrzymują się od aktywności seksualnej. Ta różnica może mieć związek z faktem, że w naszym gatunku owulacja jest bardziej ukryta. U zdecydowanej większości zwierząt, także tych najbliżej z nami spokrewnionych, przebiega całkowicie jawnie.

Dlaczego mechanizmy selekcyjne tak pokierowały ewolucją naszej seksualności? Dla biologów i psychologów stanowi to jedną z najważniejszych zagadek ewolucji człowieka.

Inaczej niż u innych

Owulacja (jajeczkowanie) – czyli proces przygotowania komórki jajowej do zapłodnienia – jest powszechna wśród ssaków. Samice w tym okresie silniej reagują na bodźce seksualne i są bardziej kapryśne w doborze partnerów. U niektórych gatunków, np. u krów, owulacja może przybierać charakter spontaniczny – uwarunkowana jest samoistnymi zmianami hormonów i czynnikami meteorologicznymi. Wśród myszy czy kotów ma charakter bardziej społeczny, może ją wywołać obecność samca. Dorosłe samice większości gatunków ssaków używają różnych środków, aby „zareklamować" fazę płodną, co sprawia, że w oczach samców stają się bardziej atrakcyjne.

A mają co reklamować. Komórki jajowe stanowią w przyrodzie rzadkie dobro. Przeciętna kobieta w ciągu życia przejdzie jedynie 400 owulacji, mężczyzna jest w stanie wyprodukować ok. 120 mln plemników w ciągu godziny. U innych gatunków jest podobnie – dlatego samice muszą bardziej uważać, czyim plemnikom dać szanse połączenia się ze swymi komórkami jajowymi.

U większości naczelnych, w tym szympansów – naszych najbliższych krewnych – owulacja ma charakter jawny. Szympansice sygnalizują dni płodne nabrzmieniami anogenitalnymi, czyli zmianami skórnymi w okolicach narządów płciowych. Znamy jednak kilka gatunków małp, u których brak widocznych sygnałów owulacji. Jest tak na przykład u orangutanów, żyjących raczej w samotności, a nie w stadach, jak wiele innych małp (i ludzi) – co może mieć znaczenie dla przebiegu owulacji. Według matematyczki Kelly Rooker i biologa ewolucyjnego Sergeya Gavriletsa, jawna owulacja wiąże się właśnie m.in. z życiem w grupie, a zwłaszcza z wysokim ryzykiem dzieciobójstwa. Być może samice orangutanów nie ponoszą kosztów jawnej owulacji, ponieważ przy ich sposobie życia nie przynosiłaby im większych korzyści. Ale równie dobrze może chodzić o coś więcej – o korzyści, których nie potrafimy do końca zidentyfikować.

Ewolucja wstrętu

Kobiecy cykl miesięczny odcisnął piętno na kształcie tabu kulturowego w wielu regionach świata. Wiele wieków przed tym, zanim owulacją zaczęli zajmować się naukowcy, ludzie różnych kultur tworzyli zasady dotyczące traktowania kobiet w różnych okresach cyklu miesięcznego. Np. Stary Testament formułuje całą masę nakazów, które, mówiąc oględnie, nie darzą sympatią kobiet przechodzących menstruację. W Księdze Kapłańskiej można przeczytać: „Jeżeli kto obcuje cieleśnie z kobietą mającą miesięczne krwawienie i odsłoni jej nagość, obnaża źródło jej krwi, a ona też odsłoni źródło swojej krwi, to oboje będą wyłączeni spośród swojego ludu".

Komórka jajowa została odkryta w 1827 r., ale powiązanie jej z owulacją nastąpiło dopiero w 1873 r. W XIX w. wciąż powszechne było przypisywanie kobietom w trakcie menstruacji wpływu na psucie się żywności, w okresie tym nie dokonywano również zabiegów chirur-

EYE UBIQUITOUS / GETTY IMAGES

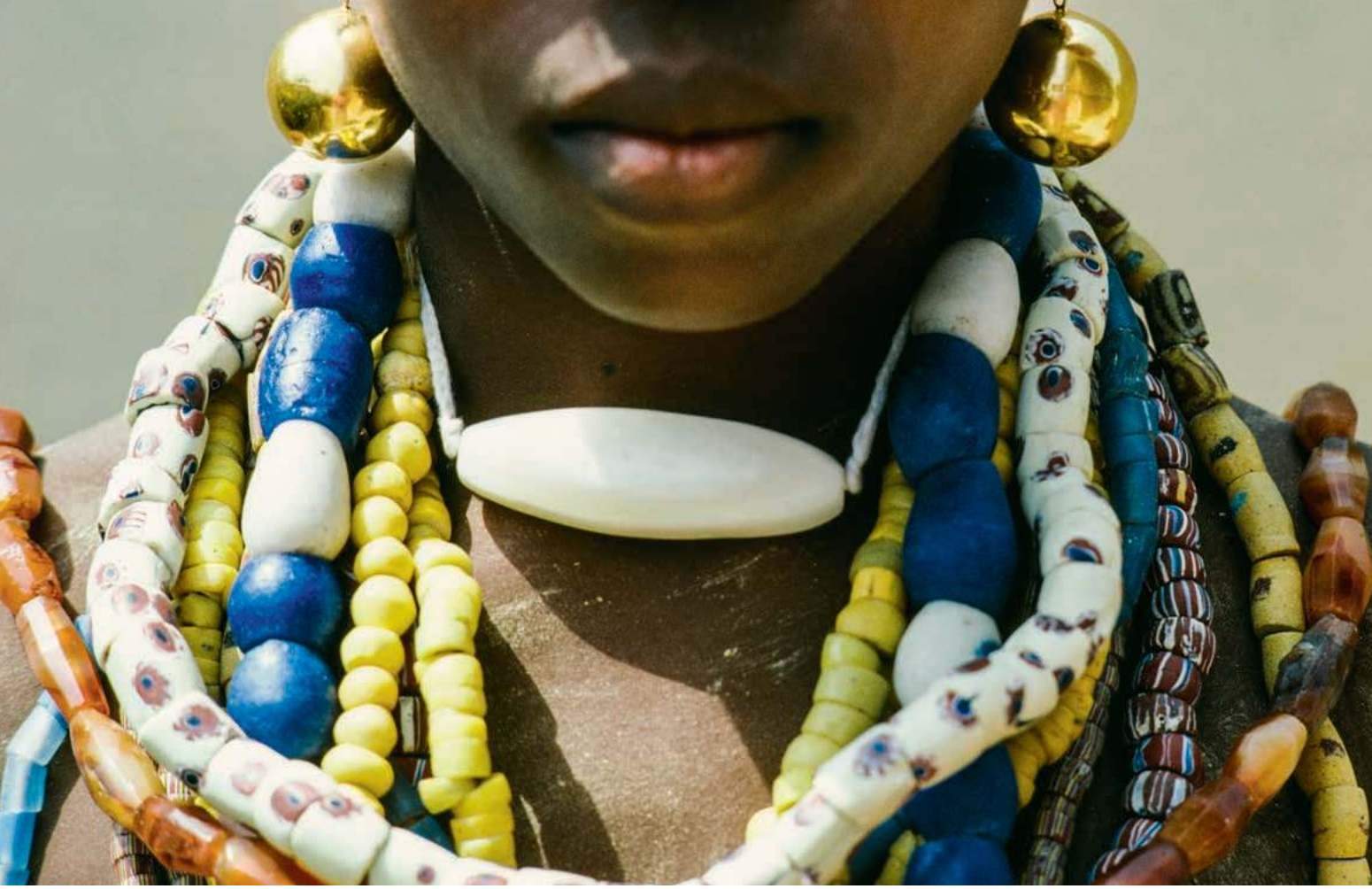

Biżuteria, którą kobiety w Ghanie zakładają, gdy osiągają dojrzałość płciową

gicznych. Jeszcze w 1920 r. amerykański pediatra węgierskiego pochodzenia Béla Schick rozważał możliwość, że kwiaty w jego biurze usychały szybciej, gdy podlewająca je sekretarka miała menstruację (nie wyjaśnił, skąd o tym wiedział). Po przeprowadzeniu eksperymentów Schick postulował wydalanie przez kobiety toksyny menstruacyjnej („menotoksyny"). Ponadto stwierdził, że ogólnoustrojowa krew i pot pachowy podczas menstruacji były bardziej toksyczne dla świeżych kwiatów i opóźniały wzrost drożdży.

Dziś potrafimy wyjaśnić, skąd brały się podobne przekonania czy zakazy. Uważa się, że powszechność odmiennego traktowania kobiet w okresie menstruacji wiąże się z uniwersalnym, ukształtowanym w toku ewolucji mechanizmem wstrętu. Psycholog Joshua Tybur mówi o ewolucji trzech rodzajów wstrętu (seksualnego, moralnego i patogenowego), które miały chronić przed różnymi zagrożeniami. Brzydzimy się widoku zepsutego jedzenia, krwi, ropiejących ran czy śladów przebytych chorób, ponieważ sygnalizują one obecność niebezpiecznych dla życia patogenów. Obszar genitaliów (obok ust, odbytu oraz skóry) to zaś okolice szczególnie sprzyjające transmisji zarazków. Stąd prawdopodobnie tabu kulturowe tak często wykluczało ze społeczności kobiety w trakcie menstruacji. Wstręt patogenowy nakładał się na wstręt seksualny.

Wierność i dzieciobójstwo

Klasyczne teorie, które zdominowały biologię na wiele dekad, podkreślały, że w przypadku ludzi owulacja przybrała charakter ukryty. Nie udało się wypracować jednej przekonującej teorii tłumaczącej, dlaczego mielibyśmy tak bardzo różnić się od wielu innych zwierząt – w tym tych najbliżej z nami spokrewnionych.

Niektórzy badacze akcentowali, że ułatwiało to przetrwanie grup łowiecko-zbierackich poprzez zmniejszenie poziomu wewnątrzpłciowej, samczej przemocy. Ukryta owulacja zmniejszała agresję i rywalizację samców o samice, która niewątpliwie byłaby szczególnie nasilona w okresie dni płodnych, gdyby te były łatwe do ustalenia. Mogło to zwiększać także współpracę wewnątrz grupy. Inni rozważali zmniejszenie rozpowszechnionego w przyrodzie dzieciobójstwa – gdy trudno mieć pewność, kto jest ojcem, mordowanie dzieci po związaniu się z nową partnerką nie sprzyja doborowi naturalnemu. Jeszcze inni naukowcy upatrywali genezy ukrytej owulacji w zwiększaniu więzi partnerskich.

W takim podejściu kobiece sygnały, mogące świadczyć o występowaniu dni płodnych, są w najlepszym przypadku szczątkowe i nie mają wpływu na ludzkie zachowanie. W ciągu ostatnich dwóch dekad poglądy te były jednak szeroko dyskutowane i poddane krytyce.

Nie całkiem ukryta?

Chyba w najsłynniejszym z tego typu badań psycholog Geoffrey Miller wraz ze współpracownikami wykazali, że owulacja ma wyraźne przełożenie na zarobki tancerek w klubach go-go. Pod uwagę wzięto ok. 5300 tancerek, wykazując związek pomiędzy fazą cyklu a zarobkami. Tancerki zarabiały średnio 335 dolarów w trakcie 5-godzinnej zmiany w czasie dni płodnych, 260 dolarów w fazie lutealnej (o relatywnie niższym prawdopodobieństwie zapłodnienia) oraz 185 dolarów w czasie menstruacji. Co ciekawe, ↦

↦ podobnych zależności nie zaobserwowano wśród tancerek stosujących antykoncepcję hormonalną.

Kluby go-go raczej nie są miejscem, w którym pyta się kobiety o fazę cyklu owulacyjnego. Miller i inni badacze uznali więc, że wysokość napiwków przekazywanych tancerkom odzwierciedlała ich poziom atrakcyjności – powiązany z fazą cyklu.

Na ocenę atrakcyjności mogą wpływać nie tylko sygnały wizualne. Wiele badań pokazuje, że w wyborze partnera istotną rolę odgrywa zmysł węchu. Według ustaleń Devendry Singha i P. Matthew Bronstada z University of Texas mężczyźni preferują zapachy kobiet w okresie płodnym (panów poproszono o ocenę atrakcyjności zapachów T-shirtów noszonych przez kobiety). Zdaniem Jana Havlíčka z Uniwersytetu Karola w Pradze, w fazie płodnej zapach kobiet oceniany jest jako najmniej intensywny i najbardziej atrakcyjny.

Być może więc w świetle powyższych odkryć nie należy traktować ludzkiej owulacji jako całkowicie „ukrytą", lecz jako „niereklamowaną". Różnica jest o tyle istotna, że sugeruje inne mechanizmy ewolucyjne zaangażowane w powstanie tego zjawiska oraz dopuszcza jego wpływ na zachowanie.

W oczach kobiet

Psycholodzy badają również to, czy fazy cyklu zmieniają preferencje kobiet. Zgodnie z bardzo wpływową hipotezą podwójnej strategii wybierania partnerów (*dual mating strategy*) w okresie owulacji, wśród kobiet heteroseksualnych następuje zmiana preferencji – za bardziej atrakcyjne uznawane są te męskie cechy, które można powiązać z poziomem testosteronu (i mogące świadczyć o dobrej jakości genetycznej) – zmaskulinizowane i symetryczne rysy twarzy, niski głos.

Z eksperymentów przeprowadzonych przez Davida R. Feinberga z McMaster University w Hamilton wynika, że w okresie owulacji faktycznie nasila się u kobiet preferencja w kierunku bardziej męskich (niższych) głosów. Jednak taki efekt działa tylko w przypadku relacji krótkoterminowych. Podczas poszukiwania stałego partnera kobiety zwracają większą uwagę na cechy osobowości, skłonność do opieki czy poziom wierności.

Według najpopularniejszej wersji tej teorii takie zachowania były dla kobiet w toku ewolucji korzystne. Potomstwo dziedziczyło cechy partnera o „dobrych genach", takich jak sprawny układ odpornościowy, ogólna dobra kondycja, ale bardziej opłacalne było, aby partnerem długoterminowym był ktoś inny. Ktoś, kto będzie się o potomstwo troszczył i będzie nam wierny. Tego typu teorie przewidują, że w okresie owulacji kobiety powinny być bardziej skłonne do zdrady partnera. Jak zaobserwował Steven Gangestad, psycholog z Uniwersytetu Nowego Meksyku, w tym czasie częściej fantazjują o seksie z innym mężczyzną niż ich stały partner. Dodatkowo, według ustaleń innych badaczy, deklarują również mniejszą bliskość emocjonalną, są bardziej krytyczne, zwłaszcza w przypadku partnerów mało atrakcyjnych, częściej flirtują oraz udają się do miejsc, gdzie można poznać mężczyzn. W jedynych tego typu badaniach zespół Kristiny M. Durante z Uniwersytetu Minnesoty analizował zakupy 161 kobiet dokonywane w sklepie internetowym. Kobiety w trakcie dni płodnych wybierały bardziej seksowne i odkrywające więcej ciała ubrania, buty i dodatki.

Na ocenę atrakcyjności wpływają nie tylko sygnały wizualne. **W wyborze partnera dużą rolę odgrywa zmysł węchu.**

Takie zjawisko z perspektywy teorii podwójnej strategii wyboru partnera ma sens, ponieważ ubiór pełni ważną rolę społeczną i może ułatwiać realizowanie własnych celów. W tym przypadku może też być przejawem rywalizacji wewnątrzpłciowej. Do podobnych wniosków doszła Martie Haselton z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles (UCLA), która zauważyła, że w okresie dni płodnych kobiety bardziej dbają o własny ubiór, stosując m.in. większą liczbę dodatków. A według Nicolasa Guéguena z Université de Bretagne Sud kobiety w dni płodne nakładają większą ilość kosmetyków, poświęcając tej czynności więcej czasu.

Jednak w ostatnich latach coraz więcej słychać głosów krytycznych wobec badań opisujących zmianę preferencji w okresie dni płodnych. W wielu tego typu eksperymentach liczba osób badanych była zbyt mała, by dało się sformułować przekonujące wnioski. Benedict C. Jones z Uniwersytetu w Glasgow i współpracownicy zauważyli również, że większość tego typu badań opiera się na deklaracjach uczestniczek, co nie stanowi zbyt wiarygodnej metody badawczej. Nierzadko stosuje się też porównania preferencji jednej osoby, które trudno odnieść do ogólnego trendu w populacji. Wendy Wood wraz ze współpracownikami Uniwersytetu Południowej Kalifornii, analizując 58 prac dotyczących owulacji, doszła nawet do wniosku, że w większości badań nie można mówić o zmianie preferencji, a nieliczne udokumentowane dane wynikają z niedokładności pomiarów. Należy też zaznaczyć, że w niektórych badaniach efektów nie udało się potwierdzić. Miało to miejsce w starannie przeprowadzonych polskich badaniach zespołu Urszuli Marcinkowskiej (dokonanych m.in. z Bogusławem Pawłowskim i Grażyną Jasieńską). Preferencje dotyczące bardziej zmaskulinizowanych cech w okresie owulacji nie znalazły potwierdzenia (mimo że twarze bardziej zmaskulinizowane były niezależnie od fazy cyklu postrzegane jako bardziej atrakcyjne).

Według biologa behawioralnego z PAN Dariusza Danela, analizując wyniki badań nad postrzeganiem atrakcyjności, powinniśmy zwrócić uwagę na zjawisko preferencji warunkowych. W rozmowie z „TP" wyjaśnia: – Uniwersalne preferencje mogą być modyfikowane przez szereg czynników o charakterze osobniczym i środowiskowym. Na przykład wysokie środowiskowe ryzyko zachorowania na chorobę pasożytniczą może zwiększyć siłę preferencji do osób o cechach fizycznych świadczących o wysokiej jakości układu immunologicznego. Osobniczym modyfikatorem preferencji może być na przykład aktualny wiek, poziom własnej atrakcyjności fizycznej czy właśnie faza cyklu menstruacyjnego i typ związku (długo- lub krótkoterminowy). Czynniki osobnicze i środowiskowe mogą wchodzić w wielopoziomowe interakcje i kształtować ostateczne preferencje i modele zachowań. Zjawisko preferencji warunkowych może tłumaczyć rozbieżne, a czasami sprzeczne wyniki badań osiągane przez różnych autorów.

Wygląda na to, że mechanizmy ewolucyjne, które wpłynęły na nasze preferencje i ukształtowały zachowania seksualne, mogą być równie skomplikowane jak nasza psychika, której bogactwa nie da się zredukować do kilku prostych zasad.

© KASPER KALINOWSKI

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

REKLAMA

Wieczór Sylwestrowy

w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie!

DUŻA SCENA

w programie:
spektakl „Wyspiański. Koncert”, muzyka na żywo, bankiet, powitanie Nowego Roku

więcej informacji:
tel. +48 12 424 45 25 | www.teatrwkrakowie.pl

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
MAŁOPOLSKA MOJA WOLNOŚĆ
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego z Funduszu Promocji Kultury
Kraków
Fundator Kurtyny Wyspiańskiego
maRR Małopolska Agencja Rozwoju Regionalnego SA
Patroni medialni
RADIO KRAKÓW
Oficjalni partnerzy teatru
TOYOTA DOBRYGOWSKI Bronowice
city
INGLOT
LAVARD

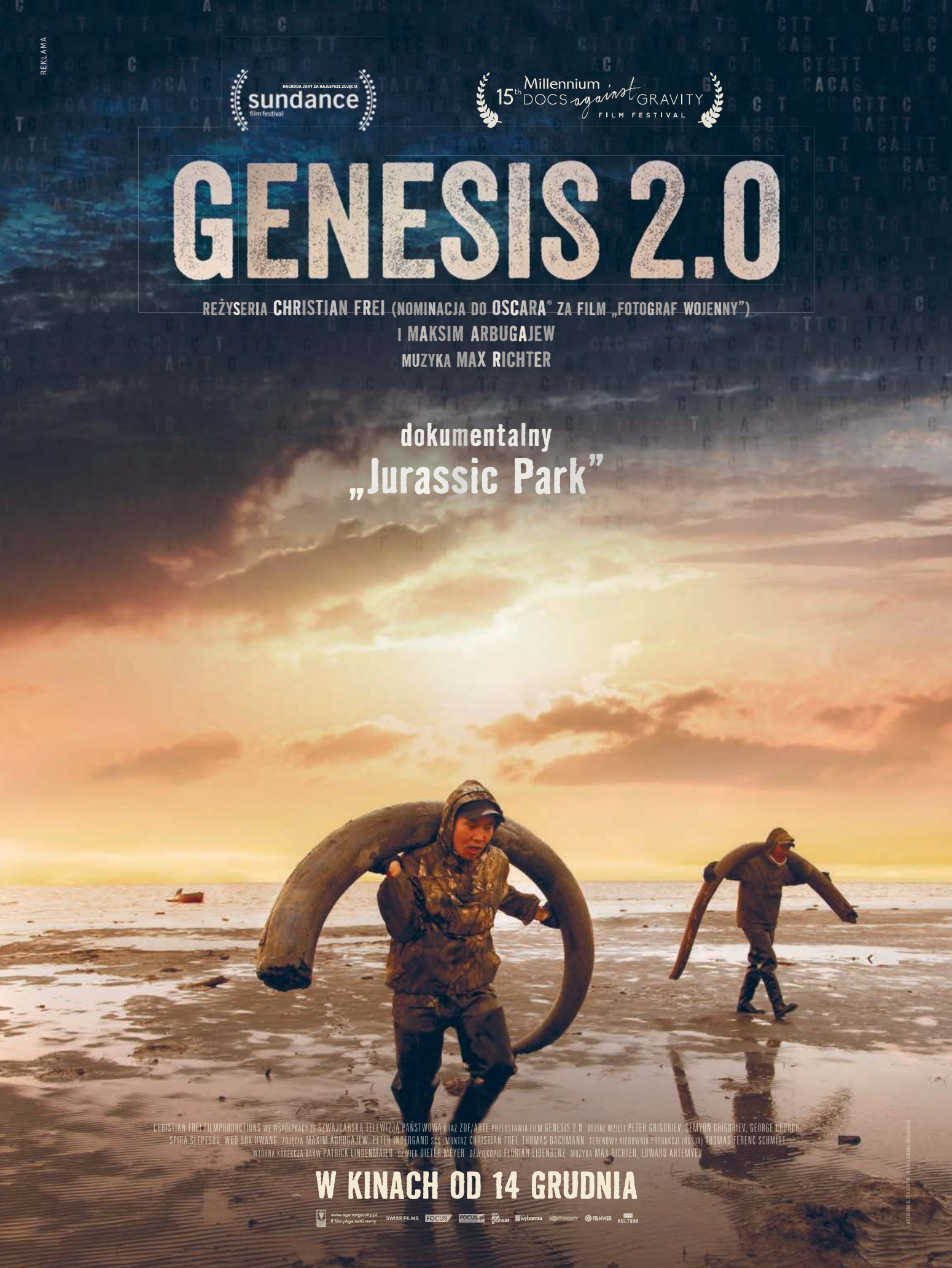
REKLAMA
NAGRODA JURY ZA NAJLEPSZE ZDJĘCIA
sundance
film festival
15th Millennium DOCS against GRAVITY
FILM FESTIVAL
GENESIS 2.0
REŻYSERIA CHRISTIAN FREI (NOMINACJA DO OSCARA® ZA FILM „FOTOGRAF WOJENNY")
I MAKSIM ARBUGAJEW
MUZYKA MAX RICHTER
dokumentalny
„Jurassic Park"
CHRISTIAN FREI FILMPRODUCTIONS WE WSPÓŁPRACY ZE SZWAJCARSKĄ TELEWIZJĄ PAŃSTWOWĄ ORAZ ZDF/ARTE PRZEDSTAWIA FILM GENESIS 2.0 UDZIAŁ WZIĘLI PETER GRIGORIEV, SEMYON GRIGORIEV, GEORGE CHURCH, SPIRA SLEPTSOV, WOO SUK HWANG ZDJĘCIA MAXIM ABRUGAJEW, PETER INDERGAND SCS MONTAŻ CHRISTIAN FREI, THOMAS BACHMANN TERENOWY KIEROWNIK PRODUKCJI (ROSJA) THOMAS FERENC SCHMIDT WTÓRNA KOREKCJA BARW PATRICK LINDENMAIER DŹWIĘK DIETER MEYER DŹWIĘKOPIS FLORIAN EIBENBENZ MUZYKA MAX RICHTER, EDWARD ARTEMYEV
W KINACH OD 14 GRUDNIA
www.againstgravity.pl
filmyAgainstGravity
SWISS FILMS
FOCUS
FOCUS.pl
Polsat Ocena24
wyborcza
FILMWEB
KULTURA
ARTWORK CLAS KUDZER PROTOCELEWSKIA ARBUGAJEVA

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 51/2018
Redakcja: Marek Rabij

kultura online

Susan Wojcicki przedstawia YouTube TV w YouTube Space LA w Los Angeles, 5 kwietnia 2017 r.

REED SAXON / AP / EAST NEWS

Partnerstwo i paragrafy

SUSAN WOJCICKI, PREZESKA YOUTUBE:

Wyobraźmy sobie popularyzatora sztuki, który w swoim filmie pokazuje np. rzeźbę. Choć respektuje prawa autorskie, to może nie wiedzieć, że te dzieła też są objęte jakąś ich formą.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: W 2006 r. jako wiceprezes Google nalegała Pani, by firma kupiła dopiero co powstały serwis YouTube. Dlaczego?

SUSAN WOJCICKI: Cofnijmy się do czasów, gdy czegoś takiego, jak wideo online, właściwie nie było. Tuż przed YouTube'em powstało Google Video: daliśmy ludziom stronę, na której każdy mógł wgrać swoje wideo, i nie określaliśmy nawet celu istnienia takiego serwisu. Okazało się, że swoje filmy zaczęli wgrywać użytkownicy z całego świata. Miałam szczęście być jednym z pierwszych tego świadków. Pamiętam filmik z purpurowymi pacynkami śpiewającymi piosenkę w jakimś obcym języku. To było zabawne, ciekawe – i inne niż wszystko, co widziałam do tej pory.

Zadaliśmy sobie pierwsze pytanie: czy ludzie będą chcieli dzielić się swoimi nagraniami? Odpowiedź wydawała się jasna. Drugie pytanie brzmiało: czy ktoś będzie chciał oglądać filmiki zwykłych ludzi? To była wielka niewiadoma – ale Google Video i uruchomiony tuż po nim YouTube szybko dowiodły, że użytkownicy tego chcą. To bardzo ludzkie, patrzeć na kogoś takiego samego jak ty.

Do tego nowego medium szybko musiały się dostosować wszystkie inne. Na którymś etapie wszyscy wiedzieli, że muszą być na YouTubie.

Bardzo wcześnie media zaczęły pytać, jak mogą użyć YouTube'a do promowania swoich treści. Z jednej strony użytkownicy dzielili się swoimi filmami, opowieściami, ujęciami, historiami swoich zwierzątek czy dzieci – a z drugiej zaczęły się pojawiać profesjonalne treści medialne. Nie nastąpiło to w żadnym przełomowym momencie, zaczęło się od samego początku.

Znacznie bardziej interesującym procesem – i trudniejszym do dostrzeżenia – było pojawienie się, w kilka lat od uruchomienia YouTube'a, nowej klasy użytkowników. Nazywamy ich twórcami lub „kreatorami". Ale ja lubię ich też nazywać „mediami nowej generacji" – to profesjonaliści tworzący wideo z przeznaczeniem na YouTube'a. Również w Polsce wielu z nich odniosło sukces. Kilka lat zajęło nam zrozumienie, że z takiego hobby mogą powstać media–biznesy z milionami widzów i obserwatorów.

YouTube postrzega siebie jako platformę dla nich? Ich partnera?

Jesteśmy platformą dla wszelkich przedsięwzięć medialnych. Platformą wideo nowej generacji, dostarczającą treści wideo za pomocą najnowszych technologii. W przeciwieństwie do telewizji, która nadaje w jedną stronę, YouTube to komunikacja dwukierunkowa: użytkownicy mogą odpowiadać, zadawać pytania, personalizować to medium zgodnie ze swoimi potrzebami.

Na początku XXI w. marzyliśmy o „globalnej wiosce", w której za pomocą internetu mieliśmy się komunikować ponad granicami, kontynentami i kulturami. Czy ten rodzaj komunikacji widać na YouTubie, czy tam również, jak w innych serwisach społecznościowych, mamy do czynienia z bańkami informacyjnymi, gdzie spotykają się tylko ludzie sobie bliscy i sobie podobni?

Co ciekawe, większość materiałów wideo stworzonych przez kreatorów oglądana jest przez użytkowników spoza ich krajów pochodzenia. Istnieje więc globalny rynek treści. Jeśli prowadzisz kanał poświęcony grze na gitarze albo robótkom na drutach, oglądać cię będą ludzie z całego świata, nie tylko z twojego kraju.

Jakiego rodzaju twórczość najczęściej powstaje specjalnie z myślą o YouTubie?

To na przykład właśnie treści edukacyjne – na YouTube oglądane miliard razy dziennie. W ich obrębie można wyróżnić *how-to content*, czyli rozmaite instruktaże. Wideo bardzo dobrze się nadaje do pokazywania, jak coś zrobić: od gry na instrumencie po naukę języka. Kolejna kategoria to gry – użytkownicy chcą oglądać, jak inni gracze przechodzą jakieś etapy gier bądź osiągają w nich nowe poziomy. I wreszcie vlogi – czyli możliwość dzielenia się z innymi swoimi zainteresowaniami. Żadne z tych zjawisk nie istniało przed YouTube'em, a na nim rozwinęło się znakomicie.

Przyjechała Pani do Polski dyskutować o przygotowywanych właśnie nowych unijnych regulacjach dotyczących praw autorskich.

A zwłaszcza dwóch artykułów Dyrektywy w sprawie praw autorskich na jednolitym rynku cyfrowym – 11 i 13.

Artykuł 11 dotyczy praw pokrewnych dla wydawców prasy, a 13 – odpowiedzialności właścicieli platform za naruszenia praw autorskich popełniane przez ich użytkowników.

I właśnie artykuł 13 niesie ze sobą znaczne implikacje dla YouTube'a. Przyjechałam, by się upewnić, że wszyscy ci kreatorzy, którzy na YouTubie wykonują tak świetną robotę, będą mogli tworzyć dalej. A w samej Polsce jest 70 twórców mających ponad milion subskrybentów, czyli przynajmniej 70 mediów nowej generacji. Obawiamy się, że jeśli przyjęte zostaną regulacje w brzmieniu zaproponowanym przez Parlament Europejski, ich działalność w Europie będzie zagrożona.

W jaki sposób?

Chcę podkreślić, że zgadzamy się z celami, jakie leżą u podstaw wprowadzenia artykułu 13. Uważamy, że brzmienie zaproponowane zarówno przez Komisję Europejską, jak i Radę Europejską jest bliższe idei sprzyjania ochronie tak interesów właścicieli praw autorskich, jak i plat-

ADAM BERRY / GETTY IMAGES

W siedzibie Google w Berlinie

form. Ale artykuł 13 w wersji PE czyni platformy bezpośrednio odpowiedzialnymi za jakiekolwiek formy naruszenia praw autorskich. To może w zasadzie pozbawić możliwości działania tych indywidualnych twórców z krajów UE.

Większość kreatorów na YouTubie tworzy treści oryginalne. Ale problem polega na tym, że nie każdy – co dotyczy zarówno twórców, jak i właścicieli praw – zawsze do końca rozumie zasady korzystania z chronionych utworów. A czasem wręcz nie zawsze wiadomo, kto jest właścicielem praw.

Weźmy takie zjawisko jak „Despacito" – teledysk ten odnotował na YouTubie pięć miliardów obejrzeń. Mamy podpisaną umowę zarówno z wytwórnią muzyczną Universal Music Company, jak i z wszystkimi innymi producentami oraz organizacjami zbiorowego zarządzania prawami autorskimi, w tym z polskim ZAiKS-em – a w przypadku „Despacito", biorąc pod uwagę jego olbrzymi międzynarodowy sukces, jest ich mnóstwo. Ale i tak pozostaje 12 proc. praw związanych z „Despacito", których właściciele nie da się ustalić: to prawa bądź w jakiś sposób utracone, bądź takie, do których nikt nie zgłosił roszczeń. Gdyby obowiązywał artykuł 13 w brzmieniu zaproponowanym przez PE, a właściciele tych praw nagle by się pojawili i oświadczyli, że nie zamierzali się zgodzić na udostępnienie „Despacito" na YouTubie, odpowiadalibyśmy za naruszenie praw, chociaż przecież dołożyliśmy wszelkich starań, podpisaliśmy umowy, z kim tylko mogliśmy, i wypłacamy honoraria.

Stawia to nas w bardzo trudnej sytuacji – bo przecież nie chodzi tylko o jedną piosenkę, wtedy zawsze można by jeszcze dojść z takim właścicielem do porozumienia. Ale my działamy w gigantycznej skali: na YouTube co minutę trafia 400 godzin materiału wideo. Więc problem tego rodzaju trzeba pomnożyć miliony razy. To byłoby dla nas ogromne ryzyko finansowe. Żeby się przed nim chronić, musielibyśmy całej masie kreatorów w Europie zablokować możliwość publikowania treści na YouTubie.

No dobrze, ale w dalszym ciągu mówimy o sytuacji, w której czyjeś prawa zostały naruszone. Jak zapewnić uczciwą dystrybucję wpływów z wykorzystywania dzieł chronionych prawami? YouTube, jak sama Pani powiedziała, jest platformą, zarabia więc na twórczości innych.

Nasi kreatorzy, publikując swoje wideo, oświadczają, że dopełnili obowiązku respektowania praw autorskich. Ale może się zdarzyć, że choć działali w najlepszej wierze, to mogli w jakimś aspekcie tego nie dopełnić. Prawa autorskie to bardzo skomplikowana dziedzina. Proszę sobie wyobrazić np. twórcę, który zajmuje się popularyzacją sztuki czy historii, i w swoim filmie pokazuje jakąś rzeźbę czy inne dzieło, albo korzysta z książki. I choć bardzo się stara respektować wszelkie prawa autorskie, to może po prostu nie wiedzieć, że te dzieła też są objęte jakąś ich formą.

YouTube robi dużo dla ochrony praw autorskich. Mamy umowy z wydawcami, z wszystkimi wytwórniami muzycznymi i z mediami. Nasza platforma dzieli się wpływami z kreatorami i artystami. Do podziału idzie większość naszych dochodów. Np. tylko przez ostatnie 12 miesięcy wypłaciliśmy właścicielom praw autorskich w UE 800 mln euro.

Płacimy wszystkim właścicielom praw autorskich i chcemy płacić godziwie. Zbudowaliśmy specjalny system zwany ContentID, który umożliwia twórcom zidentyfikowanie swoich treści, które ktoś inny udostępnił, i bądź to usunięcie ich, bądź otrzymanie stosownego honorarium. Tylko dzięki systemowi ContentID wypłaciliśmy w ten sposób już ponad 3 mld dolarów. I chcę podkreślić, że YouTube naprawdę się w tej dziedzinie wyróżnia. Wiele innych platform nie osiągnęło takiego poziomu wyrafinowania jak my. Jesteśmy tu bezdyskusyjnymi liderami i uważamy, że inne platformy mogłyby wprowadzić podobne rozwiązania.

Za pośrednictwem YouTube branża muzyczna z samych przychodów reklamowych otrzymała do tej pory ponad 6 mld dolarów. Tylko od października 2017 r. do września 2018 r. było to ponad 1,8 mld dolarów.

Te kwoty wyglądają bardzo dobrze z globalnej perspektywy, ale jeśli uwzględnić perspektywę pojedynczego twórcy, robi się znacznie mniej różowo. Według raportu The Trichordist i Digital Music News ze stycznia 2018 r. YouTube płacił twórcom najmniej pośród wszystkich serwisów streamingowych: średnio 0,00074 dolara za jedno odtworzenie (z wyjątkiem USA, gdzie płaci więcej). Dla porównania, Tidal płacił 0,01284 dolara, iTunes – 0,00783 dolara, a Spotify – 0,00397 dolara.

Wyjaśnijmy – mamy dwa różne modele biznesowe dla muzyki. Jeden z nich to subskrypcja, gdzie wypłacamy artystom takie samo honorarium jak każdy inny serwis subskrypcyjny. Serwis subskrypcyjny YouTube'a jest w wielu krajach czymś stosunkowo nowym, ale rośnie i rozwinął się już m.in. w USA, Meksyku czy Australii. Weszliśmy z nim do ponad 20 krajów na świecie i będziemy wchodzić na kolejne rynki.

Natomiast drugi model to finansowanie za pomocą reklam. Wielu artystów korzysta z niego, żeby rozpowszechnić ↦

↦ i spopularyzować swoje utwory, tak jak to nastąpiło w przypadku „Despacito". Gdyby nie to, utwór niekoniecznie zyskałby taki rozgłos. Artyści i marki mogą zdecydować, czy chcą być na YouTubie. Jeśli podejmą decyzję, że chcą udostępniać swoje dzieła na YouTubie w modelu reklamowym, otrzymają również możliwość wejścia w płatny system subskrypcyjny.

Wejście YouTube'a mnóstwo zmieniło w kwestii zarabiania na twórczości muzycznej: mniej ludzi jest skłonnych kupić płytę, czy nawet pliki, skoro mogą odtworzyć utwór za darmo. A równocześnie artyści wiedzą, że – jak sama Pani zauważyła – żeby zaistnieć, muszą być na YouTubie.

Twórca zawsze ma wybór.

Ma: być albo nie być. Czego potrzeba, żeby wszyscy byli zadowoleni?

Powtórzę: staramy się być jak najbardziej pomocni w tym, żeby twórca otrzymał należne mu honorarium. Zgadzamy się z celami artykułu 13 Dyrektywy, ale w takim brzmieniu, które również platformom zapewni nieco bezpieczeństwa, gdy próbują w dobrej wierze pozyskiwać licencje i zawierać umowy z właścicielami praw. Jesteśmy przekonani, że da się tak sformułować artykuł 13, żeby był korzystny zarówno dla platform, jak i dla twórców.

Po pierwsze, potrzebujemy, żeby właściciele praw deklarowali nam, do czego posiadają prawa. Po drugie, aby powiadamiali nas, usunięcia jakich treści naruszających ich prawa się domagają. To dlatego jesteśmy tak oddani budowaniu narzędzia ContentID, które umożliwia im identyfikowanie takich treści. A wtedy my możemy się nimi zająć.

Czy w 2006 r., gdy nalegała Pani na zakup YouTube'a, spodziewała się Pani, jakie problemy będą się z tym wiązać? Google weszło wówczas w niesłychanie skomplikowaną prawnie dziedzinę.

Od samego początku YouTube był świadom kontrowersji, które zaistniały wraz z jego pojawieniem się. Już na bardzo wczesnym etapie swojego funkcjonowania YouTube został pozwany – i wygrał. Miałam świadomość, że będą problemy, ale widziałam także mnóstwo korzyści i cały potencjał pozytywnych zastosowań, które będą ludziom umożliwiać komunikowanie się w nowy, nieznany dotąd sposób.

Google bardzo wcześnie zdecydował, że YouTube potrzebuje systemu chroniącego właścicieli praw. System ContentID ma dziś ponad dziesięć lat.

I muszę przyznać, że działa naprawdę dobrze: raz zablokowaliście mi film z wakacji, bo w ścieżce dźwiękowej zawierał chroniony utwór, chociaż dostępny był tylko w trybie prywatnym, wskazanym przeze mnie członkom rodziny i przyjaciołom.

Jeśli wytwórnia lub artysta za pomocą ContentID zidentyfikuje taki materiał, ma możliwość bądź usunięcia go, bądź zmonetyzowania – czyli czerpania wpływów z emitowanych przy tym filmie reklam. Artyści uzyskali w ten sposób wiele dodatkowych dochodów. To dla nas bardzo istotne: wiele innych platform nie stworzyło podobnego instrumentu do dziś, a Google rozwija swój od dekady i ciągle go ulepsza.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

SUSAN WOJCICKI jest od 2014 r. prezeską YouTube. Ukończyła historię i literaturę na Harvardzie oraz studia ekonomiczne na University of California w Santa Cruz i Los Angeles. Z twórcami Google'a związała się biznesowo w 1998 r., wynajmując im na siedzibę firmy swój garaż w Menlo Park. W 1999 r. podjęła pracę w Google Inc. Jako szefowa marketingu odpowiadała za monetyzację wyszukiwarki. Jej pierwszym sukcesem był system reklamowy AdWords. W latach 2000-11 była wiceprezesem Google'a, wdrażała m.in. Google Photos, Google Books i Google Video. Jest wnuczką polskiego prawnika i działacza ludowego Franciszka Wójcickiego i córką profesora fizyki Stanisława (Stanleya) Wojcickiego, posiada polskie obywatelstwo.

Dane o stawkach wypłacanych artystom cytowałem za DigitalMusicNews.com: www.digitalmusicnews.com/2018/01/16/streaming-music-services-pay-2018/

Śladem czerwonej podeszwy

SEBASTIAN STODOLAK

Spór o własność intelektualną nie ustanie, dopóki nie wyjaśni się, co właściwie pojęcie to znaczy.

Nigdy nie dajecie mi mojej forsy" („*You never give me my money*") – narzekał Paul McCartney w utworze z 1969 r. Dzisiaj skarży się znowu, tym razem na niedostateczną ochronę praw autorskich w internecie. Mógłby po prostu wysłać swoją piosenkę członkom Parlamentu Europejskiego – pewnie zrozumieliby w mig, o co chodzi – ale zamiast tego postanowił napisać list. „Drodzy europosłowie... – zwraca się do nich – chcę ponaglić was do poparcia zmian w prawie autorskim. Muzyka i kultura... są naszymi sercem i duszą. Ale nie biorą się znikąd. (...) Niektóre platformy internetowe umożliwiające dzielenie się muzyką odmawiają kompensaty artystom za ich wysiłki, same na nich zarabiając".

Nie tylko oldboje rocka mierzą się z nową cyfrową rzeczywistością. Podobne sugestie mają filmowcy, pisarze, publicyści. Internet, pozwalając na bezkosztowe dzielenie się kulturą, zachwiał ich modelami biznesowymi. Twórcy – oraz reprezentujące ich organizacje – chcą zmian, które także im dadzą dostęp do owoców cyfrowej rewolucji. Przekonują, że kultura wymaga ochrony prawnej dostosowanej do nowych realiów.

Problem w tym, że nie wiadomo, jak ta ochrona powinna wyglądać.

ACTA 2?

Z powyższym zdaniem nie zgodzi się 32 tys. twórców, popierających projekt, do którego w liście odnosi się także McCart-

ISTOCK / GETTY IMAGES

ney: unijnej dyrektywy o prawach autorskich na jednolitym rynku cyfrowym, którą proceduje właśnie Parlament Europejski.

Ma ona harmonizować przepisy na terenie UE oraz wzmacniać pozycję twórców i konsumentów w e-gospodarce, głównie dzięki uzyskaniu większej kontroli nad wykorzystywaniem ich dzieł. Art. 11 daje np. wydawcom prasy prawo kontroli nad linkowaniem do ich treści, co pozwoli im czerpać dodatkowy dochód, zwiększyć liczbę bezpośrednich odwiedzin serwisów prasowych, a w efekcie także wpływy z reklam. Art. 13 ma natomiast ukrócić samowolę w publikowaniu online treści, które do nas nie należą. Jak? Narzucając na umożliwiające to platformy (np. YouTube) obowiązek skrupulatnego badania, czy ich użytkownicy nie łamią prawa.

Rozsądne? Na pierwszy rzut oka tak, ale krytycy (należy do nich m.in. Tim Berners-Lee, jeden z twórców usługi www) wskazują na możliwe problemy. Owszem, będzie się chronić jednych twórców, ale kosztem innych. Internetowe vlogi, memy, wpisy na blogach, hasła w Wikipedii bazują przecież na wykorzystaniu istniejących treści. Nowe prawo taką twórczość może zdusić.

Czy uda się sprawę sfinalizować? Pamiętamy casus ACTA, umowy handlowej o zwalczaniu obrotu towarami podrabianymi, która w latach 2010-11 wywołała gwałtowne protesty w Europie. Politycy ugięli się i ACTA została w 2012 r. odrzucona przez Parlament Europejski. Wylano jednak dziecko z kąpielą: nie przyjęto złego prawa, ale i nie napisano dobrego. W przypadku dyrektywy o prawach autorskich może być podobnie. Jeśli jej krytycy mają rację odrzucając ją, unikniemy paraliżu internetu, ale problemy twórców kultury pozostaną nierozwiązane.

Bo czy Paul McCartney *et consortes* nie mają się na co żalić? Mają. Od 1999 r., początków cyfrowej rewolucji, do 2016 r. globalna wartość sprzedaży muzyki w cyfrowej formie wzrosła od zera do 7,8 mld dolarów, ale nie zrekompensowało to strat ze sprzedaży płyt CD, której wartość w tym czasie stopniała z 23,8 do zaledwie 5,4 mld dolarów. Na dodatek zyski ze sprzedaży w większym stopniu zaczęły trafiać do dystrybutorów niż artystów. Na polskim podwórku dochód artysty ze sprzedaży jednej płyty CD to 11-15 zł brutto (przy cenie całkowitej na poziomie 35-40 zł), a jedno odtworzenie utworu w serwisie Spotify – niewiele ponad 1,5 gr. Aby artysta mógł zarobić na streamingu tyle co na sprzedaży jednej płyty CD, potrzeba co najmniej 550 odtworzeń.

Wydawcy prasy też nie narzekają bez powodu. Od 1999 r. globalne roczne wydatki na reklamy w mediach drukowanych spadły z ponad 75 do niecałych 50 mld dolarów, a nie udało się wypracować stabilnego modelu zarabiania na publikacjach w medium, które w międzyczasie stało się dla reklamodawców atrakcyjniejsze: w internecie.

Patent na podeszwę

Andrus Ansip, eurokomisarz ds. cyfrowej gospodarki i jeden z autorów projektu nowej dyrektywy, zauważa, że debata wokół praw autorskich „brzmi, jakbyśmy mieli wybierać pomiędzy ochroną twórców a ochroną internetu", kiedy „tym, co powinniśmy robić, jest ochrona i tego, i tego".

To uwaga słuszna, ale ani Ansip, ani inni uczestnicy debaty nie zauważają najważniejszej kwestii, która uniemożliwia wypracowanie salomonowego prawodawstwa: tego, że nikt tak naprawdę nie wie, czym właściwie jest własność intelektualna.

Brak klarownej definicji nie dziwi, bo pojęcie to jest historycznie świeże. Dopiero w II połowie XX w. zaczęto tworzyć kompleksowe i powszechne prawodawstwo w tym zakresie. Impulsem stało się powołanie w 1967 r. w ramach ONZ Światowej Organizacji Własności Intelektualnej. Odtąd legislacja – na szczeblu krajowym i międzynarodowym – produkowała hurtem nowe, niestety niespójne przepisy. W efekcie prawo własności intelektualnej jest tak skomplikowane jak prawo podatkowe.

W miarę postępów legislacyjnych nie wypracowywano głębszego zrozumienia materii, którą chciano regulować. Politykami rządziły dobre intencje lub lobbyści, rzadziej namysł. W efekcie trudno nawet o spójną odpowiedź na pytanie, czy idee mogą w ogóle do kogoś „należeć" i czy autorstwo danej (np. utworu muzycznego) daje prawo do rozporządzania nią. Czy można być właścicielem odkrycia naukowego? Zasadniczo przyjmuje się, że wiedza naukowa należy do domeny publicznej, ale nie każdy uznaje tę zasadę. W latach 90. XX w. firma Myriad Genetics opatentowała... geny BRCA1 i BRCA2, których mutacje mogą przyczyniać się do zachorowań na nowotwory. Jeśli ktoś chciał te geny badać, mógł to robić wyłącznie z użyciem kosztownego testu opracowanego przez spółkę. Patenty uchylono dopiero w 2013 r.

Równie absurdalne sytuacje zdarzają się w świecie kreatorów mody. Christian Louboutin, znany projektant obuwia, w 2008 r. zarejestrował czerwoną podeszwę jako chroniony znak towarowy i pozywał innych o bezprawne naśladownictwo. Ale czy idea pomalowania na czerwono podeszwy jest tak wyjątkowa, że może stać się chronioną własnością? ↦

↦ Obecne prawo na to pozwala, właśnie ze względu na pojęciowy galimatias. Informacja, idee, twórczość intelektualna traktowane są tak jak inne produkty. A przecież czym innym jest np. ogólny pomysł, by zakupy w sklepie internetowym można było robić jednym kliknięciem myszy (bo np. wpaść na to może wielu), a czym innym konkretny algorytm, który to umożliwia (opracuje go wyłącznie specjalista). I tak opatentowanie konkretnego algorytmu nie budzi większych kontrowersji, ale już patentowanie ogólnego pomysłu zakupów jednym kliknięciem jest absurdalne i kończy się sytuacjami, w których właściciel może blokować rozwój całego rynku. W 2006 r. taki patent uzyskał serwis Amazon i do jego wygaśnięcia w 2017 r. mógł pozywać naruszające go firmy, blokując rozwój e-commerce. Historycznie rzecz biorąc, mocna ochrona patentowa miała zresztą poważniejsze skutki. Opóźniła np. wybuch rewolucji przemysłowej o ok. 30 lat, a więc o czas obowiązywania patentu Jamesa Watta na silnik parowy. „Dopóki był chroniony, Wielka Brytania zwiększała moc silników o ok. 750 KM rocznie. Po wygaśnięciu patentu pojawili się nowi producenci i moc ta rosła o ok. 4 tys. KM" – piszą Michele Boldrin i David Levine w książce „Przeciwko monopolowi intelektualnemu".

Czy jednak nie odeszliśmy za daleko od problemów McCartneya i spółki? Przeciwnie. Prawa autorskie i patenty to tylko różne rodzaje monopolu na wytwór intelektu, coś, co winno być chronione w sposób adekwatny i zniuansowany, a nie za pomocą rozwiązań typu „jeden rozmiar dla wszystkich".

Cyfrowy renesans

Zwolennicy zaostrzania prawa własności intelektualnej w domenie kultury, tak samo jak zwolennicy zaostrzania tego prawa w przemyśle, przekonują, że brak mocnej ochrony własności intelektualnej w dobie internetu osłabia innowacyjność. Jeśli do twórców (innowatorów) przestają trafiać zyski z ich dzieł, tracą oni bodziec do pracy.

Prof. Joel Waldfogel, ekonomista z University of Minnesota, nie zgadza się z taką diagnozą, ale przyznaje, że „bodziec finansowy ma znaczenie". – Jest najważniejszym powodem publicznej dyskusji o własności intelektualnej. McCartney, gdy narzeka na spadek zarobków, ma rację. Spadek przychodów w jego branży to fakt. Rynek muzyczny się zmienił. Teraz nie sprzedaż płyt, a działalność koncertowa i okołokoncertowa, np. sprzedaż gadżetów, ma znaczenie. Od artysty wymaga się, by był przedsiębiorcą, a nie każdy to umie – uważa ekonomista.

Waldfogel zwraca jednak uwagę, że cyfrowa rewolucja mimo wywrócenia do góry nogami dawnych modeli biznesowych w kulturze nie spowodowała spadku produkcji artystycznej: – W 1990 r. w USA powstało ok. 500 filmów, w 2010 r. 3 tys. W 2008 r. opublikowano ok. 85 tys. nowych książek, w 2012 r. 400 tys. W 1988 r. premierę miało ok. 50 tys. utworów muzycznych, w 2007 r. ok. 350 tys. Co więcej, jeśli zagregować oceny, jakie profesjonalni krytycy sztuki przyznają nowym dziełom, okaże się, że jakość kultury wcale nie spada, a sama kultura się nie homogenizuje. Jest sporo miejsca na nisze – tłumaczy Waldfogel, który w książce „Cyfrowy renesans" opisuje dobroczynne skutki tej cyfryzacji.

Ekonomiści zwracają uwagę, że ten urodzaj to wynik spadku kosztów produkcji dóbr kultury. Dawniej nagranie dobrze brzmiącego albumu oznaczało wydatek co najmniej kilkudziesięciu tysięcy złotych. Dzisiaj – kilku tysięcy. Profesjonalna kamera filmowa przed rewolucją cyfrową kosztowała setki tysięcy złotych, dzisiaj filmy kręci się... smartfonem. Najnowsze dzieło Stevena Soderbergha, film „Niepoczytalna", nakręcono iPhone'em. W przypadku książek popularność zdobywa z kolei self-publishing, w którym autor jest jednocześnie swoim wydawcą. Do książek tak wydanych należy chociażby... „50 twarzy Greya".

Oto kolejne błogosławieństwo ery cyfrowej: niepotrzebna jest już łaska dużych wydawców, by dzieła znalazły widownię. Dinozaury rocka narzekają wprawdzie, że w internecie nie narodzą się „kolejni Beatlesi", ale to nieprawda. – Supergwiazdy nie znikają w erze internetu, a ogonkowi tych mniej rozpoznawalnych artystów jest po prostu łatwiej – twierdzi Waldfogel.

Może więc rację mają ci, którzy twierdzą, że ochrona wytworów intelektu jest po prostu zbędna? Taka argumentacja prowadzi zwykle w stronę japońskiego artysty Masamunego Shirowa, piszącego, że „gdy skserujesz stronę, kserowany oryginał nie znika. Podobnie też informacji nie traci się, gdy ktoś ją ukradnie". Skoro nie ma straty, własność pozostaje nienaruszona, to nie ma kradzieży i nie ma sprawy. Taki pogląd ma już nawet nazwę: infoanarchizm.

To prawda, że bezstratna powielalność to główna różnica między ideami a dobrami materialnymi. Ale czy naprawdę wystarczy, by stwierdzić, że ideom nie potrzeba ochrony?

Drukowanie adidasów

Przeprowadźmy pewien (wcale nie tak nieprawdopodobny) eksperyment myślowy.

Załóżmy, że i rzeczy materialne uzyskają kiedyś dzięki technologii wysoką powielalność. Oto np. druk 3D pozwoli nam „bezstratnie" powielać dowolne produkty obuwnicze. Kupisz jedną parę adidasów, „zeskanujesz je", a potem bez zgody producenta wydrukujesz kopie dla całej rodziny, dzięki sprytnemu oprogramowaniu zmieniając tylko rozmiar i kolor.

Konsekwentny infoanarchista musi stwierdzić, że skoro producent obuwia nie traci, to drukujmy buty, ile dusza zapragnie. Ale czy ów producent będzie miał w takiej sytuacji wystarczającą motywację, by tworzyć nowe modele obuwia? To wcale nie jest pewne. Pisanie wierszy czy piosenek może być nieodpartą potrzebą ducha, w przeciwieństwie do produkcji obuwia. Weźmy jednak za przykład obuwie luksusowe. Brak ochrony przed kopiowaniem oznacza koniec jego ekskluzywności, a więc usunięcie całej kategorii produktów i producentów.

Bezstratna powielalność, jeśli jest samowolna, może zatem szkodzić. Szkody te są w zależności od branży różnie rozłożone i mają różną skalę. Dotyczą albo samych produktów – jak w przypadku wspomnianych butów – albo dystrybucji dochodu z produktów – jak w przypadku dzieł kultury. I tu, i tam potrzebna jest jednak ochrona.

Jednoznaczne opowiedzenie się w wojnie o własność intelektualną po którejś ze stron byłoby jednak nieuczciwe intelektualnie. To wciąż kwestia otwarta. Dobre prawo powinno być odbiciem przekonań społecznych, które trzeba najpierw zbadać, a nie wyrazem poglądów grupy lobbingowej o większej sile przebicia.

© SEBASTIAN STODOLAK

Autor jest publicystą „Dziennik Gazeta Prawna".

Jak nie wylać twórców z kąpielą

JAN NIZIŃSKI

W sporze o prawne ramy dla obecności kultury w sieci twórcy są na razie w defensywie. Polskie prawo, w którym widzą sojusznika, często nie dostrzega bowiem nawet istnienia internetu.

Kwestie dotyczące tzw. opłat reprograficznych doliczanych do ceny urządzenia służącego do kopiowania lub przechowywania informacji reguluje w Polsce ustawa o prawie autorskim. Problem w tym, że przepisy te pochodzą sprzed prawie ćwierćwiecza. Dlatego w art. 20, wśród urządzeń, których producenci i importerzy muszą ponosić opłatę reprograficzną, ustawodawca wymienia „magnetofony, magnetowidy i inne podobne urządzenia" oraz tzw. „czyste nośniki służące do utrwalania".

– Obowiązujące rozporządzenie ministra kultury w tej sprawie pochodzi z 2008 r. Znajdują się w nim m.in. pendrive'y i twarde dyski – uściśla Bogusław Pluta, dyrektor Związku Producentów Audio Video (ZPAV).

Na to, by te właśnie urządzenia objąć opłatą reprograficzną, przystały organizacje reprezentujące zarówno autorów, jak i przemysł, czyli ZPAV, ZAiKS, Stowarzyszenie Artystów Wykonawców Utworów Muzycznych i Słowno-Muzycznych oraz Związek Importerów i Producentów Sprzętu Elektrycznego i Elektronicznego Branży RTV i IT (ZIPSEE).

Technologia szła jednak szybko do przodu i zaraz po tym, jak ministerialne przepisy weszły w życie, na rynku pojawiły się smartfony. To radykalnie zmieniło także układ sił na rynku kultury online, zwłaszcza muzyki. Przedstawiciele artystów wyszli więc z propozycją wpisania do rozporządzenia także smartfonów i tabletów, ale napotkali na zdecydowany opór ZIPSEE. Ponieważ resort kultury głosu nie zabrał, sprawa utknęła w martwym punkcie i dziś trudno o porozumienie.

Michał Kanownik, prezes ZIPSEE, przypomina, że opłatę reprograficzną wprowadzano w epoce przed rozkwitem internetu. – Jako odbiorcy kultury przechodzimy od kopiowania do współdzielenia w trybie online – zauważa.

Argumentuje, że telefony czy tablety znacznie rzadziej służą do kopiowania, a coraz częściej do słuchania muzyki w streamingu. Tymczasem opłata reprograficzna dotyczy właśnie powielania, a nie odtwarzania. Dodaje, że objęte nią powinny być urządzenia, które służą tylko do tworzenia kopii. – Uważamy, że w obecnej sytuacji powinniśmy się zastanowić nad dalszą formułą tego typu opłaty, nad tym, jak miałaby funkcjonować i czemu ma służyć – mówi Kanownik.

Orzecznictwo unijne także stoi na stanowisku, że opłata ma być adekwatna do straty, jaką twórcy ponoszą w związku z kopiowaniem ich utworów. – A w Polsce nikt nie przeprowadził stosownych analiz. Skala kopiowania z roku na rok systematycznie spada i gdyby to dokładnie zbadano, mogłoby się okazać, że pobierane już w tej chwili opłaty przekraczają straty wynikające z legalnego kopiowania – przypuszcza prezes zrzeszenia importerów i producentów.

Przykład? Hiszpania, gdzie analiza relacji wysokości opłat reprograficznych do rzeczywistych strat twórców wykazała, że stawki należałoby obniżyć aż o 80 proc.

– W Polsce takich badań nie przeprowadzono, bo ZIPSEE nigdy nie chciał ujawnić danych dotyczących sprzedaży smartfonów – odpiera zarzuty Jan Młotkowski, kierownik komunikacji w ZAiKS-ie.

Wyliczenia stowarzyszenia autorów są zupełnie inne. Na podstawie porównania danych makroekonomicznych Polski i zachodnich państw, takich jak Francja czy Hiszpania, ZAiKS oszacował, że w Polsce łączna wysokość opłat reprograficznych, nazywanych też opłatą od czystych nośników, powinna wynosić 60-70 mln euro rocznie.

– To bardzo znacząca kwota, która istotnie wspierałaby rozwój kultury. Tymczasem obecnie jest niższa niż w Rumunii, na Słowacji, a nawet na Łotwie – twierdzi Młotkowski.

Przedstawiciele ZAiKS-u nie zgadzają się również z innymi argumentami ZIPSEE.

– Streaming online rzeczywiście jest coraz ważniejszy. Ale z badań, jakie przeprowadzono dwa lata temu, wynika, że drugą najważniejszą usługą jest przechowywanie w telefonach plików pobranych z serwisów streamingowych – mówi reprezentant stowarzyszenia autorów. Według niego Polska jest jednym z bardzo nielicznych krajów w Europie, w których artyści nie otrzymują rekompensat z tytułu legalnego kopiowania ich utworów.

– Dyrektywa unijna nie narzuca nikomu, jakie urządzenia mają być objęte opłatą reprograficzną. To państwa decydują, w jaki sposób zapewnić twórcom rekompensaty – kontruje Michał Kanownik i podaje przykład Wielkiej Brytanii, w której takiej opłaty w ogóle nie ma.

– Nie ma, bo na Wyspach w ogóle nie wolno kopiować utworów, nawet na własny, prywatny użytek, co w Polsce jest legalne – przypomina Jan Młotkowski. ©

KULTURA

MOJA WYSPA SKARBÓW

WOJCIECH MANN:

Ojciec nie był typem agitatora, który wołał na barykady. Miał wolność w sobie, więc o nic nie musiał walczyć.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Tato Pana namalował?

WOJCIECH MANN: Nie. Właściwie jedyne osoby, które w mojej pamięci zostały przez ojca uwiecznione, to moja siostra, gdy była małą dziewczynką, i siostra mamy.

Zdumiewające, że tylko one.

Często tak jest, że jak jest fotograf w rodzinie, to dopiero zmuszony i na samym końcu fotografuje kogoś z domowników. Widzieliśmy się z ojcem codziennie, to po co jeszcze miał nas malować? Poza tym nie było z naszej strony takiego oczekiwania. Nie traktowałem go jako artysty, on po prostu był moim ojcem, który ładnie malował i za to mu jeszcze, od czasu do czasu, płacili.

Lecz wstęp do tego, co miał w głowie, mieliśmy bardzo ograniczony.

Bo?

Miałem wrażenie, że gdy maluje, wchodzi do innego pokoju. I jednocześnie to nie było tabu: nie podglądajcie dzieci ojca w pracy, bo tego nienawidzi. Jak ojciec miał ochotę coś pokazać – nie nam gówniarzom, tylko mamie – robił to naturalnie, na zasadzie: zobacz, jaki ładny chleb udało mi się kupić.

Mama ojcu doradzała?

Nie mieszała się – była nie tyle krytykiem, co pierwszym widzem. I lubiła jego sztukę.

Czy dla Pana ojciec coś specjalnie namalował?

Gdy mówił, że nie podobają mu się samochody, które jeżdżą po Warszawie, to ja pytałem: „A jakie miałyby być?". Wtedy brał bibułkę i rysował swój pomysł. Niestety, nie miałem odruchu, by chować.

Pamięta Pan te obrazki?

Ruch ręki bardziej niż konkretny obrazek. Ale pamiętam też, jak kiedyś rozmawialiśmy z ojcem o Szymonie Kobylińskim, który korzystał ze swojej ogromnej umiejętności imitowania stylu graficznego różnych rysowników. W telewizji pan Kobyliński miał program w koncepcji podobny do Wiktora Zina, tylko że Zin rysował architekturę na oczach kamer i widzów, a Kobyliński karykatury. Spytałem ojca, czy to niezwykły talent, że Kobyliński potrafi wyjść poza swój styl. A on powiedział: „To łatwe, tylko nie jest mi potrzebne". I narysował coś pod jakiegoś rysownika, nawet nie pamiętam którego. Oczy wtedy wybałuszyłem: jakie ojciec potrafi robić różne sztuki!

Opowiadał o Lwowie, gdzie się urodził, dorastał i studiował architekturę?

Z sentymentem, ale w kontekście towarzysko-rodzinnym. Że się dobrze bawił, chodził po knajpach i po dancingach. Był młody i przystojny, z ładnymi dziewczętami się zadawał, m.in. z pannami Niemczewskimi, czyli moją mamą i jej siostrą. Głęboki sentyment odczuwał do Wiednia. Bo on zaczął studiować na Politechnice Lwowskiej, ale potem skończył coś, czego nazwę nauczyłem się wypowiadać: Kunstgewerbeschule. Więc o Wiedniu opowiadał nawet częściej niż o Lwowie. Że był wtedy wyjęty z rodziny i ze swojego środowiska, ale miasto, jego atmosfera i uczelnia były mu przyjazne. I był dumny ze swojej cenzurki, rzeczywiście miał świetne oceny.

Roman, młodszy brat Pańskiego ojca, też studiował na Politechnice Lwowskiej i w Kunstgewerbeschule. Po wojnie związał się z filmem, robił scenografię m.in. do „Ewa chce spać", „Popiołu i diamentu", „Matki Joanny od Aniołów".

A Tadeusz, najstarszy brat ojca, absolwent medycyny, w 1937 r. wyjechał na stypendium i na zawsze utknął w tej Anglii. Bliższy ojcu był Roman. Tadeusz był postacią z innego świata – dosłownie i w przenośni. Przesiąkł mentalnością Cambridge, naukowym życiem, zrobił się bardzo brytyjski. Tadeusz był niezwykle grzeczny, ↦

WOJCIECH MANN (ur. 1948) jest dziennikarzem muzycznym, didżejem, żywą legendą Programu III Polskiego Radia (m.in. audycje „Zapraszamy do Trójki", „W tonacji Trójki", „Radio Mann", „Bielszy odcień bluesa"), jest związany z tą stacją od końca lat 60. Jedna z najważniejszych osobowości telewizyjnych. Laureat wielu nagród (m.in. Superwiktora, AuTORytetu w plebiscycie MediaTory). W latach 80. był redaktorem naczelnym miesięcznika muzycznego „Non Stop". Nakładem wydawnictwa Znak ukazała się właśnie jego książka „Artysta. Opowieść o moim ojcu".

MARCIN MANN DLA „TP"

Z ARCHIWUM RODZINY MANNÓW X2

Od lewej: Kazimierz Mann (ojciec), Wojciech, Malwina (matka) i Marta (młodsza siostra), lata 50. XX w.

wyważony w opiniach, na każdy temat wypowiadał się kulturalnie. I tęsknił. Mówił, że czuje bliskość z jednym i drugim z braci i ich rodzinami. Ale to było bez naszej emocji – *absolutely very proper*. Myśmy byli innym gatunkiem ludzi.

Słowiańskim?

Kiedyś zapytałem ojca, czy nie miał okazji wynieść się z Polski, by uniknąć tego całego dziadostwa komunistycznego, którego tak serdecznie nie znosił. Za młodu nie mogłem pojąć jego niechęci do wyjazdu za granicę. Sam byłem cały rozgrzany, by mnie wreszcie wypuścili i żebym gdzieś coś zobaczył...

No i dlaczego nie wyjechał?

Bo wstydził się przed światem, że przestała istnieć przedwojenna Polska, którą uwielbiał i która zawsze była dla niego odniesieniem. Za upokarzające uznawał delegacje zagraniczne z tymi całymi dietami.

Gdy drążyłem temat, dlaczego nie kombinował, by się stąd wydostać i ewentualnie mamę też wywieźć, a w konsekwencji my moglibyśmy urodzić się gdzie indziej, to mówił, że jest Polakiem. Ja: „Ale mamy niemieckie korzenie, nazwisko masz inne". On na to, że jego rodzina zdecydowała, iż będą mieć polskie papiery.

O wojnie coś opowiadał?

Oboje rodzice nie chcieli o tym mówić. Istnieją tylko strzępy, zasłyszane opowieści. Mamy, która była pielęgniarką i w powstaniu opatrywała rannego ze strasznymi skaleczeniami. Ojca, usiłującego zapewnić byt i bezpieczeństwo bliskim. Babci, która podobno rodzinę wyratowała z jakiejś opresji, bo płynnie mówiła po niemiecku, i na Mokotowie najpierw nakrzyczała, a w rezultacie przegnała oficera niemieckiego. Takie cuda – ale nie wiadomo, ile jest w tym prawdy.

A o stalinowskim więzieniu ojciec opowiadał? W 1951 r. został aresztowany pod zarzutem kolaboracji – jego rysunki zostały wykorzystane za okupacji w niemieckich gazetach.

Miałem trzy lata, gdy go zamknęli. To są sekwencje, które odtwarzam z rozmów – byłem za mały, by to pamiętać. Najpierw miało go w ogóle nie być już po tym więzieniu, bo mama mówiła, że prokurator żądał kary śmierci. Dalej była mowa o dożywociu, a skoro dożywocie, to przynajmniej będzie żył i może się uda skrócić wyrok, a to dość szybko następowało. Potem być może opamiętali się prokuratorzy, że to, co mu zarzucają, nie jest żadną zdradą stanu.

W końcu objęła go amnestia w 1953 r. W latach 60. przyszło pismo o jego uniewinnieniu i zatarciu wyroku. Pamiętam radość w domu – ojciec od tego momentu mógł wpisywać w dokumentach, że nie był karany.

Jedno jedyne widzenie z nim pamiętam w Gęsiówce, bo tak wtedy mówiło się na to więzienie. W środku atmosfera średnio sympatyczna, a dla mnie dodatkowo nakładał się fakt, że mam zobaczyć ojca.

To chyba dobrze?

Pamiętam, że był strasznie zmarnowany i półprzeźroczysty, bo jeszcze gruźlicę złapał, więc nie był okazem zdrowia. Dotąd żyłem w takiej spokojnej świadomości, że mam matkę i prawdopodobnie ojca, ale wyłącznie słyszę o nim – jak marynarz wypłynął na długi rejs, gdzieś zniknął, nie wiadomo, czy będzie, czy nie będzie. Trzymałem się tego, że pod bokiem są dziadkowie i mama.

Pamiętam też troskę matki dokonującej cudów, by przekazać ojcu paczki. To były wyprawy koszmarnymi autobusami gdzieś pod Warszawę, by zdobyć jajko lub pomarańczę.

W więzieniu ojciec mógł malować?

Siedział z Alfredem Szklarskim, któremu też zarzucono kolaborację, bo niemiecka gadzinówka drukowała w odcinkach jego opowieści przygodowe. I oni dwaj w więzieniu stworzyli dla mnie dwie książki, m.in. były to wierszyki o zwierzątkach. Szklarski zajął się tekstem, ojciec spisaniem i ilustracjami. Oprawili książeczki w więziennej introligatorni; pamiętam fakturę twardego papieru. I nagle te książeczki zniknęły w czasie kolejnej mojej przeprowadzki. To nieprawdopodobna złośliwość losu, bo je chroniłem, wiedziałem, jakie są cenne. Te książeczki były też dowodem na to, że ojciec w więzieniu przejmował się tym, iż ma dziecko.

Żadnych innych artystycznych śladów z więzienia?

Jest jeszcze drewniana papierośnica, którą ojciec zamalował po swojemu.

A jego pracownia? Jak ją Pan zapamiętał?

Jak wyspę skarbów. Miejsce zupełnie różne od pokoju sublokatorskiego, w którym siedzieliśmy na kupie, a potem – od małego mieszkania. Ojciec ze swoimi gratami nie miał szans, by się tam zmieścić, więc przez znajomych znalazł pokój na Powiślu. I tam była cała masa kuszących mnie rzeczy – farby, pędzle, papiery. Pamiętam „Historię Piastów" Pawła Jasienicy. Dużo albumów etnograficznych, szczególnie ze strojami ludowymi oraz malarską sztuką. I książki ze zdjęciami, bo chciał zobaczyć jak najwięcej świata, mimo że nie podróżował. W pracowni oj-

ciec miał lepsze radio od mojego. To mnie wkurzało.

Zrozumiałe!

To jego radio było dla mnie największą zagadką. Wiedziałem, że w pracowni ma radio, ale cała masa ludzi ma radio, które sobie brzęczy, jest tłem i już. A ojciec świadomie z niego korzystał i wiedział, czego w nim szuka. Poza tym był rozeznany w gatunkach muzycznych. Opowiadał też, jak doskonałe były przedwojenne big bandy w Warszawie i w ogóle w całej Polsce. Musiał się przyzwyczaić do rock'n'rolla, który mu dawkowałem w sporych porcjach.

Bardzo wierzył w to, co jest napisane na podświetlanej skali. Dawniej radioodbiorniki, o czym już mało kto wie, miały szybkę, na której były napisane nazwy różnych miast, właściwie stacji radiowych. Gdy kręciło się gałką, a strzałka najeżdżała na nazwę, to powinno się tę stację złapać. To były głównie fale długie, średnie i krótkie, nie było UKF. Były szumy, zakłócenia i pory dnia, kiedy radio było lepiej słyszalne. Na niemieckich stacjach ojciec słuchał swojego ulubionego amerykańskiego jazzu. I, przypuszczalnie, polskich stacji też słuchał, ale nie pamiętam, by się wyrażał entuzjastycznie.

Samym misterium było szukanie stacji. Centralną część radia stanowiło magiczne oko – kółko z zielonym tłem. Kiedy robiło się intensywniejsze i zielone listki składały się w całość, to oznaczało, że był optymalny odbiór. W magiczne oko gapiłem się jak w telewizor.

Kiedy opowiada Pan o ojcu, można zrozumieć, dlaczego w jego sztuce jest tyle barw i umowności. To w pewien sposób było dawaniem oporu dosłownej, zgrzebnej i byle jakiej estetyce komunizmu.

W tej chwili bym to inaczej nazwał, bo wszystko się zwala na komunę. Ale w dużej mierze chodzi o mentalność rządzących, narzucających społeczeństwu swoje rozwiązania. Istnieje typ ludzi pełnych kompleksów, bojących się otwartości, wyjścia w świat. Właśnie oni uwielbiają chować się w burych materiach, by przypadkiem nie błysnęło żadne światło. Bezpiecznie czują się w otoczeniu, w którym nie ma prawdziwej radości. Ojciec był na to szczególnie wyczulony. Nie chcę dorysowywać mu wizerunku bojownika o wolność... Nie był typem agitatora, który wołał na barykady. Miał wolność w sobie, o nic nie musiał walczyć.

Kazimierz Mann „Smutny". Własność Marty Mann i Wojciecha Manna

WOJCIECH MANN:

Ojciec wstydził się przed światem, że przestała istnieć przedwojenna Polska, którą uwielbiał i która zawsze była dla niego odniesieniem.

I ten swój świat dzielił z nami. To wielka rzecz, że wychowaliśmy się z siostrą w kontrze do komunistycznego zaduchu.

Głośno narzekał na ten zaduch?

Miał swoich ulubieńców *à rebours* – nie znosił Władysława Gomułki. Za wszystko: za wizerunek, za mentalność, za decyzje, za język. Wyjątkowo działał mu na nerwy – jak gdzieś w telewizji się pokazał z przemówieniami, to ojca aż nosiło. Ale właśnie tacy ludzie dyktowali w tamtych czasach rozwiązania. Gdyby mu dane było dożyć jeszcze Solidarności, do tego pierwszego tąpnięcia w 1980 r., bardzo by się ucieszył.

Zmarł w połowie lat 70. Miał 65 lat. Gdy o tym myślę, to po prostu mną trzęsie, bo w dużej mierze na własne życzenie skrócił sobie życie. Nie miał żadnych drastycznych dolegliwości, gruźlica uspokoiła się, ale zaniedbał sprawy krążeniowe. Plus papierosy i kompletny brak opieki lekarskiej.

Zawsze podobały się Panu obrazy ojca?

Wśród nich żyłem, były naturalną częścią wystroju, specjalnie się nad tym nie zastanawiałem, wisiały w moim malutkim mieszkaniu. A potem, prozaicznie mówiąc, okazało się, że na ścianach domu, do którego się przeprowadziłem, jest więcej miejsca niż w poprzednim ciasnym mieszkanku. Wtedy uważniej zacząłem przeglądać teczki ojca. On je traktował nie jak kosz, bo to byłoby niewłaściwe, ale na zasadzie: coś tam wrzucę i niech sobie leży. Znalazłem tam zarówno niektóre z jego pięknych obrazów, jak i niedokończone szkice. Wtedy, czyli w końcówce lat 90., dopiero zacząłem sobie uświadamiać nie tylko, ile on potrafił zrobić, ale też ile z tych rzeczy zginęło.

Kazimierz Mann projektował i wykonywał polichromie w salach Muzeum Techniki w Warszawie. Zaprojektował mozaiki dla śląskich kopalń i opracowanie plastyczne dworców kolejowych: Warszawa Gdańska, Terespol, Sandomierz. Tytuły prac Pana ojca widnieją na listach dzieł zniszczonych i zaginionych – jego prace demolowano wraz z każdą zmianą dekoracji.

Pamiętałem projekty, które ojciec nosił do zamawiających instytucji, i prace, których powstawania byłem świadkiem. Dobrze pamiętam mozaiki i dworce.

Z czasem stałem się zachłannym zbieraczem prac ojca. Bardzo pomaga mi w tym żona. A w pewnym momencie włączył się w to wszystko Marcin, mój syn. Wyszukuje plakaty filmowe i kartki pocztowe, które projektował jego dziadek.

I?

I jestem tym niezwykle zbudowany. Zajmuje się rzeczami osoby, której na oczy nie widział. Oczywiście mogliśmy z żoną wykorzystać siłę perswazji rodzicielskiej łącznie z szantażem, by go zmuszać do tego typu działań, ale największą przyjemność sprawia, że nasz syn z własnej woli działa, w tym fotografuje dzieła dziadka. Czasem w żartach mówimy, że jak nas zabraknie, to Marcin tego wszystkiego nie wyniesie na śmietnik albo nie sprzeda za 50 zł, tylko będzie czuł wartość, choćby wyłącznie rodzinną. Ale nie ↦

↦ rozmawia z nami za bardzo na ten temat, chyba uważa, że nie jesteśmy godni jego spostrzeżeń.

(*Przysłuchująca się rozmowie Ewa Mann, żona, dodaje swoje spostrzeżenia.*)

EWA MANN: Marcin ma wyostrzony zmysł krytyczny. Czasami to się przydaje. Gdy wykonuje fotograficzną reprodukcję, poprawia niektóre zdjęcia po 15 razy. Ma być zrobione tak, by kolor był dobry.

Rozglądam się po ścianach Państwa domu i zastanawiam, czy wiszą tu inne obrazy niż te, które namalował Kazimierz Mann.

Może jakieś pojedyncze typu prezent lub pamiątka. To, co pani widzi, to dzieła mojego ojca.

Ma Pan ulubiony obraz?

O ten, proszę spojrzeć, nazywamy go „Smutny".

EWA MANN: A ramiarz, do którego przywiozłam „Smutnego" prosząc, by go oprawił, powiedział mi, że on tu widzi starą kobietę. Ja też jestem skłonna ją zobaczyć w „Smutnym". A ponieważ pod „Smutnym" stoi stoliczek i kładziemy tam różne rzeczy, więc się mówi: „Gdzie są klucze? A pod »Smutnym«".

Dla mnie „Smutny" jest bardziej sceptyczny niż smutny. I wygląda, jakby chciał zapalić papierosa.

Może „Smutny" jest smutny, bo przestał palić... Drugi obraz, który bardzo lubię, to jest ta duża pani w kapeluszu kolorowym i ze skrzydłami. Jest jeszcze jeden ulubiony, a Ewa nie rozumie dlaczego – jej się nie podoba. Proszę zobaczyć, wisi w holu – ta pani z parasolką. Uwielbiam ją, bo ona najwyraźniej mnie lubi też. Na pewno to jest bardzo miła kobieta.

Ta miła kobieta wygląda jak z obrazów Renoira. Ale ta pani w kapeluszu i ze skrzydłami jest surrealistycznie zjawiskowa.

Jedną z bolączek ojca jako malarza, bo *de facto* był grafikiem, było to, że jego obrazki powstawały na papierze. Częściej używał plakatówek, rzadziej olejnej farby. Mama go czasem pytała: „Kaziu, dlaczego ty tak lekceważysz takie rozwiązanie jak malowanie na płótnie?". Zbywał ją zwykle. I tę panią w kapeluszu też namalował na dykcie cholernej, która wyginała się od wilgoci. Trzeba było ją prostować, ramki, w które obraz teraz jest włożony, są przyzwoite, ale wcześniej okalały ją listewki na cienkich gwoździkach, zrobione przez jakiegoś amatora. Dostawałem szału, bo ten obraz niszczał na moich oczach, w końcu zająłem się jego renowacją. Właśnie taki był ojciec: miał ochotę namalować panią w kapeluszu, pod ręką była dykta, więc zabrał się do dzieła. W ogóle nie kombinował, jak archiwizować swoje prace. Do końca życia miał niesamowity potencjał – świadomość, że jak się coś zepsuło i połamało, to namaluje drugi raz.

Nie ułatwił Panu zadania w kompletowaniu jego prac.

Tu z pomocą przychodzi internet. To narzędzie nieporównywalne do czegokolwiek. Kłopot w tym, że ojciec nie wszystko podpisywał, wiele jego obrazków nie ma sygnatury. A kto będzie sobie zawracał głowę, czy to coś, co stoi pod szafą, namalował Kazimierz Mann...

A ja niemal bezbłędnie rozpoznaję każdy okres ojca.

Nigdy nie ma Pan wątpliwości?

Jest tajemniczy „Don Kichot", obraz ojca najpóźniej przeze mnie zlokalizowany. Tu nie mam pewności, istniało podejrzenie, że namalował go brat ojca, Roman. Przyjąłem to za dobrą monetę, tym bardziej że obecny właściciel obrazu od razu powiedział, że nie ma mowy, by mi go sprzedał, i że jego ojciec dostał obraz osobiście od Kazimierza Manna.

Wielka szkoda, że Pana ojcu nie udało się pracować w filmie, w którym odnosił sukcesy jego młodszy brat. Kazimierzowi Mannowi odrzucono koncepcję kostiumów do „Faraona" Jerzego Kawalerowicza według powieści Bolesława Prusa.

Ojciec to bardzo przeżył. Nie mam pojęcia, czy Kawalerowicz, czy ludzie z nim współdziałający przy przygotowaniach do ekranizacji wystraszyli się wizji ojca. Ona nie była werystycznie przyklejona do rycin i obrazków egipskich. Tu się nie dogadali. Ojciec miał o to żal, był przekonany, że proponuje nową wartość. Do tego stopnia był zaawansowany w rozmowach z twórcami „Faraona", że opowiadał mi nakręcony już początek filmu. Sądziłem, że mi bajer wstawia, a potem w kinie patrzę: było dokładnie tak, jak mówił. Więc spotkanie przy „Faraonie" nie ograniczyło się do tego, że ojciec narysował coś na serwetce. Powstało sporo egipskich przymiarek. I też wszystko zginęło.

Rozmawialiście o kinie?

Gdy byłem mniejszy, to raczej ja zabierałem ojca do kina, bo nie wiem, czy on koniecznie chciał obejrzeć film o przygodach Aladyna. Zmuszałem go również do tego, by chodził ze mną do teatrów kukiełkowych. Ale potem obaj bardzo lubiliśmy kino, tylko że to się zaczęło dziać w moim nastoletnim okresie. Na co mi był stary ojciec, kiedy miałem kolegów i mogłem z nimi na tym samym poziomie emocjonować się kryminałem czy westernem... Ojciec zaś mnie zaskakiwał, że go to też interesuje. A może nawet równolegle był na takim samym filmie co ja. Chyba do kina chodził sam. Więcej o kinie rozmawialiśmy, niż w nim wspólnie bywaliśmy.

Czego Pan dowiedział się o ojcu po napisaniu o nim książki?

Najpierw przestraszyłem się trochę, bo sam sobie zadałem pytanie: co on by powiedział, jakby to przeczytał? Ojciec swoje opinie wyrażał nie w sensie obwieszczenia, że tak ma być i już, tylko mówił, jak on myśli. To nie było brutalne, lecz bardzo logiczne. Nie był gościem, który coś picuje i poudaje. Był kulturalny i niezakłamany. Ale chyba dzięki temu, że w końcu zebrałem i to wszystko poskładałem, co mi w głowie chodziło na jego temat, przypomniałem go sobie lepiej i napisałem wedle najlepszej wiary mojej, nie koloryzując i miejscami nawet wyzłośliwiając się na jakieś przypadki z jego życia.

Z rybek w akwarium śmiałam się na głos. Pana ojciec był chyba bardzo uparty.

Gdybym wyrzucił rybki i jeszcze parę innych fragmentów o ojcu, to nadal by to była o nim prawda, ale niepełna. To nie był nieskazitelny artysta w berecie i z głową w chmurach. Był zwykłym człowiekiem, tyle że trochę niezwykłym. Po napisaniu tej książki zatęskniłem za nim bardziej niż kiedykolwiek.

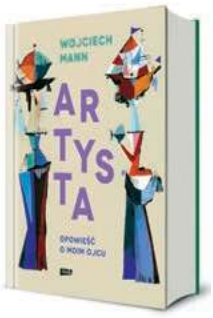

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

KRZYSZTOF WOJCIEWSKI / FORUM

Handel uliczny przed Pałacem Kultury, 1992 r.

Długie trwanie transformacji

MONIKA OCHĘDOWSKA

Wiemy, że z zawartości akwarium można zrobić zupę rybną, ale czy można z zupy rybnej zrobić akwarium? Po latach urządzania się we wrzącym garze czasy transformacji ustrojowej chcemy pamiętać przede wszystkim jako pełne uroku.

Pierwsze zdania budzą sprzeciw. „Polskę, o której piszemy w tej książce, nie wszyscy zauważyli. Zawieruszyła się gdzieś pomiędzy PRL a współczesnością. I już pozostała w tym zagubieniu" – piszą Piotr Lipiński i Michał Matys we wstępie do „Niepowtarzalnego uroku likwidacji", wydanego właśnie zbioru reportaży z lat 90. Zrzućmy tę pochopną deklarację na karb wydawniczej kokieterii bądź nonszalancji. Zarówno kontekst kulturowy, jak i gospodarczy, w którym pojawia się książka, tezie tej kategorycznie przeczy.

Z Polską, którą odnajdujemy w tekstach zebranych Lipińskiego i Matysa, rozliczamy się od bodaj dekady, czyli mniej więcej od czasu, gdy pojawiły się nie tylko pierwsze rocznicowe podsumowania 20 lat III RP, ale i głośna „Klęska Solidarności" Davida Osta albo trzytomowa historia prywatyzacji Jacka Tittenbruna, ujawniająca skandale, w jakie obfitowały przemiany własnościowe. Ledwie kilka lat później słynne wyznanie Marcina Króla – „byliśmy głupi" – opublikowane na łamach tej samej gazety, dla której pisali Lipiński i Matys, było zaledwie środowiskową artykulacją tego, o co spierano się na potęgę poza medialnym mainstreamem. Poskutkowało to jednak gorączkową licytacją dawnych zwolenników terapii szokowej, nieco zaskoczonych, że „teraz już można". Ruszyła lawina pokutników, gotowych, by przyznać się publicznie do swojej krótkowzroczności w czasach transformacji.

Tymczasem w esejach z początku lat 90. Timothy Garton Ash notował na gorąco: „Michnik uważa, iż dynamika polskiej polityki nieuchronnie pogrąży liberalną w zamierzeniu, tolerancyjną, europejską chrześcijańską demokrację w topieli nietolerancyjnej, nacjonalistycznej, szowinistycznej demokracji narodowej". Dziś, gdy obserwujemy nie tylko wzbierającą falę nacjonalizmu i upadek etosu elit, ale także stagnację dochodów przy jednoczesnym wzroście długów – epitet „neoliberalny" znalazł się w czołówce najmodniejszych inwektyw.

Elektorat? To jakaś maszyna

Jesteśmy w momencie, w którym „tamta Polska", jak piszą Lipiński i Matys, właśnie się wyczerpuje. Nie jest to jednak zapadanie się pod własnym ciężarem, a raczej rozbłysk supernowej. Wraz z III RP, jaką znamy, znika niezmącenie entuzjastyczne podejście do Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych, które po 1989 r. nadawało kierunek naszej modernizacji. Zresztą nie tylko Polacy gorączkowo poszukują właśnie nowych punktów odniesienia i recept wyjścia z „kultury podległości". Podział postkomunistyczny, po którym przyszedł podział postsolidarnościowy, zastąpić ma wreszcie coraz częściej zapowiadany w publicystyce podział międzypokoleniowy. Sprzeczne są tylko opinie na temat naszej do tej zmiany gotowości.

Nastroje alarmistyczne widoczne są również w kulturze. Mamy za sobą kilkanaście wystaw, zarówno w muzeach narodowych, jak i małych prywatnych galeriach, których tematem były „zagubione" rzekomo lata między PRL a współczesnością. W ciągu ostatnich kilku sezonów przeczytaliśmy tuzin inspirowanych okresem transformacji powieści i opowiadań (zob. „Jad pytona", „TP" 36/18). Tegoroczną ↦

↦ laureatką Nagrody Conrada została Weronika Gogola (ur. 1988), której debiutancką książkę „Po trochu" otwiera wymowna scena płonącej gminnej spółdzielni. Na deskach Teatru Zagłębie wystawiono właśnie spektakl inspirowany „Duchologią" Olgi Drendy, której wydana dwa lata temu książka o schyłku lat 80. i początku 90. uruchomiła szereg debat o czasach romantycznego przełomu, w których teoretycznie „wszystko było możliwe", choć jednocześnie, jak pisał Mariusz Szczygieł, „możliwe kiedyś", gdy na nasz sukces (słowo-klucz epoki transformacji) przyjdzie kolej, a na razie sobie popatrzmy.

Tak długa obecność niesłabnącej wciąż mody na wywoływanie ducha czasów transformacji prowokuje wręcz do głoszenia jej schyłku. Problem polega jednak na tym, że nie jest to czas w najnowszej historii Polski ani zagubiony, ani zamknięty – raczej traktowany jak dotąd fragmentarycznie, powierzchownie. Kultura popularna świetnie kapitalizuje powielony w dziesiątkach kopii wyraz tęsknoty za porzuconymi z czasem wariantami rzeczywistości, które nie doczekały się odpowiedniej realizacji. Sprzeczność pomiędzy obiecanym a niespełnionym objawia się ekshumowaniem atrakcyjnych stylów – wystarczy zerknąć na światowe wybiegi mody albo, nie szukając daleko, Targi Książki w Krakowie, na których kryminał „Kastor" Wojtka Miłoszewskiego sprzedawano z powodzeniem z bagażnika starego poloneza – takie nawiązanie do wiadomych czasów. Okładkę książki krasi i sprzedaje przaśne hasło: „Aferzyści, cinkciarze i złodzieje. Kryminalne lata 90.".

Tymczasem istnieją miejsca, w których nostalgia za rekwizytami pierwszej połowy lat 90. nie zdążyła się wykształcić – to miejsca, których duchy transformacji nie muszą nawiedzać, bo nigdzie nie odeszły, choć pewnie trudno dostrzec je z okien ostatnich pięter warszawskich biurowców. Znamiennym świadectwem niejednoznacznej i problematycznej oceny ostatniego trzydziestolecia naszej historii jest między innymi wydany w tym roku „Audyt" Jacka Hugo-Badera – zbiór reportaży, w których autor wraca do bohaterów swoich tekstów z początku lat 90., by pokazać, jak potoczyły się losy zarówno emerytowanych esbeków, jak i byłych pracowników PGR-ów. Nie jest więc tak, jak piszą Lipiński i Matys, że wolimy tej Polski nie pamiętać, raczej zerkamy na nią przez palce, czego skutkiem są nieustanne pytania o kondycję naszej demokracji czy kryzys myślenia liberałów.

Są miejsca, w których nostalgia za rekwizytami pierwszej połowy lat 90. nie zdążyła się wykształcić – to miejsca, których **duchy transformacji nie muszą nawiedzać,** bo nigdzie nie odeszły.

„Ludzie w ogóle nie rozumieją, co się do nich mówi" – relacjonował Mariusz Szczygieł w dzienniku z początku lat 90., załączonym do zbioru podsumowującego „20 lat nowej Polski w reportażach": „Geremek powiedział we »Wprost«, że nie dorośli do demokracji. No jasne, że nie. A ktoś im pomógł? (...) Nikt nic nie wyciągnął z historii z Tymińskim, żadnych wniosków". Dzienniki telewizyjne sprawiają wrażenie, że informacja w Polsce ogranicza się do Belwederu. Gdzie jest naród? – pytał w przededniu uchwalenia ustawy o radiofonii i telewizji na łamach „Tygodnika Powszechnego" Jean Offredo, ówczesny redaktor naczelny jednej z francuskich stacji telewizyjnych. Na pytanie Szczygła o to, co znaczy „stwarzanie społeczeństwu alternatywy", znajomy ślusarz nieśmiało mu odpowiada: „będzie jeszcze gorzej". Elektorat? Jakaś maszyna. „Bożena Matecka, lekarka nasza: »Mam wyższe wykształcenie, a jakby UFO do mnie z telewizora mówiło«".

Życzę miłej bezczynności

Nic dziwnego zatem, że gdy nagle upada komunizm i przychodzi kapitalizm, w Polsce panuje moda na tropienie przybyszów z innego świata. „Czy pan wierzy, że bez ich pomocy Polska przetrwa?" – pyta jeden z bohaterów tekstu „Strzeż się szaraka" Piotra Lipińskiego (z 1992 r.), rozczarowany PZPR, Solidarnością, a nawet Stanem Tymińskim. Był jedną z czterystu osób, które wykupiły karnet na odbywające się w tamtym czasie dwudniowe sympozjum poświęcone bliskim spotkaniom z kosmitami.

Kierunek, w którym płynie czas, ma decydujące znaczenie, pisał niedawno na łamach „TP" Marcin Napiórkowski, tłumacząc siłę perswazji, popularność i skuteczność działań ruchu antyszczepionkowców – to pierwsza i najważniejsza lekcja z pseudonauki. Przyszłość jest podejrzana, wszyscy się jej boją, szczególnie w momentach silnej destabilizacji gospodarczej czy politycznej. „Utraciliśmy wiarę, że będzie coraz lepiej. Kulturę i politykę przesiąka pesymizm. Nowoczesne społeczeństwo wyrzekło się przyszłości. Utopia kojarzy nam się z podstępem. Na horyzoncie widzimy bunt maszyn, globalną epidemię albo cyberdyktaturę. W takim środowisku doskonale czują się pseudonaukowcy" – wyjaśnia Napiórkowski, dodając, że pseudonauka do wprawnej manipulacji naszymi lękami czerpie siłę z nostalgii. Między innymi dlatego popularność alternatywnych metod leczenia dalekich od EBM (*evidence-based medicine*) oraz ezoteryka wciąż mają się w Polsce świetnie.

„A jeśli Twoje problemy finansowe są zaproszeniem do zmiany?" – pytają dziś organizatorzy webinaru, którego wykupienie zapewnić ma uczestnikom „eksplozję obfitości finansowej". „Możesz stworzyć w życiu takie przepływy pieniędzy, które pozwolą nie martwić się już o nic, czy jesteś na to gotowy? Dowiedz się, w jaki sposób *Ty sam tworzysz ograniczenia* dla przypływu pieniędzy i wszelkiej obfitości oraz jak możesz to zmienić już dziś" – brzmi wzorowane na starych samouczkach marketingu ogłoszenie pisane z wyraźnie neoliberalnym nerwem.

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA

Aleksander Kwaśniewski wraz z zespołem Top One podczas prezydenckiej kampanii wyborczej, październik 1995 r.

„Badania rynku – zrób to sam", „Ekonomia w jednej lekcji", „Mała firma, to takie proste" – kusiły wydawane na początku lat 90. książeczki z serii dla przedsiębiorczych wydawnictwa Signum. Dziś największe w Europie Targi Medycyny Naturalnej, na których oprócz ufundowania sobie „eksplozji obfitości" można poddać się egzorcyzmom albo poznać przyszłość zapisaną w Kronikach Akaszy (godzinna sesja to koszt ok. 300 zł), odbywają się raz na kwartał w Katowicach, odwiedza je przez trzy dni średnio 10 tys. osób.

Za komuny kosmici rzadziej nas odwiedzali, reflektuje Lipiński. A ludzie nie trafiali tak często do biur pośrednictwa pracy, dodaje, dość subtelnie poruszając jeden z kluczowych w końcu dla tamtych czasów temat – bezrobocia. Chyba jednak zbyt subtelnie wybrzmiewa on w całym zbiorze, który jak magnes pozbierał największe kurioza pierwszego dziesięciolecia polskiego kapitalizmu. Są tu odkurzacze Rainbow, pierwsze teleturnieje, kioski pełne erotycznych magazynów („pisali już nawet o seksie oralnym"), zloty ufologów, powiatowe kluby Catsa ze striptizem czy wreszcie – pośmiertne życie niedawno jeszcze wszechwładnych instytucji, które świetnie zresztą relacjonował także Timothy Garton Ash:

„Zatelefonowałem do Jacka Kuronia, weterana opozycji, obecnie polskiego ministra pracy i opieki społecznej. Telefon odebrała jakaś pani.

– Czy mógłbym rozmawiać z ministrem Kuroniem?

– Ale to urząd cenzury! – odpowiedziała pani uprzejmie.

– Sądziłem, że cenzurę zniesiono.

– Tak, ale nasze umowy obowiązują do końca lipca, więc nadal tu jesteśmy.

– W takim razie życzę miłej bezczynności.

– Dziękuję i wszystkiego najlepszego".

Wyborna anegdota. Tyle że Ash za moment zastanawia się jednak, jaki los spotka panią cenzorkę. Postawić jej zarzuty? Ale wedle jakiego prawa? Czy może należałoby zaproponować jej inne stanowisko administracyjne, co będzie z kolei niesprawiedliwe wobec tych, którzy dotąd byli z powodów politycznych z pracy wykluczeni.

Urok likwidacji

Próżno szukać w zbiorze Lipińskiego i Matysa dyskusji o szaleństwach lustracyjnych, wahaniach cen, strajkach czy informacji o losie tych, którym miejsca pracy likwidowano, zachęcając do odbycia „lekcji ekonomii w weekend". Barwniejsze okazują się losy samych likwidatorów. A likwidować można było (a przede wszystkim opłacało się, syndykom oczywiście) przez wiele lat. Ogłoszenia w prasie zachęcały: „Wykorzystaj swoją życiową szansę! Zostań likwidatorem przedsiębiorstw państwowych". Niektórzy, jak Paweł Gintowt, syndyk Mody Polskiej, stojąc przed wyborem: szybko wszystko sprzedać i spłacić długi albo zrestrukturyzować firmę i sprzedać ją drożej, zamiast zamykać i zwalniać – zatrudniali. Pod kuratelą Gintowta Moda Polska zaczęła przynosić zyski. Matys opublikował swój tekst w 1997 r., firma przetrwała jednak do roku 1998 – dziś w Muzeum Włókiennictwa w Łodzi można oglądać odkupione wówczas od syndyka kolekcje.

„Niepowtarzalny urok likwidacji" to przede wszystkim zbiór historii tych, którzy – często kosztem nadludzkiej pracy oczywiście – odnieśli sukces. Jak handlarze z Tuszyna pod Łodzią, którzy weszli w jeden z najlepszych w owym czasie bazarowych interesów – biustonosze („Bardotka na Polenmarkt" autorstwa Michała Matysa i Włodzimierza Nowaka). „Weszliśmy w lukę" – mówi król bielizny, który dla kariery w handlu porzucił posadę urzędnika w łódzkim magistracie. Cena finansowego sukcesu? Pobudka codziennie o trzeciej rano, zbycie towaru na bazarze, a po południu poszukiwanie nowego materiału po całej Polsce bądź samodzielne szycie i projektowanie coraz ciekawszych wzorów – innych dla klienta polskiego, innych na eksport, bo konkurencja nie śpi. Podsumowując: praca 18 godzin na dobę.

„Stadion to wylęgarnia przedsiębiorców. Prawdziwy inkubator, walka jest tam ostra. Wychodzą z niej zwycięsko orły i sokoły, które żywią się padliną. To nie są utuczone dotacjami indyki. Ci właśnie przedsiębiorcy przyczyniają się do sukcesu polskiej gospodarki" – komentował Jan Macieja z Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN, który od początku śledził m.in. rozwój bazaru na Stadionie Dziesięciolecia.

Work song

„Jestem kasjerką, jest mi ciężko, pracuję na zmiany. W tych piosenkach się zapominam" – czytamy we fragmencie jednego z listów do Polsatu, który znalazł się później w książce Mariusza Szczygła „Niedziela, która zdarzyła się w środę". Stacja w niedzielę rano nadawała wówczas godzinny program disco polo, niezwykle popularny. Wspomniany już Marcin Napiórkowski komentując powracającą w ostatnich latach modę na muzykę chodnikową pisał, że jest ona najczulszym sejsmografem społecznym: „taneczne przeboje zabierają nas w podróż do krainy bardzo precyzyjnie opisanych pragnień, lęków i fantazji, które dotyczą nie tylko sfery seksualnej, lecz także kulturowej i ekonomicznej". Już w 1995 r. profesor Roch Sulima komentował: „Może to tylko trzy akordy wykonane na samograjach, ale ludziom trzeba tych trzech akordów, żeby nie myśleć o tym, co zrobić ze swoim życiem jutro". Murzyni wymyślili bluesa, Polacy disco polo.

Zbiór reportaży Lipińskiego i Matysa potwierdza stawianą już na tych łamach tezę, że nasza narracja o transformacji konstruowana jest głównie w oparciu o wspomnienia i przeżycia, z których wyparliśmy smak zupy rybnej z ruskiego dowcipu. Wierzymy w nieodparty urok likwidacji. Czy aby nie czas na prawdziwy audyt?

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

NETFLIX

Kajetan na stacji warszawskiego metra cieszy się nową Traszką. Serial „1983”, odc. 1

Komuna na sterydach

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Seriale to nie tylko sztuka opowiadania historii. To też tworzenie światów. Jak sobie z tym poradził polski serial „1983”?

W następstwie zamachów w 1983 r. nastąpiło pojednanie narodu, Kościoła i Partii. Polacy w tajemnicy wyprodukowali broń jądrową i zmusili ZSRR do wycofania wojsk poza granice kraju. Reżim nigdy nie upadł, lecz wybił się na niepodległość, skonsolidował, wypracował własną technologię i styl życia. Dwadzieścia lat później, w roku 2003, kiedy to dzieje się większość akcji „1983”, pierwszego polskiego serialu Netfliksa, Polska jest ciekawym miejscem do życia. Czy lepszym niż prawdziwa Polska w tym samym czasie?

Przedstawiony na ekranie świat jest zarazem znajomy i dziwnie obcy. Prezydentem USA jest Al Gore, a „Harry Potter” jest nielegalnie odbijany na opozycyjnych kserografach. Główny bohater (w tej roli Maciej Musiał) jest takim właśnie Harrym. Jego rodzice zginęli w zamachach, a on sam stał się ikonicznym „chłopcem z lilią” – chłopcem, który przeżył. Symbolem nadziei na przyszłość, teraźniejszego zjednoczenia i przebaczenia przeszłych win...

Plan metra

O „1983” powiedziano sporo gorzkich słów. Serial krytykowano za sztywne dialogi, poziom gry aktorskiej i fabularne niekonsekwencje. Nie chciałbym się tu opowiadać po żadnej ze stron histerycznego sporu „hit czy kit”. Chciałbym zamiast tego zaproponować zupełnie inną zabawę – spojrzenie na „1983” okiem strasznego mieszczanina, który wszystko widzi oddzielnie. Bo serial to dziesiątki szczegółów rozproszonych na przestrzeni wielu godzin. I to właśnie szczegóły przesądzają o jakości i wiarygodności wykreowanego uniwersum. A ponieważ nawet pisanie o szczegółach wymaga jakiejś formuły scalającej tekst, proponuję małą grę. Czy lepiej byłoby żyć w prawdziwej Polsce z roku 2003, czy tej serialowej, w której po przestawieniu zwrotnicy pociąg dziejów pomknął całkiem innym torem?

Oto na planie warszawskiego metra, który dostrzec można w pierwszym odcinku, dumnie pyszni się kilkanaście kolorowo zaznaczonych linii. Jak gdyby w alternatywnej rzeczywistości kandydaci na prezydenta stolicy postanowili spełniać swoje kampanijne zapowiedzi. Przypomnijmy – w prawdziwym roku 2003 nie była gotowa nawet pierwsza linia metra, w grudniu oddano do użytku stację Dworzec Gdański!

W ogóle miasto w fikcyjnym roku 2003 prezentuje się imponująco! Żagiel Libeskinda (Złota 44) wybudowano 14 lat przed oficjalnym otwarciem (w naszej rzeczywistości: 2017). Na potrzeby partyjnego wiecu do Warszawy przeniesiono też Halę Stulecia (dobry ruch). Obie rzeczywistości – nasza i alternatywna – spotykają się natomiast na Dworcu Centralnym. Scena pościgu na podziemnych peronach wygląda, jakby za grube pliki dolarów wybudowano do niej specjalną scenografię – zimną, mroczną, przesyconą atmosferą niebezpieczeństwa.

Niestety, twórcy raczej sugerują niż pokazują, jak wygląda miasto po dwudziestu latach rozwoju alternatywnym torem. Kluczowe znaczenie miał tu zapewne budżet. Nie widzimy tłumów, szerszych planów urbanistycznych, dłuższych ujęć na ulicach. Warszawę oglądamy niemal wyłącznie nocą. Z jednej strony potęguje to ciekawość i nastrój osaczenia, z drugiej – pozostawia pewien niedosyt w porównaniu chociażby z konkurencyjnym „Człowiekiem z Wysokiego Zamku” (Amazon), którego twórcy dali nam się napatrzeć i na centrum San Francisco, i na amerykańskie przedmieścia, i na Berlin w alterna-

tywnej rzeczywistości. Mimo to dajemy mocny punkt dla rzeczywistości filmowej w „1983". Choćby za samo metro.

Traszka

Długo przed premierą iPhone'a (2007) i debiutem Facebooka (2004) w fikcyjnej komunistycznej Polsce hitem jest Traszka – komunikator z dotykowym ekranem. „Zrozumieliśmy, że nowe pokolenie pragnie czuć się połączone" – mówi genialna polska programistka. Zakupem Traszek zainteresowani są Chińczycy, a do Polski przyjeżdża pewien młody, ambitny twórca komputerów osobistych z USA, żeby negocjować zakup naszych rewelacyjnych ekranów dotykowych. Te fantazje o cyfrowej potędze, podane głównie w postaci smaczków na marginesie głównej fabuły, są intrygujące, a zarazem niepokojąco znajome.

W fikcyjnym świecie Ministerstwo Cyfryzacji robi rewelacyjną robotę. Są już elektroniczne dowody. Wprawdzie trzeba przeciągnąć dokument przez czytnik (najwyraźniej technologia zbliżeniowa jeszcze się nie upowszechniła), ale za to połączenie z bazami jest błyskawiczne i niezawodne. Trwa intensywna digitalizacja wszystkich archiwów. Kolejny punkt dla alternatywnej rzeczywistości i mamy 2:0.

Samochody

Na tle tej cyfrowej nowoczesności smętnie przedstawia się polski przemysł motoryzacyjny. Na ulicach pustki. Trochę nie wiadomo, czy to znów budżet, czy zamierzona strategia przedstawiania świata. Ale przynajmniej o miejsce parkingowe łatwo. A na tych królują wciąż maluchy i polonezy, jeden z bohaterów porusza się też wysłużoną nubirą.

Oczywiście w komunistycznej dystopii nie ma mowy o egalitaryzmie. Córka ministra jeździ pięknym sportowym wozem. Ale jego maskę też zdobi znaczek FSO, kształty zaś są jak na rok 2003 mocno retro. I nic dziwnego. Robię stopklatkę i z zaskoczeniem przecieram oczy. Toż to syrena sport, a więc projekt polskich inżynierów z końca lat 50., który niestety zatrzymał się na etapie prototypu. Trochę ten przepiękny antyk razi w kontraście z ultranowoczesnym komunikatorem.

W rzeczywistości rok 2003 to moment, gdy najczęściej kupowanym modelem auta w Polsce staje się skoda fabia, detronizując panującego od kilku lat fiata seicento. Maluchy i polonezy są już raczej w odwrocie, a do dyspozycji ministrów i ich córek jest flota znacznie nowsza. Mamy więc pierwszy punkt dla naszej rzeczywistości. Na razie wynik 2:1.

Miska wietnamskiego jedzenia

Alternatywna Warszawa jest miastem dwóch kultur. Wietnamczycy tworzą tu własną dzielnicę zwaną Małym Sajgonem. Przedstawiciele mniejszości całkowicie zdominowali handel i uliczną kuchnię – bohaterowie nieustannie posilają się więc egzotycznymi przysmakami, a nawet popijają wódkę w wietnamskich barach. Wizualnie nieco upodabnia to „1983" do „Łowcy androidów". Azjaci są też potentatami, jeżeli chodzi o nielegalne interesy, dominując w branżach handlu bronią, przemytu ludzi, a nawet potajemnej digitalizacji archiwów.

Stanowczo punkt dla alternatywnej rzeczywistości, bo wietnamskie wątki dodają jej kolorytu i aromatu, którego w prawdziwej Warszawie czasem jednak brakuje. 3:1 dla „1983".

Szkło, meblościanki i werdykt

Wnętrza przestrzeni publicznych są w alternatywnej rzeczywistości przepiękne. Żadnych obskurnych komisariatów, ciemnych uniwersyteckich korytarzy, urzędów ze stłoczonymi petentami. Dominuje minimalistyczny styl, szkło i aluminium. Wszystko jest nowe, czyste i przestronne. Nawet budżet na kulturę jest wyraźnie większy – w roli budynku filharmonii z roku 2003 wystąpił piękny hol Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.

Warto podkreślić też przemyślaną, spójną identyfikację wizualną wszystkich instytucji fikcyjnego państwa polskiego. Od znaków MO i SB (nie UB!), przez przemyślany system logotypów poszczególnych ministerstw, aż po przedefiniowane secesyjną kreską godło państwowe, które stało się właściwie nowoczesnym logo, mocno zarazem osadzonym w tradycji polskiego wzornictwa. Może istniałaby możliwość, żeby prawdziwe państwo polskie wykupiło część tych świetnych pomysłów od autorów „1983"? My mielibyśmy wreszcie identyfikację wizualną z prawdziwego zdarzenia, a serialowi przed ewentualnym drugim sezonem dobrze zrobiłoby dodatkowe kilkaset tysięcy złotych budżetu.

Dla kontrastu w ukazanej na ekranie przestrzeni prywatnej dominuje ciasnota i rupieć. W mieszkaniach królują boazerie, meblościanki i toporne grzejniki żeberkowe. Przez dwadzieścia lat w kwestii wystroju wnętrz zmieniło się niewiele. Oglądana na ekranie brutalistyczna architektura z wielkiej płyty prezentuje się znacznie lepiej oglądana od zewnątrz.

Oczywiście są i tacy, którzy w alternatywnej rzeczywistości mieszkają pięknie. Willa ministra czy apartament wysokiej rangą funkcjonariuszki milicji przypominają estetyką raczej jasne przestrzenie publiczne niż ciasnotę mieszkań, twórczo rozwijając modernistyczną estetykę PRL. W prawdziwym roku 2003 mieszkało się nieco ładniej, lecz urzędowało – znacznie skromniej. W kategorii wystrój wnętrz jest więc remis. W końcu mamy więc wynik 4:2 dla fikcji.

Mimo to nie rozważałbym przeprowadzki do fikcyjnego 2003 roku. Można narzekać na polską politykę (rok 2003 to czas afery Rywina!), ale świat przedstawiony w „1983" to jednak mroczna dyktatura, gdzie SB porywa i morduje ludzi. Cały rozwój technologiczny okupiony jest brakiem wolności i służy inwigilacji oraz kontroli. Stąd właśnie nierównowaga między publicznym i prywatnym, między technologią służącą władzy a tą, która miałaby ułatwiać życie obywatelom.

Świat na ich barkach

O tworzeniu seriali często mówi się jako o formie opowiadania historii. Ale seriale są też wyzwaniem z zakresu tworzenia światów. Dotyczy to zarówno tych opartych na oryginalnym scenariuszu, jak i adaptacji literatury, przeniesienie na ekran oznacza bowiem konieczność wymyślenia całego pejzażu obrazów, dźwięków, miejsc i twarzy, które na kartach powieści mogły pozostać ledwie naszkicowane. Papier od stuleci zastawia pułapkę na wyobraźnię czytelnika, zmuszając go do samodzielnego wypełnienia białych plam. Ekran nie pozwala na taki wyzysk darmowej siły roboczej.

Tytaniczną pracę stworzenia świata muszą tu wykonać pomysłodawca (nazywany dziś często showrunnerem), scenarzyści i reżyserzy poszczególnych odcinków, scenografowie, kostiumografowie, dźwiękowcy i sztab skrytych w cieniu ekspertów odpowiadających za każdy materialny czy komputerowo wygenerowany detal. Od ich zgrania, rzemiosła, geniuszu, a także od dostępnego budżetu zależy bowiem stabilność i wiarygodność świata, który podziwiamy na ekranie. W „1983" poradzili sobie naprawdę nieźle. ©

Bratanki

JAN BŁASZCZAK

Dzielą ich pokolenia, narodowość oraz środowisko, w którym obracają się na co dzień. A przecież na płycie „Kreatura" węgierski pianista Szábolcs Esztényi oraz perkusista Hubert Zemler rozumieją się bez słów, a nawet – bez nut.

PETER ENDIG / DPA / PAP

Szábolcs Esztényi

Ulubionym przedmiotem perkusisty Huberta Zemlera w liceum muzycznym były zajęcia z muzyki współczesnej. Ta godzina w tygodniu, kiedy profesor Witold Kurdwanowski prezentował uczniom najważniejsze utwory z ostatnich dekad. Pewnego dnia nauczyciel sięgnął po „Dwie etiudy na fortepian" Pawła Szymańskiego.

– Instrument brzmiał, jakby włączono efekt opóźnienia, harmonia natomiast była barokowa – wspomina Zemler. – Przypominało to muzykę elektroniczną, ale ktoś grał to wszystko na żywo. Oniemiałem, kiedy to usłyszałem. Myślałem, jaki to musi być znakomity wykonawca. Zacząłem szukać: kto to jest? Kto potrafi tak grać? I nie tylko się tego dowiedziałem, ale teraz po latach nagraliśmy razem płytę. Wirtuozem wykonującym premierowo dzieła Szymańskiego był profesor Szábolcs Esztényi – wybitny pianista, pedagog i improwizator. A także kompozytor i autor prawykonań co najmniej kilku niezwykle ważnych dla polskiej muzyki dzieł. Choć ostatecznie poświęcił się przede wszystkim nauczaniu, wciąż zdarza mu się występować. Również w miejscach i konfiguracjach, w których niewielu spodziewałoby się spotkać zbliżającego się do osiemdziesiątki profesora.

Z powodu takiej skali aktywności Esztényi nie jest pewien, kiedy po raz pierwszy spotkał się z Zemlerem. Czy było to podczas wspólnych improwizacji do zdjęć rumuńskiego fotografa, czy w trakcie wykonania „One Piano Eight Hands" Zygmunta Krauzego. W tym drugim przypadku wybitny pianista siedział przy jednej klawiaturze z ponad 40 lat młodszym, nieznanym sobie perkusistą. I nie, nie czuł niezwykłości tej sytuacji. Jako ekspert w dziedzinie improwizacji wykształcił w sobie absolutną otwartość, a nawet – zaryzykuję – słabość do znajdywania się w nowych sytuacjach. A przecież nie zawsze był duszą towarzystwa: – W młodości miałem tendencję do bycia introwertykiem. A to ze względu na dzieciństwo w czasie wojny, bidę stalinizmu i wydarzenia w 1956 r. na Węgrzech. Z tych powodów byłem człowiekiem trochę się izolującym. Dzięki improwizacji wyzbyłem się jednak uprzedzeń i stałem się bardziej otwarty.

Owocem takiego podejścia jest właśnie album „Kreatura". Spotkanie muzyków z innych środowisk i pokoleń, którzy nie tylko bezbłędnie przewidują swoje ruchy w studiu, ale również dokańczają za siebie zdania podczas wywiadu. Nic dziwnego, wypowiedzi Esztényiego na temat wirtuozowskich konkursów, edukacji muzycznej czy roli improwizacji nieświadomy ich autora czytelnik mógłby przypisać Zemlerowi lub jednemu z bliskich mu artystów: Marcinowi Maseckiemu, Raphaelowi Rogińskiemu czy Karolinie Rec. Punktem wspólnym jest kultywowana przez artystów wolność.

– To, co robi profesor, jest wspaniałe, bo nie jest w niewoli żadnego stylu. Porusza się w kategoriach estetycznych, a nie stylistycznych czy formalnych. Ma tę wolność, której często brakuje nie tylko akademikom, ale także jazzmanom – mówi Zemler. O tę wolność musiał jednak zawalczyć.

Domowy kościół i krew na ulicach

Jednym z pierwszych ważnych utworów skomponowanych przez Esztényiego było „Concerto na taśmę i fortepian" (1971). Utwór, nad którym pracował w Studiu Eksperymentalnym Polskiego Radia z Eugeniuszem Rudnikiem, cechował iście apokaliptyczny charakter.

– Miałem wówczas obłędną wizję totalnej katastrofy świata – tłumaczy pianista. – Wynikało to z doświadczeń 1956 r., kiedy brałem udział w manifestacjach towarzyszących powstaniu węgierskiemu. Stojąc naprzeciwko budynków radia, widziałem ubeków strzelających do ludzi.

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

FILIP ANTCZAK

Hubert Zemler

Armia Czerwona utopiła naszą rewolucję we krwi.

W tamtych dniach Esztényiemu szczęśliwie nic się nie stało. Jednak i on miał ponieść konsekwencje swojego – marginalnego przecież – udziału w rewolucji. Powstaniu, które z perspektywy artysty poprzedzały bieda, cenzura, ale także spokój rodzinnego domu. Miejsca, gdzie wielka polityka ustępowała jeszcze większej muzyce. Z dzieciństwa Esztényi pamięta śpiewane przez matkę kolędy, pieśni ludowe i kołysanki. A także niedzielne popołudnia, kiedy ojciec sięgał po skrzypce i wykonywał prostsze utwory klasyków wiedeńskich w duecie z uczącą się gry na fortepianie córką: – To ich wspólne granie było dla mnie rodzajem domowego kościoła. Dorastałem w tej atmosferze i starałem się później znajdować otaczające mnie dźwięki na klawiaturze. Pamiętam, że pewnego dnia mama zwróciła uwagę ojcu na to, że próbuję ich naśladować, ale zawsze robię to trochę inaczej. On się na to roześmiał i powiedział: „No tak, fantazjuje".

Aby na takim fantazjowaniu się nie skończyło, rodzice zapisali syna na prywatne lekcje. Niedługo później z rekomendacji nauczycielki Esztényi rozpoczął specjalistyczną edukację, która miała uczynić go zawodowym pianistą. Jako wykonawca najpierw dokładnie opanowywał zlecony utwór, a potem próbował sił w swobodnej improwizacji zgodnej z zamysłem kompozytora. Starał się mówić po swojemu to, co przekazywał Beethoven czy Mozart. Fantazjował. Nauczycielom ta dwutorowość zupełnie nie przeszkadzała. Aż do 1956 r., kiedy jego oceny dziwnym zrządzeniem losu gwałtownie się załamały. Nauczyciele nagle przestali dostrzegać talent Esztényiego, a wrota do upragnionej akademii muzycznej zatrzasnęły się przed nim z hukiem.

Kiedy młody artysta podejmował kolejne próby, by dostać się na studia, upomniało się o niego wojsko. Wtedy zdecydował się wyjechać z kraju. W emigracji pomogła mu starsza siostra. Ta sama, której grze przysłuchiwał się w niedzielne popołudnia. Kilka lat wcześniej wyszła za Polaka i zamieszkała w Warszawie. Długimi godzinami pracowała w redakcji przygotowującej słownik polsko-węgierski i węgiersko-polski, aby w wolnych chwilach zaglądać do Ministerstwa Kultury i lobbować na rzecz brata. Ostatecznie Esztényi dostał pozwolenie, by zdawać na studia w Polsce. Ma wrażenie, że pomogła mu nie tylko siostra, ale także sympatia między narodami. W końcu zaraz po nieudanej rewolucji Polacy oddawali krew dla węgierskich powstańców.

Pianista zdał egzaminy, by w ostatniej chwili wymknąć się wojsku. Cieszył się tym bardziej, że trafił do Warszawy, gdzie na przełomie lat 50. i 60. nie odczuwało się ucisku znanego z budapeszteńskich ulic. W końcu rok 1956 wyglądał w Polsce zupełnie inaczej niż na Węgrzech. Nie oznaczało to jednak, że początki emigracji były dla Esztényiego sielankowe. Musiał nie tylko poradzić sobie na zagranicznych studiach, lecz także błyskawicznie się usamodzielnić, ponieważ siostra nie była w stanie go utrzymywać. Na szczęście, ze względu na dobre wyniki w nauce, szybko przyznano mu miejsce w akademiku, zlokalizowanym w starych barakach pozostałych po budowie Pałacu Kultury i Nauki. Pieniądze zarabiał zaś dzięki improwizacji: – Wszystko dlatego, że jadłem zakazany na Węgrzech owoc. Jazz i blues były zabronione jako zdegradowana sztuka imperialistyczna, ale ja zarywałem noce, by słuchać Głosu Ameryki. I tak nauczyłem się tej muzyki. Chętnie brano mnie więc do telewizyjnych i radiowych chałtur. Poszła fama, że jest chłopak, który ledwie mówi po polsku, ale gra jazz. Utrzymywałem się z tego i ze strojenia fortepianów. Raz dostawałem pięćdziesiąt złotych, raz stówę. Jakoś się żyło.

Wszystkie nieznane miasta

Niedługo po przyjeździe do Polski Esztényi nie tylko zarabiał grając jazz, lecz także próbował swoich sił na odcinku elektronicznej awangardy. Nagrania te nie ograniczały się do współpracy ze wspomnianym Eugeniuszem Rudnikiem i Studiem Eksperymentalnym Polskiego Radia. Węgierski pianista przekształcał brzmienie swojego fortepianu także podczas występów na Warszawskiej Jesieni. Z powodu takiej praktyki pod koniec lat 70. do współpracy zaprosił go Kazimierz Serocki. Rezultatem było „Pianophonie" na fortepian, elektronicznie przetworzony dźwięk i orkiestrę – ostatni, a zarazem jeden z najważniejszych utworów kompozytora.

Jazz i elektronika to jedne z wielu stylistyk, które zgłębiał również Hubert Zemler. Perkusista, jak sam przyznaje, lubi zgubić się w nieznanym mieście, więc na swoim koncie ma już m.in. wykonywanie prostego blues-rocka i awangardowej twórczości Helmuta Lachenmanna. Jako kompozytor próbował zaś swoich sił zarówno w nawiązującej do minimalizmu muzyce współczesnej, jak i zapraszającej do tańca muzyce klubowej. Zemler posługuje się więc – by użyć sformułowania Esztényiego – wszystkimi trzema rodzajami ↦

↦ języka muzycznego. Według metafory, po którą często sięga profesor, improwizacja to odpowiednik mowy, wykonawstwo – recytacji, a kompozycja – tworzenia tekstów. Pedagog walczy, aby rola tego drugiego języka nie była aż tak dominująca. Dlatego nagrany album „Kreatura" łączy w sobie wszystkie trzy elementy. Sam zaś model pracy nad zarejestrowanymi przez nich utworami Esztényi nazywa muzyką intuitywną. Nawet jeśli węgierski pianista jest największym propagatorem tej koncepcji, to jej autorem jest Andrzej Bieżan – kompozytor, performer, kolega Esztényiego ze studiów, którego twórczość przypomniała tegoroczna odsłona Warszawskiej Jesieni.

W muzyce intuitywnej kluczowy jest bowiem efekt końcowy, to, co ostatecznie dobiega do uszu słuchaczy.

– Pracując nad tą płytą, komponowaliśmy w czasie rzeczywistym – tłumaczy Zemler. – Dla porównania we free jazzie improwizacje odbywają się zwykle tylko tu i teraz. Nie ma miejsca na myślenie o całościowym efekcie dźwiękowym. To bardziej rytuał, w którym uczestniczą zebrani na scenie. My, nagrywając „Kreaturę", koncentrowaliśmy się na finalnym rezultacie, na pewnym skończonym dziele.

Reguły przekazywania piłki

Jedyne założenia, które poprzedzały nagranie „Kreatury", dotyczyły wyboru instrumentów. W niektórych wypadkach Esztényi przygotowywał fortepian, stroiąc go w nietypowy sposób lub przygotowując do preparacji. Zemler miał większe pole do popisu, kompletując zestaw perkusyjny. Muzyk sięgnął po proste „jazzowe" ustawienie, które zapewniało mu wygodę i najsprawniejsze poruszanie się od instrumentu do instrumentu: – Dzięki temu nie pojawiała się nawet najmniejsza bariera czasowa. Taka intuicyjność daje większą wolność w graniu, bo muzyka po prostu płynie.

Podczas nagrania perkusista odpowiadał również za subtelne elementy elektroniczne. Co też wymagało od niego uwagi, bo jak podkreśla, nie można zapominać o tym, że to też jest instrument, nad którym trzeba ściśle panować. Choć na „Kreaturze" elektronika stanowi jedynie delikatny, barwowy dodatek, urządzenia ani przez moment nie są tu puszczone samopas.

Esztényiemu i Zemlerowi nie towarzyszyły w studiu ani partytury, ani zalążki kompozycji, ani nawet koncepcje zarysowujące kierunek dźwiękowych poszukiwań. A przecież rezultatem jest wypełniona kompozycjami płyta. Rodzi się pytanie, co może zrobić muzyk, nawet ten najbardziej doświadczony, by być gotowym do takiego nagrania.

– Całe życie przygotowujesz się do takiej sesji – nie ma wątpliwości Zemler. – Wnosisz w nią cały swój bagaż. To, co słuchasz, co czytasz, co widzisz w drodze do studia. Zabierasz ze sobą wszystko.

Pianista zwraca zaś uwagę, że oprócz doświadczenia – nie tylko tego zdobytego na scenie – kluczowa jest również empatia, wręcz wchodzenie w skórę drugiego człowieka. Ta romantyczna wizja nie jest jednak kompletna. Wszystkie te przymioty charakteru nie wystarczą, jeśli brakuje solidnej podbudowy muzycznej: – Ogromnie ważna jest znajomość literatury, natychmiastowe skojarzenia dźwiękowe. Na tym również opiera się to przekazywanie piłki.

„Kreatura" to album bardzo oszczędny w środkach. Minimalistyczny jak tytuły kolejnych utworów: „Pole", „Trop", „Oko", „Struga". Momentami to awangarda spod znaku brytyjskiej grupy AMM, gdzie niełatwo odróżnić dźwięki perkusji od metalicznych brzmień preparowanego fortepianu. W transowym rytmie „Strugi" słychać echa bliskiego Zemlerowi minimalizmu. W „Palach" natomiast fortepian wprowadza, dość zaskakujący w kontekście tego nagrania, liryzm. Znajdują się też na „Kreaturze" momenty całkiem nieoczekiwane, jak „Tama", kiedy lekko rozmyte brzmienie instrumentów perkusyjnych przywodzi mi na myśl wczesne eksperymenty elektronicznej grupy Autechre.

Biorąc pod uwagę horyzonty artystów oraz olbrzymią wolność, która towarzyszyła im w studiu, może zaskakiwać pewna surowość tego nagrania. „Kreaturę" cechuje bowiem zarazem bogactwo, ale też wykonawcza powściągliwość. Kiedy pytam o tę prawidłowość, węgierski pianista odpowiada: – Każdy dźwięk pochodzący od Huberta ma wpływ na moją narrację i *vice versa*. To jest z jednej strony dialog, a z drugiej strony...

– ...kontrola – kończy myśl Esztényiego perkusista, bo ten duet już tak ma.

© JAN BŁASZCZAK

Figura niemożliwa

ANITA PIOTROWSKA

Zamiast przypominać do znudzenia o dzikich zwierzętach, jakimi ponoć jesteśmy w środku, Grzegorz Zgliński w najnowszym filmie przypisuje „braciom mniejszym" nadprzyrodzoną rolę w ludzkim życiu.

To one bywają wcieleniem sprawczej siły przypadku, to one zawstydzają nas czasem swoją nadwiedzą, mogą nawet stać się łącznikiem między równoległymi poziomami rzeczywistości. W tym miejscu należałoby wstawić znak mrugnięcia okiem – a szkoda, bo to wizja filmowo nader pociągająca, potraktowana jednak w „Zwierzętach" bez wielkich zobowiązań.

W scenerii sielskiej niczym reklama czekolady (brakuje tylko szczęśliwych fioletowych krów) umieszcza polsko-szwajcarski reżyser opowieść, która już od pierwszego ujęcia zapowiada się jako horror, może nawet eschatologiczny. Do alpejskiej bajki docieramy bowiem niepokojąco długim, skąpanym w czerwonym świetle tunelem. Ann (Birgit Minichmayr) i Nick (Philipp Hochmair), bezdzietna para Austriaków koło czterdziestki, udają się do swojej górskiej chaty, by podreperować szwankujący związek i poświęcić się pracy mniej lub bardziej twórczej. On gromadzi przepisy regionalnej kuchni, ona pisze książki, ale wielopoziomowa fikcja literacka okaże się wkrótce nie tylko domeną jej twórczości. Mieszczańską „obyczajówkę" od początku zakłócają koszmarne i wieloznaczne sny, a wypadek samochodowy spowodowany przez zbłąkaną owcę położy się cieniem na całym urlopie, powodując dziwaczne zakrzywienia czasoprzestrzeni.

Tymczasem w wiedeńskim mieszkaniu bohaterów również dzieją się rzeczy dziwne. Lokatorka o imieniu Mischa zostaje wzięta za Andreę, mieszkającą w tej samej kamienicy kochankę Nicka, która najprawdopodobniej popełniła samobójstwo, lecz nadal jest nagabywana przez jeszcze innego wielbiciela.

VELVET SPOON / MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Zwierzęta”

Wbrew pozorom nie ma w tym zdaniu sprzeczności, bo niespodziewanie Andrea objawia się także w alpejskiej lodziarni – tym razem, zgodnie z logiką owładniętej zazdrością wyobraźni Ann. Chorobliwa niewierność Nicka (rzeczywista czy domniemana) produkuje kolejne demony. W pewnym momencie przestaje już być jasne, kto pojawia się w czyim śnie, kto kogo usiłuje zabić, co zdarzyło się wcześniej, a co później, wreszcie – kto tutaj do reszty zwariował. Kiedy do akcji wkracza gadający czarny kot o znanym już imieniu Mischa, poczciwa dedukcja może nas zaprowadzić tylko na manowce.

Bliźniacze motywy, paralelne wątki bardziej niż donikąd zmierzają jednak do swojego początku, zapętlając się na kształt wstęgi Möbiusa. Albowiem scenariusz „Zwierząt”, którego współautorem był austriacki filmowiec Jörg Kalt (popełnił samobójstwo w 2007 r., mając 40 lat), wyraźnie lekceważy sobie nasze detektywistyczno-psychologizujące wysiłki. Wzorowany na konstrukcji figury niemożliwej, zachowuje pozory realizmu, choć nawet konwencja magiczna okazuje się nie do końca przystawalna. I mogłoby to stanowić poważny zarzut wobec filmu, gdyby nie fakt, że Zgliński korzysta z owej wyobrażonej konstrukcji jak najbardziej świadomie. Rzec by można, że po prostu się nią bawi, obraca w rękach jak iluzjonista wymyśloną bryłę.

Pewien niefilmowy klasyk użył kiedyś przy zupełnie innej okazji sformułowania „widmo dowolności”. Przychodzi ono na myśl po obejrzeniu filmu Zglińskiego, bo w istocie jest coś przytłaczającego w nadmiarze, jaki oferują dzieła tak szeroko otwarte na interpretacje. W przypadku „Zwierząt” wszystko może być projekcją chorego umysłu, albo wyprodukowaną przez Ann literacką iluzją, albo nawet jakąś wizją życia po życiu – i nie ma to większego znaczenia, bo historia i tak zatacza koło, a film zamyka się w swojej „niemożliwej” strukturze. Obsesyjna, repetytywna muzyka Bartosza Chajdeckiego jeszcze bardziej podkreśla to zamknięcie.

Takim „zwierzęciem niemożliwym” (nieuchwytnym, na poły realnym, na poły widmowym) staje się u Zglińskiego także człowiek. Twórca „Całej zimy bez ognia” i „Wymyku” przeszedł ciekawą drogę od kameralnych przypowieści, nad którymi unosił się duch Krzysztofa Kieślowskiego, do psychodelicznej mozaiki, bliższej klimatom Davida Lyncha czy wczesnego Romana Polańskiego. Autorem zdjęć do najnowszego filmu jest Piotr Jaxa, znany z wieloletniej współpracy z autorem „Trzech kolorów”, próżno jednak szukać w „Zwierzętach” metafizycznych aktów strzelistych. O małżeńskim kryzysie opowiada się tu w modnej ostatnio stylistyce „rycia mózgu”, wprawiającej widza w stan permanentnej dezorientacji i niepokoju. W tym przypadku aż się prosi, by ów rylec pracował rytmiczniej, ostrzej i pozostawiał w naszych głowach głębszy ślad. ©

ZWIERZĘTA *(Tiere) – reż. Grzegorz Zgliński. Prod. Austria/Polska/Szwajcaria 2017. Dystryb. Velvet Spoon. W kinach od 14 grudnia.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [15 – 21 XII]

1. Tully

Komediodramat, reż. Jason Reitman, USA 2018, HBO, 16 XII, 20.10, 17 XII, 15.10, 19 XII, 20.10, 20 XII, 12.45

Twórca „Juno” i „W chmurach” tym razem proponuje przewrotne podejście do wyzwań, jakie niesie macierzyństwo – oraz do utopijnych wzorców, które próbuje mu narzucić współczesna kultura. Charlize Theron wciela się w postać udręczonej matki trojga dzieci, która znajduje wreszcie wymarzoną nianię: pomoc domową i psychoterapeutkę w jednej osobie.

2. Chłopcy

Teatr TV, reż. Robert Gliński, Polska 2018, TVP1, 17 XII, 21.00

Sztuka Stanisława Grochowiaka powraca na mały ekran w nowej interpretacji, by raz jeszcze opowiedzieć o potrzebie wolności i o niegasnącej pasji życia. Czy dorówna inscenizacji Tadeusza Jaworskiego z 1966 r.? W rolach pensjonariuszy domu starców występują m.in. Jerzy Trela, Marian Dziędziel, Andrzej Grabowski i Edward Linde-Lubaszenko.

3. HumanDoc

Przegląd filmów, VOD, do końca roku

W sieci można bezpłatnie oglądać wybrane filmy dokumentalne z objazdowego festiwalu, którego celem jest „poszerzanie świadomości społecznej na tematy globalne oraz wspieranie rozwoju gospodarczego, informacyjnego i demokratycznego społeczeństwa”. Zobaczymy m.in. „Sprzedawców śmierci” (o międzynarodowym handlu bronią) czy „Zapomnianych przez Boga” (o kryzysie uchodźczym w Czechach).

4. ArteKino!

Przegląd filmów, artekinofestival.com, do końca roku

Telewizja ARTE wraz z platformową FestivalScope zachęcają do głosowania na nagrodę publiczności dla najlepszego filmu europejskiego. Wśród nominowanych znalazło się dziesięć tytułów (w tym „24 tygodnie” Anne Zohry Berrached czy „Twarz” Małgorzaty Szumowskiej). Pięć filmów udostępniono w Polsce za darmo.

JAN

Klata:
Kopalina

Szepcze się często, a jakże niesłusznie, że politycy obozu prawicy nie potrafią śmiać się z siebie, że nie mają dystansu, że – dość w sumie szczęśliwie dla nich – zrządzenie losu o postawieniu akurat ich na świeczniku pozbawiło ich resztek niezbędnej skądinąd autoironii. Głęboko nie zgadzam się z ową tezą, jestem przekonany, że ci ostrzy pranksterzy wszystko robią specjalnie dla hecy, tylko społeczeństwo nie dorosło do ich poczucia humoru. Jeszcze nie dorosło, ale kiedyś dorośnie. Chociaż chciałbym, aby ewolucja zdarzyła się szybciej, żeby nasi włodarze przestali się mitygować i do dechy wciskali pedał dowcipu.

Najnowszy przykład niedosytu: światowy szczyt klimatyczny w Katowicach. Szczyt. Klimatyczny. W Katowicach. Kocham Katowice, ale dlaczego nie w Bełchatowie? Jeśli jechać po bandzie, to na całego. Bełchatów też zasługuje na swoje 5 minut. Szkoda, że jednak nie w Bełchatowie prezydent Duda z kamienną twarzą wygłaszał żarty o węglu, którego starczy nam na 200 lat. Sięgał do najgłębszych pokładów specyficznego poczucia humoru swojej formacji, mówiąc o głowie górnictwa, której włos nie spadnie... i trzeba przyznać, że było śmiesznie, naprawdę przejmująco śmiesznie. Mogło być jeszcze śmieszniej, ale nie było ministra Szyszki. Podobno wyruszył w drogę z superstodoły w Tucznie, ale ostatecznie jednak nie dotarł na szczyt, gdyż w jego terenowej tesli wyładowała się bateria.

No Szyszko, no party. Ale akurat obecni w Katowicach włodarze starali się dawać radę, udowadniając wszem i wobec, *urbi et orbi*, że przyszłość rysuje się w barwie „czarnego złota". W Bełchatowie rysowałaby się brunatno, więc może jednak lepiej, że „na dzień dzisiejszy" wybrano Katowice. Jastrzębska Spółka Węglowa oraz Polska Grupa Górnicza zasponsorowały imprezę, i było klimatycznie. Elektorat został utwardzony przed wyborami za pasem, włos mu z głowy nie spadnie, zanim zejdzie na raka płuc. Ważne, że obóz rządzący po raz kolejny wykazał się spójną, długoterminową ekologiczną strategią Dudy-Szydły-Morawieckiego. My-suweren możemy być dumni z naszych reprezentantów, którzy pokazali nas w jak najlepszym świetle... choć odczuwam niedosyt. Na szczycie ziała dziura wielkości Szyszki.

Na dodatek światowy szczyt katowickiej konferencji klimatycznej przypadł na jeden z kilkunastu dni w roku, kiedy na Górnym Śląsku można oddychać... Cie choroba, klimat zawsze przeciwko nam. Tak czy owak, górnicza orkiestra dęta na otwarcie zagrała „The Final Countdown". Wszak wybory już za rok, ekologiczne samobójstwo jednak jakoś po końcu kolejnej kadencji, po nas choćby potop. Wszystko odbyło się fenomenalnie... no, prawie wszystko...

Brakowało ministra Szyszki. Bardzo brakowało Szyszki. On by dorzucił do pieca. ©

Lektor:
Jak mówić o przeszłości

▪ *Michał Głowiński, Grzegorz Wołowiec*
CZAS NIEPRZEWIDZIANY. DŁUGA ROZPRAWA BEZ PANA, WÓJTA I PLEBANA
Wielka Litera, Warszawa 2018, ss. 494

„Mając już osiemdziesiąt lat ze sporym okładem, uważam swoje życie za niełatwe, ale spełnione". To przesłanie krzepi, choć i budzi onieśmielenie. Formułuje je przecież człowiek ocalony z Zagłady, dorastający w apogeum stalinizmu, borykający się z traumami i poczuciem odmienności – a równocześnie ktoś, kto osiągnął znakomitą pozycję naukową, zachowując pełną niezależność poglądów, kto zdobył się na odwagę, by u schyłku lat 70. angażować się w działalność opozycyjną, a w ostatnich dekadach umiał (co też wymagało odwagi!) opisać swoje doświadczenia w „Czarnych sezonach" i kolejnych tomach autobiograficznej prozy. Rozmowa, którą z Michałem Głowińskim przeprowadził Grzegorz Wołowiec, jego młodszy o trzy dekady kolega z Instytutu Badań Literackich PAN, autor m.in. ważnej pracy „Nowocześni w PRL. Przyboś i Sandauer", dotyczy lat powojennych, a jej najobszerniejsza część poświęcona została właśnie IBL-owi, w którym Głowiński zaczął pracować w 1958 r. i z którym wiąże się cała jego biografia naukowa. To wielka pochwała tej instytucji i polemika z innym wybitnym uczonym i kolegą, nieżyjącym już Januszem Sławińskim, który po 1990 r. tworzył jej czarną legendę, historię, jak to określa Głowiński, „jednoperspektywiczną". Tymczasem źle (bo za stalinizmu) urodzony Instytut szybko się zmieniał, stając się azylem dla ludzi wybitnych, a czasem z władzą wręcz skłóconych. Jego wieloletni dyrektor Kazimierz Wyka już za Gomułki przyjął do pracy Jana Józefa Lipskiego, później czołowego działacza opozycji, i zbuntowanego ekskomunistę Romana Zimanda. Głowiński przypomina odważną postawę naukowców z IBL-u, bezpartyjnych i partyjnych, w Marcu '68 oraz przepastną różnicę, jaka dzieliła Instytut od spacyfikowanej polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Niczego nie idealizuje – jako badacz peerelowskiej nowomowy nie żywi przecież złudzeń co do tamtego systemu – ale szkicując galerię wnikliwych portretów, broni konkretnych ludzi i ich zasług, przypomina o dorobku polskiej kultury w dobie popaździernikowej, a przy okazji obala mit o braku kontaktów międzynarodowych naszej nauki w latach 60. Świetna to jest lekcja obiektywnego i zniuansowanego widzenia przeszłości, choć obawiam się, że wyznawcy nowej polityki historycznej z niej nie skorzystają. ©℗

PAWEŁ

Bravo: *Kuchnia narodowa polska*

100. Słyszeliśmy tę liczbę aż nadto często przez ostatnich 12 miesięcy. Radość, że za chwilę przestaniemy słuchać o setnej rocznicy powstania niepodległego państwa polskiego, mąci mi tylko przeczucie równie solennej nudy, kiedy od stycznia będą nam przypominać 30. urodziny III RP. Zamiłowanie do liczenia ubiegłych lat i przypisywania liczbom kabalistycznej mocy jest objawem słabości, zalęknienia, wyzucia z siły i poczucia sprawstwa. Dokładnie tak mają osoby współuzależnione, którym w pewnej fazie choroby pozostaje ostatnia fantomowa radość: liczenie, ile dni bliska im osoba nie pije lub nie bierze. Po 30 latach, kiedy tyle się nowych krzywd i radości nawarstwiło, roztrząsanie powikłanego bilansu dokonań założycieli – kto kogo za co i na ile – będzie zastępcze. Jakbyśmy nie mieli nic ważnego jutro do załatwienia.

GRAŻYNA MAKARA

Dobrze więc, że się ten osiemnasty rok zaraz skończy. Zwłaszcza że na jego finiszu Ministerstwo Rolnictwa wydumało sobie akcję pod hasłem „Kanon kuchni narodowej" i chce zebrać listę stu potraw na stulecie niepodległości. Tamten prawdziwy Gomułka miał większy rozmach. Zbudował tysiąc szkół: prawdziwych, namacalnych, z cegły, cementu i linoleum. Nasi obecni włodarze pomimo srogich min nie umieją (o ile w ogóle by chcieli) wykrzesać nawet jednej dziesiątej ówczesnego zamordyzmu: muszą nam wystarczyć wirtualne czyny rocznicowe.

Wirtualne i kompletnie chybione. Po pierwsze, rok 1918 dla mikrokosmosu orbitującego wokół stołu nie stanowił daty założycielskiej i przez te sto lat nie nagromadziły się żadne warstwy tradycji godne skanonizowania. Zresztą sam minister mówi, że podstawą wszelkich prac powinien być dorobek kuchni staropolskiej. Lepiej w takim razie byłoby mu wystrzelić z kanonu z okazji przypadającego właśnie 400-lecia rozejmu w Dywilinie, czyli apogeum terytorialnego zasięgu Rzeczypospolitej Obojga Narodów (z grubsza milion kilometrów kwadratowych), momentu węzłowego dla zrozumienia wszystkich przyczyn rychłego uwiądu kolosa. Polska będzie skromna albo nie będzie jej wcale.

Jeśli już coś warto było dofinansować z okazji setki, to głębsze badania, jak po sklejeniu państwa z trzech kawałków zaczęły się przenikać smaki, receptury i składniki – do jakiego stopnia na stół poznaniaka zaczęły trafiać i którędy rzeczy spod Wilna lub na odwrót. Proces takiej postzaborowej *fusion*, jak mniemam, dopiero się rozkręcał, kiedy całą tamtą fascynującą robotę zjednoczeniową zatrzymał brutalnie następny wojenny reset i późniejsza urawniłowka, po której pozostał nam w spadku schabowy-frankenstein sztucznie wytworzonej „tradycji".

Spójrzmy ostatni raz te sto lat wstecz – wszystko jeszcze pływało w niedookreśleniu, stare zużyte formy stały jeszcze siłą bezwładu jak truchła od frontu, a na zapleczu toczyła się dzika walka przeróżnych nowych pomysłów o uwagę Polaka. Teraz jest bardzo podobnie, trwa to już trzecią dekadę, pewne zarysy już z grubsza widać – polski smak zdążył zassać i przyswoić sobie podstawowe nurty globalnej mody kuchennej – włoski przede wszystkim (ale pizza bez dodatkowego sosu, błagam), orientalny (pierw tzw. chiński, potem japoński), dalej bliskowschodni, no i niestety amerykański (haniebnie wygrywa, jeśli chodzi o model kawiarni). Na to nakłada się bardzo selektywne i nieprzewidywalne ożywianie kawałków lokalności, niekiedy wskrzeszanych, wędrówki wzorców po klasowej drabinie i przetwarzanie form i gorsetu rytuałów w rytm aspiracji.

Minister coś tam bąkał, iż wskazówki, co to jest kuchnia „narodowa", domagają się turyści (i dlatego powstaną nalepki dla lokali, które będą karmić wedle kanonu) i potrzebny jest „jednolity przekaz na arenie międzynarodowej". Otóż odwrotnie: to, co może urzec u nas turystę, to cudowny brak jednolitego przekazu. Rozdygotanie i ciągły ruch. Przyjedźcie do Polski, kraju, który nie ma jeszcze żadnej dobrze zdefiniowanej kuchni narodowej. Jest za wcześnie, żebyśmy żyli katalogowaniem, szukaniem tożsamości i podsumowaniami, jakby cała ta nasza przygoda zaczęta 100 lub 30 lat temu właśnie miała się ku końcowi. Serio? Jesteśmy może między zakąską a pierwszym, drugie jeszcze pyrkocze, a deser woła z lodówki, żeby dać mu zgęstnieć i osiąść.

W miejscu, które jak mało które widziało biesiadne wykluwanie polskości we wczesnej II RP – lokalu po Oazie przy warszawskim placu Teatralnym, od niedawna działa w nowej siedzibie knajpa Opasły Tom – i jest to niezła koincydencja, bo mało kto w kończącej się dekadzie traktował tak bez kompleksów i udziwnień polskie składniki i połączenia, jak ta sama firma pod starym adresem na Foksal. Jadłem tam ostatnio pyszną wariację na temat ryby po grecku, gdzie pomidor był mocno podduszony i doprawiony na włoski sposób, a marchewka i pietruszka w formie drobniutkiej *julienne* tylko z lekka potraktowana wrzątkiem. Ale przede wszystkim ucieszyłem się, że cenią tam selera: wierzcie mi, to jest wschodząca gwiazda, choć kolor ma trudniejszy w lansowaniu od zrehabilitowanego już buraka, podobny do brudnej ścierki. Będzie korzeniem najbliższych sezonów. W Opasłym podano mi krążek pieczonego selera na musie z fasoli z odrobiną jabłka, mało co mnie tak rozanieliło w tym roku jak to połączenie. Będę próbował to odtworzyć w domu – niech mi wybaczą właściciele, ale mieszkam na co dzień za daleko, żeby wpadać tam częściej. Jeśli macie bliżej, to zajrzyjcie koniecznie. I pamiętajcie tej zimy o selerze, miejcie go zawsze pod ręką – choćby dodając go odrobinę (w postaci gotowanej lub pieczonej) do tłuczonych ziemniaków. Będziecie w awangardzie trendu nowej kuchni narodowej! ©℗

ZMYSŁY

PALCEM PO ŚWIECIE

THOMAS REINERTSEN BERG,
AUTOR KSIĄŻKI „TEATR ŚWIATA. MAPY, KTÓRE TWORZĄ HISTORIĘ”:

Mapa świata w skali jeden do jednego nie jest pieśnią przyszłości. Ona powstaje tu i teraz. Mamy do niej dostęp codziennie.

ADAM ROBIŃSKI: Czy jest Pan uzależniony od map?

THOMAS REINERTSEN BERG: Bronię się, jak mogę. Żona mnie pilnuje, bo nie mamy już na nie w domu więcej miejsca.

A więc uzależniony, ale na odwyku.

Uwielbiam mapy. Żyję z nimi od jedenastego roku życia, zresztą nie ja jeden. Kiedy masz 11 lat, to zaczynasz interesować się światem, wiadomościami, które śledzą twoi rodzice. Zastanawiasz się, jak wygląda zewnętrzny świat, dlaczego jest taki, a nie inny. Kartografia daje pewne odpowiedzi. Kiedy jako dziecko usłyszałem w latach 80. o Lechu Wałęsie, od razu wziąłem mapę, zobaczyłem, gdzie leży Polska, potem znalazłem Niemcy, przekonałem się, że są podzielone na dwie części, że Berlin znajduje się w tej wschodniej i sam też jest podzielony.

To nie są odpowiedzi, ale jeszcze więcej pytań.

Abraham Ortelius, flamandzki kartograf z czasów renesansu, napisał kiedyś, że geografia jest okiem historii. Mapy pozwalają poznać przeszłość. Na starej mapie sprzed II wojny światowej Polska wygląda zupełnie inaczej niż dziś. To mapy mówią nam, jak wyglądał kiedyś Jedwabny Szlak i jaki zasięg miało Imperium Rzymskie. Ortelius miał absolutną rację, nie znam lepszego narzędzia do nauki historii niż kartografia.

Pamięta Pan swoją pierwszą mapę?

To był atlas świata z 1982 r. Dostałem go w prezencie od rodziców. Wciąż go mam, wciąż z niego korzystam.

ZNAK LITERANOVA

„Pierwsza drukowana mapa obszarów północnych znalazła się w »Geografii«, która wyszła nakładem Nicolausa Germanusa w 1482 r. Ptolemeuszowe Wyspy Skandyjskie powiększyły się na niej i zrosły z lądem, choć w miejscu całkowicie zmyślonym; Finlandii na mapie nie ma, za to w Norwegii znajdziemy takie nazwy jak Nodrosia, Begensis i Stavangerensis. Mityczna wyspa Thule przewędrowała na południowy zachód od wybrzeży norweskich, a Engronelant (Grenlandia) – na daleką północ. Mare congelatum oznacza »morze zamarzłe«. Mapę wykreślono ukośnie, by nadać jej podobieństwo do krągłości ziemskiego globu".

Thomas Reinertsen Berg
„Teatr świata. Mapy, które tworzą historię"

A mapy fikcyjne? Rysował Pan je jako dziecko?

Rysowałem, choć nie pamiętam żadnej konkretnej. Ale kilka miesięcy temu byłem w Pradze. W Bibliotece Václava Havla pokazano mi pokój poświęcony jego życiu. Jest w nim mapa nieistniejącego kraju, którą Havel wyrysował jako dziecko. Więc chyba większość z nas ma za sobą podobne epizody.

Teraz, jako dorosły człowiek, widzę olbrzymi potencjał takich map. Robert Louis Stevenson opowiadał, że „Wyspa skarbów" zaczęła się właśnie od zmyślonej mapy. Pasierb poprosił go kiedyś o narysowanie wyspy skarbów, zaraz potem do mapy zaczęli razem dopowiadać historie o miejscach na niej uwiecznionych. I tak zaczęła się książka. Na początku była tylko mapą. Książek J.R.R. Tolkiena też pewnie nie byłoby bez map. Wydaje się, że Tolkien pisał i rysował je jednocześnie. Tworząc tak rozległy, fikcyjny świat musiał mieć narzędzie, dzięki któremu się w nim nie pogubi. Wielu autorów tak robi. Weźmy Orhana Pamuka i jego „Czarną księgę". Czytając ją, strasznie się frustrowałem, bo norweskie wydanie nie miało mapy. Dla kogoś, kto nie zna Stambułu, kto nigdy w nim nie był, taka lektura jest trudna.

W „Teatrze świata" powołuje się Pan na klasyczną i uniwersalną definicję mapy, wedle której jest to graficzne przedstawienie umożliwiające umiejscowienie obiektów, pojęć, procesów i wydarzeń w świecie ludzi. Śmiem twierdzić, że to bardzo ubogie spojrzenie na temat.

Ma pan rację. Prowadzę czasem wykłady na temat historii kartografii, mówię wtedy o Snorrim Sturlusonie, islandzkim poecie, który w „Eddzie prozaicznej" opisuje świat za pomocą słów, liter. Najpierw relacjonuje stworzenie świata, potem jego wygląd. W średniowieczu taki opis również traktowano jak mapę. Podobnie u Homera, z jego tekstów można wydobyć relację znanego wówczas świata. Są jeszcze mapy mentalne, które nosimy w swoich umysłach. I to ich najczęściej używamy.

Jeśli przyjeżdżam do Krakowa na Festiwal Conrada i próbuję znaleźć księgarnię, której mam być gościem, to mogę zapytać kogoś o drogę. Ustne wskazówki: „Idź prosto, skręć w lewo, znowu prosto, a potem w prawo" też będą przecież mapą, nawet kiedy pozostaną tylko niezapisanymi słowami. Będą tak samo funkcjonalne jak plan miasta. Materialne odwzorowanie, o którym mówi klasyczna definicja, wcale nie konstytuuje mapy.

W swojej książce śledzi Pan ewolucję map, poczynając od obiektów artystycznych i religijnych o ogromnej ↦

↦ **wartości, kończąc na współczesnych, czysto praktycznych mapach, dostosowywanych na bieżąco do naszych potrzeb, których czas istnienia zamyka się nawet w paru sekundach.**

Mapy dużo mówią o czasach, w których powstały. Te dzisiejsze są praktyczne, bo taki jest nasz świat. Urząd miasta ma na przykład mapę sieci kanalizacji, mapę tramwajowej sieci trakcyjnej, ale też mapę szkół w mieście z oznaczeniem osiedli, które wysyłają swoje dzieci do danej placówki. To również jest głównym założeniem map Google'a – są przedmiotem codziennego użytku, a nie miejscem, w którym uciekamy w marzenia. Mapy Google'a to jeszcze jeden słup ogłoszeniowy, taki sam jak wyszukiwarka. Dzięki temu dostęp do niej jest zresztą darmowy.

Ale nie jest też tak, że całkiem przestaliśmy robić mapy ładne. Weźmy polski atlas dla dzieci, który stał się ogromnym międzynarodowym sukcesem [„Mapy" Aleksandry i Daniela Mizielińskich – red]. Nie jest funkcjonalny, a dzieci są zachwycone.

Chciałbym zaproponować Panu zabawę: sąd nad kartografią. Ja też jestem entuzjastą map, ale będę oskarżycielem. Pan niech ich broni.

Zgoda.

Niniejszym oskarżam kartografię o to, że za pomocą map podbito więcej lądów niż poprzez fizyczną agresję.

Proszę nie strzelać do map, są niewinne! Ale trudno z tym argumentem dyskutować. Mapy są jednym z podstawowych narzędzi okupanta. Ich wyrysowanie jest jedną z pierwszych rzeczy, jakie się robi po zajęciu terytorium. Dają kontrolę i ogląd sytuacji. Nazywanie przestrzeni też jest podbojem. Dorastałem w przekonaniu, że najwyższym szczytem na Ziemi jest Mount Everest. Ale przecież to nie jest tak, że ta góra pojawiła się dopiero wtedy, gdy zauważyli ją Brytyjczycy. Nepalczycy znali ją od dawna. Dla nich to Sagarmatha.

ROBERT SŁUSZNIAK / CONRAD FESTIVAL

THOMAS REINERTSEN BERG:

Kiedy przewodnik turystyczny mówi: „Teraz proszę spojrzeć w lewo", powinieneś obrócić głowę w prawo. To, co interesujące, znajduje się tam, gdzie nikt nie patrzy.

A dla Tybetańczyków – Czomolungma.

No właśnie. To, że dziś mówimy o Mount Everest, to skutek brytyjskiego kolonializmu. Podobno zresztą sam George Everest nie był specjalnie zachwycony, że jego nazwisko trafia w ten sposób na mapy. Ale i Norwegia odkrywała miejsca już odkryte. Na Svalbardzie byli przed nami Brytyjczycy, Szwedzi, Duńczycy, Holendrzy, Rosjanie. Nazwę Spitsbergen nadał pod koniec XVI w. Holender Willem Barents. W języku niderlandzkim *spits* i *bergen* to po prostu „ostre góry". A potem popłynęli tam moi rodacy i nanieśli norweskie nazwy. Były jak akt własności. Dziś Spitsbergen to największa wyspa archipelagu, który nazywa się Svalbard. I to też nie jest neutralna nazwa. Pochodzi z sag o wikingach. *Sval* to po norwesku „chłodny", *bard* – „wybrzeże". Nie do końca wiadomo było, jaki ląd mają na myśli wikingowie, ale rzeczywiście pisali o „Svalbardi" odkrytym 400 lat przed Barentsem. Używając dziś tej nadanej przez wikingów nazwy, podkreślamy niejako ciągłość norweskiej kolonizacji.

Zmartwię Pana. W powszechnej świadomości Polaków Svalbard to wciąż Spitsbergen. Mało kto zdaje sobie sprawę, że to nazwa wyspy, a nie całego archipelagu.

Prognozy pogody w Norwegii też mówią raczej o Spitsbergenie, a nie Svalbardzie. Może dlatego, że to na największej wyspie znajduje się większość osad ludzkich? Mało kto mieszka poza Spitsbergenem.

Zarzut drugi: mapy jednoczą naszą perspektywę, tym samym przekłamując wiedzę o świecie. Nam tu, w Europie, ciągle wydaje się, że jesteśmy najważniejsi, bo widzimy siebie w środku całego globu.

Chiny i Stany Zjednoczone używają map, na których oni są w środku. Na zajęciach pokazuję czasem amerykańskie mapy, słuchaczom coś w nich nie gra, ale dopiero potem uświadamiają sobie, że chodzi o ten punkt środkowy. Nie wiem, czy podobnie robili Sowieci. Wydaje się, że powinni. Każdy, kto ma imperialne ciągoty, chce być w centrum. Ale jest i historyczne odstępstwo od tej zasady. Centrum średniowiecznego świata była Jerozolima. To ją umieszczano w środku map. Wydaje się, że bardziej pasowałby Rzym. To mało europocentryczne podejście, prawda?

Ale pana zarzut możemy odnieść też do map poszczególnych państw. Kartowanie powierzchni terytorium i ignorowanie nazw nadawanych przez zamieszkujące je mniejszości etniczne to przykład kolonializmu. Coś takiego miało miejsce podczas sporządzania pierwszego wielkiego kartowania Francji, kiedy lokalne dialekty zostały zastąpione słownikiem paryskim. To samo zrobiliśmy w Norwegii, ignorując nazwy nadawane przez mniejszość Saamów. Wymazaliśmy ją z map.

Dziś coraz częściej mówi się o nurcie kontrmapowania. Potrzebie rysowania alternatywnych map, narzucających inne perspektywy.

Rozmawiałem ostatnio z redaktorem jednego z magazynów podróżniczych w Norwegii. Oprócz swojej gazety pokazał mi jeszcze dwie inne. W każdej z nich był artykuł o Marrakeszu i każdy polecał te same atrakcje w tym mieście. Trzech różnych dziennikarzy z trzech różnych krajów widziało Marrakesz w dokładnie

RDC POLSKIE RADIO

ADAM ROBIŃSKI będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 12 grudnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

ten sam sposób. Dlatego tak podoba mi się to, co powiedział mi jakiś czas temu pewien czeski emigrant mieszkający w Norwegii, z którym rozmawiałem o Pradze. Jeśli jedziesz autobusem turystycznym i przewodnik mówi: „Teraz proszę spojrzeć w lewo", powinieneś obrócić głowę w prawo. To, co interesujące, znajduje się tam, gdzie nikt nie patrzy. Zmiana perspektywy może przynieść tylko korzyść.

Ale perspektywa ptasia, którą prezentują mapy, jest ludziom obca. Daje nam fałszywe poczucie władzy i tego, że ziemia jest nasza.

Podczas jednego ze spotkań na Festiwalu Conrada czytałem wiersz Wisławy Szymborskiej „Mapa". Mówi w nim, że gdziekolwiek na mapie położy się palec, dotyka się miejsc, w których wydarzyły się straszne rzeczy. Ale powierzchnia mapy jest gładka...

„Płaska jak stół, / na którym położona. / Nic się pod nią nie rusza / i miejsca nie zmienia".

Mapa jest niewinna. W Auschwitz-Birkenau na samej mapie nie wydarzyło się nic złego. Mapa milczy. Przeczytam fragment po norwesku, a pan potem przetłumaczy. „Lubię mapy, bo kłamią. / Bo nie dają dostępu napastliwej prawdzie. / Bo wielkodusznie, z poczciwym humorem / rozpościerają mi na stole świat / nie z tego świata".

No właśnie, każdy, kto używa GPS-a, ma w zanadrzu historię o tym, jak został wyprowadzony w pole.

Ja też taką mam. Jechaliśmy z żoną do kogoś z jej rodziny, kto mieszka daleko od Oslo, w środku lasu. Jechaliśmy, jechaliśmy i nagle drogę przegrodził nam szlaban, o którym nawigacja nic nie mówiła. Musieliśmy cofać się sporo kilometrów. Ale nie przypominam sobie podobnej historii, w której zdradziłaby mnie papierowa mapa. Trzeba oczywiście tylko pamiętać, że jest dwuwymiarowa, więc pasma górskie potrafią płatać psikusy.

Mapy Google'a brzmią jak koniec historii kartografii, ale to przecież ułuda. W książce nie podejmuje się Pan zgadywania, jak wyglądać będą mapy przyszłości. A ja jednak chciałbym poprosić o spróbowanie.

Mapa świata w skali jeden do jednego nie jest przyszłością, ona powstaje tu i teraz.

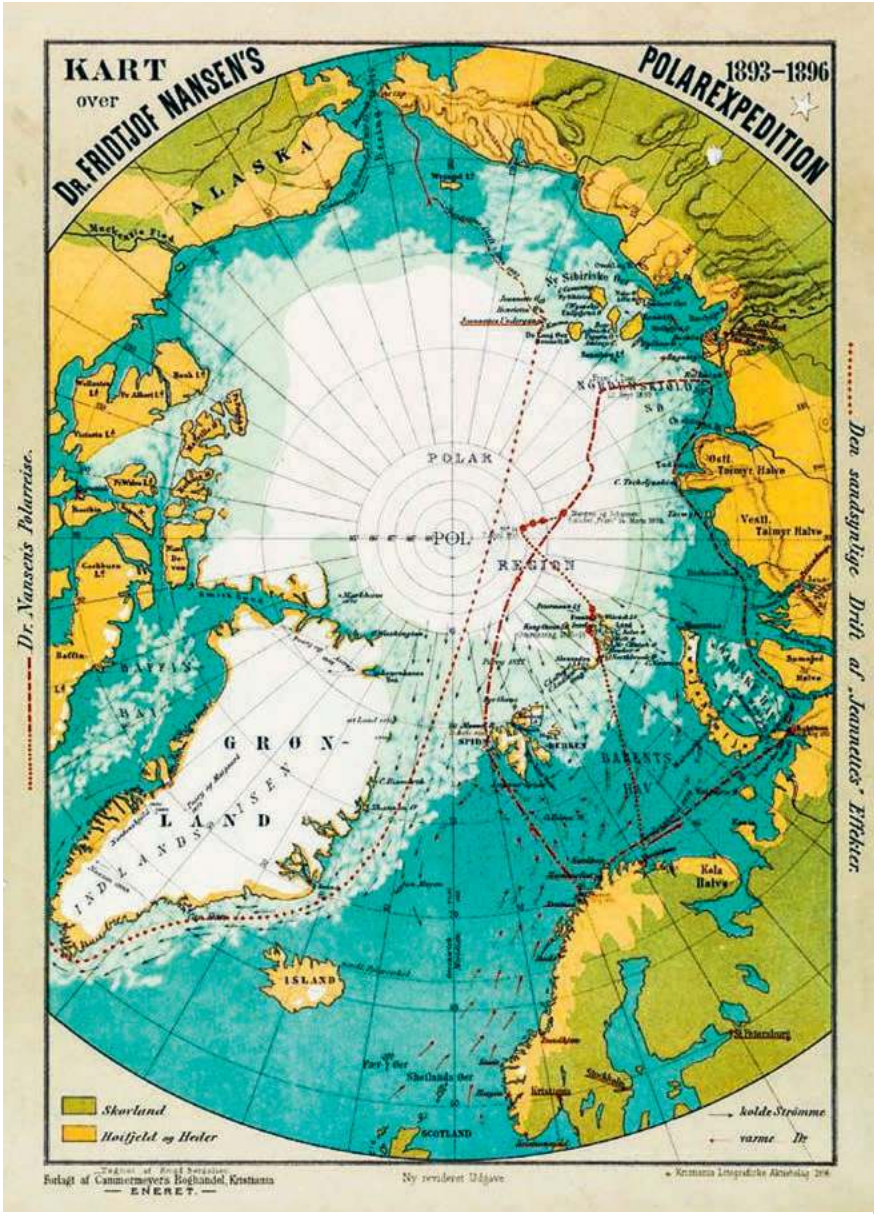

ZNAK LITERANOVA

Mapa pierwszej ekspedycji „Frama" Fridtjofa Nansena na biegun północny z lat 1893–1896, wykonana przez Knuda Bergsliena

Mamy już do niej dostęp codziennie w naszych telefonach. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to zastosowanie w kartografii technologii związanej z wirtualną rzeczywistością. Mapy trójwymiarowe czy holograficzne, które umożliwiałyby nałożenie na obraz współczesnego miasta jego historycznej tkanki. Mógłby pan wędrować po starożytnym Rzymie, Pompejach lub Warszawie, zanim zniszczyli ją Niemcy. Bo w kwestii szczegółowości map nic więcej już nie zdziałamy. Współczesne mapy są dokładne co do centymetra. Oczywiście kiedy z powodu zmian klimatu zacznie podnosić się poziom oceanów, a my zaczniemy tracić lądy, trzeba będzie stale aktualizować linie brzegowe. Ale to już teraz robią za nas satelity i to kilka razy dziennie.

A gdyby mógł Pan dostać mapę dowolnego miejsca na Ziemi pokazującą je w dowolnym czasie historycznym, co to byłoby za miejsce i czas?

Trudne pytanie. W książce piszę o Milecie. Antyczny Milet to świetny przykład tego, jak zmienia się świat. To było duże, wspaniałe miasto. Powstało na cyplu, blisko rzeki. Osad z tej rzeki, który gromadził się na wybrzeżu, stale oddalał je od morza. Dziś opustoszały Milet znajduje się kilka kilometrów od wody. Jeśli mógłbym poprosić o dowolną mapę, która byłaby tak dokładna jak te dzisiejsze, chciałbym zobaczyć, jak wyglądał Milet w czasach, gdy jego ulicami chodzili Tales i Anaksymander.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:
O kartografii

Gdy suwamy lupą po mapie kraju, rysowanej przez obecne władze, widzimy nie tylko dawno wytyczone już autostrady i drogi szybkiego ruchu dla więźniarek, nie tylko placki po niegdysiejszych zalesieniach, nie tylko czarne połacie zajęte przez przodujący przemysł węglowy, ale też legendę, bez której żadna mapa ani plan obejść się nie mogą. Mottem tej legendy dla kursujących suk z tajniakami jest rzecz jasna zdanie: „Wsadzeniu naszego kolesia musi towarzyszyć wsadzenie waszego". Jest to zdanie i zasada ujmujące szaloną prostotę w czynieniu tutejszej sprawiedliwości. Choć jest to zasada poniekąd nowa, to ma ona smak i styl zaiste starotestamentowe – każdy oczytany w tym dziele to przyzna. Jest coś głęboko przejmującego w fakcie, że po tylu latach, po tylu mozołach, dziś dopiero owa wspaniała Księga czytana jest tu ze zrozumieniem i potrzebą interpretacji. Szmat czasu upłynie, 200 lat co najmniej, zanim nasza władza zacznie studiować Testament zwany Nowym i zacznie rozumieć jego wskazówki.

Idźmyż dalej. Oto kraj nasz na wspomnianej mapie ma swe granice, to zrozumiałe, bowiem mapy, jak wiemy, składają się głównie z granic bądź zarysów. Czy, jak kto woli, konturów. O zarysach trudno coś mądrego powiedzieć, bowiem są one od jakiegoś czasu tak rozmazane, że doprawdy żadna lupa w ich oglądaniu nie pomaga. W tym sensie mapa nasza jest jak psu z gęby wyjęta. Poza tym ożywczy, ale i łzawiący smog, symbol naszych dążeń wielkopiecowych, naszych magnitogorskich marzeń przemysłowych, naszych ukochań chorób, uniemożliwia rozpoznanie barw, linii i kształtów.

Co prawda skład powietrza, przez które na mapę patrzymy – jako rzekł Dyżurny Chemik kraju – to gaz krystalicznie czysty, ale doprawdy, by wdawać się w dyskusje z Głównym Chemikiem na jakikolwiek temat, trzeba by zejść na minus jeden edukacji polskiej, bowiem stamtąd ów przecież czerpie wiedzę nie tylko o świecie, ale i o chemii, w tym o chemii gospodarczej. Teorie te – jak widzimy i słyszymy – bez żadnej krępacji powtarzają za nim natychmiast jego ludzie. Doprawdy liczyć wypada na jakiś błysk humoru u Geniusza z Mazowsza, że pewnego dnia wygłosi on do kamer świata tego, dla jaj, coś tak szaleńczo absurdalnego, coś absolutnie odjechanego, coś, co będą z nadętymi minami natychmiast powtarzać wszyscy jego ludzie, od Piotrowicza po Gowina. Wtedy to Gospodarz nasz powie: „Żartowaaałem". Obyśmy dożyli tej cudnej chwili, byśmy mogli się radować z nim i tarzać się ze śmiechu, ot choćby po zimnych posadzkach naszych polskich pierdli.

Wróćmy do mapy i do granic, które chcielibyśmy widzieć wyraźnie. Otóż granice te są od jakiegoś czasu nakreślone linią bardzo przerywaną. Ta parabola ma objaśniać zjawisko towarzyszące tonowi, z jakim władza mówi. Że granic tak naprawdę nie ma bądź że są dziurawe. Oto zważmy: wszelkie działania tego rządu, jego chemików, fachowców od sprawiedliwości i teoretyków wolności słowa oraz zwolenników swoistej estetyki i pojmowania etyki, działania mające jakiekolwiek znamiona wykraczających poza zdewastowane gumno, czyli zahaczające o jakiekolwiek kwestie międzypaństwowe, oto wszystko to z hukiem wali się w gruzy. Niemal natychmiast po uruchomieniu. Cofanie się przed zagranicznymi urzędnikami, w każdej tego typu kwestii, jest już znakiem firmowym każdego wyższego funkcjonariusza w Polsce. Tutejsza propagitka dokonuje niesamowitych wysiłków, by o tym wszystkim opowiedzieć językiem dobrej zmiany. Ale nawet ten język jest bezradny, gdy suche jest mokre, twarde jest miękkie, a szorstkie jest śliskie.

Jest bardzo prawdopodobne, że gdyby ktokolwiek w świecie, jakikolwiek urząd, który tu cokolwiek może, powiedział Głównemu Chemikowi kraju, że jest on znachorem, ten by się z każdej ze swych opinii i decyzji wycofał. Bo wycofał się ze wszystkiego, co było w założeniu nieodwracalne, wszystko, co miało być twarde, okazało się miękkie. Wszystko to można podsumować przykrym porównaniem, że mianowicie każde działanie tego rządu jest próbą wsadzenia małża do szpary bankomatu. Nie da się ukryć, że resztek porządku w Polsce pilnują wyłącznie zagraniczne instytucje, a to, czego nie pilnują, natychmiast znika. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

TYGODNIK POWSZECHNY
KSIĄŻKI W TYGODNIKU
51/2018
magazyn literacki

Nie ma dzieci, są czytelnicy

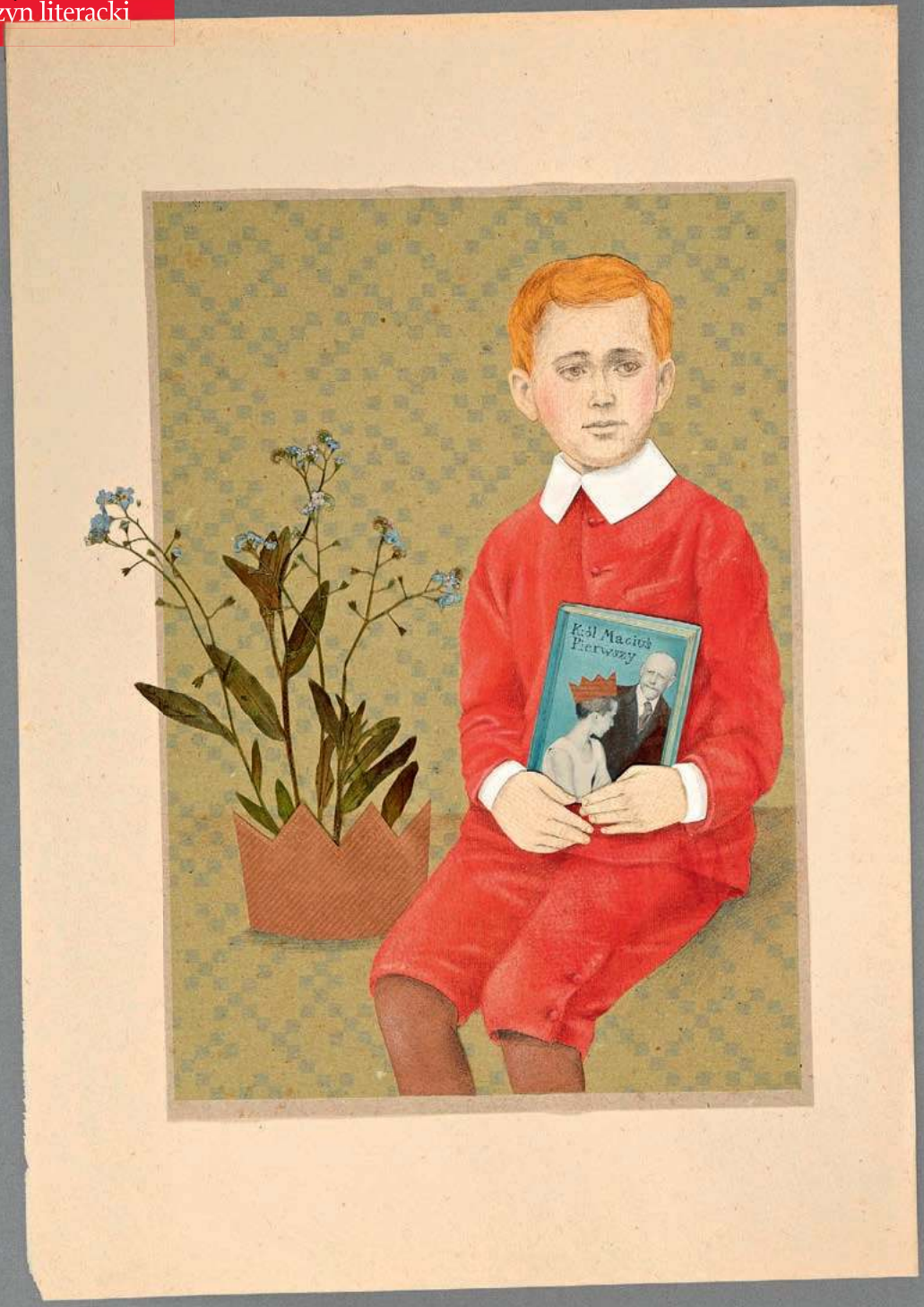

REKLAMA

POLIN
Muzeum Historii Żydów Polskich
WYSTAWA CZASOWA
W POLSCE KRÓLA MACIUSIA
100-LECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI
ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa
DLA MAŁYCH I DUŻYCH DOROSŁYCH
polin.pl
9.11.2018 – 1.07.2019
Partnerzy:
Organizator:
March of the Living
Mecenas:
Jankilevitsch Foundation
Współorganizator:
STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE
Sfinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2022
Projekt współfinansuje m.st. Warszawa
niepodległa
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Partner wystawy:
MUZEUM WARSZAWY
Fundacja KORET na cześć Tada Taube
KORET Foundation
Partnerzy muzeum:
ONICO
BOEING
Patroni medialni:
zwierciadło
sens
VOGUE
wyborcza
wyborcza.pl WARSZAWA
grane24
ams
naszemiasto.
czasdzieci.pl
empik
VIVA!

w numerze

- NIE MA DZIECI, SĄ CZYTELNICY

4. Joanna Olech **„Nie ma dziecka – jest człowiek”**
7. Rozmowa z **Anną Czerwińską i Tamarą Sztymą, kuratorkami wystawy „W Polsce króla Maciusia”**
10. Monika Ochędowska **o „Małym POLIN”**
11. **Najlepsze książki 2018 roku**
14. Tomasz Fiałkowski **o nagrodach i nienagrodzonych**

- RECENZJE

16. Michał Sowiński **o powieści Juliusza Strachoty**
18. Monika Ochędowska **o eseju Marjorie Perloff**
19. Aleksandra Wojtaszek **o książce Jiřiego Grušy**
20. Katarzyna Trzeciak **o opowiadaniach Carmen Marii Machado**
22. Paweł Bravo **o „Mitologii współczesnej” Marcina Napiórkowskiego**

- RUBRYKI

24 i 26. Książki w pigułce
27. Joanna Olech **Pięciopak z suplementem**
29. Stanisław Bajtlik **Z czego zrobiony jest świat**
30. Ks. Adam Boniecki **o obchodach millenium chrztu Polski**
31. Jacek Podsiadło **Tyran aleksandryn**
34. Inga Iwasiów **Dobranocki**
35. Piotr Śliwiński **Wiem, nie powiem**
34. **Bartosz Minkiewicz**

Redaktor odpowiedzialny: Michał Sowiński
Redakcja: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska, Michał Sowiński
Projekt graficzny: Marek Trojanowski
Skład: Andrzej Leśniak

OKŁADKA: Ilustracja Iwony Chmielewskiej, inspirowana książką Janusza Korczaka „Król Maciuś Pierwszy”
MUZEUM POLIN

ZDJĘCIA AUTORÓW:
TYMOTEUSZ LEKLER / AUTOGRAF, GRAŻYNA MAKARA x5, MICHAŁ NIEDZIELSKI, MICHAŁ SOWIŃSKI, ARCHIWUM PRYWATNE x3

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

„Książki w Tygodniku” wydajemy we współpracy z Fundacją TP, dzięki darowiznom od Czytelników przekazanym na jej rzecz za pomocą modułu FaniPay na stronie www.TygodnikPowszechny.pl

PARTNER WYDANIA

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

„NIE MA DZIECI, SĄ LUDZIE” – to najczęściej przytaczany cytat z Janusza Korczaka, wizjonera-pedagoga, którego metody pracy z dziećmi są do dziś inspiracją dla rodziców i wychowawców na całym świecie, czego przykładem może być niedawno otwarta wystawa w Muzeum POLIN. W tym numerze „Książek w Tygodniku” postanowiliśmy go sparafrazować na kilka sposobów.

STARY DOKTOR DZIAŁA NA WIELU PŁASZCZYZNACH – organizował dziecięce samorządy, pracował w sierocińcach, walczył o prawa człowieka. A także pisał, swoje pisanie traktując równie poważnie jak pozostałe aktywności. Wiedział bowiem, że to właśnie literatura ma szczególną moc – nie tylko rozwija i tłumaczy świat, ale przede wszystkim kształtuje dziecięcą wrażliwość.

METODA KORCZAKA POLEGAŁA NA SZACUNKU wobec dzieci, które zawsze traktował z należytą powagą. Ten szacunek widać dobrze już od dłuższego czasu na polskim rynku wydawniczym, na którym z roku na rok przybywa pozycji wartościowych, ciekawych i pięknie zilustrowanych. Wzrasta też powszechna świadomość, że literatura powinna być dopasowana do języka (który przecież nieustannie się zmienia), ale również możliwości percepcji swoich odbiorców. Literatura powinna towarzyszyć nam od najwcześniejszych lat, bo przecież nie ma dzieci, są czytelnicy.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

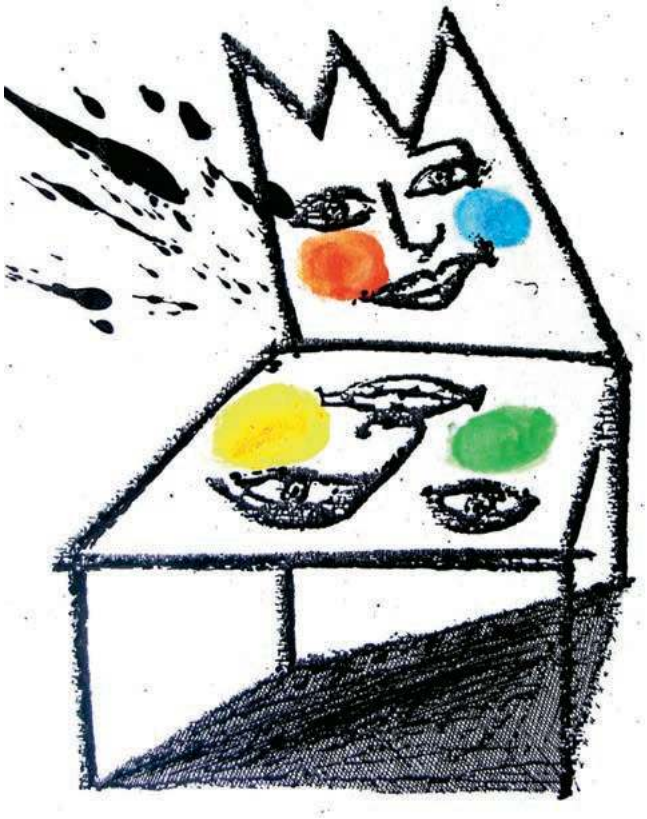

ZYGMUNT JANUSZEWSKI

Powyżej i na kolejnych stronach: wystawa „W Polsce króla Maciusia" z ilustracjami Iwony Chmielewskiej

„Nie ma dziecka – jest człowiek"

JOANNA OLECH

Jest jakiś niezdrowy paradoks w tym, że Korczak-męczennik przykrył Korczaka-wychowawcę, niezwykłego doktora od dziecięcej duszy. Tak jakby wybór pozostania z dziećmi do końca nie był jedyną oczywistą konsekwencją całego jego życia.

To taki prosty myk: kiedy mówisz do dziecka, a chcesz słuchać i być wysłuchany – nie pochylaj się. Kucnij. Teraz jesteście równi, nos w nos. Patrz na dziecięcy pyszczek, czytaj z niego. W tej pozycji nie przegapisz urazy, gniewu, zażenowania. Ugięcie kolan ma także swoją metaforyczną wymowę, bo w gruncie rzeczy twoja rodzicielska przewaga jest iluzoryczna. „Nie ma dziecka – jest człowiek". Tę korczakowską prawdę warto przypomnieć sobie, ilekroć puszymy się przed dzieckiem, szantażujemy miłością, poniżamy i zawstydzamy, dajemy upust nagłej złości, bierzemy na dziecku małostkowy odwet za własne błędy. Kto bez winy – ręka w górę.

Bez monopolu na rację

Janusz Korczak pozbawił nas, dorosłych, monopolu na domniemaną rację, którą przyznaliśmy sobie samowolnie, bez

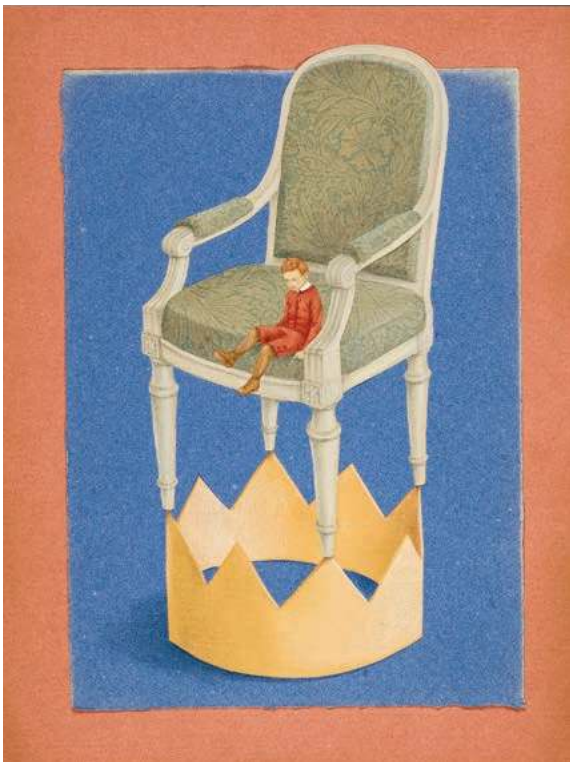

IWONA CHMIELEWSKA / MUZEUM POLIN

MAGDA STAROWIEYSKA / MUZEUM POLIN X2

Maszyna do głosowania, która w zależności od liczby głosów dzieci zmienia kolor

zasługi. Jedynym tytułem do jej posiadania miały być wiek i władza nad dzieckiem. Stary Doktor uświadamia nam, że racja niewsparta prawdziwym autorytetem to uzurpacja, przemoc w kostiumie troski. Wskazując pospolite grzechy wychowawcze, obnaża nasz podstarzały, wąsaty infantylizm, zahibernowaną niedojrzałość dorosłych, przeniesioną z dzieciństwa wprost do rodzicielstwa, razem z bałamutnymi refrenami o dzieciach głupich z natury.

„Szukaj własnej drogi. Poznaj siebie, zanim zechcesz dzieci poznać. Zdaj sobie sprawę z tego, do czego sam jesteś zdolny, zanim dzieciom poczniesz wykreślać zakres praw i obowiązków. Ze wszystkich sam jesteś dzieckiem, które musisz poznać, wychować i wykształcić przede wszystkim".

Ten najbieglejszy tłumacz z dziecięcego na nasze obdarzony był słuchem absolutnym, rozpoznawał wszystkie subtelności dziecięcej mowy i nie-mowy – z gestów, chichotów, gniewnego mamrotania i płaczliwych siąknięć nosem. A potem ułożył z tego genialny bryk dla rodziców: „Jak kochać dziecko". Od jego publikacji upłynęło niemal sto lat. Gdyby nie charakterystyczny, łatwo rozpoznawalny styl Korczaka, można by sądzić, że to tekst współczesny, wprost z klawiatury laptopa.

Korczak, autoironiczny i dowcipny, wytrąca nas, rodziców z koleiny nawyków, namnażanych bezmyślnie, bezrefleksyjnie. Tych wszystkich: ...mamusia smutna przez ciebie... my z ojcem żyły sobie wypruwamy... pocałuj wujka, niewdzięczny dzieciaku... powiedz wierszyk... przyjdzie pan i cię zabierze... taki duży, a beczy... bozia z góry patrzy i płacze... kogo bardziej kochasz – mamusię czy tatusia? ...nie wstaniesz od stołu, dopóki nie będzie zjedzone... czekaj, niech no tylko ojciec wróci...

Obrońca i niezawodny sprzymierzeniec dzieci. Tytanicznie pracowity, twórczy, obdarzony naukowym temperamentem, prowadził trwający trzy dekady eksperyment, którego pokłosiem są jego pisma – testament podjęty i niesiony w tysiącach inspirujących okruchów. Jeden z nich to „Prośba dziecka", czyli 20 przykazań dla rodziców – zdumiewająco przenikliwa recepta wychowawcza, która niechby trafiła w ręce każdego opiekuna. Gdyby dorobek Korczaka sprowadzał się jedynie do tych kilkudziesięciu lapidarnych linijek, już byłby godny uwagi.

Jest jakiś niezdrowy paradoks w tym, że Korczak-męczennik przykrył Korczaka-wychowawcę, niezwykłego doktora od dziecięcej duszy. Tak jakby wybór pozostania z dziećmi do końca nie był jedyną oczywistą konsekwencją całego jego życia, które upłynęło pod znakiem szacunku i miłości do podopiecznych.

Kapsuła czasu

Historia literatury dla młodych jest osobliwą kapsułą czasu – rejestruje i odsłania stosunek do dzieci/dzieciństwa na przestrzeni trzech stuleci. Nie jest to obraz chwalebny – dziecko jako podmiot (nie przedmiot) to nader młody wynalazek.

Literaturę dziecięcą wymyślono dla moralizowania – dydaktyczna intencja pierwszych lektur dla dzieci jest oczywista.

Jeśli baśnie – to zawsze okraszone sążnistym morałem, jeśli opowiastki – to z belferskim przesłaniem, pisane z pozycji olbrzyma, który wie lepiej i oświeci głupiego karzełka. Jest w tym pycha, bezwstyd i fanfaronada; dziecko z punktu widzenia autorów zdaje się być jedynie oporną bryłą ciemnej materii, którą dorosły uformuje i oślepi blaskiem swojej moralnej przewagi. Z tej pychy dorosłego narodziły się toksyczne „złote myśli", które słyszeliśmy po wielekroć w dzieciństwie: „co wolno wojewodzie, to nie tobie smrodzie", „dzieci i ryby głosu nie mają"... i inne ludowe pożal się Boże mądrości, które skutecznie kruszą godność małego człowieka. ↦

↦ W opozycji do tych paternalistycznych farmazonów Korczak powiada: „szczęście dla ludzkości, że nie możemy zmusić dzieci, by ulegały wpływom wychowawczym i dydaktycznym zamachom na ich zdrowy rozum i zdrową ludzką wolę"; i jeszcze: „mówiłem nie do dzieci, a z dziećmi, mówiłem nie o tym, czym chcę, aby były, ale czym one chcą i mogą być".

Korczakowski, wyjątkowy sposób myślenia, oparty na doświadczeniu wyniesionym z praktyki lekarskiej i opiekuńczej, był jak przeciąg w zatęchłym salonie, zaciążył na całej współczesnej doktrynie „dzieciologicznej". Nie da się zagonić powtórnie relacji dorosły–dziecko w XIX-wieczne ramy wytyczone przez Stanisława Jachowicza, Władysława Bełzę i wyznawców „Złotej różdżki" Heinricha Hoffmanna. Korczak mimowolnie ośmieszył protekcjonalny i bogoojczyźniany dąs, jakim nafaszerowano książki dla dzieci. „Ukrólewiając" Maciusia koronował niejako wszystkie dzieci, nadał im podmiotowość, godność i autonomię. Współczesne dylematy wielkiego kalibru – wolność *versus* odpowiedzialność, autorytaryzm *versus* demokracja, samowola *versus* samorządność – znajdziemy w miniaturze w Korczakowskich książkach i pismach. Jego niezawodna etyczna busola prowadzi czytelnika ku rozwadze, porozumieniu i empatii.

W tym duchu zrealizowano w warszawskim Muzeum POLIN wystawę „W Polsce króla Maciusia. 100-lecie odzyskania niepodległości". To najlepsze bodaj okołorocznicowe wydarzenie stołeczne – w pięknej oprawie graficznej Iwony Chmielewskiej, zaprojektowane prosto i przystępnie, dla dzieci w każdym wieku. Plac demokratycznych zabaw, miniaturowa republika dzieci...

Modelowy przykład edukacji obywatelskiej dla najmłodszych. Ech! Gdyby tak sklonować to przedsięwzięcie w każdym mieście, w każdej szkole...

© JOANNA OLECH

Prośba dziecka, czyli 20 przykazań Janusza Korczaka dla rodziców

1. Nie psuj mnie. Dobrze wiem, że nie powinienem mieć tego wszystkiego, czego się domagam. To tylko próba sił z mojej strony.

2. Nie bój się stanowczości. Właśnie tego potrzebuję – poczucia bezpieczeństwa.

3. Nie bagatelizuj moich złych nawyków. Tylko ty możesz pomóc mi zwalczyć zło, póki jest to jeszcze w ogóle możliwe.

4. Nie rób ze mnie większego dziecka, niż jestem. To sprawia, że przyjmuję postawę głupio dorosłą.

5. Nie zwracaj mi uwagi przy innych ludziach, jeśli nie jest to absolutnie konieczne. O wiele bardziej przejmuję się tym, co mówisz, jeśli rozmawiamy w cztery oczy.

6. Nie chroń mnie przed konsekwencjami. Czasami dobrze jest nauczyć się rzeczy bolesnych i nieprzyjemnych.

7. Nie wmawiaj mi, że błędy, które popełniam, są grzechem. To zagraża mojemu poczuciu wartości.

8. Nie przejmuj się za bardzo, gdy mówię, że cię nienawidzę. To nie ty jesteś moim wrogiem, lecz twoja miażdżąca przewaga.

9. Nie zwracaj zbytniej uwagi na moje drobne dolegliwości. Czasami wykorzystuję je, by przyciągnąć twoją uwagę.

10. Nie zrzędź. W przeciwnym razie muszę się przed tobą bronić i robię się głuchy.

11. Nie dawaj mi obietnic bez pokrycia. Czuję się przeraźliwie tłamszony, kiedy nic z tego wszystkiego nie wychodzi.

12. Nie zapominaj, że jeszcze trudno mi jest precyzyjnie wyrazić myśli. To dlatego nie zawsze się rozumiemy.

13. Nie sprawdzaj z uporem maniaka mojej uczciwości. Zbyt łatwo strach zmusza mnie do kłamstwa.

14. Nie bądź niekonsekwentny. To mnie ogłupia i wtedy tracę całą moją wiarę w ciebie.

15. Nie odtrącaj mnie, gdy dręczę cię pytaniami. Może się wkrótce okazać, że zamiast prosić cię o wyjaśnienia, poszukam ich gdzie indziej.

16. Nie wmawiaj mi, że moje lęki są głupie. One po prostu są.

17. Nie rób z siebie nieskazitelnego ideału. Prawda na twój temat byłaby w przyszłości nie do zniesienia. Nie wyobrażaj sobie, że przepraszając mnie stracisz autorytet. Za uczciwą grę umiem podziękować miłością, o jakiej nawet ci się nie śniło.

18. Nie zapominaj, że uwielbiam wszelkiego rodzaju eksperymenty. To po prostu mój sposób na życie, więc przymknij na to oczy.

19. Nie bądź ślepy i przyznaj, że ja też rosnę. Wiem, jak trudno dotrzymać mi kroku w tym galopie, ale zrób, co możesz, żeby nam się to udało.

20. Nie bój się miłości. Nigdy.

MAGDA STAROWIEYSKA / MUZEUM POLIN X2

W Polsce króla Maciusia

ANNA CZERWIŃSKA, TAMARA SZTYMA, KURATORKI WYSTAWY:

Nasza wystawa porusza trudne problemy funkcjonowania w społeczeństwie obywatelskim. Jednak dzieci potrafią wiele zrozumieć, wystarczy zastosować bliskie ich doświadczeniu analogie.

Od listopada 2018 do 1 lipca 2019 r. w warszawskim Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN można oglądać niezwykłą wystawę „W Polsce króla Maciusia", która przeznaczona jest zarówno dla dzieci, jak i dorosłych. Inspirowana książką Janusza Korczaka, której nowe życie dały ilustracje Iwony Chmielewskiej, pokazuje i uczy, jak działa demokratyczne państwo, przypominając – małym i dużym zwiedzającym – o podstawowych wartościach społeczeństwa obywatelskiego. Trudno o lepszy sposób uczczenia setnej rocznicy odzyskania niepodległości.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Czym się różni wystawa dla dzieci od wystawy dla dorosłych?

ANNA CZERWIŃSKA: Żeby przygotować wystawę dla dzieci, trzeba je dobrze znać. Należy też koniecznie spojrzeć na świat ich oczami – czasem bardzo dosłownie. Konstruując poszczególne elementy naszej wystawy, często kucałyśmy, żeby zobaczyć, jak to będzie wyglądało z perspektywy mniejszego człowieka.

Czyli zgodnie z myślą Korczaka, patrona wystawy „W Polsce króla Maciusia".

AC: Bardzo nam zależało, aby był on nie tyle jej bohaterem, co przewodnikiem po niej. Inspirowała nas pedagogiczna myśl Korczaka – chciałyśmy, aby dziecko samo bezpośrednio doświadczyło najróżniejszych problemów i wyzwań. Dlatego książka o przygodach małego króla Maciusia jest dla nas tylko – albo aż – bramą do głównej części wystawy.

TAMARA SZTYMA: Korczak często mówił, że dziecko ma prawo do bycia sobą. Dlatego nasi zwiedzający mają prawdo biegać, skakać i eksplorować muzealną przestrzeń na własnych regułach. Tworząc wystawę, starałyśmy się dopasować ją do tych oczekiwań. Musiała być maksymalnie różnorodna i oddziaływać na wszystkie zmysły – bo tak dziecko odbiera świat.

AC: Do tego dochodzi edukacja. I znowu sięgamy do Korczaka, który mówił, że dziecko ma prawo do popełniania błędów. Dlatego dajemy im zadania otwarte, w których nie chodzi o rezultat dobrze – źle czy wygrałeś – przegrałeś. U nas trzeba włożyć trochę wysiłku, ale za to satysfakcja jest większa. ↦

↦ **TS:** Korczak podkreślał, że nic nie jest do końca oczywiste – zawsze trzeba zadawać pytania i drążyć trudne tematy. Warto, szczególnie dziś, przypominać tę myśl.

Mówienie o trudnych sprawach językiem zrozumiałym dla dzieci to specjalność POLIN. Muzeum wydało książkę „Małe POLIN" – przewodnik po wystawie stałej. Ale nawet tam opowieść kończy się na 1939 r. Jaka jest granica tego, o czym można opowiadać dzieciom?

AC: To pytanie, które zadają sobie wszyscy pedagodzy, i nie ma na nie jednej dobrej odpowiedzi. Korczak dawał dzieciom prawo do rozmowy o wszystkim. My też czekamy na pytania od dzieci, nawet te najtrudniejsze. Jeśli dziecko zaczyna zadawać na jakiś temat pytania, to oznacza, że już czas na rozmowę. Ale co do „Małego POLIN" – tu konkretnie urywamy naszą opowieść na roku 1939, aby nie wchodzić w tematykę Holokaustu. Książka przeznaczona jest dla dzieci do 12. roku. To oczywiście arbitralnie postawiona granica, ale uznaliśmy, że większość dzieci poniżej tego wieku nie ma jeszcze odpowiedniej wiedzy ani narzędzi do zmierzenia się z tym tematem. Ale oczywiście na różne sposoby zachęcamy rodziców do dalszych, już indywidualnych rozmów.

TS: Na naszej wystawie czasowej poruszamy za to inne niełatwe i poważne, choć nie tak drastyczne zagadnienia. Mówimy o zniszczeniach spowodowanych wojną, o trudnym procesie odbudowy kraju, o tym, jak przedwojenna Polska stopniowo osuwała się z demokracji ku autorytaryzmowi.

Jak dzieciom wytłumaczyć tak skomplikowane procesy?

TS: Metoda Korczaka w takich sytuacjach była prosta – trzeba budować analogie, przenosić trudne tematy w prostsze, bliższe dziecięcemu doświadczeniu rejony. W ten sposób można naprawdę zaskakująco dużo wytłumaczyć. Dokładnie na tej zasadzie skonstruowana jest postać króla Maciusia. Korczak przeniósł realne mechanizmy i problemy sprawowania władzy w rzeczywistość fikcyjnego państwa rządzonego przez małego chłopca.

AC: Dzieci na co dzień nie mają okazji doświadczyć mechanizmów demokracji – postanowiłyśmy dać im tę szansę na wystawie. Maszyna do głosowania, która znajduje się w centralnym punkcie ekspozycji, to tylko jeden z wielu przykładów [zob. zdjęcie str. 5].

MAGDA STAROWIEYSKA / MUZEUM POLIN

Tamara Sztyma: Wystawa pokazuje, co jest potrzebne, aby się dogadać w grupie. Dajemy instrukcję produktywnego i pokojowego współżycia.

Ten nacisk na edukację obywatelską to odpowiedź na nasilający się kryzys demokracji liberalnej w Polsce i na świecie?

TS: U nas nie ma bezpośrednich odniesień do bieżących wydarzeń politycznych. Niemniej czujemy wyraźną potrzebę powrotu do najbardziej elementarnych wartości życia społecznego.

Na przykład?

TS: Pokazujemy, co jest potrzebne, aby się dogadać w grupie. Dajemy instrukcję produktywnego i pokojowego współżycia, nawet jeśli w wielu kwestiach się różnimy. Jeśli nasza wystawa odnosi się do obecnej sytuacji w naszej rzeczywistości, to jedynie w tym elementarnym sensie.

AC: Wśród młodych ludzi, nie tylko w Polsce, ale w całej Europie, wyraźnie wyczuwalny jest kryzys wartości obywatelskich, zanika potrzeba angażowania się we wspólne dobro. To zapewne nasza, dorosłych, wina, że im świat polityki doszczętnie obrzydł. Sytuacja sama się nie odwróci, trzeba intensywnie działać, przede wszystkim na polu edukacji.

TS: I znowu – warto tu przytoczyć Korczaka, który był wielkim orędownikiem inkluzyjnej wspólnoty, dziś powiedzielibyśmy, że zbudowanej na partycypacji. Każdy, kto zgadza się zaakceptować pewne obowiązki i role, może należeć na równych prawach do wspólnoty. Taka była jego ogólna wizja społeczeństwa. To dążenie do egalitaryzmu z pewnością po części wynikało z faktu bycia Żydem, czyli *de facto* obywatelem drugiej kategorii. Dla niego idea przestrzegania praw obywatelskich czy innych zasad demokracji nie była wyłącznie teoretycznym konstruktem – nie raz na własnej skórze poczuł, do czego prowadzi ich łamanie. Swoje doświadczenia i obserwacje przekuł potem w unikalny model pracy z dziećmi. Dziś w przestrzeni publicznej znowu pojawiają się liczne ideologie wykluczające – dlatego warto przywoływać jego przykład.

To chyba w dużej mierze nadrabianie zaległości. Do szkoły chodziłem już w III RP i nie pamiętam, żeby edukacja demokratyczna odgrywała w niej szczególną rolę. Przystosowywanie do kapitalizmu – oczywiście, na każdym kroku. Ale dbanie o państwo i wspólnotę, w której się żyje? To przecież anachronizmy minionej epoki…

AS: Niestety, dziś widzimy tego skutki. Pomieszały nam się wartości, pogubiliśmy fundamenty. Oprócz tego w dzisiejszej szkole panuje władza autorytarna i ścisła hierarchia. Rynek pracy niestety wygląda podobnie. Dlatego mało mamy okazji doświadczyć wspólnoty – jeśli nie będziemy o tym przypominać na różnych etapach życia, to gdzie młody człowiek ma się tego nauczyć?

Wystawa została połączona z obchodami setnej rocznicy odzyskania niepodległości.

TS: Dzieci są przyszłością każdej wspólnoty – to oczywiście banał, ale nie zmienia to faktu, że prawdziwy. Dlatego rozmowa z nimi wydaje nam się szczególnie ważna w setną rocznicę odzyskania niepodległości. Wystawę zaczynamy od krótkiego filmu, który tłumaczy kontekst

historyczny – w dwie minuty opowiada, co właściwie wydarzyło się w 1918 r. Nie chcemy jednak przeładowywać dzieciaków faktografią, chodzi jedynie o bazę dla dalszej części wystawy, gdzie konfrontujemy najmłodszych z problemami współczesnej demokracji. A przewodnikiem jest nam oczywiście sam król Maciuś i jego perypetie w rządzeniu państwem. Naszym celem było stworzenie narzędzi, przy pomocy których rodzice mogą potem kontynuować rozmowę z dziećmi o ważnych, ale skomplikowanych sprawach, dotyczących zarówno przeszłości, jak i współczesności.

Cały czas przewija nam się w rozmowie Korczak. Nic dziwnego, skoro stworzona przez niego postać króla Maciusia stanowi punkt wyjścia dla całej wystawy. Ale czy nie jest tak, że język jego powieści, jak zresztą wielu innych książek, które liczą sobie tyle lat, się zdezaktualizował?

AC: Język, którym się posługiwał, oczywiście mocno się zestarzał, to widać na każdym kroku. O ile w przypadku literatury dla dorosłych to nie przeszkadza, czasem jest wręcz wartością, o tyle w książkach dla dzieci to problem nie do przeskoczenia. Dlatego wraz z Iwoną Chmielewską, która przygotowała dla nas ilustracje, korzystaliśmy jedynie z fragmentów powieści. Trzeba też pamiętać, że żyjemy zdecydowanie szybciej niż sto lat temu – dlatego trzeba dostosować formę przekazu do percepcji współczesnego odbiorcy, szczególnie jeśli mówimy o dzieciach. Ale Korczakowska filozofia i sposób myślenia o dziecięcej pedagogice są wciąż absolutnie aktualne.

TS: Z drugiej strony dzięki genialnym ilustracjom Iwony Chmielewskiej, które można podziwiać nie tylko na wystawie, ale także w jej artbooku, mamy nadzieję, że być może historia Maciusia przeniknie do najmłodszych. Wszak jeszcze w naszym pokoleniu była to postać kultowa. To zachęca wielu rodziców do sięgnięcia po tę książkę i, jeśli nie do czytania, to przynajmniej do opowiadania jej swoim dzieciom.

AC: Ale co do literatury dziecięcej, to cieszy mnie fakt, że postulat Korczaka, aby traktować dzieci z pełną powagą, sam traktowany jest coraz poważniej. Widać to choćby po tym, jak w ostatnich latach zmienił się rynek książki dla dzieci – pojawiły się nagrody i festiwale, na których goszczą nie tylko autorzy, ale również ilustratorzy.

MAGDA STAROWIEYSKA / MUZEUM POLIN

Anna Czerwińska: Przekonujemy dzieci, że na co dzień poruszamy się w najróżniejszych wspólnotach i łączy nas dużo więcej, niż się na pierwszy rzut oka wydaje.

TS: W Korczakowskim modelu pedagogiki rolą wychowawcy jest oczywiście objaśnianie świata podopiecznym, ale z partnerskiej, a nie autorytarnej perspektywy. W ten sposób można nie tylko przekazać olbrzymią wiedzę, ale też samemu sporo się nauczyć. To chyba najlepiej widać w przestrzeni literatury tworzonej dla młodszych czytelników.

Nawiązując do tytułu wystawy – jaka jest Polska widziana z perspektywy króla Maciusia?

AC: Chcemy przede wszystkim zwrócić uwagę dzieci, że poruszamy się na co dzień w najróżniejszych wspólnotach, dlatego łączy nas dużo więcej, niż się na pierwszy rzut oka wydaje.

TS: Musimy się nauczyć w tych wspólnotach działać. Dlatego sercem wystawy jest sala, gdzie dzieci w praktyce i zespołowo mogą ćwiczyć umiejętności niezbędne do dobrego i bezkonfliktowego życia w grupie. Bo gdy mamy dobrze działające społeczeństwo, możemy przejść do tłumaczenia mechanizmów państwa i demokracji. Nic nam nie wyjdzie, jeśli będziemy próbowali rozwiązywać te problemy w drugą stronę.

„Nie ma dzieci, są ludzie" – to chyba najsłynniejszy cytat z Korczaka, który przewija się także przy okazji wystawy. Jak Panie go rozumieją?

AC: Przy okazji publikacji wystawowej Alicja Pacewicz genialnie sparafrazowała tę frazę: „nie ma dzieci, są obywatele". Dla nas to przede wszystkim poważne traktowanie wszystkich odwiedzających naszą wystawę – niezależenie od wieku. Nie klasyfikujemy dzieci jako innych, gorszych odbiorców.

TS: W tym zwięzłym haśle streszczają się najważniejsze idee Korczaka – przede wszystkim myśl, że wszyscy mamy takie same prawa. Ważne jest też partnerstwo i założenie, że dzieci nie myślą gorzej od dorosłych, tylko inaczej, bo posługują się właściwym sobie aparatem pojęciowym.

AC: Myśli dziecka cały czas się formułują i zmieniają, ale w każdym wieku powinniśmy mieć prawo do wyrażania siebie.

Wystawa działa już od 11 listopada. Sądząc po frekwencji, można mówić o dużym sukcesie.

AC: Już na wernisażu słyszałam płacz dziecka, które nie chciało stąd wychodzić. To chyba znak, że wykonałyśmy dobrą robotę.

TS: Z drugiej strony zdajemy sobie sprawę, że do dziecka nie jest łatwo trafić. Na pewno nie udaje nam się to w każdym przypadku. Nasi odbiorcy żyją w zupełnie innym świecie niż my, dlatego cały czas nam się wymykają. Co znaczy tylko, że nie można przestawać próbować z nimi rozmawiać.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

ANNA CZERWIŃSKA jest historyczką sztuki, kierowniczką sekcji edukacji szkolnej i rodzinnej w Muzeum POLIN; twórczyni programu dla rodzin w miejscu edukacji rodzinnej „U króla Maciusia".

TAMARA SZTYMA jest historyczką sztuki, kuratorką wystaw w Muzeum POLIN; pracowała w zespole przygotowującym wystawę stałą Muzeum POLIN jako współkuratorka galerii międzywojennej.

MAERIAŁY PRASOWE / MHŻP POLIN

Historia jest ciekawa!

MONIKA OCHĘDOWSKA

Publikacja „Małe POLIN" to nie tylko przewodnik po wystawie stałej muzeum, ale także animator zabaw oraz album, kolorowanka i kronika wspólnie spędzanego czasu.

Dzieci uwielbiają mapy i przewodniki, intuicyjnie dostrzegając w nich rozkoszny potencjał przygody. Z myślą o małych czytelnikach powstają całe serie podróżniczych książek, które szczęśliwie są czymś więcej niż praktyczną wyliczanką znanych widokowych punktów, ważnych adresów czy próbą przełożenia miejskiej topografii na dystans osiągalny dla małych stóp. To zmyślnie rozbudzające podróżniczą ciekawość sylwy pełne gier, ciekawostek, rebusów, inspiracji oraz przestrzeni na dokumentację własnej aktywności. Dziecięce przewodniki prowokują do zabawy w tropicieli, fotoreporterów, artystów i wakacyjnych kronikarzy, nie tracąc z pola widzenia tej naturalnej i najczystszej ciekawości, która podczas kąpieli w morzu każe poszukiwać odpowiedzi na pytanie, skąd na plaży wziął się piasek.

O ile podczas wypraw w bliższy czy dalszy plener łatwo zaopatrzymy kilkuletnich nawet podróżników w niezbędną literaturę, muzea rzadko starają się zagospodarować uwagę i czas małych zwiedzających. A sprawa jest poważna, bo na przykład jak opowiedzieć dziecku o „dorosłej" ekspozycji Muzeum POLIN? Publikacja „Małe POLIN" od dwóch lat przeciera na tym polu szlak, wyznaczając wzór dobrych praktyk innym placówkom. A o tym, że pomysł chwyta, świadczy choćby dostępny już także w formie elektronicznej przewodnik dla dzieci po wystawie stałej stołecznego Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

Opracowana przez Aleksandrę Karkowską-Rogińską i Annę Staszewską-Zatońską książeczka „Małe POLIN", wyróżniona w konkursie na Najpiękniejszą Książkę Roku Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, oprowadza po sześciu galeriach muzealnej wystawy, przybliżając w sposób niezwykle przystępny podstawowe zagadnienia z zakresu tysiącletniej historii oraz tradycji i kultury żydowskiej – aż do 1939 r. W trakcie tej podróży w czasie dzieci nie tylko oglądają eksponaty, ale spacerują po XVII-wiecznym miasteczku, uczestniczą w żydowskim weselu, telefonują do Antoniego Słonimskiego i podróżują koleją żelazną. Zachęceni przez autorki przewodnika mogą ekspozycji dotykać, słuchać, a nawet próbować do jej dźwięków zatańczyć. Mogą pytać „dlaczego?", mogą też sprawdzić „jak?" i „gdzie?". A następnie wszystko uwiecznić na kartkach „Małego POLIN" – bo to nie tylko przewodnik, animator gier i zabaw, ale także album, kolorowanka i kronika wspólnie spędzanego czasu. I mimo że książeczka zaprojektowana została z myślą o dzieciach w wieku wczesnoszkolnym (6–10 lat), bez wątpienia spodoba się także tym, którzy podstawówkę mają już dawno za sobą, głównie dzięki niezwykłym ilustracjom i kolażom Katarzyny Walentynowicz, imitującym stare litografie czy efemeryczne ornamenty. To przewodnik niezwykle zmysłowy.

Muzeum POLIN jako jedno z nielicznych sukcesywnie poszerza swoją ofertę dla maluchów. Najmłodsi goście są tu traktowani w duchu pedagogiki Janusza Korczaka, jak „mali dorośli". Wszystkie zajęcia opierają się na połączeniu nauki z kreatywną zabawą i rodzinną atmosferą. Prowadzą je doświadczeni edukatorzy i artyści. Od niedawna POLIN zaprasza także na poranne zwiedzanie wystaw rodziców z dziećmi ze spektrum autyzmu, podczas którego dźwięki i światła w muzeum zostają ograniczone, tworząc przestrzeń przyjazną dla osób wrażliwych na bodźce sensoryczne.

Zwiedzanie ekspozycji z „Małym POLIN" zajmuje około dwóch godzin. Na zakończenie dzieci, które wykonają wszystkie zadania, otrzymują pamiątkową pieczątkę w punkcie informacyjnym Muzeum.

MAŁE POLIN
Aleksandra Karkowska-Rogińska, Anna Staszewska-Zatońska
Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN
Warszawa 2016

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Zestaw noworoczny

Nasze autorki i nasi autorzy wybierają najlepszą książkę mijającego roku.

• **O KROK OD NICH. PRZEKŁADY Z POETÓW AMERYKAŃSKICH**
Wybór wierszy i obrazów, przekład, opracowanie i posłowie Piotr Sommer
Karakter, Kraków 2018

Ta książka śmieje się Kindle'owi w twarz. Przywraca przyjaźń dwóm czasownikom: czytać i mieć. Mam tę książkę. To znaczy: ona chce mnie i ja chcę jej. Jest tu obok, pod ręką, daje do dotyku, dając do czytania. Na początku nie wiadomo, co ważniejsze. Może ma nie być wiadomo. Edytorskie mistrzostwo, ale nie tylko to: słowa, barwy i kształty, i nawet biel pustych stronic trzymają się tu za ręce. Tak to wszystko zostało dobrane. Poezja, obrazy, przestrzeń. Najlepiej tu wejść przez okno malowane przez Jane Freilicher, artystkę, którą Piotr Sommer połączył z amerykańską poezją raz na zawsze. A później już z wnętrza, mając za szybą miasto, przerzucać kolejne kartki.

To drugie wydanie książki, wzbogacone o nowe wiersze, ale to nienowa odsłona; w tej formie autor stworzył całkiem nową całość.

Wiemy, że bez amerykańskich przekładów Piotra Sommera polska poezja ostatniego 30-lecia poszłaby zapewne nieco inną drogą. Po prostu. Jednak nie to jest nawet najważniejsze. Piotr Sommer nosi czujnik na koniuszku języka. Zanim coś poda, zważy każdą zgłoskę. Stąd poczucie wielkiej frajdy ze słów. Mało komu w polszczyźnie, nie tylko poetyckiej, tak ufam.

© MAREK BIEŃCZYK

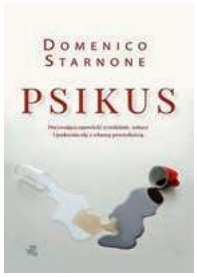

• *Domenico Starnone*
PSIKUS
przeł. Katarzyna Skórska
W.A.B.
Warszawa 2018

Czytam chyba trochę za dużo, by na koniec roku z łatwością wskazywać jeden tylko godny wzmianki tytuł. Ale pośród doprawdy wielu wydawnictw zasługujących moim zdaniem na wspomnienie chętnie przypomnę Państwu o skromnej książeczce, o której chyba nikt nigdzie niczego nie napisał, a szkoda. Domenico Starnone – włoski pisarz, obecnie funkcjonujący w roli „męża Eleny Ferrante" (a niegdyś podejrzewany wręcz o bycie nią) – to autor w Polsce znany raczej wąskiemu gronu.

Tymczasem już wydane w Polsce dwa lata temu „Sznurówki" – kameralna historia związku w rozpadzie – zwracają uwagę i dają poczucie niedosytu, że tak mało tego autora po polsku. Rok 2018 przyniósł nam jego powieść „Psikus", ponownie kameralną, zamkniętą we wnętrzu historię rodzinną, opowieść starszego mężczyzny, daleko już poza smugą cienia, podsumowującego swoje życie. I to zarówno rodzinne, jak i artystyczne, a wszystko to w konfrontacji z rodziną córki (w rozpadzie, a jakże!) oraz z małym wnukiem – dzieckiem tyle mu bliskim, co zupełnie obcym. Historia mocna, choć lapidarna, bez jakichkolwiek stylistycznych i fabularnych popisów, ale szalenie zapadająca w pamięć. Więcej takich poproszę.

© ANNA DZIEWIT-MELLER

• *David Vann*
LEGENDA O SAMOBÓJSTWIE
przeł. Dobromiła Jankowska
Pauza
Warszawa 2018

Ta proza sieje taki rodzaj niepokoju, którego jestem spragniona. Zanim przeczytałam wywiady i recenzje, a wreszcie wysłuchałam Davida Vanna na Festiwalu Conrada, czułam żelazisty osad jego „Legendy o samobójstwie", przetłumaczonej przez Dobromiłę Jankowską.

Po pierwsze dlatego, że została skomponowana na współbieżnych planach, pracujących pod powierzchnią (pierwszy rozdział nosi tytuł „Ichtiologia"!), na rzecz samej opowieści i możliwości formy jako takiej.

Wyłaniająca się z tych planów *legenda* czy właściwie jej wersje, niepewne, choć spisane precyzyjnie, a nawet z naturalistyczną precyzją, oddają falowanie (jesteśmy na wyspach otoczonych morzem) pamięci o tragedii, przesączają wizje przez niezniecznulony mózg. Vann pisze pięknie o strasznym, mocno o relacjach syna i rodziców, namiętnie o śmierci. Przymierza śmierć do bohaterów, przenosi martwe ciało z miejsca na miejsce, obnażając szaleństwo żałoby. Jeśli ta opowieść ma autoterapeutyczny cel, to można się na niej nauczyć, jak ze wstępnego nierozumienia siebie czynić strukturę, scenę oraz postać. I do czego służy w tym procesie literatura.

© INGA IWASIÓW ↦

• *Andrzej Franaszek*
HERBERT. BIOGRAFIA I-II
Znak, Kraków 2018

Mimo że spierałem się z tą książką na łamach „Tygodnika", pozostaje dla mnie najważniejszą lekturą 2018 roku. Skrupulatna i gigantyczna praca biografa wydobyła obraz Herberta, którego nie chce miłośnik jego poezji; obraz wielkiego poety, ale też kłamcy, konfabulatora i kabotyna, które to cechy widzieli jego współcześni. Giedroyc pisał: „nie lubię tego spryciku: nic nie robiąc, bynajmniej się nie angażując, buduje sobie legendę bezkompromisowego opozycjonisty".

Nie wychodzimy z tej lektury ze zrozumieniem bohatera, ale z irytującym migotaniem masek, min i gęb, jakie Herbert stroił światu, jakby na przekór krystalicznym frazom swojej poezji. A jednak porażka wyjaśnienia tajemnic Herberta staje się walorem tej książki. Ilustruje bowiem fałsz każdej biografii, której autor sugeruje posiadanie nieistniejącej przecież całości wiedzy o życiu skończonym. Tymczasem życie Herberta, nawet tylko opisane, jest żywą, dziejącą się rzeczywistością, niepojmowalną dla bohatera biografii, a cóż dopiero dla innych. © RYSZARD KOZIOŁEK

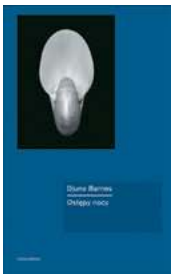

• *Djuna Barnes*
OSTĘPY NOCY
przeł. Marcin Szuster
Ossolineum, Wrocław 2018

Ostępy nocy" to powieść niemal legendarna – nie ma nic gorszego, niż zacząć rekomendację od takiego liczmanu, zgadza się. Bardziej przenikliwie stawia sprawę cytat z posłowia Marcina Szustera (autora wspaniałego tłumaczenia książki), który pisze o „stylistycznym eksperymencie i bezkompromisowym skrajnie indywidualistycznym podejściu do materii języka", które, jak zauważa, tamten czas, otoczenie Djuny Barnes (wylicza: Joyce'a, Pounda, Becketta, Stein) niejako „wymuszało"; by zaraz dodać: „Nie brzmi to zbyt ekscytująco w czasach, gdy bezkompromisowość i indywidualizm stały się żetonami w rękach specjalistów od reklamy, ale nie szukajmy na gwałt innych określeń. Powiedzmy, że »Ostępy nocy« dają jakieś pojęcie o tym, co te słowa znaczyły przed dewaluacją".

Rzadko zdarza się ten rodzaj prozy: uparcie odklejającej się od metody pierwszych skojarzeń, wytrącającej z upatrzonej wcześniej czytelniczej pozycji, dającej przestrzeń poza bezpieczeństwem, ale wobec wielkiego zdumienia, podejmującej ryzyko, operującej w tak brawurowy sposób na tylu rejestrach języka i wyobraźni. Mają racje ci, którzy piszą o tej książce jako o prozie „gorączkowej". Ale ta gorączka udziela się także czytelnikowi.

© WERONIKA MUREK

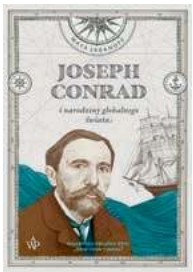

• *Maya Jasanoff*
JOSEPH CONRAD I NARODZINY GLOBALNEGO ŚWIATA
przeł. Krzysztof Cieślik, Maciej Miłkowski
Wydawnictwo Poznańskie
Poznań 2018

Mam kolegę, który na książki Conrada poderwał obecną żonę. Sam też często do nich wracam, bo mało kto potrafił tak zręcznie okiełznać żywioły: ten ludzki i te naturalne. Ale literacki talent Korzeniowskiego to jedno. Maya Jasanoff w „Joseph Conrad i narodziny globalnego świata" stara się rzucić na jego twórczość o wiele szersze spojrzenie. Ta książka rodzi dużo ważnych pytań. Na ile kształtują nas czasy, w których wzrastamy? Czy nasze poglądy muszą być odzwierciedleniem obowiązującej wizji świata? Czy da się wyjść poza ogólnie przyjęte ramy myślenia? No i jaka jest perspektywa kogoś, kto uważa się za obywatela całego świata? Czy to w ogóle możliwe? To zagadnienia, które nigdy się nie dezaktualizują, a jednostkowy przykład polskiego emigranta, który przemierzył oceany, uczy powściągliwości w ferowaniu wyroków. To wspaniała biografia nie tyle literata, co czasów będących przygrywką do naszego tu i teraz.

© ADAM ROBIŃSKI

• *Ziemowit Szczerek*
SIWY DYM ALBO PIĘĆ CYWILIZOWANYCH PLEMION
Czarne
Wołowiec 2018

Trochę się migałem, bo książka wyszła w moim wydawnictwie, a nie chciałem być jak ten dudek, co to chwali swój czubek. Jednak Redaktor rozwiał moje skrupuły, zwracając uwagę na to, że dzieło, o którym miałbym pisać, jest dziełem nieco niedocenionym. Chodzi mianowicie o „Siwy Dym" Ziemowita Szczerka. I rzeczywiście niedocenionym jest, ponieważ jego przyswojenie wymaga otwartości, wyobraźni, inteligencji, a nade wszystko nieortodoksyjnego poczucia humoru. To nie są częste cechy, zwłaszcza gdy mają występować razem. Wiem, co mówię, bo zaraz mi stuknie trzydziestka legalnej działalności literackiej.

„Siwy Dym" to jest *tour the force*, *grand guignol*, masakra i maskarada. Nikt ostatnio nie napisał tak mocnej książki o Polsce – jaka jest i jaka będzie – i zarazem o całym naszym świecie europejskim, zachodnim. O jego rozkwicie i samobójstwie. Czyta się to i serce zamiera ze strachu, ale zamiera wśród paroksyzmów śmiechu. Scena, w której ksiądz Drewno, szef największej i jedynej rozgłośni katolickiej, niesie wszczepiony bez zgody i wiedzy ładunek wybuchowy, powinna

już teraz wejść do kanonu lektur od podstawówki wzwyż. Ksiądz Drewno niesie ów ładunek, by wysadzić w powietrze napędzanego gazem Chrystusa Świebodzińskiego oraz tysiące jego mniejszych kopii. Wiele innych scen też powinno być kanonizowane.

Wtedy nasze dzieci będą na pewno mądrzejsze od nas i może jednak ocalą nasz biedny kraj i naszą biedną cywilizację przed zgoła nieheroicznym samobójstwem. Amen.

© ANDRZEJ STASIUK

• *Anna Brzezińska*
WODA NA SICIE
Wydawnictwo Literackie
Kraków 2018

Pamiętam do dziś odurzenie pierwszą lekturą. Język tej powieści wessał mnie w głąb nieznanego świata, a ja ruszyłem za jego wezwaniem do podziemi. To stamtąd przemawia narratorka, więziona i przesłuchiwana La Vecchia, a jej mowa krąży, zwodzi i zawodzi wyszarpywana torturami. Kobieta broni się opowieścią, każde słowo jest walką o przetrwanie, ale też broni się przed opowiadaniem.

Anna Brzezińska znakomicie pokazuje, jak budujemy historię naszego życia, jak krążymy wokół węzłowych momentów, jak stwarzamy je samym opowiadaniem. Wokół zdarzeń, impresji owija się gęsta tkanka, słowa wpuszczają z początku niewiele światła, większość – jak całe nasze życie – pozostaje w mroku. Cały świat zamknięty jest w jej mowie. Poza suchymi didaskaliami z protokołu przesłuchań nie słyszymy pytań śledczych. To monolog, który włącza w swój strumień wszystko, co dzieje się dookoła. Nic nie będzie wydobyte na światło. To my musimy zejść do podziemi. To najlepsza książka Anny Brzezińskiej. Czysty, pozbawiony choćby jednego fałszywego tonu głos. Wspaniała proza.

© WIT SZOSTAK

• *Krystyna Dąbrowska*
ŚCIEŻKI DŹWIĘKOWE
Wydawnictwo a5
Kraków 2018

Chciałam czytać te wiersze przez kilka tygodni. Nie udało się. Przeczytałam wszystkie w godzinę.

Ta poezja pełna jest wrażliwego widzenia najdrobniejszych składników rzeczywistości, tego, co się zupełnie blisko wydarza albo już się gdzieś stało, zaszemrało lub rozbłysło. Mówi, ale przede wszystkim zostawia mnóstwo ciszy. Całkiem to więc inne niż wszystko dziś.

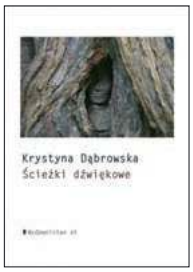

Dlatego nawet nie wiedziałam, że na tę książkę tak czekam, by choć przez chwilę spojrzeć jak „przez skrzydło ważki" na plamy światła, detale życia, całe w potokach czasu, niosących prawdziwe znaczenia. Wlewa się ona w obrazkach z przeszłości, z podróży, rysuje ostro kontury cierpienia i miłości, odsuwa się cicho i z oddali szepcze do ucha: „tylko popatrz". Czytałam te wiersze widząc klatki zatrzymanego czasu, drobne szkice, chwile, które dziś przepuszczamy w dzikim pędzie, a one są, już zaraz za nami, wpadają w nieme turbulencje i gasną. Okazuje się, że wierszem można je naprawdę zatrzymać.

© URSZULA ZAJĄCZKOWSKA

REKLAMA

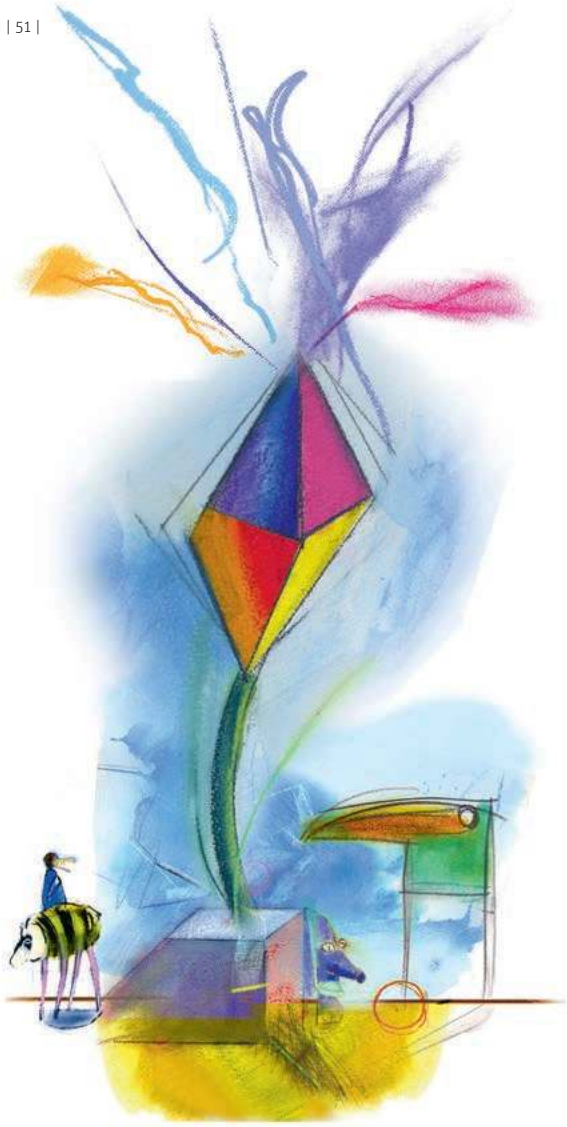

ANDRZEJ DUDZIŃSKI

Powieść spoza podium

TOMASZ FIAŁKOWSKI

Czyżby wybitny pisarz, czterokrotny finalista Nike, popełnił rzecz tak niedobrą, że nie była warta uwagi żadnego z jurorskich gremiów?

Wraz z grudniowym mrokiem nadciąga nieuchronnie widmo rankingów, podsumowań i list dziesięciu absolutnie najważniejszych książek mijającego roku. Sporządzanie takich list stało się czynnością rutynową, a nawet rytualną, choć często po paru latach o absolutnie najważniejszych książkach nikt już nie pamięta. Zdarza się też, że umieszczenie na takiej liście (i nazbyt gorące pochwały) okazuje się dla książki niedźwiedzią przysługą.

Nim przejdę do takiego właśnie przypadku – cofnijmy się nieco i spójrzmy na listy finalistów i zwycięzców najważniejszych naszych nagród literackich w roku 2018. Ograniczymy się do prozy. Najwyższe miejsce na podium zajmuje, i słusznie, Marcin Wicha i jego „Rzeczy, których nie wyrzuciłem" (Nagroda Nike, Nagroda Gombrowicza, finał Gdyni). Uderza przewaga małych form nad powieściami i powrót opowiadań. Przykłady? Paweł Sołtys i „Mikrotyki" (Nagroda Gdynia, finał Nike i Gombrowicza), Weronika Gogola i „Po trochu" (Nagroda Conrada za debiut, dwudziestka Nike), Grzegorz Bogdał i „Floryda" (finały Gdyni, Gombrowicza i Conrada). W finale Gombrowicza i finałowej siódemce Nike nie znalazła się żadna powieść, w finale Gdyni – tylko „Nieczułość" Martyny Bundy (także laureatki Gryfii), w dwudziestce Nike – Bunda oraz „Lata powyżej zera" Anny Cieplak, „Duchy Jeremiego" Roberta Rienta i „Wymazane" Michała Witkowskiego. Niespodziankę zaś sprawiło jury międzynarodowego Angelusa, nagradzając „Robinsona z Bolechowa" Macieja Płazy, choć wśród książek nominowanych była wielka (jakością, a i rozmiarami) „Pamięć" węgierskiego kandydata do Nobla, Pétera Nádasa.

Dosyć tych wyliczanek. Zaraz, zaraz – ale przecież pod koniec zeszłego roku ukazała się jeszcze jedna polska powieść, „Miłość" Ignacego Karpowicza. Czyżby wybitny pisarz, czterokrotny finalista Nike (za „Gesty", „Balladyny i romanse", „Ości" i „Sońkę"), popełnił rzecz tak niedobrą, że nie była warta uwagi żadnego z jurorskich gremiów? Czyżby rację miała Karolina Felberg-Sendecka pisząc w „Kulturze Liberalnej", że to „jedna z najsłabszych książek Karpowicza... powieść w kilku miejscach pęknięta, a przy tym byle jak zszyta, kwestionująca samą siebie w najbardziej fundamentalnych sprawach"? A jeśli jednak bliższy prawdy był Przemysław Czapliński, który w świetnym szkicu na łamach „Dwutygodnika" uznał „Miłość" za „powieść, która ma posłużyć odnowieniu języka literatury"? Co wtedy?

Jeszcze zdanie z recenzji Felberg-Sendeckiej: „Pewnie bym o niej [tj. „Miłości"] nie pisała, gdyby nie ta nieszczęsna nominacja do top-listy czasopisma, które chciałoby być opiniotwórcze". Czasopismo to „Książki. Magazyn do czytania", gdzie „Miłość" obwołano jedną z książek roku jeszcze przed jej pojawieniem się w księgarniach. Pomysł był taki sobie, no i skutki okazały się odwrotne od zamierzonych: zamiast rozmawiać o literaturze, można już teraz było skupić się na tym, kto z kim jest związany i kto kogo kiedy porzucił, albo (to trochę lepiej) na etycznej ocenie promowania przez pismo swoich współpracowników. Pamiętam też dosyć absur-

dalną rozmowę w TVP Kultura, w której jeden z uczestników oświadczył, że nie przeczytał powieści, bo życie prywatne autora go nie interesuje. Podejrzewam więc, że niektórzy jurorzy potraktowali w tym roku „Miłość" jak niebezpieczny ładunek, którego lepiej nie ruszać, bo a nuż wybuchnie.

Przypomnijmy: „Miłość" to powieściowy eksperyment, trzy odrębne części utrzymane w różnych konwencjach i stylistykach (choć nie brak między nimi czytelnych nawiązań), przeplecione pierwszoosobową narracją, niewątpliwie autobiograficzną. Temat przewodni to inność seksualna – skrywana, nieakceptowana, wyparta, prześladowana. Część pierwsza, „Piękno", nawiązuje do fragmentu biografii Jarosława Iwaszkiewicza, choć nie jest ani pastiszem jego prozy, ani rekonstrukcją wydarzeń, dwór w Stokroci nie do końca jest Stawiskiem, a najważniejszą postacią okazuje się Anna, żona Jarosława. Część druga, „Dobro", to ponura dystopia dziejąca się w przyszłej Polsce rządzonej przez Prawo i Swobodę („wygrywało wybory, odkąd pamiętam, ponieważ ich oferta dla obywateli była bezkonkurencyjna i najdogodniejsza do akceptacji"), w której przeszłość poddana została orwellowskiej korekcie. Totalitarny system, wsparty przez Autokefaliczny Kościół Katolicki, ufundowany jest niejako na homofobii. Część trzecia wreszcie, „Prawda", utrzymana w przerysowanej wręcz konwencji baśni, opowiada o miłości księcia Zbyszka i jego poddanego z ludu.

Sięgnijmy jeszcze raz do Czaplińskiego: „»Miłość«, ze wszystkimi swoimi niedoskonałościami i niedoróbkami, to powieściowy gest odnowy. Pisarz sięgnął do realizmu psychologicznego, do antyutopii i do baśni, wskazując w ten sposób na gatunki do odzyskania – swoiste formy pierwsze. Wszystkie one stawiają pisarza przed koniecznością przedzierania się przez język do prawd elementarnych. Intymność w realizmie psychologicznym, skryta pod powierzchnią normalności struktura władzy w antyutopii, wierność w baśni – oto one".

Cytuję ten świetny tekst, bo kiedy się przegląda większość recenzji „Miłości", uderza ich miałkość i bezradność. Zwykle ograniczają się do „podoba się" albo (częściej) „nie podoba" i do dobrych rad wobec autora: lepiej by zrobił, rozwijając którąś z części (raz tę, raz inną) w osobną całość, styl by poprawił tu i tam, dziwności wyeliminował. Jednego zachwyciło „Piękno", ale „Dobro" zupełnie nie – innych odwrotnie. Niemal nikt nie próbuje przeanalizować relacji pomiędzy elementami tego dziwnego mechanizmu, jaki zbudował Karpowicz. Powieść „byle jak zszyta"? Na pewno? No i nikt nie stawia prostego pytania: jeśli pisarz dosyć powszechnie uznany za wyjątkowo sprawnego stylistę stosuje dysonanse i chropawości, o które czytelnik się potyka – to może taki właśnie był jego cel i należałoby pomyśleć, czemu ten cel służy? I dlaczego Karpowicz wpadł na dziwny pomysł wskrzeszenia słów wielkich, a tym samym wytartych? Ironia do kwadratu czy wręcz przeciwnie? A może próba wyzwolenia, figura tego, czego ze swoim życiem dokonuje narrator „tkanki łączącej" realistyczno-futurystyczno-baśniową trylogię? Tylko pytam. ©℗

REKLAMA

Nowości wydawnicze Międzynarodowego Centrum Kultury z Krakowa

Jiří Gruša „Czechy. Instrukcja obsługi"

„Czechy. Instrukcja obsługi" – to wyjątkowy przewodnik po czeskiej historii, mitach i legendach, ciemnych stronach przeszłości tego kraju, kompleksach, „trupach w szafie" i zdarzeniach, o których dziś – mimo wolności słowa – mówi się tam raczej niechętnie. Jego autorem jest Jiří Gruša (1938–2011) – rzadko tłumaczony na polski jeden z największych czeskich pisarzy XX wieku. Autorem tłumaczenia książki jest Andrzej S. Jagodziński.

„Zwierzyniec. Okazy wybrane"

Ponad 200 dzieł sztuki i obiektów rzemiosła artystycznego wraz z napisanymi specjalnie do nich tekstami złożyło się na jedyny w swoim rodzaju zbiór opowieści o zwierzętach. Obrazy i słowa tworzą w nim nierozerwalną całość, która zaskakuje, bawi i wzrusza, a przy tym w niepowtarzalny sposób zapoznaje czytelników z bogactwem i różnorodnością polskiego dziedzictwa artystycznego. Publikacja dla dzieci w wieku od sześciu do ośmiu lat. Współwydawcą książki jest Wydawnictwo Dwie Siostry. Książka została przygotowana z okazji Europejskiego Roku Dziedzictwa Kulturowego 2018.

Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: www.mck.krakow.pl/ksiegarnia

W poszukiwaniu przećpanego czasu

MICHAŁ SOWIŃSKI

Odarty z własnych wspomnień, Strachota rusza po nową, bardziej konkretną kolekcję wrażeń. Nie jest jednak kolekcjonerem tanich zachwytów.

Co zrobić, gdy pamięć, ta najintymniejsza przestrzeń, w której chronimy się przed atakującym zewsząd lękiem i niepokojem, została bezpowrotnie utracona? Gdy przez lata systematycznie była karmiona najgorszej jakości erzacem, który teraz rozpada się w rękach? (Zakładając oczywiście, że kiedykolwiek istniała ot tak, na wyciągnięcie ręki). Można szukać ratunku w protezie, zewnętrznym nośniku pamięci, który choćby częściowo stworzy symulację przeszłych doświadczeń. Oczywistym wyborem w takiej sytuacji jest literatura.

Mniej oczywistym może być stary i mocno poprzecierany przewodnik po egzotycznych prowincjach Związku Radzieckiego. A jednak bohater kolejnej już autobiograficznej powieści Strachoty decyduje właśnie w ten sposób podjąć próbę rekonstrukcji czasu i wspomnień, które utracił przez lata uzależnienia od alkoholu i xanaksu. Aby jednak lepiej zrozumieć miejsce, w którym znajduje się po trzech latach odwyku, warto sięgnąć po wydany trzy lata temu „Relaks amerykański". W tej przejmującej książce opowiada o nakręcającej się spirali paranoi i kłamstw (przede wszystkim kierowanych wobec siebie samego), a także zalegalizowanej przez prawo i społeczeństwo patologii – siatki dilerów dla niepoznaki przebranych w białe fartuchy i przyjmujących swoich regularnych klientów w drogich klinikach.

A zatem ilustrowany przewodnik po ZSRR. Przypomina on coś, jak zresztą bardzo wiele innych rzeczy, naszemu bohaterowi, choć nie potrafi tej myśli ostatecznie przyszpilić. Zresztą wszystko, co dotyczy przeszłości, pozostaje tu w mglistej i ulotnej przestrzeni – tam, gdzie trafiają sny zaraz po przebudzeniu. Trzeba zatem ruszyć w podróż, aby zebrać kolekcję nowych, bardziej konkretnych wrażeń. Szkieletem wyprawy są kolejne zdjęcia z przewodnika, przedstawiające egzotyczno-orientalne albo monumentalno-modernistyczne budowle byłego imperium. Zaliczając kolejne symbole potęgi kraju, którego już dawno nie ma, tytułowy polski turysta odbywa jednocześnie inną, ważniejszą podróż.

Oczywiście nie chodzi o żadne zagłębianie się w siebie – po pierwsze dlatego, że Strachota jest jednym z najciekawszych i najoryginalniejszych współczesnych polskich prozaików (choć wciąż mocno niedocenianym), po drugie, owo wnętrze w tym konkretnym wypadku zostało skutecznie ogołocone ze wszystkich ciekawszych elementów już dawno temu. Z tego samego powodu niemożliwe jest uprawianie pornonostalgii – być może jedynym pozytywnym efektem wieloletniego uzależnienia jest skuteczne zaszczepienie się przeciwko wirusowi sentymentalizmu.

Jedyne co pozostaje, to ucieczka do przodu, a raczej nieco po skosie, drogą krętą i nieoczywistą, na końcu której wcale nie czekają proste odpowiedzi i łatwe satysfakcje. Strachota nie jest bowiem podróżnikiem w stylu gonzo – nie raczy nas na każdym kroku „ruskimi hardcorami" albo swoimi mniej lub bardziej dopracowanymi refleksjami natury ogólnej. Nie jest też kolekcjonerem łatwych i tanich zachwytów, które potem można na kilogramy konsumować w domowym zaciszu niczym mandarynki w okresie przedświątecznym.

> Jedyne, co pozostaje, to ucieczka do przodu, a raczej nieco po skosie, drogą krętą i nieoczywistą, na końcu której wcale nie czekają proste odpowiedzi i łatwe satysfakcje.

Jego podróże zawsze są trochę nieudane, ale nie w ten fajny, przygodowy sposób: a to nie ma ciepłej wody, a to ogrzewania, czasem spóźni się na pociąg albo busik, a napotkani ludzie okazują się często burkliwymi dziwakami, o których nie da się napisać zręcznego posta na 150 lajków, bo już w połowie akapitu historyjka rozłazi się w szwach.

I to chyba jest najciekawsze – w świecie postępującej w szaleńczym tempie inflacji wrażeń, na którą najróżniejsi twórcy próbują odpowiedzieć zwiększeniem produkcji afektów, Strachota robi krok wstecz. Nie obiecuje nam niczego konkretnego i konsekwentnie dotrzymuje słowa. Jego proza, a „Turysta polski w ZSRR" jest tego najlepszym przykładem, zbudowana jest na bardzo subtelnej wrażliwości, niemalże medytacyjnym podejściu do świata. Jednak z tego chwilowego zawieszenia, z tej tymczasowej wyrwy w rzeczywistości nie wysącza nam się podstępnie żadna lepka metafizyka. To raczej moment spokoju, w którym można pokontemplować chłodne wrześniowe światło i pełzający pod blokiem cień. Chwila wytchnienia w dalszych poszukiwaniach zagubionego dawno temu czasu. ©℗

• *Juliusz Strachota*
POLSKI TURYSTA W ZSRR
Korporacja Ha!art
Kraków 2018

REKLAMA

„Przepiękna opowieść o ludzkiej obsesji na punkcie gór”

Filip Springer

„Dlaczego ludzie chodzą w góry? Macfarlane udziela o wiele bardziej erudycyjnej i zniuansowanej odpowiedzi od wyświechtanego „Bo są”. Jest tu miejsce na szacunek, podziw i pożądanie, ale też lęk i przerażenie. Na bujanie w obłokach i twarde stąpanie po ziemi. Krytycy odebrali „Góry. Stan umysłu” jako list miłosny, choć w rzeczywistości to czułe pożegnanie z poważną wspinaczką.”

Adam Robiński

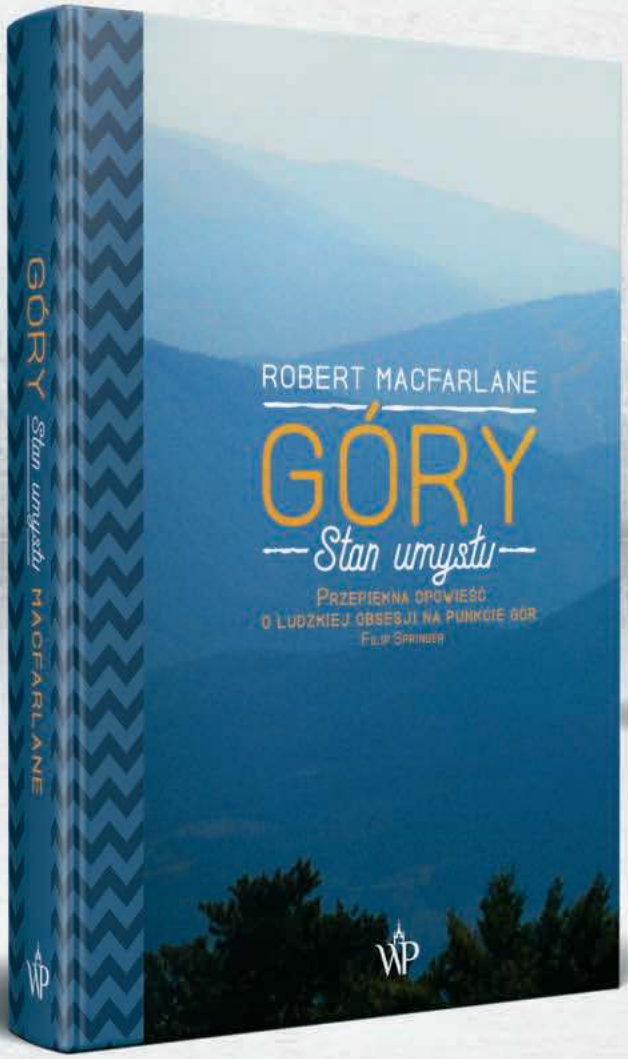

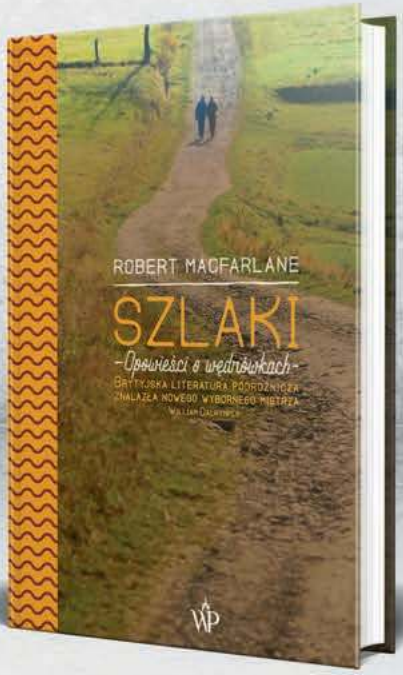

WP
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Ostrza ironii, granice języka

MONIKA OCHĘDOWSKA

Wszystkim bohaterom książki Perloff towarzyszy poczucie osobności, wynikające nie tylko z zamieszkiwania austro-węgierskich rubieży, ale także wielojęzyczności i niejednoznaczności własnego pochodzenia.

Zbiór szkiców Marjorie Perloff, jednej z najważniejszych krytyczek amerykańskich, to niezwykle osobista lektura rozmaitych gatunkowo tekstów sześciu pisarzy, których łączy fundamentalne doświadczenie rozpadu monarchii austro-węgierskiej. To książka osobista z co najmniej trzech powodów. Przede wszystkim Perloff wydobywa omawiane teksty – w tym m.in. pamiętniki Canettiego, powieści Rotha czy miłosne wiersze Celana – z tradycyjnego kontekstu kulturowego, by udowodnić, że lektura, nawet tak bardzo uwikłanych w historię pisarzy, nie musi być podporządkowana jakiejkolwiek ortodoksji. Na przekór skostniałym, klasycznym odczytaniom i pośród wielu wykluczających się tropów autorka „Ostrza ironii" próbuje odnaleźć zupełnie świeżą, choć racjonalną i hermeneutyczną, schodzącą często w głąb języka i słowa, interpretację. Perloff udowadnia, że tradycja nie jest i nie musi być czymś spójnym. Szczególnie gdy próbujemy odczytać teksty takich prowincjuszy jak Roth, Celan czy Canetti – z interesujących Perloff autorów tylko Wittgenstein urodził się w Wiedniu.

Wszystkim bohaterom „Ostrza ironii" towarzyszy poczucie osobności, które wynika nie tylko z faktu zamieszkiwania austro-węgierskich rubieży, ale także świadomości niejednoznaczności własnego pochodzenia i posiadania wielu ojczystych języków. Autorzy, którymi zajmuje się Perloff, bardzo wcześnie rozpoczynają naukę języków obcych, bezpowrotnie tracąc ten, w którym wypowiadali swoje pierwsze słowa. Próby „ocalenia języka" wiążą się ze skrywaniem odmienności, obroną nieuchwytnej tożsamości, co szczególnie mocno ujawnia się w omawianej tu autobiograficznej prozie Canettiego. Z czasem ta nieuchwytność i fragmentaryczność staną się znakiem rozpoznawczym wszystkich austromodernistów, a wszelka finalność i domknięcie uznane będą za sprzeczne z istotą dzieła.

Perloff na krótki moment lektury odsuwa tradycję, choć nigdy całkiem jej nie odrzuca. Ogólna niechęć do podporządkowania się ortodoksjom wynika również z tego, że dotykająca bohaterów historia bezpośrednio naznaczyła także losy jej rodziny. Poniekąd podwójnie. „Ostrze ironii" to książka pisana w cieniu straty – na kilka miesięcy przed jej ukończeniem Perloff traci męża. Jego komentarze, pisze autorka, wciąż widnieją na marginesach wertowanych egzemplarzy Rotha, Canettiego i Wittgensteina.

Lektura jest zatem u Perloff zarazem czytaniem odwołującym się do prywatnej, rodzinnej historii, jak i rozszyfrowaniem zamazanych marginesów, co ujawnia się szczególnie na tak wrażliwym materiale, jakim jest liryka miłosna. Fragmentaryczność, intymna efemeryczność korespondencji Ingeborg Bachmann i Paula Celana, którą Perloff rozkłada na czynniki pierwsze, sylaby czy morfemy, stawia czytelnika w podwójnej roli chciwego wojerysty – wobec autora i wobec narzędzi krytyki. Korespondencja kochanków zawiera obszary milczenia i charakterystyczne niedomówienia. Wiersze Celana dedykowane Bachmann bywają szkicowe, jakby uszkodzone czy wręcz celowo zepsute. A jednocześnie erotyczne, choć ostentacyjnie bezcielesne. Poeta nie definiuje, nie formułuje twierdzeń. A mimo to Perloff udaje się krok za krokiem wyłuskać z tej poezji niezwykłą sugestywność, narracyjność i brzemienność w sensy. Ale przede wszystkim jej warsztat krytyczny udowadnia, że czytanie Celana ma również swój dotkliwy, bo naznaczony utratą rodziny i języka, ciężar. „Jak przetłumaczył pan Heimat?" – czytamy we wstępie do rozdziału poświęconego ostatniemu habsburskiemu poecie. „Heimat to słowo nieprzetłumaczalne. I czy coś takiego w ogóle istnieje? To ludzki wymysł, iluzja" – odpowiada.

Literaturę austriacką cechuje głęboka, bliska cynizmowi ironia, wynikająca z całkowitej utraty złudzeń, oraz nostalgia za ukochaną, bezpowrotnie utraconą kulturą. W twórczości autorów, którym poświęciła swoją książkę Perloff, wiele jest zatem rzeczy groteskowych, kuriozalnych, które zyskają kiedyś kulminację w twórczości Thomasa Bernharda czy Elfriede Jelinek. Literatura austriacka, przekonuje Perloff, może przy tym śmiało konkurować choćby z modernizmem francuskim czy anglo-amerykańskim (to właśnie głównie z myślą o amerykańskim czytelniku została przygotowana książka), z którego zaczerpnęła swoje normy i paradygmaty, obudowując je w żydowski dowcip i filozofię. ©℗

Literaturę austriacką cechuje głęboka, bliska cynizmowi ironia, wynikająca z całkowitej utraty złudzeń, oraz nostalgia za ukochaną, bezpowrotnie utraconą kulturą.

• *Marjorie Perloff*
OSTRZE IRONII. MODERNIZM W CIENIU MONARCHII HABSBURSKIEJ
przeł. Maciej Płaza
Ossolineum
Wrocław 2018

Czesi pod specjalnym nadzorem

ALEKSANDRA WOJTASZEK

Jiří Gruša z poczuciem humoru oraz ironicznym dystansem wobec świata i własnego narodu przenicowuje większość naszych wyobrażeń o południowych sąsiadach.

Biada nieostrożnemu czytelnikowi, który da się zwieść słowu „instrukcja" w tytule niezwykłego przewodnika po Czechach autorstwa Jiřiego Grušy. Ta wędrówka po meandrach czeskiej świadomości, historii, literatury czy kuchni niewiele ma bowiem wspólnego ze zbiorem wskazówek dla początkujących amatorów czeskiego piwa i knedlików. To zbiór erudycyjnych esejów, wymagający od odbiorcy sporej wiedzy o kulturze i dziejach środkowej Europy. Zaludnia go plejada wyjątkowych bohaterów, zaczerpniętych z czeskiej historii, mitologii i kultury – sławni pisarze, z ojcem Szwejka, czyli Jaroslavem Haškiem na czele. A obok niego królowie, katoliccy święci i husyccy heretycy, praska *femme fatale* i jej przyjaciel Franz K. i wielu innych.

Tych, którzy zostali wyniesieni na czeski czy europejski piedestał, Gruša demitologizuje, pokazując ich od nieoczywistej strony. Jednocześnie domaga się poświęcenia należnej uwagi cichym, ale prawdziwym bohaterom tego pagórkowatego zakątka Europy. Jak choćby zapomniany poeta, którego wersami zachwycał się Goethe, choć nie miał pojęcia o ich autorze – Josef Linda. Oprócz tego był on również sprawcą jednego z najsłynniejszych literackich fałszerstw, dzięki któremu Czesi wraz z legendarną księżniczką Libuszą otrzymali potrzebne fundamenty pod historyczność czeskiego języka i historii. Autor nietypowego przewodnika umie jak nikt na świecie stawiać pytania – nic więc dziwnego, że nawet Rumcajs opowiada istotną prawdę o elementach zbiorowej świadomości narodu, który go stworzył.

Jiří Gruša, choć wciąż słabo znany w Polsce, jest jednym z najważniejszych czeskich pisarzy i poetów XX wieku. W książce „Czechy. Instrukcja obsługi" z poczuciem humoru oraz ironicznym dystansem wobec świata i własnego narodu (w tej kwestii autor wyjątkowo wpisuje się w powszechnie panujący na świecie stereotyp o Czechach) przenicowuje większość naszych wyobrażeń o południowych sąsiadach. To kolejny paradoks, bo sam deklaruje pochwałę stereotypów, jest jednak zbyt uważnym obserwatorem, aby na nich poprzestawać. Nieustannie, z szelmowskim uśmiechem, wyprowadza czytelników na manowce, wierząc, że jeśli prawdziwie dzielą z nim pasję i zrozumienie dla europejskiej i czeskiej kultury, odnajdą drogę powrotną. Swoich rodaków także nie oszczędza, przypominając im mniej chlubne epizody własnej historii, o których dziś nie chce się tam pamiętać. Ma przy tym do swojego narodu wiele sympatii: „oczywiście, że ich lubię, tych Czechów z Czech. Choćby dlatego, że sami się lubią".

Eseje Grušy to także niezwykły hołd oddany językowi. Poeta z czułością przygląda się daszkom i pałeczkom nadającym jego ukochanej czeszczyźnie niezwykłe brzmienie. Zanurzony jednocześnie w czeskiej i niemieckiej kulturze (książka pierwotnie powstała na zamówienie wydawnictwa z Monachium) bawi się przy tym w kreatywne językoznawstwo, odnajdując nieoczekiwane sensy codziennych słów (z czym brawurowo radzi sobie doświadczony bohemista i tłumacz Andrzej S. Jagodziński). W takim towarzystwie warto pokusić się na tę przechadzkę – bardziej jednak literacką niż jakąkolwiek inną. ©

Eseje Grušy to niezwykły hołd oddany językowi. Poeta z czułością przygląda się daszkom i pałeczkom nadającym jego ukochanej czeszczyźnie niezwykłe brzmienie.

• *Jiří Gruša*
CZECHY. INSTRUKCJA OBSŁUGI
przeł. Andrzej S. Jagodziński
Międzynarodowe Centrum Kultury
Kraków 2018

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**
faniMani.pl

Z innej strony

KATARZYNA TRZECIAK

Machado tworzy formy literackie, które pozwalają lepiej opowiedzieć o kobiecych doświadczeniach. Nie sposób ich ograniczyć ani do jednego typu opowieści, ani do jednego modelu społecznej obecności.

Zanim Carmen Maria Machado opublikowała swój prozatorski debiut, czyli zbiór opowiadań „Jej ciało i inne strony", zajmowała się głównie krytyką literacką. W jednym z tekstów poświęconym biografii Shirley Jackson autorstwa Ruth Franklin, Machado podjęła problem tłumienia kobiecego głosu, tak literackiego, jak i krytycznego. Okazji dostarczył blurb Neila Gaimana umieszczony na okładce książki Franklin. W swojej rekomendacji znany pisarz użył tytułu książki krytyczki literackiej Joanny Russ. Jednak nie tylko pominął samą autorkę, ale również przekręcił tytuł jej tekstu. Niezamierzona (miejmy nadzieję) ironia polegała na tym, że wypowiedź Gaimana sama w sobie miała być przestrogą przed dyskredytowaniem kobiecej literatury – co nie wypaliło w spektakularny sposób.

Można mieć zastrzeżenia, czy amerykańska pisarka, upominając się o precyzję w tekście na 200 znaków, nie przeszacowuje możliwości tego gatunku. Z drugiej jednak strony Machado dostrzega w komentarzu Neila Gaimana pewną symptomatyczną praktykę. Chodzi o przerywanie ciągłości w historiach postaci, które przez kolejne generacje odkrywane są jako wyjątki – niezwykłe indywidualności, heroicznie przypominane i wydobywane z marginesów kanonu. Na to wskazywała Russ, gdy w eseju „How to Suppress Women's Writing" z 1983 r. tworzyła genealogie kobiecych postaci, tekstów, wspólnot i relacji. Opisywane przez nią autorki regularnie wyrywano ze skomplikowanej siatki kontekstów, aby później ułożyć ich biografie w pojedyncze mity pisarek indywidualnych, tworzących w oderwaniu od jakiejkolwiek wspólnoty czy ciągłości z historiami innych kobiet. Tak o eseju Joanny Russ pisała obszernie cytowana przez Machado Brit Mandelo, a i sama konstrukcja jej szkicu – cytowanie wypowiedzi innych, eksponowanie literackiej obecności pominiętej przez Gaimana autorki, umieszczanie jej w złożonych układach – jest gestem przeciwko mitowi jednostkowości, działaniem na rzecz historycznej ciągłości i wspólnoty.

Gest ten Machado powtarza również w debiutanckim zbiorze opowiadań. Każdy z zawartych w nim tekstów jest historią o wielopoziomowych relacjach: związkach, zależnościach i formach zaangażowania, które dla kobiecych bohaterek bywają okrutne i toksyczne, ale jednocześnie stanowią płaszczyznę, na której rozgrywają się ich losy. Światy kobiecych bohaterek łączy więc fundamentalna zasada prekarności, rozumianej jako zależność człowieka od otaczającego go świata, na który nie ma większego wpływu. Machado nie snuje fantazji o emancypujących się jednostkach, ale próbuje odtworzyć faktyczne i potencjalne siatki społecznych powiązań. Dzięki tym opowieściom możliwe stają się nowe relacje, inne od tych panujących w heteronormatywnych społeczeństwach.

W tym celu szczególnie pomocna okazuje się literatura z jej wielogatunkowością. To bowiem różnorodność stylu i konwencji pozwala na wypowiadanie fantazji, aktualizowanie baśni, scenariuszy dystopijnych, gotyckiej wyobraźni i na wskroś teraźniejszego medialnego melanżu. Dzięki tym nieoczywistym połączeniom Machado tworzy formy literackie, które pozwalają lepiej opowiedzieć o kobiecych doświadczeniach. Nie sposób ich ograniczyć ani do jednego typu opowieści, ani do jednego modelu społecznej obecności.

„Jej ciało i inne strony" zbiera historie różnych związków i sposobów nawiązywania relacji – małżeńskich, macierzyńskich, przyjacielskich, które mogą mieścić się w konwencjonalnie aprobowanych schematach, mogą też całkowicie je przekraczać i przeobrażać. Kobiece ciała są w tych historiach dyscyplinowane, ale bywają też źródłem przyjemności. Podobnie jak osobliwe legendy, z których za pomocą literatury wydobywane są genealogie najróżniejszych doświadczeń. Na tym właśnie polega niezwykłość prozy Machado – jej literatura nie zatrzymuje się wyłącznie na poziomie diagnozy świata, w którym kobiecy głos jest pacyfikowany, a ciało zarządzane. Schodzi głębiej i pokazuje, że pisarstwo zbudowane na różnorodnej wyobraźni nie tylko daje schronienie zmarginalizowanym formom życia, ale ma też moc przekształcania rzeczywistości. Rzeczywistości, która nie jest sumą pojedynczych, spektakularnych działań, ale siecią powiązań, do których adaptujemy się lub je odrzucamy; powiązań okrutnych, ale i niosących różne formy rozkoszy. Wywrotowość debiutu Machado polega nie tyle na fantazji o niezależności, ile na ciągłym poszerzaniu tego, co widzialne. ©

Pisarstwo zbudowane na różnorodnej wyobraźni nie tylko daje schronienie zmarginalizowanym formom życia, ale ma też moc przekształcania rzeczywistości.

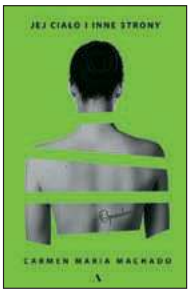

• *Carmen Maria Machado*
JEJ CIAŁO I INNE STRONY
przeł. Dobromiła Jankowska
Agora S.A.
Warszawa 2018

REKLAMA

Turlamy świąteczne prezenty!

Na podwórko Reksia spadły pierwsze płatki puszystego śniegu. Czas na zimowe zabawy.

Papilon
Wydawnictwo Papilon
papilon_wydawnictwo

Bo ktoś inny to ktoś wyjątkowy. Poznajcie dzieci z różnych zakątków świata.

Centrum Edukacji Dziecięcej
centrum_edukacji_dziecięcej

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

REKLAMA

MUZEUM PANA TADEUSZA OSSOLINEUM

Prawem naszym – zmartwychwstanie

wystawa

Muzeum Pana Tadeusza
Zakładu Narodowego im. Ossolińskich
Rynek 6, Wrocław
11 grudnia 2018 – 24 marca 2019

wtorek – piątek 9.00 – 17.00
sobota – niedziela 10.00 – 18.00

niepodległa

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

OSSOLINEUM Zakład Narodowy im. Ossolińskich

MUZEUM PANA TADEUSZA OSSOLINEUM

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2022.

Patroni medialni:

Wyborcza · Ale Historia · Gazeta Wrocławska · naszemiasto.pl · Radio Wrocław · Radio ram · Radio Wrocław Kultura · O.pl · Wroclife

Mit w sensie ścisłym

PAWEŁ BRAVO

Strukturalistyczne tabelki? Nie daj Boże! Jakiś wzór? Nie, to nie dla nas! No, chyba że przyjdzie Napiórkowski i opowie coś, co od początku wciąga jak kryminał.

Globalne ocieplenie to mit? Tak twierdzi Marcin Napiórkowski w wydanej właśnie „Mitologii współczesnej". Czytelnicy „Tygodnika" przyzwyczajeni, że nasz autor lubi wykręcać czasem rękę banalnym wywodom tak, że nagle kuszą nas siłą paradoksu, mogą jednak w tym miejscu powiedzieć „stop". Co innego rozmowa o turbosłowiańskich bajkach o Lechitach, a co innego kpina z tego, że zaraz nam się tu niebo zwali na ziemię, a wody wystąpią z brzegów i potopią tych, którzy nie posłuchali głosu naukowców wołających na puszczy...

Nie, Napiórkowski nie przeszedł na stronę negacjonistów. Po prostu używa słowa „mit" w jego ścisłym i znacznie ciekawszym znaczeniu niż to potoczne: „fałszywa opowieść, bzdura". Jest on obecnie najważniejszym stróżem tego znaczenia w tzw. dyskursie medialnym, czyli tam, gdzie gotowi na pewien wysiłek poznawczy laicy spotykają się z badaczami zdolnymi im przekazać jak najwięcej ze swej metody oraz owoców, jakie dzięki niej udaje się osiągnąć.

Jest to w polskich realiach obszar słabo zaludniony, mało kiedy spotyka się na nim pióra zdolne finezyjnym podstępem podprowadzić ku rozważaniom, które na pierwszy rzut oka mogłyby nas zrazić tzw. fachowością. Strukturalistyczne tabelki? Nie daj Boże! Jakiś wzór? Nie, to nie dla nas! No, chyba że przyjdzie Napiórkowski i opowie coś, co od początku wciąga jak kryminał.

Mit w jego perspektywie to nie tyle opowieść (a tym bardziej opowieść „fałszywa"), ile swego rodzaju maszynka do produkcji znaczeń, bowiem żeby sobie poradzić jako ludzie, musimy przede wszystkim poubierać wszystko w sensy. Jak powiada uczenie acz klarownie Napiórkowski: „mitologia rodzi się na styku złożoności świata i jednostkowego horyzontu rozumienia".

A zatem globalne ocieplenie jest mitem. „To, czy opowieść w sensie logicznym jest prawdziwa czy nie, w ogóle tu nie ma znaczenia. Historia o topniejących lodowcach i zagładzie cywilizacji jest mitem ze względu na funkcję, jaką pełni we współczesnym społeczeństwie: objaśnia nieznane przy użyciu znanego, posługując się przy tym kulturowo ugruntowanymi i łatwymi do poznania archetypami i toposami..." – pisze Napiórkowski. I jeszcze dalej: „może pełnić funkcję punktu odniesienia, względem którego oceniamy (...) swoje codzienne wybory czy decyzje polityków". Tym lepiej, bo skala wyrzeczeń i zmian w obyczajach, jaką próbują nam narzucić eksperci, jest tak znaczna, że bez dużego poczucia Sensu przez wielkie S nie uda się jej uczynić. Podobnie jak wiele innych czynności, w rodzaju segregowania śmieci. Jest ono na tyle niezrozumiałe na poziomie osiedlowego śmietnika, że trzeba je ująć w większą ramę narracyjną, żeby człowiekowi się chciało odkładać butelki do osobnego kubła.

Po zdjęciu z nich nakrętek, te zbieramy osobno gdyż... I tu znów Napiórkowski spada na naszą pełną dobrych intencji głowę z siłą pikującego sokoła i dowodzi, że kolejny drobny rytuał wielkomiejskich Polaków nie ma żadnego „sensu" ekonomicznie (logistyka zbierania jest nieraz droższa od wartości pieniężnej plastiku). Jednak robimy to z powodów ukrytych głęboko w zbiorowej podświadomości – nie tylko dlatego, że chcemy działać „dobrze", lecz także dlatego, że odkupujemy w ten sposób część poczucia winy za udział w wielkokapitalistycznym projekcie totalnego obiegu towarów.

I tak dalej – mit jako praktyka nadawania znaczenia daje się wytropić Napiórkowskiemu w kolejnych, bardzo typowych dla współczesności zachowaniach i rytuałach, także tych z pozoru „poważniejszych" niż nakrętki, chociaż dla prawdziwego badacza nie ma czegoś takiego jak nie dość poważny przedmiot badania. To my nadajemy śmieszne hierarchie poważności, choćby dlatego, żeby uchronić się przed możliwością, że ktoś na nas samych spojrzy jak na ludzi niekoniecznie aż tak racjonalnych, za jakich chcemy uchodzić.

To jest zresztą największa zasługa Napiórkowskiego w tej książce: skutecznie i na wiele sposobów, krytycznie czytając i objaśniając nam swych strukturalistycznych mistrzów, dowodzi, że chętnie przypisujemy „dzikim" logikę mityczną, lecz z niechęcią rozpoznajemy ją u siebie samych. Po lekturze tej książki będzie o wiele trudniej to wyprzeć. Ale zresztą po co? To taka frajda być rozebranym na części przez Marcina Napiórkowskiego. ©℗

> Mit jako praktyka nadawania znaczenia daje się wytropić Napiórkowskiemu w typowych dla współczesności zachowaniach i rytuałach.

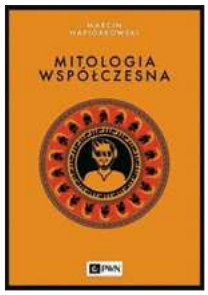

• *Marcin Napiórkowski*
MITOLOGIA WSPÓŁCZESNA
PWN, Warszawa 2018

REKLAMA

Kraków

UNESCO

United Nations
Educational, Scientific and
Cultural Organization

KRAKOW
UNESCO CITY
OF LITERATURE

Member of the UNESCO
Creative Cities Network
since 2013

5 lat z tytułem Miasta Literatury UNESCO

KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Operator of the UNESCO
City of Literature Programme

kbf ★ KRAKOW UNESCO CITY OF LITERATURE miastoliteratury.pl 365 Miłosz Festival CONRAD FESTIVAL

Książki w pigułce

Polska grubą kreską

Próba odpowiedzi na pytanie „czym jest Polska?" to najważniejszy w Polsce spór narodowy. Choć pretendentów do roli mistrza jest wielu, Robert Lewandowski może być tylko jeden i na imię ma Bolesław Chromry. Jego czwarta już książka przy pomocy dobrze już wszystkim znanej grubej i nierównej kreski nakreśla nasz wspólny, tak bardzo potrzebny fundament narodowy.
Leksykon rysownika/poety informuje nas między innymi o tym, kogo z rodaków warto znać (np. Ziemowita Szczerka, Gabriela Fleszara czy Ewę Minge), jakie są najważniejsze narodowe przysłowia („Przeprowadzam się do Berlina", „No jedz, kurczak to nie mięso"), a także praktyczne porady – kim nie być w Polsce (na przykład „tobą" albo „pacjentem SOR-u"). Chromry po raz kolejny dzieli się swoimi notatkami z wyprawy w głąb naszej zbiorowej nieświadomości, udowadniając, że nie tyle widzi więcej niż my, ile po prostu robi to lepiej.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

▪ *Bolesław Chromry*
ELEMENTARZ POLSKI DLA POLAKA I POLKI Z POLSKI
Korporacja Ha!art
Kraków 2018

Opowieści z pogranicza

Pogranicza to miejsca niezwykłe, które od zawsze przyciągały ludzi nieco inaczej patrzących na świat – jakby linie arbitralnie wyznaczone na mapie kusiły jakąś metafizyczną zagadką. Nic dziwnego, w miejscach, gdzie coś się kończy, a coś innego zaczyna, rzeczywistość jest pociągająco rozrzedzona i niedoformowana, co w oczywisty sposób sprzyja tworzeniu opowieści. To właśnie takie miejsce – na pograniczu Bułgarii, Grecji i Turcji, skusiło bułgarską poetkę i pisarkę, która od lat mieszka w Szkocji. Jej „Granica" to galeria niezwykłych postaci i historii zebranych podczas wędrówek po tym niewiarygodnym skrawku Europy, który od tysiącleci pełni funkcję granicy – zmieniają się tylko rozdzielane przez nią imperia. Z jednej strony oniryczne przenikanie się Europy i Azji, z drugiej krwawa polityka. W takich miejscach wystarczy uważnie wytężyć wzrok i słuch, a historie posypią się zewsząd. Czasem trudno je unieść.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

▪ *Kapka Kassabova*
GRANICA. NA KRAWĘDZI EUROPY
przeł. Maciej Kositorny
Czarne, Wołowiec 2019

Ten sam modernizm

Polski przekład książki Djuny Barnes z 1936 r. trzeba określić mianem literackiego wydarzenia. Nie po to jednak, by dowodzić zapóźnienia polskiego rynku wydawniczego, który tak długo pomijał uznaną pisarkę. W przypadku Barnes trudno bowiem mówić o uniwersalnym uznaniu. „Ostępy nocy" nadawały się świetnie, gdy trzeba było przywołać tradycję literatury lesbijskiej, ale konsekwencje klasyfikującej etykiety lokowały ją na marginesie modernistycznego pisarstwa. A jednak świat Barnes to sam środek modernizmu: uwrażliwienie na język, komplikacje doświadczeń i form komunikacji. Nienormatywna seksualność nie jest tu dodatkiem, ale tematem centralnym. Związki między kobietami nie są marginesami literatury ani „innym modernizmem". Ostatecznie przecież pod hasłem „modernizm" mieszczą się nie tylko męskie refleksje o tożsamości, języku i niemożliwym, heteroseksualnym pożądaniu.

© KATARZYNA TRZECIAK

▪ *Djuna Barnes*
OSTĘPY NOCY
przeł. Marcin Szuster
Ossolineum
Wrocław 2018

Zepsute życia

Debiutancki zbiór opowiadań Mirandy July, autorki „Pierwszego bandziora", scenarzystki i reżyserki, to galeria postaci, które poprzez dziwne, niekiedy zupełnie osobliwe działania próbują przezwyciężać samotność. Polscy czytelnicy i czytelniczki odnajdą tu zachowania bliskie bohaterce „Pierwszego bandziora" – Cheryl Glickman, wikłającej się w różne układy i relacje, by choć przez chwilę zbliżyć się do własnych fantazji.
W „Pasujesz tu najlepiej" mamy na przykład wspomnienia instruktorki pływania, która zamiast w basenie, uczyła ruchów w miskach z wodą (w swoim mieszkaniu). Całe swoje życie podporządkowała tym spotkaniom, co po latach tylko pogłębia smutek. July nie egzotyzuje dziwności swoich postaci – to nieodłączna właściwość życia, które potrzebuje fantazji. Choć ta ostatnia zdaje się ostatecznie potwierdzać swoją wyłącznie doraźną funkcję. Bo życie „zwyczajnie takie jest – zepsute – i to szaleństwo liczyć na coś innego".

© KATARZYNA TRZECIAK

▪ *Miranda July*
PASUJESZ TU NAJLEPIEJ
przeł. Łukasz Buchalski
Pauza, Warszawa 2018

GRAŻYNA MAKARA / UNSPLASH.COM // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Book's not dead – podcast literacki „Tygodnika Powszechnego"

Zapraszamy do wysłuchania rozmów z pisarkami i pisarzami w podcaście literackim „Tygodnika Powszechnego" „Book's not dead", stworzonym przez **MICHAŁA SOWIŃSKIEGO** i **KATARZYNĘ TRZECIAK** przy wsparciu Piotra Żyły. W każdym odcinku aktorki i aktorzy krakowskich teatrów czytają fragmenty książek zaproszonych gości, m.in. Jacka Dukaja, Adama Hochschilda, Magdaleny Grzebałkowskiej, Agnety Pleijel, Siri Hustvedt, Ryszarda Koziołka, Piotra Pazińskiego, Michaela Cunninghama.

Można ich wysłuchać pod adresem **soundcloud.com/booksnotdead**

Porozmawiaj z nami o książkach w grupie dyskusyjnej „Book's not dead" – już ponad 3650 osób obserwuje w niej i dyskutuje ostatnie doniesienia wokół książek, ich autorek oraz autorów, wydawców, księgarzy itd. Grupę pod adresem **powszech.net/bnd** moderuje **MONIKA OCHĘDOWSKA**.

TYGODNIK POWSZECHNY

Słuchaj w Apple Podcasts

SOUNDCLOUD

REKLAMA

SEBASTIAN DUDA

Przesilona wątpliwość

Autor przygląda się przyczynom współczesnego odrzucenia obrazu miłosiernego i dającego zbawienie Boga. Programowe wątpienie to często, jak podejrzewa Duda, postawa oparta na niechęci do zmierzenia się z teologicznym sensem, jaki niesie ze sobą chrześcijaństwo. Czy a-teologiczna cywilizacja może istotnie oferować lepsze remedia niż chrześcijaństwo?

144 S., CENA 25,00 ZŁ

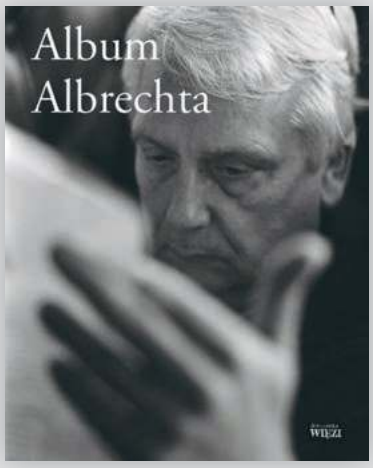

Album Albrechta

„Album Albrechta" to silva rerum. Chór tekstów głosi pochwałę aktywności, pracowitości, intelektualnej przenikliwości, literackiego smaku i przymiotów charakteru Albrechta, i w tym sensie ten zgiełk dobrze harmonizuje z fenomenem Lemppa, człowieka-orkiestry. Książka zawiera m.in. jego artykuły, wywiady i eseje, a dopełniają ją nieoczywiste fotografie i ilustracje.

193 S., CENA 32,00 ZŁ

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

WIĘŹ

Warszawa, ul. Trębacka 3
tel. 22 827 96 08, handlowy@wiez.pl
www.wiez.pl

Książki w pigułce

Mapy i terytoria

Edward Brooke-Hitching, autor fenomenalnego „Atlasu lądów niebyłych", w którym opowiadał o najbardziej znaczących i spektakularnych pomyłkach kartograficznych, powraca z kolejną opowieścią o ludzkiej potrzebie porządkowania świata. Tym razem przy pomocy rzadkich (niektóre z nich są publikowane po raz pierwszy) i przepięknych map snuje przed naszymi oczami historię największych wypraw i odkryć geograficznych, poczynając od starożytności, na XX-wiecznym wyścigu na bieguny kończąc. Obok największych – jak Kolumb czy Magellan – pojawiają się także postaci słabiej znane, ale nie mniej ważne dla kształtowania naszego wyobrażenia o świecie. Bo historia kartografii to przede wszystkim historia zmieniającej się fantazji o nas samych. A same mapy, jak zauważa autor, nie zawsze są tym, czym się wydają. Warto sięgnąć po książkę choćby dlatego, żeby delektować się ich pięknem.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

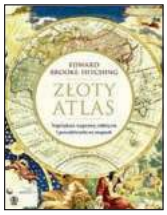

▪ *Edward Brooke-Hitching*
ZŁOTY ATLAS. NAJWIĘKSZE WYPRAWY, ODKRYCIA I POSZUKIWANIA NA MAPACH
przeł. Janusz Szczepański
Rebis, Poznań 2018

Studium obcości

Maryam Madjidi, urodzona w Teheranie francuska pisarka, w swojej debiutanckiej powieści (w 2017 r. otrzymała za nią Goncourtów w kategorii „Pierwsza powieść") postanowiła opowiedzieć o swoim życiu, które jeszcze w dzieciństwie rozpadło się na dwie niedające się skleić części. Jej rodzice, świetnie wykształceni, marksizujący przedstawiciele teherańskiej klasy średniej, jeszcze przez kilka lat po dojściu do władzy Chomejniego nie mogą się pogodzić z upadkiem ich wygodnego, świeckiego świata. Jednak z każdym miesiącem walki w podziemiu sprawa staje się coraz bardziej beznadziejna. Trzeba uciekać. Wybór pada na Paryż. Tylko że stolica Francji przełomu lat 80. i 90. to miejsce nieprzyjazne dla dziewczynki nieznającej języka, z racji pochodzenia traktowanej na każdym kroku protekcjonalnie lub z pogardą. „Lalka i Marks" to przejmujące studium wyobcowania i poszukiwania języka do stworzenia własnej opowieści.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

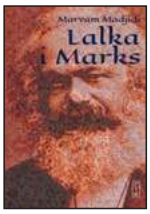

▪ *Maryam Madjidi*
LALKA I MARKS
przeł. Magdalena Pluta
PIW, Warszawa 2018

Garbata ziemia

Debiut brytyjskiego pisarza i podróżnika Roberta Macfarlane'a to książka o fascynacji górami – samego autora, ale także tysięcy innych, którzy ryzykowali dla nich zdrowie i życie. Miłośnicy wspinaczki odnajdą tu fascynujące ciekawostki dotyczące geologii, historii najsłynniejszych wypraw czy znanych i zapomnianych zdobywców, przeplatane opowieścią o przygodach samego autora. Macfarlane skupia się na wyjątkowym momencie w historii wędrówek górskich. Jak to się stało, że jeszcze nie tak dawno temu wspinaczka uznawana była za przejaw szaleństwa, podczas gdy dziś jest to jedna z popularniejszych form turystyki? Co o nas mówi ta zmiana stosunku do przyrody i krajobrazu? Dlaczego góry to nie tylko skały, ale także nasze fantazje? Autor poszukuje odpowiedzi ze swadą i erudycją, dlatego nawet ci, którzy nadal podzielają przekonanie, że góry lepiej oglądać z dolin, dadzą się uwieść jego opowieści.

© ALEKSANDRA WOJTASZEK

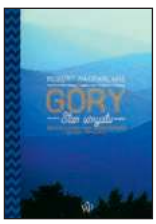

▪ *Robert Macfarlane*
GÓRY. STAN UMYSŁU
przeł. Jacek Konieczny
Wydawnictwo Poznańskie
Poznań 2018

Słowo i ciało

Laureatka ważnych nagród poetyckich, Gdyni i Silesiusa, autorka poematu scenicznego „Elementarz", który w Teatrze Narodowym w Warszawie wyreżyserował Piotr Cieplak, debiutuje jako prozaiczka. „Zdrój" to niewielka, zwarta opowieść, której narratorka Kama po przejściu poważnej operacji natury onkologicznej trafia do sanatorium rehabilitacyjnego. Sanatorium jest oczywiście światem zamkniętym i nieco niesamowitym, rozkodować trzeba najpierw jego język i rządzące nim reguły, oswoić innych pensjonariuszy, odnaleźć siebie w nowej roli; środkiem porozumienia staje się też chore i poddawane rozmaitym zabiegom ciało. Pod głównym nurtem narracji płynie drugi, powracający do przeżyć z dzieciństwa w podobnej, tyle że bardziej opresyjnej instytucji. W gęstej i dobrze przylegającej do wykreowanego świata prozie kryją się odniesienia do klasyki gatunku szpitalno-sanatoryjnego.

©℗ TOMASZ FIAŁKOWSKI

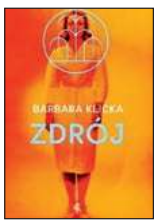

▪ *Barbara Klicka*
ZDRÓJ
Grupa Wydawnicza Foksal
Warszawa 2019

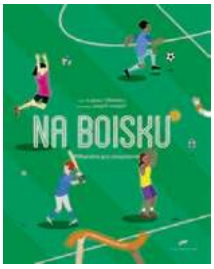

Pięciopak z suplementem

JOANNA OLECH

Pięć książek – pakiet przejmującej literatury dla młodzieży, która zdoła zjednać sobie najbardziej zatwardziałych wrogów czytania.

Oficyna Dwie Siostry, która przed dekadą zaczynała jako firma lilipucia, jest dzisiaj krzepkim wydawnictwem, nadającym ton całej branży. Niemałą część oferty Sióstr stanowiły książki *non fiction* dla dzieci młodszych – edukacyjne, a przy tym efektowne wizualnie. Międzynarodowy sukces „Map" Aleksandry i Daniela Mizielińskich czy „Pszczół" Piotra Sochy stał się ostrogą dla konkurencji. Trend został podchwycony i zdominował księgarniane półki. Rodzice wszak kochają książki, które oferują dzieciom wiedzę. Taki zakup daje poczucie dobrze spełnionego rodzicielskiego obowiązku.

Wysyp tytułów *non fiction* popularyzujących naukę, aczkolwiek ze wszech miar godny pochwały, przyniósł jednak i ten paradoksalny skutek, że przywiędła „druga nóżka" – *stricte* literacka. Zabrakło wartościowej literatury fabularnej dla czytelników nastoletnich.

Dwie Siostry, nie w ciemię bite, w porę dostrzegły problem i uruchomiły problemową serię dla młodzieży. Zainicjowały ją dwa świetne tytuły: „Kasieńka" Irlandki Sary Crossan – książka dla nas szczególna, jako że jej bohaterka jest nastoletnią Polką, którą dotykają wszystkie trudne następstwa wymuszonej przez matkę emigracji do Wielkiej Brytanii – i „Rok szczura" Clare Furniss. Obie te książki obarczone były jednakże edytorskim błędem – okładki sugerowały, że to lektura dla czytelnika młodszego niż w rzeczywistości. Może dlatego przemknęły niemal niezauważone i nie wzbudziły odzewu, na jaki zasługują. Za to kolejna odsłona serii okazała się strzałem w dziesiątkę.

„Pasztety, do boju!" autorstwa Clémentine Beauvais nadały rozpędu świetnie rokującej serii, którą wyróżnia literacka klasa i waga poruszanych tematów. Niezawodna rówieśnicza rekomendacja szerzy się jak pożar buszu – „Pasztety" podawane są z rąk do rąk, niczym cudowny lek na dziewczyński problem z samooceną. To książka wspaniała, inteligentnie zabawna, mądra, niosąca otuchę zakompleksionym nastolatkom. Dzięki niej seria młodzieżowa Sióstr została odtrąbiona z przytupem i rozbudziła apetyt na więcej.

I oto mamy dwa kolejne tytuły, oba pięciogwiazdkowe, najwyższej próby: to „Bystrzak" i „My dwie, my trzy, my cztery".

Pierwszy tytuł, autorstwa Marie-Aude Murail, pochodzi z Francji, gdzie stał się bestsellerem, co łatwo zrozumieć już po lekturze pierwszych trzech stron. Napisana prosto i komicznie (!) historia 17-letniego chłopaka opiekującego się Bystrzakiem – starszym bratem upośledzonym umysłowo – trzyma nas na uwięzi do ostatniej kartki. Śmieszy do łez i wzrusza.

Kleber przyjeżdża do Paryża, aby podjąć naukę w maturalnej klasie prestiżowego liceum. Jego matka nie żyje, a ojciec zaaferowany jest nowym związkiem i nalega na umieszczenie upośledzonego syna w zakładzie opiekuńczym. 22-letni Bystrzak o umyśle 3-letniego dziecka zna już zakład – nienawidzi go i panicznie się go boi. Kleber wie o tym i za wszelką cenę oddala perspektywę rozłąki ze starszym bratem. Nie bez trudu znajduje w Paryżu pokój do wynajęcia dla nich obu w mieszkaniu zajmowanym przez czwórkę studentów. Początkowo obecność 3-latka w ciele dorosłego faceta budzi konsternację współlokatorów, ale z czasem nieufność ustąpi miejsca innym uczuciom.

Bystrzak nie rozstaje się z Panem Kickickiem – szmacianym królikiem, z którym prowadzi wyimaginowane rozmowy. Na pozór głuptas, zdumiewająco trafnie rozpoznaje i nazywa skomplikowane relacje pomiędzy studentami: jedyną w tym gronie dziewczyną Arią, jej bratem, jej chłopakiem i przyjacielem brata. Obecność Bystrzaka zakłóca stan chwiejnej równowagi pomiędzy przyjaciółmi, odsłania ich prawdziwe charaktery i emocje. Trwa zawiła gra rywalizacji, frustracji i niespełnionej miłości. 17-letni Kleber uważnie obserwuje współlokatorów, nie chcąc ich do siebie zrazić. Jest przedwcześnie dorosły, obciążony odpowiedzialnością za brata, a jednocześnie szczeniacko podekscytowany nową szkołą, dziewczynami i randkami, które trudno pogodzić z matkowaniem Bystrzakowi.

Francuska autorka świetnie portretuje swoich młodych bohaterów – są inteligentni, wrażliwi, podatni na zranienia, a jednocześnie nieskorzy do zwierzeń i manifestacji uczuć. Bystrzak dokona ↦

↦ cudu – skłóci, pojedna, pozwoli dorosnąć niedorosłym, a innym uporać się z emocjonalnym zamętem. Pyszna książka!

„My dwie, my trzy, my cztery", druga powieść Sary Crossan, tej od „Kasieńki", nominowana została do Carnegie Medal, co samo w sobie jest znaczącą rekomendacją. Opowiada o 13-letniej Apple, wychowywanej przez babcię. Matka dziewczynki przed jej narodzinami rozstała się z ojcem, po czym porzuciła dwulatkę i wyjechała do Ameryki w nadziei na aktorską karierę. Przez kolejnych 11 lat nie dała znaku życia i nagle – bum! – pojawia się. Odtąd w życiu Apple nic już nie będzie takie samo. Dotychczas dziewczyna dorastała w stabilnym, trochę nudnym domu, pod kuratelą bogobojnej i surowej babci. Pilna uczennica, osamotniona w szkole, musiała zadowolić się towarzystwem jednej tylko przyjaciółki, którą jej właśnie odebrano. W przededniu każdej Gwiazdki, w rocznicę ucieczki matki, Apple wyobrażała sobie jej powrót, idealizując obraz pięknej, wolnej i kochającej kobiety. Nagle pojawia się obca, nieznana mama. Jest efektowna, pełna temperamentu, pozwala córce na znacznie więcej niż kostyczna babcia. W potyczce między babcią a matką Apple opowiada się po stronie matki. I w konsekwencji przeprowadza się do niej. A tam czeka na nią niespodzianka...

Na zakręcie życia, które zsyła na Apple ciągle nowe wyzwania, dziewczyna znajdzie oparcie w nauczycielu literatury. Nauczyciel podsuwa uczniom wiersze i zachęca do komentowania. Apple jest niechętna zwierzeniom i ukrywa zamęt, jaki panuje w jej prywatnym świecie. Początkowo zbywa nauczyciela konwencjonalnymi wypracowaniami. Przypadek zrządzi, że raz jeden się odsłoni i ujawni niebagatelny talent literacki. Poezja odegra niemałą rolę w wypadkach, które nastąpią dalej.

Jest i wątek sentymentalny, którego nie może zabraknąć w książce dla młodzieży, ale sedno fabuły stanowi trudna relacja z matką, która nie do końca spełnia pokładane w niej nadzieje. Czytelnicy wrażliwsi beczą już w połowie, twardziele – dopiero 100 stron dalej.

Podsumowując: pięć książek młodzieżowej serii Dwóch Sióstr stanowi pięciogwiazdkowy pakiet uwodzicielskiej, przejmującej literatury, która zdoła zjednać sobie najbardziej zatwardziałych wrogów czytania. Marketingowcy powiedzieliby: pakiet Premium. Pozostaje dokupić kokardę i problem prezentu dla nastolatka/tki rozwiązany.

I jeszcze suplement do pięciopaku, także świetny prezent pod choinkę – „Na boisku" Łukasza Olkowicza, czyli pożyteczne, esencjonalne kompendium wiedzy o pięciu dyscyplinach sportowych: o futbolu, siatkówce, koszykówce, piłce ręcznej i baseballu. Autor, dziennikarz sportowy, rozpoczyna od korzeni każdej dyscypliny, po czym przechodzi do jej zasad, terminologii, ekwipunku. Dowiemy się, czym się różni miotacz od pałkarza, a czym lanki od turfów. Łukasz Olkowicz wymienia i opisuje najsławniejsze kluby sportowe oraz „Pięciu wspaniałych" – czołowych zawodników (i zawodniczki) każdej gry, wraz z krótkimi notkami biograficznymi. Do tego ciekawostki i rekordy. Książka zawiera także informacje o drużynach dziecięcych dla początkujących sportowców – pomogą one małemu czytelnikowi dokonać wyboru własnej dyscypliny. „Na boisku" to również świetna ściąga dla rodziców, który chcą nadążać za sportową pasją potomstwa i nie kompromitować się niewiedzą. Wielką zaletą tego prostego bryku jest przejrzysta i klarowna grafika. Jest już kolejny tom, także przygotowany przez Olkowicza – o sportach zimowych. A po nim, lada chwila – następne odsłony cyklu. © JOANNA OLECH

• *Łukasz Olkowicz*
NA BOISKU. PIŁKARSKIE GRY ZESPOŁOWE
ilustracje zespół wespół, Polarny Lis

Z wydawnictwa Dwie Siostry
• *Sarah Crossan* **KASIEŃKA**
przeł. Katarzyna Domańska
• *Clare Furniss* **ROK SZCZURA**
przeł. Katarzyna Rosłan
• *Clémentine Beauvais* **PASZTETY, DO BOJU!**
przeł. Bożena Sęk
• *Sarah Crossan* **MY DWIE, MY TRZY, MY CZTERY** *przeł. Małgorzata Glasenapp*
• *Marie-Aude Murail* **BYSTRZAK**
przeł. Bożena Sęk

REKLAMA

Z czego zrobiony jest świat?

STANISŁAW BAJTLIK

Skład chemiczny Wszechświata jest niebywale prosty. A my powstaliśmy (dosłownie!) z popiołów wypalonych gwiazd.

W dużym uproszczeniu wszystko, co nas otacza, jest zrobione z substancji. To w większości związki chemiczne lub mieszaniny (a najczęściej mieszaniny związków). Można je rozdzielić na związki składowe, a potem rozłożyć na substancje jeszcze prostsze. Substancje, których już dalej nie da się rozłożyć, nazywamy pierwiastkami chemicznymi. Historia ich odkrywania stanowi temat książki Jana Grzegorza Małeckiego.

Już w starożytności spekulowano na temat podstawowych „zasad", „żywiołów" czy „elementów" – miały być nimi ogień, woda, powietrze i ziemia, choć pojawiały się i inne pomysły. Atomiści (Leucyp i Demokryt) twierdzili, że materia składa się z niepodzielnych atomów o różnych kształtach. Intuicja ta, choć wówczas bez podstaw empirycznych, okazała się słuszna.

Aż trudno uwierzyć, że naukowe dowody na atomowo-cząsteczkową budowę materii uzyskaliśmy dopiero na przełomie XIX i XX w. Atomy składają się z jąder i krążących wokół elektronów. Jądra zbudowane są z dwóch rodzajów cząstek elementarnych: obdarzonych dodatnim ładunkiem elektrycznym protonów i elektrycznie obojętnych neutronów. Liczba elektronów (o ujemnym ładunku elektrycznym) w atomie jest równa (w normalnych warunkach) liczbie protonów w jądrze. Dlatego atomy są elektrycznie neutralne.

Wszystkie atomy danego pierwiastka mają taką samą liczbę protonów w jądrze i taką samą liczbę elektronów. Atomy różnych pierwiastków różnią się od siebie liczbą protonów (i elektronów). W jądrze jednego pierwiastka może się jednak znajdować różna liczba neutronów. Wersje atomów danego pierwiastka, różniące się liczbą neutronów, nazywamy izotopami. Izotopy mają podobne własności chemiczne, ale różne własności fizyczne (np. ciężar).

Dla przykładu, najprostszy pierwiastek chemiczny, wodór, ma jądro składające się z jednego protonu (wokół krąży jeden elektron). Istnieją jednak dwie inne odmiany izotopowe wodoru: deuter (jądro złożone z jednego protonu i jednego neutronu) oraz tryt (jeden proton i dwa neutrony). Deuter jest dwa razy cięższy od zwykłego wodoru, tryt – trzy razy. Deuter to izotop stabilny, tryt spontanicznie rozpada się z okresem połowicznego zaniku ok. 12 lat. Własności fizyczne są więc różne, ale własności chemiczne podobne. W szczególności deuter może tworzyć z tlenem związek zawierający jeden atom tlenu i dwa atomy deuteru (lub jeden atom deuteru i jeden zwykłego wodoru) – jest to tak zwana ciężka woda.

W kosmosie na każde około 100 000 atomów wodoru przypada jeden atom deuteru (w oceanach jest go trochę więcej). Tryt prawie nie występuje naturalnie, choć jest nieustannie produkowany w atmosferze przez promieniowanie kosmiczne i nieustannie się rozpada. Można go też produkować w laboratoriach (jeszcze kilkadziesiąt lat temu farbą z trytem pokrywano wskazówki przyrządów nawigacyjnych czy zwykłych zegarków, by w ciemnościach świeciły charakterystycznym zielonkawym światłem).

Skład chemiczny Wszechświata jest niebywale prosty. Ok. 75 proc. masy wszystkich atomów w kosmosie to atomy wodoru, ok. 24 proc. to atomy helu. Cała pozostała tablica Mendelejewa to nie więcej niż ok. 1 proc. Na Ziemi mamy dużo więcej cięższych pierwiastków i dzięki temu istniejemy.

Współczesna tablica Mendelejewa zawiera 118 pozycji. Każdy z pierwiastków ma wiele odmian izotopowych, w większości nietrwałych. Fizyka i chemia pozwalają zrozumieć ich pochodzenie. I tak, izotopy najlżejszych pierwiastków: wodoru, helu i litu, powstały w ciągu pierwszych trzech minut po Wielkim Wybuchu. Pierwiastki cięższe, od berylu do żelaza, miały początek we wnętrzach gwiazd, stanowiących naturalne reaktory termojądrowe. Powstaliśmy (dosłownie!) z popiołów dawno wypalonych gwiazd. Jeszcze cięższe pierwiastki, od niklu przez ołów, złoto, platynę do uranu, powstawały dzięki gwałtownym procesom, jak wybuchy gwiazd czy ich zderzenia. Ocenia się, że w trakcie zderzenia gwiazd neutronowych, obserwowanego ponad rok temu jako źródło fal grawitacyjnych, powstało złoto i platyna o łącznej masie równej kilkunastu masom Ziemi. Kilkanaście najcięższych pierwiastków nie występuje w przyrodzie – nie mają stabilnych izotopów, powstają w laboratoriach i po ułamku sekundy się rozpadają.

Książka Jana Grzegorza Małeckiego to pasjonujący przewodnik po historii odkrywania pierwiastków. W starożytności znano ich dziewięć: węgiel, siarkę, złoto, srebro, miedź, żelazo, ołów, cynę i rtęć. W wiekach średnich odkryto fosfor, arsen, antymon, bizmut i cynk. Wiek XVIII przyniósł odkrycie głównych składników powietrza: azotu i tlenu, oraz wody: wodoru i tlenu. Odkrycie promieniotwórczości i rozwój fizyki jądrowej dopełniły ten proces. XX-wieczni fizycy i chemicy spełnili marzenia alchemików: potrafią przekształcać jedne pierwiastki w drugie. To nie był sen – to jest możliwe. ©

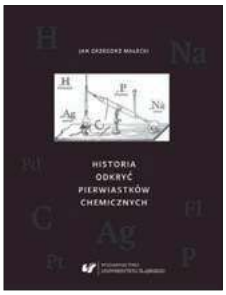

• *Jan Grzegorz Małecki*
HISTORIA ODKRYĆ PIERWIASTKÓW CHEMICZNYCH
Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego Katowice 2018

Jabłko Adama

KS. ADAM BONIECKI KUSI DO LEKTURY

Milenijna próba sił

Władze PRL włożyły mnóstwo energii i pomysłowości, by odciągnąć ludzi od kościelnych nabożeństw milenijnych. Bitwę jednak wygrał Kościół.

W roku 1966 przypadało tysiąclecie chrztu Polski. Internowany w Komańczy prymas Stefan Wyszyński opracował wielostopniowy program przygotowań do tej rocznicy. Chodziło w nim o moralną i duchową odnowę wierzących Polaków. Przygotowania, rozpoczęte ślubami narodu na Jasnej Górze w sierpniu 1956 r., jeszcze pod nieobecność internowanego prymasa (jego puste miejsce udekorowano kwiatami), trwały do obchodów rocznicy.

Choć ujęte w formę Wielkiej Nowenny przygotowania miały charakter duchowy i religijny, to przez nową (od października 1956) ekipę kierownictwa PZPR z Władysławem Gomułką na czele zostały potraktowane jako wyzwanie. Kościelne obchody Milenium miały zostać zdystansowane przez organizowane przez władzę obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego. Pół wieku później Biuro Badań Historycznych IPN w Warszawie zorganizowało 12 i 13 maja 2016 r. konferencję naukową poświęconą analizie politycznych i społecznych aspektów tamtych wydarzeń. Obszerny tom (1024 stron!) zawiera materiały z tej konferencji. 30 autorów analizuje różne wątki związane z Milenium, dając wspólnie fascynujący obraz pola bitwy o kształt tożsamości Polaków, a nawet więcej, o rząd dusz.

Tak więc można porównać dwie wizje historii Polski – w drugiej, owszem, jest też chrzest, lecz pozbawiony znaczenia religijnego. I kościelne obchody z akcją mobilizowania społeczeństwa przez „czyny społeczne" i wielkie akcje, jak „Tysiąc szkół na tysiąclecie" czy gigantyczna akcja zalesiania kraju, publikacje i wykłady historyczne i tak dalej. Autorzy pokazują to na przykładach z rozmaitych miejsc w kraju, jak Kraków, województwo zielonogórskie czy Grodzisk Wielkopolski. Opisują przebieg rywalizacji państwa z Kościołem, zaangażowanie mediów, a ściślej mówiąc prasy, ze szczególnym uwzględnieniem roli prasy paksowskiej. „Słowo Powszechne" (paksowski dziennik) relacjonowało wszystkie uroczystości, lecz zwięźle i pobieżnie – albo przyciskane przez cenzurę, albo z przekonania, bo PAX w obchodach widział źródło podziałów społeczeństwa i szkodliwe działania przeciw partii. Osobny szkic, oparty przede wszystkim na archiwalnych dokumentach MSZ i Urzędu do Spraw Wyznań oraz na materiałach Służby Bezpieczeństwa, poświęcono kulisom niezrealizowanej wizyty w Polsce papieża Pawła VI.

Bitwa milenijna przyniosła nasilenie represji wobec Kościoła i jego członków. Włożono mnóstwo energii i pomysłowości, by odciągnąć ludzi od kościelnych nabożeństw milenijnych. Dotyczyło to – jak wynika z materiałów źródłowych – nie tylko duchownych, ale i świeckich. Obszerna monografia jednego tylko wycinka najnowszych dziejów polskiego Kościoła stanowi równocześnie materiał do poznania i zrozumienia jego sytuacji w PRL-u.

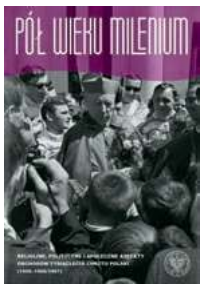

• **PÓŁ WIEKU MILENIUM.** *Religijne, polityczne i społeczne aspekty obchodów Tysiąclecia Chrztu Polski (1956–1966/1967). Studia i materiały pod redakcją naukową Bartłomieja Noszczaka IPN, Warszawa 2018*

Bitwę wygrał jednak Kościół. Konkurencyjność obchodów prowokowała do manifestowania przeciw władzy. Wiele osób zresztą uczestniczyło w obchodach zarówno państwowych, jak i kościelnych. Dla naszej redakcji sprawa była dość trudna. Z jednej strony doskonale wiedzieliśmy, o co chodzi. Wspaniałe obchody milenijne opisywaliśmy na naszych łamach; pamiętam znakomity reportaż Tadeusza Żychiewicza z Wrocławia. Obok docenianego przez „Tygodnik" aspektu strategicznego było jednak w tych obchodach wiele elementów bardzo emocjonalnych, które nie zawsze budziły nasz zachwyt. Masowe ślubowania, gromadzenie tłumów na okoliczność obchodów bez innych propozycji wydawało się nam nieco powierzchowne. Doskonale wiedzieliśmy, że słabością polskiego katolicyzmu jest przewaga obrzędowości nad pogłębioną refleksją. Nie pamiętam jednak, by „Tygodnik" kiedykolwiek obchody krytykował – za to Jerzy Turowicz na zebraniu Frontu Jedności Narodu przeciwstawił się Gomułce, broniąc prymasa i Orędzia Biskupów do Episkopatu Niemiec.

Po stronie władzy – jak czytamy w tych opracowaniach – było niekiedy słychać głosy, że rywalizacja z Kościołem oparta na przymusie i zastraszeniu nie służy dobrze samej partii i grozi przegraną w razie konfrontacji. Ale nie były to głosy brane pod uwagę. Można z lektury tego tomu wysnuć wiele nauk, a pośród nich i taką, że Kościół prześladowany czy nawet tylko szykanowany odnajduje niebywałe energie i rośnie w siłę. Tak właśnie stało się z obchodami Milenium. ©℗

POKAŻ JĘZYK JACEK PODSIADŁO

Tyran aleksandryn

Z dozą przykrości czytałem na łamach „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis" z 2009 r. artykuł Bogusława Gryszkiewicza „Kultura Holocaustu jako macierzysty kontekst literatury o zagładzie Żydów (przykład »Tworek« Marka Bieńczyka)". Przykrość nie dotyczyła właściwego przedmiotu refleksji, ale sposobu potraktowania przywołanego w tytule przykładu. Rozprawa na temat kultury Holokaustu okazała się zarazem rozprawą z powieścią. A może i z autorem „Tworek", o czym Gryszkiewicz mówi czasem wprost, choć jednocześnie mówi, że nie mówi: „Nie mam zamiaru osądzać »Tworek«, ani tym bardziej autora tej powieści – pisarza może nie wybitnego, ale z pewnością nieprzeciętnie utalentowanego". Nie jest to może pocałunek śmierci, raczej tylko łamiące obojczyk klepnięcie w ramię, od razu zresztą złagodzone przyjacielskim prztyczkiem w nos.

Powieść Bieńczyka jest dla Gryszkiewicza m.in. zbiorem „na ogół inteligentnie, czasem z komiczną werwą skonstruowanych zagadek literackich i teoretycznoliterackich. Poziom trudności tych zagadek jest zróżnicowany, ale w większości przypadków nie przerasta możliwości zdolnego studenta polonistyki, który sumiennie wypełnia obowiązki lekturowe, wykazując ponadto żywsze niż jego koleżanki i koledzy zainteresowanie problemami współczesnej humanistyki".

Tu od razu muszę stanąć blisko poprzeczki i zwrócić uwagę, iż nie jest ona zawieszona tak nisko, jak mogłoby się wydawać: regularnie spotykam się ze studentami Uniwersytetu Pedagogicznego (dr Bogusław Gryszkiewicz jest tam adiunktem w Katedrze Literatury Polskiej XX wieku) i jestem przekonany, że ich zainteresowanie problemami humanistyki jest daleko żywsze od zainteresowania koleżanek i kolegów z innych uczelni krajowych.

Aleksander był Wielki

Jeszcze tylko jeden fragment z Gryszkiewicza muszę zacytować, a później złapię już konia za nogi. Po wytknięciu Bieńczykowi błędu polegającego na nazwaniu profesora Wilczura doktorem, dodaje: „Nie używając słowa »aporetyczny«, będę się w takich momentach zastanawiał, czy autor prowadzi z moimi oczekiwaniami jakąś przewrotną grę, z wykorzystaniem techniki mowy pozornie zależnej, czy też grzeszy ignorancją lub niechlujstwem. Podobnie w przypadku aleksandrynu, który w powieściowym świecie liczy o jedną sylabę więcej niż w moim, oraz w paru innych momentach, świadczących albo o szczególnym wyrafinowaniu pisarza, albo o nielicznych chwilach, kiedy nie panował nad swoim warsztatem twórczym".

> Czy Marek Bieńczyk machnął się o jedną sylabę i świat jego powieści jest skompromitowany? Hola, hola! Świat jest za duży, żeby dał się zamknąć w słowniku. Jakiś półświatek naukowy może tak, ale cały świat?

Takie postawienie sprawy skłania czytelnika fascynującego się liczeniem sylab – a o innym przecież nie myślimy – do wglądu w świat własny i opowiedzenia się po jednej ze stron we właśnie wypowiedzianej wojnie światów. Zrozumiałe, że w pierwszej kolejności udaje się on do Tworek i szuka aleksandrynu. I znajduje:

„A na koniec, gdy zamilkły już wszystkie usta, a płaszcze się dotuliły, Jurek na prośbę Olka zaimprowizował na byle jaki temat odchrząknięcie i przemówił, nie tylko dla Olka, aleksandrynem:

– Rozproszcie czcze obawy, przyjaciele cenni,
Feralna ilość zgłosek bobu nam nie zada,
Splećmy swe ramiona jak rymy przemienne,
My mówimy wierszem, a śmierć tylko gada".

Pierwszy wers: 13. Drugi: 13. Ciekawski czytelnik sięga teraz do tego „Słownika terminów literackich", który zawsze ma pod ręką, czyli starocia pod redakcją Janusza Sławińskiego z 1976 r. Dowiaduje się, że aleksandryn to „najważniejszy format wersowy w poezji francuskiej, używany zwłaszcza w epice i dramacie: rymowany wers 12-zgłoskowy ze średniówką po 6 sylabie". Zatem sprawa jasna: Bieńczyk machnął się o jedną sylabę i świat jego powieści jest skompromitowany.

Ale hola. Wbrew pozorom świat jest za duży, żeby dał się zamknąć w słowniku. Jakiś półświatek naukowy może tak, ale cały świat? Jeśli nasze zainteresowania obejmują „świat", winniśmy policzyć sylaby także w dwóch kolejnych wersach. Winniśmy zauważyć, że definicja słownikowa dotyczy poezji francuskiej, a francuszczyzna i polszczyzna to dwa osobne światy. Winniśmy wreszcie doczytać tę definicję do końca, gdzie mogłoby nas zaniepokoić ostatnie zdanie definicji mówiące, iż w poezji francuskiej aleksandryn „pełnił rolę podobną do tej, jaka w poezji polskiej przypadła 13-zgłoskowcowi".

Rzecz jest bardzo prosta, dlatego, żeby nie wyjść na prostaka, przy omawianiu jej postaram się jak najczęściej sięgać po wyrażenia takie jak „endekasylab", „aporetyczny" albo „heksapodia jambiczna". Wszyscy dobrze na tym wyjdziemy. Kosmonauta w skafandrze z rurą ma strój bardziej kosmiczny niż kosmonauta w skafanderku bez niczego.

Zacznijmy od Aleksandra Wielkiego. Chociaż był kurduplem i żył tylko 33 lata, wiele zdziałał na każdym polu, na które zbłądził. Ujeździł Bucefała. Przeciął węzeł gordyjski. Na czele pieszej falangi i ciężkozbrojnych hejterów podbił imperium perskie. Nie zawracał sobie głowy płcią osób, których pożądał. Nazwał na swoją cześć trzydzieści parę miast. Wymordował przyjaciół. Krótko mówiąc, był taki wielki, że do dzisiaj kręcą o nim filmy. W średniowieczu kręcenie filmów o nim było tak popularne, że wobec ogromnej liczby ↦

↦ tanio dostępnych statystów i z powodu opóźnień w wynalezieniu kamery zaczęto masowo tworzyć tzw. aleksandreidy, pisemne opowieści o jego życiu i wyczynach. Historyczne, a więc i bardzo nieraz fantastyczne. I kiedy w latach tysiącsetnych Lambert le Tort i Alberyk z Besançon jako pierwsi zastosowali w swoich historiach Aleksandra nową odmianę 12-zgłoskowca, przyjęła się w odniesieniu do niej nazwa aleksandryn. Kiedy Corneille napisał w tym stylu „Cyda", sprawa została przesądzona: francuska literatura na długie wieki utknęła w sidłach aleksandrynu.

Théo liczy na palcach stopy

Definicja wiążąca aleksandryn pod względem metrycznym mówi, iż jest to heksapodia jambiczna. Czyli 6-stopowiec kulejący. Ta jego kulawość, jambiczność, nie tylko dla Włochów, ale i dla nas będzie mieć znaczenie szczególne. Język polski w naturalny sposób układa się najchętniej w trocheje i amfibrachy. Trochej dyktuje rytm krakowiaka: umpa umpa umpa. Krako wiaczek jeden miałko ników siedem. Amfibrach wyznacza rytm powolniaka: paumpa paumpa (zapamiętajmy: w teoretycznych dziełach z zakresu rytmiki i metryki zakłada się, że akcent zawsze pada na „um"). Oszyby deszczdzwoni deszczdzwoni jesienny. Natomiast rytm jambu to coś podobnego do muzycznej synkopy: pa-um pa-um pa-um. W polszczyźnie raczej rzadkość. Da się go wygenerować, ale ma krótkie nóżki i daleko się na nim nie zajedzie. Ten gwałt, ten blask, ten cud. Na rynku cały tłum. Ponieważ język francuski chodzi na oksytonach, miarą najbardziej dla niego naturalną jest jamb, i jeszcze anapest. Zatem i aleksandryn łatwo się na tej swojskiej glebie zaszczepił i zakorzenił.

Że jednak jednostką napędową polszczyzny jest paroksyton, aleksandryn w naszym języku rzadko daje się upolować i praktycznie nie może być wiernym odbiciem oryginału. Gdybyśmy, jak Rosjanie, dysponowali ruchomym akcentem, o, wtedy mielibyśmy jambów od metra i dalibyśmy radę odpalić aleksandryn dokładnie taki, jaki funkcjonuje nad Loarą i Sekwaną.

Tu pora powiedzieć, że jak każda choroba francuska, aleksandryn rozpowszechnił się na całym kontynencie, mamy więc np. aleksandryn rosyjski, czeski, serbski i, a jakże, polski. Tym ostatnim napisany jest, żeby daleko nie szukać, „Pan Tadeusz", bo polski aleksandryn to 13-zgłoskowiec ze średniówką po siódmej sylabie. Przynajmniej w moim świecie tak to jest urządzone; ale suponuję, że i w świecie Marka Bieńczyka może być podobnie. I gdybym miał się czepiać aleksandrynu z „Tworek", zdziwiłbym się raczej nieortodoksyjnym położeniem akcentu w wersach 12-zgłoskowych. Ale też byłbym skłonny wiele wybaczyć książkowej postaci, która aleksandryn improwizuje.

Z książkowych postaci zajmujących się aleksandrynem szczególnie dużo mam do wybaczenia Théo z „Psiej trawki" Queneau. Queneau napisał aleksandrynem „Małą kosmogonię kieszonkową" i „Sto tysięcy miliardów wierszy" (przełożonych przez Jana Gondowicza, a jakże, aleksandrynem polskim), zatem wzorzec tej miary spoczywał w mózgu Queneau pewny i niezmienny jak wzorzec metra. Tymczasem bohater „Psiej trawki" niezwykłe z aleksandrynem wyrządza dziwowiska. W przekładzie Hanny Igalson-Tygielskiej wygląda to tak:

„Théo mozolnie szukał tematu wiersza; mężczyzna kocha potajemnie kobietę; ona kocha innego albo nim gardzi; on boi się wyznać jej miłość; pisze sonet, żeby wszystko powiedzieć; kobieta, która go natchnęła, czyta, co napisał, ale nie rozumie, że chodzi o nią. Tyle. Właśnie znalazł pierwszy wers: Życie ma tajemnicę, a dusza sekret ma; policzył na palcach i wyszło, że jego aleksandryn kuleje na jedną stopę; trzeba znaleźć synonim tajemnicy. Zagadka, nie. Ukrywać, dobrze; tylko jaki odpowiedni rzeczownik? Milczeć, nieźle. A dusza moja milczy, nie. Nie wychodziło. Znowu policzył na palcach stopy: Życie ma tajemnicę, a dusza sekret ma. Trzynaście zgłosek, o jedną za dużo, nie chce być inaczej".

Przekład jest, o ile wolno mi sądzić, znakomity, ale w tym akurat miejscu, gdzie Théo liczy na palcach stopy, jakby domagał się pewnej poprawki. Żeby nie było nieporozumień: Théo liczy stopy na palcach dłoni. Ale idzie mi o inne nieporozumienie, które sprawia, że trudno pojąć, na czym polega kłopot Théo z aleksandrynem. Żeby rzecz rozwikłać, nauczyłem się nawet francuskiego. Nie całego od razu oczywiście, ale 15 słów na pewno. Niezbędnym bowiem się stało zajrzeć do oryginału. No bo tak: jeśli tłumaczka zamierzała oddać 12-zgłoskowy oryginał polskim aleksandrynem, to 13 zgłosek wcale nie jest „o jedną za dużo". Z drugiej strony, jej aleksandryn jest niepolski, bo po siódmej sylabie zachowuje metrum jambu i kończy się sylabą akcentowaną. Zatem ilu sylab doliczył się Théo w oryginale? 13 czy 12? Sprawdziłem, co jest u Queneau. *Treize*. Trzynastu. Tyle że badany przez Théo wers brzmi tak: „*Mon âme a son mystère, ma vie a son secret*". Każdy, kto umie przeczytać 15 słów po francusku, od razu zauważy, że sylab jest 12. Tyle ile trzeba. 6-stopowiec jambiczny jak spod sznurka. Czyli co? Queneau znowu sobie robi jakieś jaja? Jego bohater nie umie policzyć do tuzina? O co chodzi? Do poszukiwania odpowiedzi zaprzągłem najtęższe umysły współczesności, w tym takie znakomitości jak Adam z Wrocławia czy Tomasz z Opola. Ten pierwszy, po sprawdzeniu przypisu w wydaniu Bibliothèque de la Pleiade, oświecił mnie, że wers, który chodzi po głowie Théo, pochodzi od XIX-wiecznego Féliksa Arversa, znanego jako „poeta jednego wiersza", i stanowi pierwszą linijkę tego właśnie wiersza, słynnego we Francji „*Un secret: Mon âme a son secret, ma vie a son mystère...*". Drugi podniósł interesującą, ale niedopomożną dla mnie kwestię, że są we francuskim słowa inaczej akcentowane w mowie potocznej, a inaczej w deklamacji i śpiewie. I gdyby Théo b r a k o w a ł o jednej zgłoski, mógłby wykorzystać fakt, że w deklamacji mystère może liczyć sobie trzy sylaby. Kto nie wierzy, niech sobie znajdzie na YouTubie Serge'a Gainsbourga śpiewającego wiersz Arversa. Słychać tam wyraźnie 13 zgłosek, a żeby było ciekawiej, pierwsza linijka ma jeszcze inny układ niż u Arversa i Queneau: „*Ma vie a son secret, mon âme a son mystère...*". Koniec końców, uznałem, że zagadka Queneau, zawarta w utworze zbudowanym na podobieństwo zabawy w głuchy telefon, jest zagadką „pustą", której racją bytu jest nie rozwiązanie, ale sama uciecha, że ją zadano. Jeśli kto ma inne domysły, niech da znać.

Koła śpiewają

Mało który pisarz polski tyle pisał i mówił o aleksandrynie, co Antoni Libera. Wszystko za sprawą uwagi poświęconej przez niego „Fedrze" Racine'a. Kiedy bohater „Madame" ogląda „Fe-

ANDRZEJ DUDZIŃSKI

drę" graną w oryginalnym języku w teatrze, wspomina jego polską ekranizację telewizyjną:

„Dziwiłem się. Zżymałem. Dla mnie było to martwe. Bezkrwiste. Retoryczne. Mało mnie obchodziły te bombastyczne szały trawiące bohaterów. Były tak gigantyczne, że całkiem niewiarygodne. Tragedia nie przejmowała. Nikomu nie współczułem.

Tym razem rzecz mnie olśniła, i to od pierwszych słów. Przede wszystkim sam tekst brzmiał zupełnie inaczej. Nieporównanie czyściej aniżeli po polsku, nie archaicznie, jasno, a nade wszystko – pięknie w swej melodii i rytmie. Klasyczny aleksandryn, obcy polskiej prozodii, stukotał jak koła pociągu: ta-ta-tà ta-ta-tà, albo w śpieszniejszym rytmie: ta-tà ta-tà ta-tà – wprawiając w trans słuchania. Rygorystyczna forma nie czyniła zarazem wypowiedzi sztucznymi. Ich ekspresja i tok, mimo owej konwencji, były zgodne z naturą języka mówionego, a nawet jeszcze więcej: były jej ideałem. Śladu patosu, przesady, operowego stylu, wszystko – bardzo prawdziwe, wiarygodne w wyrazie, a przy tym – kryształowe, nieskazitelnie czyste".

Na potrzeby bohatera swej prozy Libera przełożył fragmenty „Fedry" polskim aleksandrynem, 13-zgłoskowcem. Kiedy jednak porwał się na przekład całej „Fedry", po zrobieniu trzech aktów 13-zgłoskowcem podjął decyzję, o której wielokrotnie opowiadał: przerzucił się na formę, w odniesieniu do której używam spolszczonej nazwy endekasylab, żeby zamieszać w głowach endekom. W dodatku był to endekasylab bezrymowy! Do zarzucenia rymów skłoniła pisarza-tłumacza dbałość o czytelnika-widza, wywiedziona z wrażeń, jakich doznał na premierze „Cyda" i o których opowiedział Aleksandrze Urbańczyk: „zamiast śledzić mistrzowskie retorycznie wywody postaci, słucham... rymów; sprawdzam, czy nie są aby częstochowskie – w każdym razie próbuję je przewidzieć". Z rymami czy bez, endekasylab w nadwiślańskim wydaniu dochrapał się tytułu polskiego wicealeksandrynu; zresztą Libera nie jest pierwszym tłumaczem, który na taki wybór się zdecydował, bo już choćby Ważyk tłumaczył 11-zgłoskowcem aleksandryny Baudelaire'a. Najodważniejszą (a dobrze uzasadnioną) decyzją Libery była rezygnacja z rymów. Tymczasem nawet Hugo, który opowiadał się za powszechnym dostępem pisarzy do przerzutni i który niemal doprowadził do rozruchów na ulicach Paryża, kiedy w „Hernanim" ośmielił się ruszyć średniówkę z jej uświęconego miejsca, w rewolucyjnej przedmowie do „Cromwella" deklarował wiernopoddańczość „rymowi, temu królowi-niewolnikowi". Ale to już temat na osobną gawędę.

Najciekawszą dla mnie opinię o aleksandrynie wypowiedział Saint-John Perse, przy czym zacytować ją mogę tylko z trzeciej ręki. Czesław Miłosz wspominał w „NaGłosie" sprzed lat: „Kiedyś – to było bardzo dawno – miałem rozmowę z Saint-John Perse'em, który powiedział: »Wszystkie rewolucje poetyckie we Francji to były bunty przeciwko aleksandrynowi; ale cała Europa naśladowała rewoltę francuską, nie zdając sobie sprawy, że nasza rewolta była rewoltą przeciwko tyranii aleksandrynu«".

© JACEK PODSIADŁO

ZIEMIE OBIECANE INGA IWASIÓW

Dobranocki

W lecie mój czteroletni wnuk odkrył starą serię leksykonów Wiedzy i Życia przeznaczoną dla nastolatków. Kupowałam je pod koniec lat 80. i na początku 90. synom, którzy lubili wszystkie książki świata (przy czym młodszy naśladował w tej pasji starszego, bo sam wolał pobiegać). Były zgrzebne, ale miały przynajmniej format i założenia „małej encyklopedii" oraz luksusowy wówczas, półmatowy papier, odporny na polizane paluszki. Grafika i tekst, gdy dziś na nie patrzę, przywodzą na myśl raczej amatorską robotę. Wnuk mówił w nieskończoność „czytaj", choć znał już tę historię. Po zielonej serii przyszła kolej na następne z tego gatunku, które stały nieruszane od 20 lat na półce z pozycjami sentymentalnymi, choć nieprzydatnymi.

Próbowałam odciągać Ignacego ku „Przygodom Misia Paddingtona" i „Alicji w Krainie Czarów", gdyż sama miałam ochotę do nich wrócić, a przecież bez pretekstu ani rusz. Wygrały jednak dinozaury.

Próbowałam odciągać Ignacego ku „Przygodom Misia Paddingtona" i „Alicji w Krainie Czarów", gdyż sama miałam ochotę do nich wrócić, a przecież bez pretekstu ani rusz. Nudziły go, przejedzonego fabułami. Pewnego wieczoru spodobała mu się okładka „Baśni tysiąca i jednej nocy", więc szłam od ilustracji do ilustracji, snując ocenzurowaną narrację. Jeszcze jednego razu poprosił o „historie tej pani, która opowiada, żeby nie usnęli", ale ponieważ książka jest ciężka, a ja przecież zmyślałam jej zawartość, zaproponowałam opowiadanie z głowy o ptaku, który leci przez morze do swoich braci i sióstr – wróciliśmy znad Bałtyku, morska fauna, flora i kamienie pokazywały nam się, gdy tylko przymknęliśmy powieki. Był ciekaw, skąd wiem tyle o życiu pewnej mewy i czy znam je wszystkie. Znam, oczywiście.

Najbardziej polubił „Gady prehistoryczne. Dinozaury". Ich zajmujące całą stronę wizerunki wydawały mi się straszne i kiepskie jako usypiacze. A jednak właśnie o ich rozwoju, potędze, zwyczajach żywieniowych oraz upadku czytałam wiele razy, ściszając stopniowo głos, nie dodając nic od siebie, gdyż wnuczek znał już tekst na pamięć i błąd mógłby go zelektryzować.

Bo czasem Ignaś otwierał oczy i pytał, czy na pewno nas wtedy nie było na Ziemi, jakby nie wiedział, że na ostatniej stronie autorzy zamieścili rysunek praczłowieka zwanego tu praszczurem (dlaczego? – pytanie ponawiane uparcie, w końcu skłoniło mnie do nocnych poszukiwań w internecie jakiejś zgrabnej odpowiedzi), polującego na mamuta. Dlaczego wyginęły, dlaczego nie jadły mięsa lub dlaczego właśnie jadły, dlaczego kopalne, dlaczego lodowiec. Epoka „dlaczego" – podmieniamy ją na pewność swoich racji, szykując własne wyginięcie, czym nie straszyłam chłopca, poprzestając na wspólnym segregowaniu śmieci okraszanym historią wielkiej góry plastiku, wyłaniającej się z głębin morza. Widzieliśmy na plaży stosy butelek i rybitwy ze spętanymi workiem nóżkami. Więc strachy na lachy, mali chłopcy boją się ciemności, nienarysowanych potworów i chcą biec na ratunek ptakom.

Poszliśmy do lokalnej klubo-księgarni FiKa i kupiłam mu kilka najnowszych książek prezentujących wiedzę o świecie. Jedną z nich, „Pod ziemią. Pod wodą" Aleksandry Mizielińskiej i Daniela Mizielińskiego wydaną przez Dwie Siostry, polubił na tyle, że włożył ją na wierzch walizki razem z „Dinozaurami". Kilka razy je przepakowywał niezdecydowany, którą chciałby mieć od razu, gdy w domu otworzy bagaż. Z rezultatu wywnioskowałam, że woli wydawnictwa uboższe i nieprzeznaczone dla maluchów. Być może nie jest jeszcze estetą i nie odróżnia narracji ledwie skleconej od znakomitej, bohomaza od dowcipnej ilustracji, a może chodzi o domową biblioteczkę, tę samą, w której buszował jego tata (ten z braci, który uwielbiał biegać, ale siadał z nami i przewracał kartki). ©

MOJE STORY
BARTOSZ MINKIEWICZ

ZIEMIE NICZYJE PIOTR ŚLIWIŃSKI

Wiem, nie powiem

Bardzo już zżółkłe papiery, druk chybotliwy i zatarty. Ach te olimpie, triumphy, mercedesy, continentale, uranie, underwoody, torpedy, hammondy, remingtony, royale, maszyny do pisania o imionach bohaterskich lub choćby budzących niejasną tęsknotę za szerokim światem. Zbrzydnięte, zużyte, przeważnie na pół popsute, lecz podczas mojej młodości niezastąpione, nauczycielki stawiania pierwszych znaków. Służebnice sensu, nieprzeczuwające, że ich dni – i jego – były już policzone.

Więc przeglądam zszywki, broszury, gazety, almanachy, tomiki i tomiszcza, promil dorobku tzw. drugiego obiegu, który zgromadziłem przed laty, a teraz – wiedziony niekończącym się złudzeniem, że kiedyś, wreszcie, czemu nie tym razem, uda mi się stare papiery uporządkować, nurzam się w pyle i wspomnieniach, zakatarzony i uparty. Jeśli dam temu radę, pieszczę nadzieję, to sprostam wszystkim innym książkom; jeśli zaś podołam swojej bibliotece, to zacznę żyć od nowa.

Żeby to jednak nastąpiło, niespiesznie trzeba przejrzeć zżółkłe papierzyska. Byłem już wtedy wśród ludzi, kiedy o sprawach niedających się rozwikłać pisano całkiem serio, z przejęciem, które później wyśmiano lub ukradziono, by wykorzystać do celów bez dwóch zdań cynicznych? Pewnie, że byłem, lecz wrażenie zstąpienia na jakieś dalekie piętro przeszłości, znalezienia się poza zasięgiem dzisiejszych pojęć, opanowuje mnie coraz silniej.

Góruje podziw dla wielkiej i niewdzięcznej roboty, czasami tylko przemyka się niskie, mściwe pytanie w rodzaju: czy X, który w czytanym właśnie eseju każdym słowem honor świadczy swej wysoko poważanej, niezłomnej przenikliwości, już wtedy był zawziętym obłudnikiem, czy stał się takim później? Bo przecież, bo przecież... a kysz! Żadnych niedyskrecji.

Im kompletniejsza była kontrola władzy nad przekazem i językiem publicznym, tym bujniej rozwijało się polityczne, a może nawet historiozoficzne plotkarstwo.

Bo oto wpada mi w ręce broszura Towarzystwa Kursów Naukowych z 1981 r., zatytułowana „Plotka a monopol informacji". W środku intrygujące założenie: im kompletniejsza była kontrola władzy nad przekazem i językiem publicznym, tym bujniej rozwijało się polityczne, a może nawet historiozoficzne plotkarstwo, z którego wynikały alternatywne obrazy rzeczywistości. Z przekonania, że propaganda manipuluje i kłamie, brała początek fabularna twórczość na wielką skalę – pocieszycielska, biorąca rewanż, odmiennie – prawdziwiej? – definiująca wartości.

A dzisiaj? Władza nie sprawuje monopolu na informację, jest od tego daleka i nie ma na to szans. Poza tym mnogość małych narracji, prywatnych opowiastek, będąca jakoby własnością późnego modernizmu, poniekąd wszystko zmienia w plotkę (autoplotkę), rozsiewaną przy użyciu tabloidów, Facebooka, Instagrama. Tym samym bardzo ograniczając plotkarstwo w dawnym stylu, na wysokiej stopie.

Tak to wygląda. Plotka służy głównie autokreacji, zaznaczeniu własnej pozycji. Kiedy zaś odnosi się do innych, to przeważnie dotyczy sfery, by tak rzec, rozporkowo-degustacyjnej, zresztą dawno temu zdemitologizowanej. Na końcu staje się nie tyle pełną inwencji walką o pomnożenie opowieści, lecz zaledwie odwetem na własnej bezsilności.

Jest nękaniem silniejszego przez słabszych: „Bardziej zbliżone do agresji niż atak łowcy na ofiarę jest nadzwyczaj interesujące działanie odwrotne, a mianowicie przeciwnatarcie ściganego zwierzęcia na swego pożeracza. Szczególnie zwierzęta żyjące gromadnie atakują zbiorowo zagrażającego im drapieżnika wszędzie, gdzie tylko go dopadną. Po angielsku działanie to nazywa się mobbing" – pisał Konrad Lorenz w słynnym dziele „Tak zwane zło".

I dlatego znowu nie powiemy, co wiemy o X. ©

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ
Z SIECI
ILE SIĘ DA

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator
Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl